



AUTOR „KONFERENCJONERA KOŚCY”

JEFFERY  
DEAVER

**PŁYTKIE  
GROBY**

**JEFFERY DEEVER**

**Płytkie Groby**

Przekład:

ALEKSANDRA WOLNICKA

„Człowiek powinien dotrzymać słowa”.

James Stewart w roli Ruperta Cadella w filmie Alfreda Hitchcocka „Lina”.

# Od autora

Cytowane przez Pellama powiedzenie o ognisku, żarze i popiele pochodzi od jednego z jego ulubionych pisarzy, Raynolda Price'a. Nasz bohater nie był jednak tak wielkoduszny, aby przypisać mu autorstwo.

Słyszałem kiedyś o tobie przerażającą historię - zagadnął Marty. - Nie wiem, czy jest prawdziwa, czy nie.

Pellam nawet na niego nie spojrział. Prowadził samochód kempingowy Winnebago Chieftain 43 z powrotem do miasta. Mniej więcej kilometr wcześniej znaleźli starą farmę i zaproponowali zaskoczonemu właścicielowi tysiąc trzysta dolarów za nakręcenie dwóch scen na jego ganku - o ile zgodzi się także na kilka dni zastąpić rdzewiejącego na podjeździe pomarańczowego nissana nowiutkim kombajnem. Farmer odparł, że za taką sumę byłby gotów zjeść własny samochód, gdyby tego właśnie zażądali.

Pellam uspokoił go, że to nie będzie konieczne.

Pracowałeś jako kaskader? - zapytał Marty. Miał wysoki głos i mówił z silnym akcentem ze Środkowego Zachodu.

Występowałem w scenach kaskaderskich, owszem. Przez rok czy coś koło tego.

- A ten film, w którym zagrałeś?

- No. - Pellam zdjął ciemne okulary w stylu lat pięćdziesiątych, takie same, jakie nosił

Hugh Hefner. Jesienny dzień zaczął się pogodnie, ostre promienie słońca błyszcząły jak odbite od lodu. Ale przed półgodziną niebo zasnuło się chmurami i chociaż było dopiero wczesne popołudnie, miało się wrażenie, że zapada zimowy zmierzch.

To był film Spielberga - powiedział Marty.

Nigdy nie pracowałem dla Spielberga.

Marty zawahał się. - Nie? No cóż, ja słyszałem, że to był film Spielberga. Tak czy owak, była tam taka scena, w której ten gość, no wiesz, ten gwiazdor, miał przejechać motocyklem przez most, a za nim miały wybuchać bomby, czy coś w tym rodzaju. No, więc on zwiewa jak szalony przed ostrzałem, aż tu nagle dostaje serię tuż pod koła. Wtedy podrywa motocykl do góry i leci w powietrzu, a most się pod nim zapada...Rozumiesz? Mieli do tego użyć kukły, bo kierownik kaskaderów nie zgodził się, żeby zrobił to któryś z jego chłopców. A wtedy ty po prostu wsiadłeś na motor i kazałeś reżyserowi drugiego planu włączyć kamerę. I zrobiłeś to, jak gdyby nigdy nic.

- Aha.

Marty spojrział na Pellama. Czekał. W końcu roześmiał się.

- Co to ma znaczyć, to „aha”? Zrobiłeś to czy nie?

- Tak, coś sobie przypominam.

Marty przewrócił oczami, po czym popatrzył przez szybę na ciemniejący w oddali kształt jakiegoś ptaka. - Coś sobie przypomina... - Znowu spojrział na Pellama. - Podobno nie tylko wyleciałeś w powietrze, ale musiałeś jeszcze zawisnąć na linie ponad walącym się mostem.

- Aha.

Marty czekał w milczeniu. W końcu to żadna frajda opowiadać komuś historyjki z jego własnego życia. - No więc?

- Tak właśnie było.

- Nie bałeś się?

- Jasne, że tak.

- To dlaczego to zrobiłeś?

Pellam sięgnął pod fotel i wyciągnął butelkę piwa Molson, którą trzymał wetkniętą pomiędzy

stopami obutymi w sfatygowane, brązowe kowbojki. Rozejrzał się po czerwono-

żółtym, jesiennym poboczu, żeby się upewnić, czy nigdzie nie widać stanowej drogówki, po czym podniósł butelkę do ust i opróżnił ją. - Nie wiem. W tamtych czasach robiłem różne wariackie rzeczy. Głupi byłem. I kierownik produkcji mnie zwolnił.

- Ale wykorzystali tamten materiał?

- Nie mieli wyjścia. W przeciwnym razie zabrakłoby im mostów.

Pellam docisnął pedał gazu, żeby pokonać wzniesienie. Silnik nie najlepiej zareagował. Rozległo się stukanie czegoś, co zwykle stuka w starym silniku, kiedy ten usiłuje wciągnąć ciężki samochód kempingowy pod górę.

Marty miał dwadzieścia dziewięć lat, był chudy, a w jego lewym uchu tkwiło nieduże złote kółko. Jego twarz była okrągła i gładka, a oczy musiały mieć jakieś bezpośrednie połączenie z jego sercem: im szybszy puls, tym szerzej się otwierały. Pellam był od niego starszy. Też był chudy, lecz bardziej żyłasty niż kościsty, o ciemnej karnacji. Miał mizerną, przyprószoną siwizną bródkę, którą zaczął przed tygodniem zapuszczać i której miał już dosyć. Powieki osłaniające jego szarzielone oczy nigdy zbyt nie podnosiły. Obaj mężczyźni byli ubrani w dżinsowe spodnie i kurtki. Marty miał na sobie czarny podkoszulek, Pellam niebieską roboczą koszulę. Tak ubrany, w wysokich butach z zastrzonymi czubkami, przypominał kowboja i jeśli ktokolwiek - a zwłaszcza kobieta - komentował jego wygląd, Pellam odpowiadał, że jest spokrewniony z Dzikim Billem Hickokiem. Była to prawda, choć tak skomplikowana i tylekroć przez niego wypaczana, że sam już nie pamiętał, w jakim dokładnie momencie słynny rewolwerowiec zawitał w szeregi jego przodków.

Marty westchnął: - Chciałbym być kaskaderem.

- Nie sądzę - odparł Pellam.

- O tak, to byłoby fajne.

- Raczej bolesne.

Po kilku minutach Pellam odezwał się: - Mamy już cmentarz, rynek, dwie stodoły i farmę. Do tego całą furę dróg. Czego jeszcze potrzebujemy?

Marty przerzucał kartki sporego notesu. - Jednego wielkiego, wielkiego pola, naprawdę ogromniastego, domu pogrzebowego, wiktoriańskiej rezydencji z ogrodem wystarczająco dużym, żeby zorganizować w nim przyjęcie weselne, sklepu z artykułami żelaznymi, całej masy wnętrz... Psiakrew, miną kolejne dwa tygodnie, zanim znowu będę na Manhattanie. Mam już dosyć krów, Pellam. Mam już dosyć tych cholernych krów!

Mijały właśnie trzy dni, odkąd zjechali z drogi międzystanowej w Cleary w stanie Nowy Jork. Ich wóz przejechał sporo drogi, pokonując garbate, sosnowe pagórki, mijając zapomniane farmy i niewielkie, proste, pastelowe sześciany domów udekorowanych furgonetkami zaparkowanymi na podjazdach, samochodami stojącymi na ceglach i sztywnym praniem suszącym się na długich sznurach.

Trzy dni jazdy przez mgły i zamglenia, zawieruchy żółtych jesiennych liści i zacinający deszcz.

Marty wyglądał przez okno. Milczał przez całe pięć minut. A Pellam pomyślał: „Cisza jest platynowa”.

Nagle Marty zagadnął:

- Wiesz, co mi to przypomina?

Skojarzenia chłopaka były zwykle tak chaotyczne, że Pellam nawet nie usiłował zgadywać.

- Pracowałem kiedyś jako asystent przy „Echach wojny” - ciągnął.

Chodziło o wartą sześćdziesiąt trzy miliony dolarów produkcję, której akcja toczyła się podczas wojny w Wietnamie; tak jak wcześniej nie miał ochoty wyszukiwać do niej plenerów, tak i teraz Pellam nie miał ochoty oglądać jej w kinie i był pewien, że nie wypożyczy filmu, gdy ten trafi wreszcie na półki Tower Video w Los Angeles.

Marty mówił dalej:

- Z jakiegoś powodu nie kręcili go w Azji...?

- To było pytanie?

- Nie, mówię ci, jak było.

- Zabrzmiało, jakbyś mnie o to pytał - odparł Pellam.

- Nie. Postanowili, że nie będą kręcić w Azji.

- Dlaczego nie?

- Nieważne. Tak zdecydowali i już.

- Jasne - mruknął Pellam.

- Wszystkie zdjęcia były kręcone w Anglii, w Kornwalii. - Marty pokręcił głową, a jego dużą, owalną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Pellam cenił entuzjizm. Niestety, entuzjizm szedł w parze z gadatliwością. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

- Stary, wiedziałeś, że w Anglii mają palmy? Nie mogłem w to uwierzyć. Palmy... W

każdym razie scenarzysta zbudował tam zupełnie niewiarygodną bazę wojskową, stanowiska dla moździerzy, wszystko. Zaczynaliśmy zdjęcia o piątej rano, a ja za każdym razem miałem to dziwne wrażenie. Niby wiedziałem, że jestem w Anglii i że to tylko film. Ale wszyscy aktorzy chodzili w kostiumach - w mundurach - spali w okopach i dostawali racje żywnościowe. Reżyser tak zarządził. Mówię ci, stary, kiedy tak na to patrzyłem, czułem się tak totalnie... niespokojny - Przez chwilę zastanawiał się, czy użył właściwego słowa. Uznał, że tak i powtórzył je. - Tak, niespokojny. Teraz też się tak czuję.

Umilkł.

W swojej karierze Pellam pracował na planie kilku wojennych filmów, lecz w tej chwili żaden tytuł nie przychodził mu do głowy. Myślał za to o strzaskanej szybie w bocznym oknie samochodu, na drugi dzień po ich przyjeździe w te okolice. Winnebago robi mocne szyby i trzeba naprawdę mocno rzucić butelką, żeby ta przebiła szkło i wpadła do środka. Na dołączonej kartce ktoś napisał: „Żegnamy”. Przez lata ich przyczepa poddawana była różnym aktom kreatywnej destrukcji, lecz jak dotąd nigdy nie zdarzyło się nic równie dziwnego i niepokojącego. Pellam zauważył, że wandalę okazali się na tyle przewidujący, aby nie wrzucać swojej wiadomości przez przednią szybę; najwyraźniej chcieli mieć pewność, że kierowca będzie wyraźnie widział drogę, opuszczając ich miasto.

Zwrócił też uwagę na to, że posłużyli się butelką, a nie kamieniem - butelką, która równie dobrze mogła zawierać benzynę, jak i starannie wykaligrafowaną wiadomość.

O tym wszystkim myślał teraz John Pellam. Nie o kaskaderskich wyczynach, nie o filmach wojennych, nie o złowrogich świtach w tropikalnej Anglii.

- Robi się chłodno - zauważył Marty

Pellam sięgnął do deski rozdzielczej i przesunął pokrętło ogrzewania o dwie pozycje.

Poczuł wilgotny, trącający gumą zapach ciepłego powietrza wypełniającego wnętrze samochodu.

A Pellam wyczuł pod podeszwą trzask okruchów stłuczonej szyby. Kopnął je na bok.

Żegnamy...

Centrum Cleary nie wyglądało jakoś szczególnie.

Dwie pralnie samoobsługowe, oddział banku Chase, lokalny bank. Dwa bary, urządzone najwyraźniej przez tego samego rekwizytora. Tuzin sklepów ze starociami, z wystawami pełnymi stolików do herbaty, plakietek z kampanii prezydenckich, kinkietów, podstawek kuchennych, cynowych naczyń, spłowiałych płacht dywaników i eleganckich wiktoriańskich narzędzi. Były tam też dwie witryny pośrednictwa w handlu nieruchomościami, sklep muzyczny specjalizujący się w instrumentach dętych oraz sklep z artykułami żelaznymi. Herbaciarnia - pomieszczenie maleńkie i przytulne niczym nora hobbita - zbijała kokosy na bogatych w błonnik babeczkach z zapiekаныmi bakaliami, płatkami zbożowymi i miodem.

Stary sklep „1001 drobiazgów” z podłogą z desek. Kilka drug-store'ow, w tym jeden z jadłodajnią jakby żywcem przeniesioną z lat pięćdziesiątych, tak autentyczną, że żaden scenograf nie odtworzyłby jej lepiej. Kilka budynków mieszkalnych, w których otwarto niewielkie firmy. Crystalmere - oryginalna biżuteria projektu Janine. Scotch Imports, nasza specjalność - szetlandzka wełna.

Dwóch nastolatków, dużych, o wyszorowanych twarzach i uśmiechach, które prowokowały do zaczepki, stało pod markizą sklepu z artykułami żelaznymi; rozpięte koszule ukazywały ich muskularne torsy, a oni udawali, że nic sobie nie robią z rześkiego wiatru.

Jeden z nich wystawił środkowy palec w stronę przejeżdżającego samochodu.

- Gnojki - powiedział Marty.

(W Meksyku, gdzie Marty i Pellam spędzili poprzedni miesiąc, miejscowi byli bardziej przyjaźnie nastawieni, chociaż mogło to mieć coś wspólnego z kursem wymiany dolara; amerykańska waluta w wielu przypadkach sprzyja braterstwu i wzajemnemu porozumieniu między narodami).

Pellam tylko wzruszył ramionami.

Marty nie przestawał wyglądać przez okno, lustrując chodniki. Nagle odezwał się: -

Nie ma chyba zbyt wielu kobiet w tym mieście. - Zmarszczył brwi, jakby rozczarowany, że na żadnej z wystaw sklepowych nie widać młodych dam w kostiumach kąpielowych prosto ze Sports Illustrated.

- Wywieźli je w góry jak tylko usłyszeli, że się tu wybierasz. - Pellam szukał miejsca do zaparkowania.

- Nie widziałem też żadnego kina.

- Miejmy nadzieję, że jednak jakieś jest - odparł Pellam. - Obawiam się, że z filmami poszczęści ci się bardziej niż z kobietami.

Marty zignorował tę uwagę i zapytał z niemal nabożną powagą:

- Rany, czy to nie byłoby wspaniałe kochać się z wiejską dziewczyną w obcym pokoju hotelowym?

- Zamiast w zwykłym pokoju hotelowym? - Prawdę powiedziawszy, Pellam uważał, że rzeczywiście byłoby to miłe, choć może nie wspaniałe i raczej nie nazwałby tego

„kochaniem”. Młodzieńcze pożądanie, jakie odczuwał Marty, również było mu obce. Trzeba będzie mieć chłopaka na oku. Zbyt często zdarzało mu się tracić panowanie nad sobą i flirtować bezwstydnie z różnymi blondynkami w małomiasteczkowych barach koktajlowych -

kobietami o całe lata świetlne twardszymi od największej elegantki o stalowym spojrzeniu z Manhattanu czy Los Angeles.

Znaleźli się w samym centrum miasteczka akurat w chwili, gdy skumulowany w gęstych chmurach deszcz doszedł do wniosku, że jest go już wystarczająco dużo i lunął w dół, tnąc zakosami ulice i strącając liście z drzew. Widoczność spadła do zera, a ich przyczepa zaczęła się chwiać jak łódź podczas sztormu.

- Hola, hola - zawołał Marty. - Moim zdaniem najwyższa pora się upić.

Pellam zaparkował wóz na wolnym miejscu. W ulewnym deszczu nie dojrzał krawężnika i najechał na niego z metalicznym zgrzytem.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy w centrum Cleary były jakieś parkometry, ale jeśli tak, teraz było ich o jeden mniej.

Deszcz padał i padał, robiąc taki hałas jak tuzin tancerzy break dance, wirujących, tupiących i ćwiczących jacksonowy moonwalk na dachu Winnebago. Grubymi strugami spływał po przedniej szybie i oknach.

Pellam podniósł się z fotela i popatrzył na Marty'ego.

- Na trzy.

- Do diabła, Pellam, nie. Tam jest mokro.

- Podobno chciałeś się napić.

- Zaczekajmy, aż...

Pellam otworzył drzwiczki. Wyskoczył na zewnątrz.

- Trzy.

- ...przestanie padać.

Ośmioma długimi susami przebyli odległość dzielącą ich od najbliższego schronienia.

To wystarczyło, żeby przemokli do suchej nitki.

Pchnęli drzwi, nad którymi głucho odezwał się krowi dzwonek. Marty zatrzymał się w pół kroku.

- To jest kawiarnia, Pellam.

- Zamknij drzwi, chłopcze!

- Ale to jest kawiarnia.

Pellam odparł:

- Za wcześnie na drinka. Poza tym ja mam ochotę na ciasto.

- Na ciasto, Pellam? Cholera jasna.

Lokal „U Marge” był cały turkusowy, plastikowy i nieprzytulny. Światłówki były zielone - ich światło przywodziło na myśl wszystkie szkolne korytarze, którymi człowiek kiedykolwiek chadzał.

Usiedli przy ladzie i wyciągnęli serwetki z metalowego stojaczka, żeby wytrzeć sobie twarze i ręce.

Dwóch niechlujnie wyglądających mężczyzn po pięćdziesiątce, być może operatorów silosów zbożowych albo farmerów, krępych, z porami zatkanymi brudem, siedziało zgarbionych nad solidnymi białymi kubkami z kawą. Kontynuowali rozmowę, nie uroniwszy nawet słowa, chociaż ich spojrzenia podążały za Pellamem i Martym niczym para wyżłów tropiących ptactwo.

- Mówię ci, prawie wyrócił swojego massey'a do góry nogami.

- Na międzystanowej? Dużo bym dał, żeby to zobaczyć.

- Goście w innych wózkach aż gały powywalali ze zdziwienia... A opowiadałem ci, jak wjechałem kombajnem do strumienia?

Marty poprosił o piwo, a wiejska dziewczyna - ładna buzia, szerokie biodra, na oko ze trzydzieści trzy lata - odparła, że chętnie by mu je sprzedała, ale niestety nie mają licencji na alkohol.



- Niestety, niestety - powtarzała, ze wszystkich sił starając się wymyślić coś mądrego do dodania. Wreszcie zdecydowała się na:

- Co jeszcze podać? - Zadała to pytanie z uwielbieniem w głosie.

Marty obejrzał się na Pellama, po czym zamówił porcję chili i colę, obdarzając dziewczynę szerokim uśmiechem. Pellam poprosił o kawę i kawałek czekoladowego ciasta.

- Naprawdę jest domowego wypieku? - zapytał.

- Jasne, jeśli nasz supermarket to dla kogoś dom.

Tym razem do uwielbienia doszła jeszcze namiętność, kiedy dziewczyna zwróciła się do Marty'ego z pytaniem:

- Ma być z cebulą?

- Tak, proszę pani.

- Może bez cebuli - poprawił go Pellam. Ich przyczepa nie była zbyt dobrze wentylowana.

Marty westchnął. Dziewczyna popatrzyła na niego, a on pokręcił jeszcze przecząco głową.

Dziewczyna zwróciła się teraz do Pellama:

- Ma być à la mode?

- Alamo...?

Dziewczyna rozejrzała się po lokalu:

- No, wie pan, z lodami.

- Aha. Nie. Samo ciasto.

- Macie tam chłopcy fajną przyczepę. - Dziewczyna nie ruszała się z miejsca. - Nasz tatko sprawił nam kiedyś kombi, ale pokpił sprawę przy wycofywaniu - jechaliśmy nad Lake Webster - i rozwalił hak holowniczy.

- Pellam odparł: - Tak, trzeba bardzo uważać.

- A potem źle go zespawali.

- Otóż to.

Dopiero po chwili oddaliła się kaczym chodem, żeby zrealizować zamówienie. Jej obłe uda zakołysały się, kiedy podeszła do lady.

Marty aż drżał z podniecenia: - Pellam, pamiętasz ten sklepik „1001 drobiazgów”? Po drugiej stronie ulicy? - Mówiąc to, wyjrzał przez okno. - Byłem tam wczoraj. Totalnie genialne miejsce. Stary, sprzedają tam peruki. Mają ich tam kilka rzędów. W jakim innym sklepie na świecie zapłacisz dziewięćdziesiąt dziewięć centów i wyjdiesz z peruką? No, sam powiedz. Zrobisz coś takiego na Rodeo Drive? Na Michigan Avenue?

- Faktycznie, trochę ci się przzerzedziło na czubku głowy.

Zacinający deszcz z plaśnięciem rozbijał się o szkło szerokiej witryny; rozległo się kilka potężnych grzmotów. Odwracając się w kierunku, z którego dobiegł go huk pioruna, Pellam zauważył kobietę, która właśnie wbiegła do środka; drzwi otworzyły się gwałtownie, zadźwięczał krowi dzwonek. Kobieta zdjęła zieloną pelerynę. Była mniej więcej w jego wieku, może o rok albo dwa starsza, ubrana w spłowiałą fioletową sukienkę z wysokim stanem, zaznaczonym tuż pod pełnym biustem. Babcina kiecka, przypomniał sobie, tak je nazywano. Długie włosy - brązowe, ze srebrnymi nitkami - nosiła z przedziałkiem pośrodku.

Obrzuciła spojrzeniem Pellama i Marty'ego, rzucając temu pierwszemu coś na kształt uśmiechu, po czym odwróciła się twarzą do lady, ocierając z twarzy krople deszczu.

Pellam i Marty również odwrócili się przodem do lady. Wyjęli z kieszeni polaroidowe odbitki,

ułożyli je przed sobą i zaczęli rozmowę o kątach ustawienia kamery.

Kobieta w babcinej sukience zerknęła na nich od niechcenia. Następnie zwróciła się do kelnerki i zamówiła ziołową herbatę oraz babeczkę z otrębami. Ponownie zerknęła na siedzących obok mężczyzn i odwróciła wzrok.

Kelnerka postawiła przed mężczyznami kawę i colę, po czym z kartonu z celofanowym wieczkiem wyjęła kawałek ciasta z pianką. Później zniknęła na zapleczu, żeby przynieść chili.

Podawała im zamówione dania - nadal spoglądając na Marty'ego z uwielbieniem.

Zaczęli jeść. Kobieta w babcinej sukience nie zwracała na nich uwagi - nawet kiedy Pellam w jednym zdaniu dwukrotnie powtórzył słowo: „Hollywood”.

- Jak ciasto? - spytał Marty.

Pellam przełknął trzy kęsy i nie był w stanie zjeść więcej. Podsunął talerz Marty'emu, ten zaś wbił w ciasto łyżkę, na której wciąż tkwiła jeszcze porcja tłustego chili.

Kolejne grzmoty zatrzęsyły szybą. Prawdziwe detonacje.

Pellam odezwał się:

- Ty wiesz, co jeszcze ma teraz na warsztacie Lefkowitz?

Marty zastanowił się.

- Tamten europejski filmik? Pellam pokręcił głową.

- Aha, wiem. Western?

Pellam uśmiechnął się. Wstał i podszedł do telefonu. Zaraz też zawołał do Marty'ego:

- Popatrz no tylko. - Był autentycznie zaskoczony. - Nadal wystarczy mieć dziesięć centów, żeby zadzwonić. - Kobieta w babcinej sukience patrzyła na niego. Uśmiechała się.

Odwzajemnił jej uśmiech. Na powrót zajęła się swoją herbatą.

Pellam wystukał numer. Kazano mu czekać na połączenie, a potem jeszcze raz i jeszcze.

W końcu w słuchawce odezwał się głos asystenta kierownika produkcji:

- Johnny, chłopie, gdzie się podziewałeś?

Pellam wiedział, że facet jest młody, ale nie mógł przypomnieć sobie, jak wygląda.

- Tu i tam.

- Aha, tu i tam. - powtórzył tamten. - Aha.

- No, a jak tam pogoda w Fabryce Snów? - zagaił leniwie Pellam. - U nas potwornie gorąco.

Prawie czterdzieści stopni.

- Johnny, ty mów, jak wam idzie?

- Jakoś idzie.

- Ja tu nie żartuję, przyjacielu, gość jest niesamowicie nagrany na ten projekt i jeśli nie dopniemy wkrótce plenerów na ostatni guzik, wszystkie boże dzieci będą mieć poważne kłopoty. Gdzie do diabła jesteście?

- Chyba znalazłem miejsce w sam raz dla ciebie.

- Och, uwielbiam ten ton. Wyjdiesz za mnie?

- Jest idealne.

- Mów do mnie jeszcze, Johnny, mów do mnie jeszcze. Mamy tutaj ciśnienie. Słuszne ciśnienie, rozumiesz?

Pellam zastanowił się, gdzie uczą takiego producenckiego gadania. Może na Uniwersytecie Kalifornijskim. Mrugnął do Marty'ego i odezwał się do słuchawki: -

Lefkowitz oszaleje ze szczęścia. Zdjęcia o świcie będą przepiękne... Jak okiem sięgnąć -

pustynia. Nie widać ani jednego drzewa, rozumiesz? Ani jednego, chyba, że się spojrzy na zachód, a i wtedy potrzebny jest teleobiektyw, poza tym...

- Jaka pustynia?

- Jest też nieduża chałupa... Ale w środku nie można kręcić...

Z drugiej strony przewodu zapadła cisza najodleglejszej z galaktyk. Następnie głos powtórzył:

- Jaka chałupa?

Pellam mówił dalej: - ...ale nic się nie przejmuj. Przy chałupie jest stajnia. A i pomyślałem, że można by tam przenieść część zdjęć we wnętrzach. Na przykład tę scenę, kiedy...

- Nabijasz się ze mnie, John.

Pellam udał urażonego.

- Nabijam się? Nieprawda. Kiedy mówię, że miejsce jest idealne, to jest idealne. Nie gadałbym...

- Robisz mnie w balona.

Marty zawołał:

- Powiedz mu o tym wyschniętym korycie rzeki.

- Racja, jest wyschnięte koryto. Pamiętasz tę scenę, w której Komańcze zakradają się do chaty?

- John, to nie jest zabawne.

Pellam zdziwił się.

- Jak to?

- To nie jest western.

- Jak to - to nie jest western? - Umilkł na chwilę i udawał, że sprawdza coś w scenariuszu. - A co innego można nakręcić o Arizonie w 1876 roku?

Jesteście w Arizonie?! - Głos w słuchawce zawył niczym alarm samochodowy. -

Wysłali wam nie ten scenariusz?!

Hm... - zaczął Pellam.

Bardzo się starał. Ale nie mógł wytrzymać ani sekundy dłużej. Marty, do którego dotarł okrzyk asystenta kierownika produkcji, oparł głowę o kontuar i trząsnął się spazmatycznie. Pellam poszedł w jego ślady.

- Przeklęty sukinsyn z ciebie, Pellam - mruknął asystent.

Pellam oparł się o ścianę kabiny telefonicznej i zanosząc się ze śmiechu, usiłował złapać oddech.

- Wybacz - wydyszał.

- To... nie... było... śmieszne.

A jednak chyba było, sądząc po tym, co działo się z nimi oboma. Wreszcie Pellam odzyskał oddech i popatrzył na Marty'ego. To był błąd, bo znowu zatrząsnął się ze śmiechu.

Gdy się w końcu uspokoił, powiedział:

- Jesteśmy w Cleary. W północnej części stanu Nowy Jork. Dobrze to wygląda. Myślę, że będzie idealnie. Mamy 27 z 51 ujęć, ale zaczęliśmy od pierwszego planu, więc został nam już głównie drugi plan i plany ogólne. Skończymy zdjęcia i za parę dni dostaniesz raport. -

Przerwał na moment, po czym dodał:

- Przejrzałem scenariusz. Dasz się namówić na kilka zmian?

- Nie ma mowy. Wszystko jest jak wyryte w kamieniu. - Teraz śmiał się także asystent kierownika produkcji - tłumiony śmiech, pełen pobłażania, żeby pokazać, że równy z niego gość. Zaraz jednak dał mu do zrozumienia, że pora przestać żartować i zacząć udzielać poważnych odpowiedzi:

- Mówisz serio, John? Dobrze to wygląda?

- Tak właściwie...

- Nie możemy już dłużej czekać. Stary usmaży sobie moje jaja na śniadanie, jeśli się nie pospieszymy. Co takiego chciałeś powiedzieć?

- Kiedy?

- Przed chwilą. Kiedy ci przerwałem.

- Tylko tyle, że to dobre miasto. Będzie w sam raz. - Powoli wyrecytował: - Wyluzuj, chłopie.

- Ha, ha.

- A teraz przez chwilę będę poważny - ostrzegł go Pellam.

- Zamieniam się w słuch, skarbie.

- Ten scenariusz. Nie będziesz zadowolony, ale przerobiłem to i owo i...

- Nie mówię tak, nie mówię nie, nic nie mówię.

- Ta fabuła wymaga poprawek.

- Zapomnij o nich. Lefty urwie także tobie jaja, jeśli tylko mu o tym wspomnisz.

Pellam przypomniał sobie inny hollywoodyzm. - No wiesz, ten tekst jest dobry, ale nie genialny.

- Ale to jest tekst Lefliowitza.

- Twoja strata - mruknął Pellam.

- Nie, mój tyłek.

- Okej, przynajmniej próbowałem... Aha, zanim się rozłączę, powinienem wspomnieć, że...

- Co? Macie jakiś problem?

- Nie, w zasadzie to nie jest żaden problem. Po prostu znalezienie lotniska okazało się trudniejsze, niż przypuszczaliśmy.

- Lotni...

- Dlatego Marty i ja lecimy jutro do Londynu. Na piątą będziemy w Dover.

- W Dover?

- Czasu londyńskiego.

- O jakim ty lotnisku mówisz?

- No wiesz, tym do sceny ze spadochroniarzem...

- John, kawał drania z ciebie, wiesz o tym? - Asystent kierownika odłożył słuchawkę.

Pellam wrócił do Marty'ego.

- Kompletny brak poczucia humoru - stwierdził.

Marty znowu zabrał się za ciasto.

Pół godziny później deszcz zmienił się w lekką mgiełkę i burza minęła. Kobieta w babcinej sukience, rzuciwszy Pellamowi jeszcze kilka tęsknych spojrzeń, wróciła do kieratu -

tak to ujęła, zwracając się do kelnerki, która sama była bardzo zajęta adorowaniem Marty'ego.

- Ruszajmy - powiedział Pellam. I obaj podnieśli się.

- Do widzenia! - zawołała dziewczyna.

- Do miłego - odparł Marty. - Dzięki za pierwszorzędną obsługę.

- Polecam się - odpowiedziała.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi baru, Pellam szepnął:

- Polecam się o każdej porze, gdziekolwiek i jak tylko będziesz chciał, kochasiu.

- Pellam, to nie moja wina, że taki ze mnie ogier.

- Leci na ciebie, chłoptasiu. Chce, żebyś został ojcem jej dzieci. Całego tuzina. Popatrz no tylko

na siebie, różowe policzki, słodki jak cukierek. O, dzisiaj na pewno jej się przyśnisz.

- Odczep się, Pellam.

- A może - ciągnął z powagą Pellam - może powinieneś zapuścić tutaj korzenie?

Otworzyć warsztat samochodowy na licencji, chować przerzedzone włosy pod czapkę z daszkiem, kibicować Łosiom...

- I kto to mówi, staruszk. Ta babka, co na ciebie filowała, była bardzo podobna do mojej mamusi.

- Takie są najbardziej doświadczone.

- Takie...

Marty i Pellam zatrzymali się w pół kroku, jakieś sześć metrów od samochodu.

- Jezu - jęknął Marty. - Zaraz. Co to ma być?

Pellam zdziwił się, że chłopak nie widzi tego samego co on, ale przyszło mu do głowy, że to trochę jak ze złudzeniami optycznymi przedstawianymi w szkolnych podręcznikach - jedni od razu widzą, co jest na obrazku, a innym trzeba wszystko tłumaczyć.

Dla Pellama ten akurat obrazek był całkiem czytelny. Na boku ich przyczepy, namalowane czarnym sprayem, widniały rysunki dwóch usypanych grobów z wetkniętymi w nie krzyżami. Poniżej ktoś znowu nabazgrał to samo słowo: Żegnamy.

- O kurde - szepnął Marty, kiedy wreszcie dotarło do niego, na co właściwie patrzy. - Cholera.

Zbliżyli się do samochodu i obeszl go, spodziewając się zobaczyć inne zniszczenia, ale nie, nic innego tam nie było - tylko ten rysunek. Rozejrzeli się po ulicy. Ani żywej duszy.

- Kto to zrobił? Gówniarze, których wcześniej widzieliśmy?

- Może - odparł Pellam.

Stali przez chwilę, przyglądając się niestarannym, miękkim liniom kiepskiego rysunku. Potem Pellam zaczął iść w górę Main Street.

- Dokąd idziesz? - spytał go Marty.

- Kupić trochę terpentyny i druciak. Nie możemy jeździć po okolicy, wyglądając jak reklama domu pogrzebowego.

- Mogli chyba wyłożyć na to parę dolarów więcej. Jeśli to ma coś sobą reprezentować, powinno mieć trochę klasy - powiedział Pellam do Janine, kobiety w babcinej sukience.

Przyglądał się niewielkiej, pomalowanej na czarno armacie, ofiarowanej miasteczku przez Stowarzyszenie Weteranów Zamorskich Wojen. Wyglądała na taką, która nie wystrzeli pocisku na odległość większą niż trzy metry. Siedzieli na głównym placu, w miejscu, gdzie wcześniej siedział sam, opisując odbitki, do momentu, gdy ona nie minęła go i jakby od niechcenia nie przysiadła na sąsiedniej ławce. Poczł zapach mięty - piła ją poprzedniego dnia w barze „U Marge” - a kiedy podniósł głowę i spojrzął na nią, uśmiechnęła się.

Przysunął się więc o metr bliżej, szurając spodniami po nierównym drewnie i zagaił rozmowę.

- Może jest bardzo cenna - odparła Janine. - Pozory mylą.

Jej dzisiejszy strój podobał się Pellamowi bardziej niż to, co miała na sobie wczoraj: długa spódnica, półbuty, obszerny, grubo dziergany sweter. Włosy - w słońcu widać było rudawe pasma - znowu miała uczesane z przedziałką pośrodku głowy. Musiała mieć co najmniej czterdziestkę na karku i z bliska wyglądała na starszą, chociaż pewnie nie była. Coś takiego często zdarza się tym biednym dzieciom-kwiatom; może i są bardziej sprawni fizycznie i dłużej żyją, ale zbyt dużo słońca i świeżego powietrza wyrządza nieodwracalne szkody ich skórze.

- A gdzie jest twój młodszy kolega, ten ze ślicznym, wąskim tyłeczkiem, ten, który jest rok czy dwa poniżej mojej dolnej granicy?

Pożyczył wóz i pojechał w teren rozejrzeć się po tutejszych parkach. Zostało nam do zrobienia sporo scen, więc postanowiliśmy się rozdzielić.

- Dla jakiej wytwórni pracujecie? - zapytała.

- Nazywa się Big Mountain Studios.

- Czy to nie oni zrobili „Nocnych graczy”? I „Wiry Gangesu”... Och, to był świetny film. Byłeś przy tej okazji w Indiach?

Pellam pokręcił przecząco głową.

- Ojej, a znasz Williama Hurta? Spotkałeś go kiedyś?

- Widziałem go raz w restauracji.

- A Willema Dafoe? Glenn Close?

- Nie i drugie nie. - Pellam taksował wzrokiem centrum miasteczka, drgające od upału.

Jedenasta rano. Od wczoraj temperatura wzrosła o ponad sześć stopni. Babie lato.

- To opowiedz mi o filmie, nad którym teraz pracujecie.

- Nie lubimy zdradzać zbyt wielu sekretów.

- Szturchnęła go żartobliwie w ramię. - Słucham? Czy ja się nie mylę? Bierzesz mnie za szpiega? Myślisz, że pobiegnę sprzedać waszą historię MGM?

Pellam odparł:

- Będzie zatytułowany „Zasnąć w płytkim grobie”.

- Ekstra. Świetny tytuł. Kto w nim zagra?

- Obsada nie jest jeszcze skompletowana. - Dokumentaliście nie wypadało ujawniać zbyt wielu szczegółów.

- Żachnęła się. - Ejże. Nie wierzę. - Mówiąc to, przechyliła kokietyjnie głowę, a włosy opadły

jej prosto na twarz, tak że widać było tylko oczy. Wyglądała jak jakaś zakwefiona muzulmanka. - Nie bądź taki, powiedz mi cokolwiek.

- Mamy kilku aktorów drugoplanowych, których na pewno nie znasz. - Pellam pociągnął łyk kawy.

Tacy jak ona przepadali za szczegółami. Kto w Hollywood ma jakie fanaberie. Która aktorka zrobiła sobie implanty. Kto bije żonę. Albo męża. Kto woli chłopców. Kto urządza orgie w Beverly Hills.

Niektórych interesowały nawet filmy jako takie.

Odpowiedział:

- To historia kobiety, która wraca do rodzinnego miasteczka na pogrzeb ojca. Ale okazuje się, że ten, którego uważała za swojego ojca, mógł wcale nim nie być, więcej, prawdopodobnie zabił mężczyznę, który był jej prawdziwym ojcem. Akcja toczy się w latach pięćdziesiątych, w niewielkim miasteczku, które nazywa się Bolt's Crossing.

Wstał. Kobieta patrzyła, jak wrzuca papierowy kubek po kawie do kosza na śmieci pomalowanego w tulipany, po czym odezwała się krytycznie:

- Za dużo pijesz tego świństwa. Tej kofeiny. Fuj. Nie masz kłopotów z zasypianiem?

- Na cmentarz to którą? Chcę pstryknąć jeszcze kilka planów.

- Czego...?

- Zdjęć.

- Chodź za mną.

Zawrócili na wschód. Gdy szli ulicą, Janine poprosiła:

- Powiedz mi coś więcej o tym waszym filmie.

- Na razie to wszystko.

Wyduła swoje pełne wargi, nadąsana.

- Nie będę chciała być twoim przewodnikiem, jeśli nie będziesz dla mnie miły.

- Och, ależ ja potrzebuję przewodnika. Bez niego nigdy nie trafię z powrotem do cywilizacji.

Na jej twarzy pojawił się dramatyczny grymas. Zatoczyła ramieniem krąg wokół centrum miasteczka.

- Masz pecha, kolego. To jest cała cywilizacja. Lepiej już nie będzie.

Maszerowali przez pół godziny, zanim znaleźli się na cmentarzu.

Reakcja Pellama była taka sama jak tego dnia, kiedy przyjechali do Cleary - w dniu, w którym Marty wypatrzył cmentarz z autostrady; Pellam uznał, że miejsce to idealnie nadaje się do filmu. Wysokie, ciemne drzewa okalały niewielką polanę, na której zniszczone kamienie nagrobne pochylały się pod oryginalnymi kątami. Żadnych wielkich pomników, żadnych grobowców. Tylko kawałki kamieni wynurzające się niespodziewanie z lasu.

Pellam wyciągnął z kieszeni aparat, zrobił trzy czy cztery zdjęcia. Cmentarz spowijało dziwne, przytłumione światło, które zdawało się wypływać wprost spod brzucha niskich, strzępiastych chmur. Światło to wydobywało kontrasty: kora drzew była ciemniejsza niż ta widziana w ostrym słońcu, źdźbła trawy i łodygi trojeści wydawały się bledsze, a kamienie bardziej pobielale - białe jak wiekowe kości. Wiele nagrobków zniszczyła erozja. Pellam i Janine przedzierali się przez wysoką trawę w stronę lasu. Zardzewiały drut kolczasty, rozciągnięty szerokimi, naprężonymi pasmami wzdłuż ogrodzenia, oddzielał cmentarz od leśnego poszycia.

- Zaraz, zaraz... Co to tam było?

Pellam zatrzymał się gwałtownie i utkwiał wzrok w ścianie lasu. Był pewien, że ktoś go obserwuje, ale gdy tylko zrobił krok w tamtym kierunku, podglądacz - o ile w ogóle istniał - rozpląnął się w powietrzu.

Janine odezwała się:

- Powiem tak: jeśli okaże się, że w tym filmie gra Redford albo Newman, a ty nic mi nie powiedziałaś, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

- Nie gra.

- Dwanaście razy widziałam „Butcha Cassidy”. A „Let It Be” tylko osiem.

- Byłaś na Woodstock? Uśmiechnęła się, zaskoczona.

- Tak, a ty?

- Nie. Ale chciałem być. Powiedz mi coś o tym cmentarzu.

- A o czym tu mówić? Chowali tu zmarłych.

- Jakich zmarłych? Bogatych, biednych, przemysłowców, farmerów?

Wyglądało na to, że nie bardzo rozumie, o co mu właściwie chodzi.

- Chodzi ci o to, co ten cmentarz mówi o historii naszego miasta?

Pellam przyjrzał się jednemu z nagrobków. Adam Gottlieb 1846-1899 Żeglarz na Twoim morzu, Panie.

- I nie dożegłował do naszego wieku. Cholera - mruknął. - Tak, o to mi z grubsza chodzi. O historię tego miejsca, o jego atmosferę.

Roztańczonym krokiem przeskoczyła jakiś grób, beztroska jak mała dziewczynka.

- Wyobrazasz sobie, jak sto lat temu wyglądało Cleary? Pewnie nie mieszkało tu więcej jak góra pięćset, sześćset osób.

Pellam zrobił jeszcze kilka zdjęć swoim Polaroidem.

Janine wzięła go pod rękę. Poczł ciężar jej piersi na swoim łokciu. Był ciekaw, jak wyglądają. Czy są obsypane piegami? Pellam bardzo lubił piegi.

Przez kilka minut spacerowali. Nagle Pellam zauważył:

- Nie widzę tu żadnych świeżych nagrobków.

- To źle?

- Nie, po prostu jestem ciekaw.

- Janine odpowiedziała:

- Za miastem jest nowy cmentarz. Ale to nie jest odpowiedź na twoje pytanie.

Odpowiedzią jest to, że w Cleary ludzie nie umierają. I tak są już martwi...

Spoważniała teraz i zaczęła skubać brzeg papierowego kubka z herbatą.

- Najpierw muszę ci coś powiedzieć. W pewnym sensie mam męża. - Podniosła wzrok na Pellama. - Ale jesteśmy w separacji. Nadal się przyjaźnimy, mój stary i ja, ale nie w sensie fizycznym, rozumiesz? On mieszka teraz z jakąś lalą, która prowadzi warsztat motocyklowy niedaleko Fishkill. Też rozstała się z mężem. On wraca od czasu do czasu, ale głównie go nie ma...

Pellam usiłował jakoś się w tym wszystkim połapać. Było dwóch mężów, tak? I jeden z nich co jakiś czas wracał. Tylko do kogo?

Janine mówiła dalej:

- Po prostu chciałam, żeby wszystko było jasne. Na wypadek, gdybyś coś od kogoś usłyszał... Sam wiesz, jak to jest. - Patrzyła teraz prosto na niego. Poczł na sobie ciężar jej spojrzenia - równie ciężkiego jak jej piersi. Powinien coś odpowiedzieć.



- Jasne - rzucił.

Wyglądało na to, że to ją zadowoliło. Kopnęła kilka liści. Pellam miał nadzieję, że nie zechce go nimi obrzucać. Nie ma nic gorszego, niż ktoś, kto wchodząc w wiek średni, zaczyna się zachowywać jak nastolatek.

- Opowiedz mi o Hollywood. Musicie tam nieźle balować, co?

- Rzadko bywam w Hollywood.

- To nie tam jest ta wasza wytwórnia?

- W Century City.

- A gdzie to jest?

- To kompleks budynków. Dawniej były tam studia wytwórni Twentieth Century Fox.

- Co ty powiesz! Super.

Wrócili piechotą na miejski plac. Pellam założył nową kliszę do aparatu. Rozejrzył się. Z okolicznych okien obserwowały go rozmaite twarze. Gdy podniósł głowę, wszyscy szybko odwrócili wzrok. Jakaś kobieta przeszła obok, prowadząc za rękę sześciolletnią córeczkę, którą popchnęła w jego stronę. - To jest Josey - powiedziała. Pellam uśmiechnął się do dziecka i poszedł dalej.

Wieść rozniosła się już po wszystkich zakątkach Cleary. Ktoś nakręci w miasteczku film! Mieszkańcy widzieli już na swoich ulicach Davida Lyncha, Lawrence'a Kasdana, Toma Cruise'a, Meryl Streep, Julię Roberts. Obsada będzie liczyła tysiące ludzi. Na pewno potrzebni będą statyści. I kaskaderzy. Będzie przepustka do Hollywood. Umowy związkowe.

Kto żyw niech spiesz się po swoje piętnaście minut sławy.

Żadna z obserwujących go osób nie poprosiła go jak dotąd o rolę w filmie, ale wokół

Pellama toczył się niemy casting. Kandydatów było do diabła i trochę.

- Jakie rozrywki mają tutejsi mieszkańcy - zapytał - kiedy nie usiłują akurat załapać się do filmu?

- Uwielbiamy zdierać skórę z turystów. Zostaniecie tu do soboty?

- Może.

- No, to wtedy sam zobaczysz. Mamy sezon na liście. Setki samochodów, a wszyscy wpatrzeni w te nasze drzewa jak w obrazek. Zupełnie zwariowali na ich punkcie. Zostawiają tutaj niezłą kasę. Przez kilka lat prowadziłam herbaciarnię, zanim rozkręciłam ten interes z biżuterią. Płacili po dwa dolary za babeczkę. Muffiny z posypką szły po dwa piętnaście...

Nikommu nawet powieka nie drgnęła.

- A co robicie, kiedy nie zdieracie skóry z turystów?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Prowadzimy życie towarzyskie. Razem z przyjaciółmi spotykamy się u kogoś w domu. Gramy w karty albo w Monopoly. Często wypożyczamy filmy. Mamy karnawał, parady, zjazdy Kół Młodych Farmerów. Swojska, prowincjonalna Ameryka. Jeśli chodzi o robotników - często myślę klasami, byłam kiedyś marksistką - mamy tutaj raczej takie atrakcje jak wychowywanie dzieci, spotkania członków Kiwanis<sup>1</sup>, naleśniki na śniadanie, polowania na indyki, niedzielne msze w jednym z kościołów licznych wyznań protestanckich.

Jesteśmy jednak bardzo tolerancyjni - obie żydowskie rodziny w naszym miasteczku są bardzo lubiane.

Przez kolejnych kilka minut spacerowali w milczeniu. Pellam zerkał na kobietę; sprawiała wrażenie bardzo zaabsorbowanej, usiłowała wymyślić coś na podsumowanie.

- Trudno się tutaj żyje komuś, kto jest samotny.

Pellam rozważał to przez moment w pełnej skrzepowania ciszy, po czym odezwał się:

- Nasz film pokazuje też ciemną stronę takich miejsc jak to. Przemoc w małym miasteczku. Zdarza się i u was?

- Och, tak. Dużo domowych kłótni. W ubiegłym roku facet złapał strzelbę i zastrzelił całą rodzinę. Znaleźli go potem w domu, oglądającego „Koło fortuny”, a wokół niego leżały martwe ciała. Jakiś czas temu policja znalazła też dwóch gości z Nowego Jorku zamordowanych niedaleko od centrum.

- Co się stało?

- Nic nie wiadomo na pewno. To byli zwykli biznesmeni. Wyglądało to na rabunek, ale czy to wiadomo? Poza tym jak wszędzie zdarzają się u nas utonięcia, kraksy samochodowe, wypadki na polowaniu. Sporo tutaj tego.

Pellam zrobił jeszcze kilka zdjęć.

1 Światowa organizacja zrzeszająca ochotników, zabiegająca o poprawę życia dzieci i lokalnych wspólnot.

- Popatrz tylko, żeby taką ulicę nazwać Main Street<sup>2</sup>. Rewelacja!

- Faktycznie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Człowiek widzi tylko czubek własnego nosa.

Pellam przystanął i spojrzał przez ulicę na witrynę agencji nieruchomości Dutchess Realty Company. Światło poranka padało wprost na szybę, a jemu wydało się, że ktoś jeszcze mu się przygląda, kobieta z jasnymi włosami. Nie przypominała jednak pozostałych suplikantów; w spojrzeniu, jakim go mierzyła, było coś niepokojącego, jakieś napięcie.

Po namyśle stwierdził, że zwyczajnie zaczyna popadać w paranoję. Żegnamy...

Odwrócił wzrok, po czym popatrzył znowu. Obserwująca go blondynka zniknęła.

Podobnie jak wymaginowany podglądacz w lesie przylegającym do cmentarza. Być może wymaginowany.

Janine odezwała się:

- Muszę teraz otworzyć sklep, ale mogę ci kiedyś pokazać jedyny budynek, który przetrwał Wielki Pożar z 1912 roku. Jeśli oczywiście chcesz.

- Chętnie go obejrzę.

- Mówisz serio?

- Jasne - odparł Pellam.

- Nie, podzielimy robaka na pół...

Pellam szedł jedną z bocznych uliczek Cleary. W dłoni trzymał scenariusz w czerwonych okładkach. Robił notatki, pstrykał zdjęcia.

Nie, John, poważnie... Nalegam.

Myślał o meksykańskim zleceniu z ubiegłego miesiąca.

Wspólnie z Martym odkryli fantastyczną dżunglę tuż za Puerto Vallarta i po rozpoczęciu właściwych zdjęć zabawili dłużej na planie, popijając mezc<sup>3</sup> z ekipą filmową i przyglądając się, jak reżyser marnuje ponad dwadzieścia cztery tysiące metrów taśmy (zdjęcia kręcono przez specjalny filtr, żeby miały przydymiony, miękki klimat reklamówek Nike albo IBM). Fabuła dotyczyła jakichś fałszerzy, szwajcarskich biznesmenów i chudych brunetek, które przypominały Pellamowi Trudie, kobietę, z którą spotykał się od czasu do czasu w Los Angeles. (Cholera, znowu zapomniał do niej zadzwonić. A minęło już pięć dni. Muszę do niej zadzwonić. Zrobię to. Na pewno).

W Meksyku Marty spędzał czas, zerkając przez ramię pierwszemu operatorowi -

2 Główna ulica miasta

3 Meksykański alkohol z agawy.

chłopak sam chciał zostać kiedyś operatorem kamery.

Pellam był w swoim życiu na wielu planach zdjęciowych - zbyt wielu, jak stwierdził

przed laty - więc najczęściej przesiadywał w jedynym barze w miasteczku, który tym razem nie był pełen statystów wyglądających, jakby wzięto ich żywcem z pierwszych scen filmu

„Skarb Sierra Madre”, lecz przypominających bardziej amerykańskich mieszcuchów na wczasach. Siedem noclegów, sześć dni wypoczynku. Pellam unikał ich jak miejscowej wody i spędzał całe dni w towarzystwie głównego oświetleniowca, starszego brodatego gościa, mającego w życiu dwie namiętności: jedną z nich były zabytkowe generatory prądu, drugą - wychudzone brunetki.

Pellam dzielił z nim tę ostatnią pasję - tylko pasję, a nie młode, wysportowane ciała, jako że sam należał do kasty zwykłych najemników. Cóż, jakaś młodziutka szelma z garderoby lub charakteryzatorki mogłaby uszczęśliwić Pellama swoimi wdziękami, ale każda kobieta, której nazwisko widniało na kontrakcie amerykańskiej Gildii Aktorów Filmowych, była poza zasięgiem takich jak oni - dokumentalistów czy elektryków.

W ciągu dwóch tygodni opróżniali wspólnie butelkę za butelką tłustawego trunku, w którym, niczym astronauta w przestrzeni kosmicznej, unosiły się robaki żerujące na liściach agawy. Zjadali je na zmianę, a ostatniego przecinali scyzorykiem Pellama i wrzucali po połowce do ostatniego kieliszka ziarnistego, przydymionego alkoholu. Oświetleniowiec zaklinał się, że napój ten ma halucynogenne działanie i zanim wychylił kolejny kieliszek, mamrotał nad nim jakieś abrakadabra.

Pellam mówił mu, że ma nierówno pod sufitem, bo sam czuł się tylko koszmarnie pijany.

Film był do bani, ale Pellam i tak świetnie się bawił. Do licha, byli w Meksyku. Czego można chcieć więcej? W finałowych scenach (w finałowych scenach? - do diabła, raczej w całym filmie) było więcej eksplozji i strzałów z broni maszynowej niż przyzwoitego aktorstwa, jednak Pellam z przyjemnością przyglądał się, jak poziom alkoholu w butelkach obniża się coraz bardziej, odsłaniając tłuste robaki i nasłuchiwał dobiegających z planu wybuchów, które w rzeczywistości były o wiele cichsze niż te, które słyhać w filmie po ostatecznym montażu, po dodaniu efektów dźwiękowych.

Bum, bum, bum.

W końcu jednak w raję powiało nudą i Pellam, który może rzadko się uśmiechał i którego oczy nie otwierały się tak szeroko jak oczy Marty'ego, ale który uwielbiał psikusy, wpadł na kilka naprawdę niezłych pomysłów. Podczas tego wypadu do Meksyku maksymalnie wykorzystał wypchane helodermy arizońskie i grzechotniki z lateksu. Ale najlepszy numer wyciął wtedy, gdy namówił kaskadera, żeby zawisł głową w dół w pokoju hotelowym reżysera, mając stopy w butach przymocowanych do sufitu. Kiedy reżyser, nawalony po jakiejś wyjątkowo mocnej trawie, wrócił do pokoju, kaskader krzyknął do niego:

- Rany boskie, człowieku, chodzisz po pieprzonym suficie! Jak ty to robisz? - Reżyser zagapił

się na niego ciężko zszokowany, skamieniały jak James Arness w wielkiej bryle lodu w tym filmie „Coś”. Kaskader zaś prawie stracił przytomność ze śmiechu i na skutek napływu krwi do mózgu. Pellam sfilmował całość kamerą wideo i zamierzał wysłać taśmę wybranym znajomym jako prezent na Boże Narodzenie.

Pellam mógł sobie na wiele pozwolić. Wyszukiwanie obiektów zdjęciowych w plenerze tak się ma do przemysłu filmowego jak Szwajcaria do wojny. Bez względu na to, jakie kataklizmy, zdrady i zwycięstwa mają miejsce w salach posiedzeń wielkich producentów, na planach zdjęciowych i w łóżkach kierowników castingów, nikt nie wypowiada się źle na temat dokumentalistów. Producenci to złodzieje, aktorzy są zbzikowani, operatorzy to artistes, a ci ze związków uprawiają partyzantkę. Wszyscy zaś jak leci nienawidzą scenarzystów.

Ale dokumentaliści to kowboje.

Robią swoje i już ich nie ma.

Albo tak, albo: siedzą z boku, popijają mezczał, podrywają sekretarki planu i próbują podrywać aktorki i dopiero potem znikają. Po chwili nikt już o nich nie pamięta. Pellam miał się w swoim życiu różnych zajęć związanych z filmem (tych niezwiązanych z filmem w ogóle się nie tykał), ale wyszukiwanie plenerów było jedyną robotą, w której utrzymał się dłużej niż kilka lat.

Miesiąc temu Meksyk. W przyszłym tygodniu Georgia.

A teraz Cleary, stan Nowy Jork. Z jasnowłosym Martym o gładkich policzkach i buźce słodkiej jak cukierek. Z biuściastą była hipiską. Z setkami błyszczących polaroidowych zdjęć.

Z cmentarzem.

Z ludźmi, którzy nie byli zbyt zadowoleni z tego, że pojawił się w ich miasteczku.

Żegnamy...

Pellam zatrzymał się na wąskiej uliczce prowadzącej w kierunku czegoś, co wyglądało jak park miejski. Równie dobrze mogła to być prywatna posiadłość; działki budowlane w Cleary były naprawdę ogromne. Pomyślał o swojej posesji w Beverly Glen, której powierzchnię dałoby się zmierzyć szybko, uzyskując wynik daleki od imponującego. Pellam przystanął i patrzył na rozciągającą się przed nim posiadłość, na olbrzymi, niebieski jak jajo drozda dom w stylu kolonialnym, przed którym rozpościerał się zadbane trawnik. A więc to jednak nie był park, tylko rezydencja. I była na sprzedaż. W ogrodzie przed domem ktoś postawił tablicę informacyjną.

Pellam zastanawiał się, jak to jest mieć taki duży dom w takim małym miasteczku.

Policzył okna. Musiało tu być ze sześć czy siedem sypialni. Pellam nawet nie znał pięciu osób, które mógłby gościć w takim domu. A przynajmniej nie jednocześnie.

Ruszył w jego stronę przez ulicę. Ciekawe, ile taki dom może kosztować?

I jak wygląda ogród na jego tyłach? Nie zdążył tego sprawdzić.

Był na środku ulicy, gdy zza wzgórza wypadł nieduży, szary samochód. Jego opony zabuksowały na liściach śliskich jak plama rozlanego oleju i wóz wpadł w ostry poślizg.

Pellam usiłował umknąć mu sprzed maski, ale jakiś element karoserii - dźwięczący kawałek blachy - trafił go prosto w udo.

John Pellam ujrzał przed sobą:

Morze liści, głównie żółtych, wznoszących się nagle ku niebu. Błysk słońca na szybie.

Porwany przez tornado ogromny dąb zawirował, a niebieski dom przewrócił się do góry nogami. Potem ktoś cisnął w niego krawężnikiem i wszystko rozpląnęło się w powodzi brudnego światła.

Skąd się wzięła ta blizna?

Pellam otworzył oczy, myśląc jedynie o tym, jak bardzo chce mu się rzygać.

Powiedział to zresztą stojącemu nad nim mężczyźnie w białym fartuchu, muskularnemu gościowi po czterdziestce. Lekarz odparł, że to normalne i w tej samej chwili Pellam przystąpił do działania.

Podstawiono mu na czas basen i gdy Pellam zapełniał go zawartością swojego żołądka, lekarz spokojnie kontynuował swój monolog:

- Kiedy człowiek odzyskuje przytomność po wstrząśnieniu mózgu, zawsze obserwuje się u niego wymioty. I nie mówię tu o zwykłym ogłuszeniu, ale o prawdziwym nokaucie. No cóż, to zupełnie normalna reakcja...

Wyglądał jak weterynarz, do którego Pellam zabrał kiedyś psa. Chyba dużego pudła, pomyślał, ale nie był w stu procentach pewien. Lubił duże pudle, ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek miał takiego na własność. Zdenerwowało go to, że nie pamięta. Może doznał amnezji. Albo uszkodzenia mózgu.

Jęknął. Po tych zupełnie normalnych wymiotach poczuł, że obolały żołądek i piekący przełyk dołączają do wymyślnego zestawu tortur, jakie serwowała mu jego pulsująca z bólu głowa - wydawało mu się, że ma tam wielki balon, który będzie rósł tak długo, aż rozsadzi kości czaszki i wtedy ciśnienie ujdzie z niej niczym para z pękniętej rury.

Nabrał wody do ust, przepłukał i wypluł do basenu. W gabinecie nie było pielęgniarki, więc lekarz sam wyniósł ten basen. Wrócił z czystym naczyniem, które postawił na stoliku obok Pellama.

Nie, to nie był pudel, tylko terier. Jeden z tych należących do Trudie, jak mu się wydawało (Trudie, Trudie... Czy w końcu do niej zadzwonił?).

- To by chyba było na tyle - oświadczył lekarz, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Pellam postanowił więc sam się przebadać. Pod niebieskim fartuchem do badania miał tylko bokserki. Uniósł prześcieradło i po kolei skontrolował wszystkie części ciała, zaczynając od góry. Jedynym śladem po wypadku, poza bandażem, który miał na głowie, był siniec na udzie wielkości i barwy bakłażana-mutanta.

- Na pana miejscu nie piłbym nic przez jakiś czas - poradził lekarz.

Pellam odparł, że nie będzie pił. Potem dodał:

- Zostałem potrącony przez samochód. - Był rozczarowany, że to jedyna ważna rzecz, jaką miał w tej chwili do powiedzenia.

Lekarz mruknął:

- Aha. - Wyraźnie interesowała go blizna. Długie na trzydzieści centymetrów zagłębienie wypełnione połyskliwym, nieregularnym naskórkiem, biegnące przez prawy biceps i klatkę piersiową Pellama. Pamiętka po tym, jak w trakcie kręcenia sceny pościgu samochodowego spec od materiałów wybuchowych źle zrozumiał instrukcje dotyczące ładunku i zamiast prochu bezdymnego użył dynamitu do wysadzenia oldsmobila, którego prowadził Pellam. Kiedy samochód eksplodował, prawie półmetrowy kawałek karoserii wbił

się Pellamowi w pierś. Sanitariusz powiedział mu potem, że gdyby blacha przeszła na wylot, przygwoździłaby go do muru. „Jak pieczone prosię, Pellam. Ty cholerny farciarzu...”

- Pracowałem kiedyś trochę jako kaskader - wyjaśnił lekarzowi.

- A, to pan jest tym filmowcem, tak?

Pellam przyjrzał mu się uważnie. Facet naprawdę wyglądał na takiego, który powinien leczyć kudłate teriery i pudle albo ratować padające krowy.

- Tak, to ja jestem tym filmowcem.

- Mam nadzieję, że nie zajmuje się już pan kaskaderką.

- Życie jest wystarczająco ciekawe.

- Racja - odparł lekarz.

- A co mi dolega?

- Nic poważnego - odparł lekarz. - Wstrząśnienie mózgu, ale żadnych pęknięć. Dobrze się pan przewrócił - pewnie dlatego, że był pan kaskaderem. Otarcie na głowie jest dość rozległe, łatwo może dojść do infekcji, więc lepiej niech pan na to uważa. Dam panu trochę betadyny.

- Czy jestem w szpitalu?

Lekarz roześmiał się.

- Poza moim gabinetem jest tu jeszcze tylko laboratorium fotograficzne, pedikiurzystka i poradnia ginekologiczna. Jeśli to ma być szpital, to chyba Cleary General.

- A mogę już stąd iść?

- Nie. Będzie pan musiał zostać na noc. Przez pewien czas będzie miał pan silne zawroty głowy. Nie chciałbym, żeby się pan przewrócił. Mam tutaj mnóstwo czasopism.

„Reader's Digest”, kilka egzemplarzy „National Geographic”. Same interesujące rzeczy. Jest też Biblia, gdyby był pan zainteresowany.

- Muszę jednak kogoś zawiadomić.

- W poczekalni jest telefon. Mogę zadzwonić w pana imieniu. Jeśli...

- Nie, nie chodzi o telefon. Ktoś będzie na mnie czekał w moim wozie kempingowym.

Stoi zaparkowany na Main Street. - Pellam powiedział lekarzowi, że Marty powinien wrócić około szóstej.

Lekarz odparł:

- Mój syn pracuje w pobliskiej fabryce kombajnów. Jest tam kierownikiem. Może zrobić sobie przerwę i zostawić wiadomość za wycieraczką pańskiego wozu.

- Będę bardzo wdzięczny.

Pellam zobaczył, że lekarz bierze z nocnego stolika niedużą kartę pacjenta i coś w niej zapisuje.

- Kto to był? Kto na mnie najechał? Lekarz nie przestawał pisać.

Pellam pomyślał, że może kierowca uciekł z miejsca wypadku. Ciekawiło go, kto to był - pewnie jakiś gówniarz, który chciał się popisać.

Zastanawiało go też, czy to rzeczywiście był wypadek.

Przypomniał sobie graffiti przedstawiające dwa krzyże na boku przyczepy.

Przypomniał sobie to słowo: żegnamy...

Może powinien był zawiadomić szeryfa. Tak byłoby najrozsądniej...

Lekarz spojrział na niego.

- Ona czeka na zewnątrz.

- Co?

- Jest tutaj. Czeka, żeby się z panem zobaczyć.

- Kto? - spytał Pellam. (Czy on mówił o Trudie? Cholera, mam nadzieję, że do niej zadzwoniłem).

- Kierowca samochodu. Ta kobieta, która pana potrąciła.

- Och - rzucił Pellam. - Czeka z prawnikiem?

- Nie, jest sama.

- Mogę się z nią zobaczyć?

- A chce pan?

- Chyba tak.

- W takim razie bardzo proszę.

W pierwszej chwili Pellam pomyślał, że kobieta jest ładna, ale niepociągająca. Żwawa i zawadiacka, pomyślał rozczarowany. Zupełnie nie w jego typie. Dziewczyna z uśmiechem od ucha do ucha.

Miała około trzydziestu dwóch, trzydziestu trzech lat, ale wyglądała na starszą - być może to jej tapirowane, jasne włosy, zbyt grubo upudrowana, blada twarz i cieliste rajstopy sprawiały, że wyglądała jak własna ciotka. Pellam wyobraził ją sobie jako kandydatkę do tytułu Miss Ameryki, na scenie, z pałeczką w dłoni, którą wyrzucałaby wysoko w górę. Kiedy otworzyła drzwi do pokoju, jej twarz była pozbawiona wyrazu, ale gdy tylko przekroczyła próg, jej usta rozciągnęły się w szerokim, nieśmiałym uśmiechu.

Spodziewał się usłyszeć: „Ojejku, jak się pan czuje?”.

Dziewczyna odezwała się jednak zupełnie innymi słowami.

- Witamy w Cleary - powiedziała niskim, zmysłowym głosem, który spowodował, że Pellam niemal zapomniał o bladej masce pudru pokrywającego jej twarz niczym ciasto naleśnikowe. Kobieta podeszła do łóżka i wyciągnęła do niego rękę.

W tym samym momencie zauważyła bliznę i wzdrygnęła się. Na fasadzie pojawiły się pęknięcia, lecz już po chwili na jej twarz powrócił poczciwy uśmiech.

- Meg Torrens.

- John Pellam.

Zacisnęła usta.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Pellam zaś wiedział, co o tym myśleć. Cholera. Dokonał w myślach szybkiego przeglądu. Pierścionek z oczkiem, który najwyraźniej nie chciał zejść z palca, ślubna obrączka, pierścionek zaręczynowy z wielkim diamentem.

Odpowiedział:

- Nic się nie stało. Zdarza się.

(Miał kiedyś prawnika, byłego hipisa, który bardzo mu pomógł w pewnej sprawie - w chwili kiedy bardzo potrzebował dobrego prawnika. Ów mężczyzna z kucykiem przykładał

wielką wagę do tego, co jego klient mówił publicznie i nieustannie wbijał mu do głowy, że jest całe mnóstwo rzeczy, których nie powinno się mówić ludziom, z którymi możemy spotkać się w sądzie. Pellam zdał sobie teraz sprawę, że prawdopodobnie nie powinien był powiedzieć: „Nic się nie stało”).

Wciąż nie mogła oderwać oczu od jego blizny.

Powiedział:

- To nie pani wina.

Zamrugła oczami.

Dotknął ramienia.

- To nie pani. Pokazałbym siniec, który pani zawdzięczam, ale nie znamy się wystarczająco

długo. Odparła:

- Ta blizna wygląda okropnie.

- Stara sprawa.

- Chyba nie chcę wiedzieć, skąd ją pan ma.

- Prowadziłem starego oldsmobila 88, jednocześnie ostrzeliwując się przez okno z karabinu maszynowego. Ktoś trafił w mój wóz rakieta. Przynajmniej wydaje mi się, że to była rakietka. Pewny nie jestem. Wyleciałem w powietrze.

Wpatrywała się w niego, czekając na słowa prawdy, po czym zaśmiała się uprzejmie; jej śmiech prędko umilkł.

- Z karabinu maszynowego...?

- To chyba był uzi. - Pellam zmarszczył brwi z namysłem. - Chociaż nie, MAC-10.

Skinął głową. Tak, to był MAC-10. I rakietka. I terier, który trochę przypominał pudła.

Jednak nie miał amnezji. Popatrzył na nią. Czy mu się przedstawiła?

- Tak, MAC-10 - powtórzył.

Wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę. Potem podała mu białą plastikową torebkę z uszami.

- Prezent - powiedziała. Miała czerwone policzki, co bardzo mu się spodobało.

Kobiety, które się rumieniły, kręciły go chyba jeszcze bardziej niż te z piegami. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział ładną kobietę, która by się rumieniła. W Los Angeles wszystkie dziewczyny były jak Trudie - genetycznie niezdolne do rumieńców.

Otworzył torebkę. Prezent nie był zapakowany, ale pudełko przewiązane ozdobną wstążką. Nowy aparat Polaroid.

- A co się stało ze starym? - zapytał.

- Chyba trochę się rozbił.

Pellam roześmiał się.

- Nie trzeba było. Firma zwróci mi pieniądze.

Uśmiechnęła się ostrożnie, jakby nie była pewna, czy Pellam ma na myśli jej firmę ubezpieczeniową czy swoją wytwórnię. Oczywiście chodziło mu o studio filmowe, ale zaraz pomyślał, że przecież wszystko i tak pójdzie na jej rachunek: aparat, rachunek za weterynarza plus jakieś drobne odszkodowanie za szkody fizyczne i moralne (siniak wielkości i barwy bakłażana powinien świetnie wyglądać jako dowód w sądzie, a teraz, dzięki nowej zabawce, jaką mu podarowała, miał go czym uwiecznić). Rzucił więc tylko:

- Dzięki.

Obracał w palcach kwadratowy, gładki aparat, niepewny, co jeszcze powiedzieć.

Założył kliszę, po czym nagle podniósł aparat i zrobił jej zdjęcie. Zamrugła powiekami i na chwilę na jej twarzy pojawił się wyraz zdenerwowania, jakby podejrzewała go o gromadzenie dowodów przeciwko sobie. Psstryk. Uwielbiał ten dźwięk.

Patrzył w milczeniu, jak na papierze z wolna pojawia się zdjęcie - trochę zamazane, przekrzywione, blade; miała na nim na wpół przymknięte powieki. Podał jej fotografię.

- Co to...?

Wzruszył ramionami.

- Prezent. Może je pani oprawić.

Przyjrzała się trzymanemu w dłoni kwadracikowi.



- Jest okropne. - Zaraz też włożyła zdjęcie do torebki i spojrzała na ścianę, na tablicę do badania wzroku, która musiała mieć przynajmniej ze trzydzieści albo czterdzieści lat.

Lekko zmrużyła oczy, a on zastanowił się, czy chce przy okazji sprawdzić swoją ostrość widzenia, czy też szacuje wartość tablicy, wyobrażając ją sobie w gustownie wyłożonej boazerią jadalni, którą dzieliła z mężem na tyle bogatym, żeby stać go było na wsunięcie jej na szczupły palec pierścionka z kamieniem wyglądającym jak kuzyn słynnego diamentu Hope<sup>4</sup>.

Nagle zapytała:

- To pan kręci filmy?

- Nie. Ja tylko wyszukuję plenery, które najczęściej nie podobają się wytwórni.

- Zupełnie jak ja - rzuciła. - Pokazuję domy ludziom, którzy ich nie kupują.

- A więc nie była gospodynią domową, tylko businesswoman. Ostrożnie, Pellam.

Prowincjonalna Ameryka nie jest już taka sama, jak wtedy, kiedy z niej uciekałeś. Możesz być protekcjonalny na własne ryzyko.

Kobieta pytała dalej:

4 Największy diament na świecie.

- Jaki to będzie film?

- Pretensjonalny.

- Wytwórnia Big Mountain Studios jest bardzo znana.

- Tak jakby - odparł Pellam. - Skąd pani wie, że to ich film?

- Za szybą pańskiego wozu było pozwolenie. Pańskiej przyczepy kempingowej.

Pellam skinął głową. Był ciekaw kiedy - i z jakiego powodu - zaglądała mu do samochodu.

- A kiedy zaczną się zdjęcia?

- Mniej więcej za trzy tygodnie.

Meg skinęła głową.

- Pewnie mnóstwo ludzi prosi pana o rolę w filmie.

- Owszem, paru się zgłosiło. Wydaje im się, że to będzie wspaniała przygoda. Pani też chciałaby zagrać? Mógłbym...

- Pan proponuje mi rolę? - Aż zamrugowała ze zdziwienia.

Nie lubił kobiet, które nie potrafiły wyczuć, kiedy żartował.

- Każdy chce zagrać w filmie - mruknął Pellam, nie patrząc wprost na nią, lecz studiując jej odbicie w małym, okrągłym lusterku na ścianie. - Każdy chce być bogaty. Każdy chce być wiecznie młody. Każdy chce być szczupły.

Kobieta - Meg, pamiętał, jak ma na imię (MAC-10, rakieta, terier, zadzwonić do Trudie, Meg, Meg, Meg) - przełknęła to, co zamierzała powiedzieć i zamiast tego ni stąd, ni zowąd oświadczyła:

- Ja mam syna. - Wyglądało na to, że słowa te pomogły jej poczuć się swobodniej, wytyczyć jakieś granice. Hej, chłopaki, zabezpieczamy tyły. Pellama zaczynała męczyć ta wizyta. On miał swój prezent, ona swojego syna i gigantyczne diamenty od męża. Chciał, żeby już sobie poszła.

Meg dodała:

- Bardzo chciałby wystąpić w filmie.

- To nie jest dobry pomysł, proszę mi wierzyć - odparł Pellam tonem, który świadczył o tym, że wie, co mówi.

- Sama nie wiem. Bardzo mu się podobała Kalifornia. W ubiegłym roku zwiedzaliśmy Universal Studios. Był zachwycony. Ja zresztą też.

- Universal Studios to nie Hollywood. Chyba że w najbardziej ogólnym sensie.
- A pan ma dzieci? - spytała Meg. Mówiąc to, zerknęła szybko na jego serdeczny palec.
- Nie - odpowiedział.

Chwila milczenia.

- Chyba ciężko byłoby mieć jednocześnie dzieci i pracę taką jak pańska.
- Z pewnością.
- Albo - dorzuciła - mieć żonę.
- Zgadza się.
- Więc nie jest pan żonaty?
- Jestem rozwiedziony.

Meg skinęła głową.

Zastanowił się, czy zamierza zachować tę informację na dłużej, a jeśli tak, to w jakiej przegródce.

- I tak po prostu jeździ pan po kraju i wyszukuje miejsca, gdzie można by kręcić filmy?

Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nikt dotąd nie opisał jego życia w równie treściwy sposób.

- Tak.

Moment głębokiej ciszy.

Meg podała mu kawałek papieru.

- To jest numer mojego agenta ubezpieczeniowego.

Położył kartkę na stoliku przy łóżku, obok basenu.

- Mąż radził, żebym z panem nie rozmawiała... Ale musiałam tutaj zajrzeć.

{John, policja i agencje ubezpieczeniowe rzucą się na twoje słowa jak na cukierki. Ani pary z ust przy tych kanibalach, rozumiesz?}

- Takie rzeczy się zdarzają - powiedział.

- Wpadłam w poślizg na mokrych liściach. Nie spodziewałam się zobaczyć kogoś na środku drogi.

- Pani trochę grała, prawda? - spytał Pellam.

Roześmiała się, zaskoczona.

- Nie, pracowałam jako modelka. Tylko przez rok. Jak się pan domyślił?

- Po pani sposobie bycia... Sam nie wiem. Po prostu przyszło mi to do głowy.

Czuł, że kobieta ma ochotę się rozgadać, ale póki co zachowywała obojętny ton.

- Przez pewien czas mieszkałam na Manhattanie. Próbowałam swoich sił na pokazach mody, ale byłam za niska, żeby dostawać naprawdę dobre kontrakty. Zresztą i tak mi to nie odpowiadało. - Założyła ręce na piersiach i obejrzała się na drzwi. Fakt, że znajdowały się w zasięgu zaledwie kilku metrów, najwyraźniej przyniósł jej ulgę.

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

Bardzo lubię podpytywać miejscowych o okolicę, w której prowadzę dokumentację.

No...

- Miejscowych? - Ze wszystkich sił usiłowała nie marszczyć gniewnie brwi, ale nie do końca jej się to udało.

Pellam odparł:

- Odniosłem wrażenie, że mieszka tu pani wystarczająco długo, żeby przedstawić mi prawdziwy

obraz Cleary.

Na twarzy Meg pojawił się grymas. Jakikolwiek był cel jej odwiedzin - a Pellam nie miał zielonego pojęcia, co mogłoby nim być - najwyraźniej nie został zrealizowany. Jakby na ukryty znak, spojrzała na zegarek.

- Powinam się zbierać. Ktoś zastępuje mnie w biurze.

- Kiedy już stąd wyjdę - jutro mam być warunkowo zwolniony - chciałbym zaprosić panią na lunch.

- Och nie, ja...

- Bez obawy - rzucił Pellam. - Będę na chodzie.

- Hm, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Mam teraz sporo na głowie. Jestem bardzo zajęta.

- To ludzie w Cleary bywają zajęci?

Okej, tym razem troszeczkę przesadził. Zapomniał, że trzeba być bardzo ostrożnym, kiedy żartuje się z ludzi na ich własnym podwórku. Szczególnie, jeśli samemu pochodzi się z miasta tysiąc razy większego niż to, w którym mieszkają. Ale bez przesady - prowincjusze też powinni mieć poczucie humoru.

Najeżyła się.

- Owszem, ludzie w Cleary bywają zajęci. Zdziwiłby się pan, wiedząc, co tutejsi mieszkańcy...

- To świetnie, o to mi właśnie chodziło - oznajmił Pellam. Zmarszczyła brwi.

- Niech pani nie przerywa. Dzięki pani czuję wreszcie atmosferę tego miejsca. Tego właśnie szukałem.

- Powinam już iść.

Odpowiedział:

- Ależ nie, nie powinna pani.

- Zresztą nie jestem stąd. Mieszkam tu zaledwie od...

- Proszę nie mówić, sam zgadnę... - Pellam odczuwał wręcz perwersyjną satysfakcję (do diabła, dlaczego nie? W końcu to ona go potrafiła). - Od dziesięciu lat.

Jej oczy zapłonęły.

- Skąd przypuszczenie, że mieszkam tu aż tak długo?

Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

- Pani makijaż, fryzura, strój...

- Co pan ma przeciwko...? - Mówiła podniesionym głosem, w którym dźwięczało oburzenie.

- Absolutnie nic. Po prostu zadała mi pani pytanie...

- Wszystko jedno. - Meg opuściła ręce i podeszła do drzwi. Pellam zawołał za nią:

- To kiedy możemy się spotkać?

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno słowo. Nigdy. - Przeszła przez próg, z całej siły zaciskając dłoń na klamce. Ostatecznie jednak musiała dojść do wniosku, że nie wypada trzaskać drzwiami w klinice i zamknęła je za sobą delikatnie. Po sekundzie ponownie je otworzyła i powiedziała:

- A tak dla pańskiej wiadomości - mieszkam tutaj od pięciu lat, nie od dziesięciu.

Drzwi znowu się zamknęły, tym razem głośniejsze. No, ona tu jeszcze wróci.

Pellam usłyszał stukot jej niskich obcasów na linoleum, szcęk frontowych drzwi, a potem nic.

Zaraz wróci. Pewnie już tutaj idzie. Dźwięk uruchamianego silnika. Wróci.

Usłyszał chrzęst opon na żwirze, gdy samochód ruszał, a potem odgłosy zmienianych biegów. Cóż, może jednak nie wróci.

Pssttryk.

Marty wepchnął wilgotny jeszcze polaroid do kieszeni i mrużąc oczy, przyjrzał się łysej polanie na szczycie niewysokiej góry po przeciwległej stronie wąwozu. Kwaśne deszcze zniszczyły większość tutejszej roślinności. Kiepsko to wyglądało. Gdy Marty zaczynał naukę w college'u, szkoły oferowały już zajęcia z ekologii. Dzięki temu potrafił rozpoznać skutki kwaśnego deszczu.

Zrobił cztery zdjęcia, ponumerował je i wsunął do kieszeni. Wszyscy znani mu dokumentaliści korzystali z polaroidów, ale Marty, będąc fotografem amatorem, wolałby posługiwać się swoim starym Nikkormatem 35 mm. Wymienne obiektywy - szerokokątny albo teleobiektyw - pozwalały lepiej się zorientować, jak wyglądałaby sceneria i fotografowane obiekty w oku kamery Panaflex. Ale to wytwórnia mu płaciła, a wytwórnia upierała się przy polaroidach. No to dostaną polaroidy.

Marty chciał w przyszłości zostać operatorem. Znał się na kamerach. Lubił pomruk silnika i ciężkie, pachnące olejem części, które tak dobrze do siebie pasowały. Lubił

perfekcyjnie wyprofilowane pierścienie obiektywów marki Schneider, spoczywające w wyłożonych królewskim, błękitnym aksamitem walizkach. Lubił przenośne kamery Arriflex 35 mm, które operatorzy nosili na ramieniu po planie niczym wyrzutnie raketowe. Podobało mu się to automatyczne ustrojstwo do robienia zdjęć z ręki, ze swoim statywem i monitorem kontrolnym.

Wymyślił sobie, że popracuje jeszcze parę lat jako dokumentalista, a potem nadejdzie jego wielka szansa (asystent reżysera zawoła: „Psiakrew, operator zapił! Hej, mały, stań no za kamerą. I... poszła!”) Jednak do tego czasu musi się zadowolić wyszukiwaniem plenerów. Nie powinien narzekać, bo udało mu się trafić pod skrzydła kogoś takiego jak John Pellam. Każdy dzień pracy dla niego pozwalał na zdobycie tylu doświadczeń, co tydzień w branży filmowej.

Marty zaczął schodzić ze wzgórza w kierunku wypożyczonego forda tempo.

Wczuj się w klimat.

Marty bardzo starał się wczuć w klimat. Pellam kazał mu czytać scenariusze raz za razem. Scenariusze to fatalna lektura, ale czytał je mimo to. Potem Pellam odpytywał go z przebiegu fabuły. Mówił, że trzeba wczuć się w jej klimat.

Klimat... to było te dodatkowe dziesięć procent, o których Pellam - przy całej swojej pysze i podejściu zwolnij-mnie-jeśli-chcesz - bez przerwy opowiadał. Dodatkowe dziesięć procent ponad normę, którą zawsze wykonywał. To była najważniejsza lekcja, jakiej John Pellam udzielił Marty'emu.

Dzień robił się upalny. Wyszło słońce. Marty popatrzył na zegarek. Musiał jeszcze wyszukać trzynaście plenerów, ale słońce takie jak to grzech było przegapić. Pora na piwo.

Marty podszedł do bagażnika samochodu i wyjął puszkę Millera. Otworzył ją. Przysiadł na tylnym zderzaku i zaczął kartkować scenariusz „Płytkiego grobu”. Po chwili rozpiął koszulę i wystawił swój opalony, szczupły tors na promienie słoneczne.

Lubił tak siedzieć w słońcu i popijać piwko. Lubił wieś, lubił jasną, suchą trawę, która szeleściła pod jego stopami. W Kalifornii najczęściej zatrzymywał się w mieszkaniu w Van Nuys, ale wolał podróżować, bo w Los Angeles nie zauważało się zmian pór roku. A on uwielbiał jesień. Ciekaw był, czy w Nowym Jorku jest więcej ofert pracy dla operatorów niż w Los Angeles.

Ciekaw był...

Kula trafiła w tył samochodu z głośnym, metalicznym pacnięciem na sekundę przed tym, jak usłyszał huk wystrzału. Marty zeskoczył ze zderzaka, wytrzeszczając oczy, upuszczając scenariusz, aparat i piwo. Ze złotej puszkii wystrzeliła biała, słodowa piana.

- Chryste Panie - szepnął, czując, że przerażenie i ulga jednocześnie odbierają mu władzę w nogach. Jedyne, co mógł zrobić, to patrzeć, z szeroko otwartymi ustami, na dziurę w karoserii i myśleć o historii, którą przeczytał kiedyś w gazecie, historii kobiety, która zginęła od kuli wystrzelonej w odległości wielu kilometrów na jakimś polowaniu.

Nieszczęśliwy wypadek. - Chryste Panie. Pomyślał: gdyby trafiła niecałe półtora metra bardziej w prawo...

Następna kula, której już nie usłyszał, wcale nie trafiła półtora metra bardziej w prawo.

Przebiła bak dokładnie w samym jego środku.

W momencie gdy ognista kula wystrzeliła na jakieś sześć metrów w każdym kierunku, rozległo się potężne „bum”, zupełnie jak na ścieżce dźwiękowej filmu.

Spośród szalejących płomieni słyhać było przeraźliwy krzyk Marty'ego.

A gdy płonący ford zmieniał się z wolna w stertę czarnego metalu, z oddali dobiegło pokrzykiwanie łabędzi i gęsi, które odlatując, unosiły ze sobą mgliste wspomnienie potwornej eksplozji.

Początkowo Pellam pomyślał, że tragiczna wiadomość dotyczy jego samego.

Białaczka. Guz. Ziarnica złośliwa. Przykro mi, proszę pana. Prześwietlenie wykazało coś jeszcze.

Lekarz wolno otworzył drzwi. Pellam spojrział na jego twarz i już wiedział, że stało się coś złego. Facet miał technikę opanowaną do perfekcji. Pellam też się nią kiedyś posługiwał.

Kiedy umarł jego ojciec, wybrano go, żeby przekazał tę wiadomość całemu mnóstwu ludzi.

Nisko spuszczone wzrok i głębokie westchnienia wystarczały jako zapowiedź smutnych wieści. Wyjaśniały wszystko, zanim jeszcze zdążył odezwać się choć słowem. Telepatyczne przekazywanie informacji o tragedii znacznie ułatwiło mu wtedy życie.

Teraz Pellam dojrzał ten sam wyraz w oczach młodego, silnego medyka o wyglądzie weterynarza, który zatrzymał się w drzwiach, spoglądając na Pellama w taki sposób, jakby właśnie był świadkiem ostatnich sekund dobrego zdrowia swojego pacjenta.

- Dobry wieczór panu - odezwał się Pellam.

Wtedy zauważył zastępcę szeryfa, młodego mężczyznę o podobnej do lekarza budowie ciała i twarzy dziecka, ostrzyżonego na jeża i przeleciała mu przez głowę myśl, że ktoś ukradł ich przyczepę. Jednak ich spojrzenia mówiły co innego. I w tym momencie Pellam zrozumiał.

- Marty?

Lekarz popatrzył na zastępcę szeryfa, który skinął głową.

- Wypadek? - spytał.

Zastępca szeryfa odrzekł:

- Bardzo mi przykro, proszę pana.

- Co się stało? - Pellam poczuł, że się dusi. Z płuc uciekło mu autentycznie całe powietrze.

Zastępca szeryfa odparł:

- Jego samochód się spalił. Z przykrością muszę pana zawiadomić, że pański znajomy nie żyje.

- O Boże. - Pellam przymknął powieki. Ogarnęło go przytłaczające, palące do żywego poczucie straty. Obrazy chłopca przelatywały mu przed oczami. Zupełnie jak fotografie.

Zawsze wydawało mu się dziwne, żeby ktoś, kto pracuje w filmie, miał takie statyczne wspomnienia. Jak klatki na kliszy Kodacolor. Zawsze nieruchome.

- O Boże... - Zawiódł go głos. Nagle przyszła mu do głowy cała masa rzeczy, jakie będzie musiał zrobić. Do kogo powinien zadzwonić? Co powinien powiedzieć? Czekają go godziny ponurej, biurokratycznej roboty, z którą trzeba się będzie uporać. Pellam, zastępczy ojciec biednego, młodego człowieka.

- Co się stało? Miał wypadek?

Zastępca szeryfa, chłopak nie wiele starszy od Marty'ego, lecz uzbrojony w pewność siebie właściwą większości stróżów prawa, odparł:

- Prawdę mówiąc, proszę pana, wygląda na to, że brał narkotyki. Znaleźliśmy przy nim haszysz i kilka fiolek kokainy. Musiał...

- Jakiej kokainy? Marty? Nie, nie, mowy nie ma...

- Ciało leżało tuż przy baku. Podejrzewamy, że trawa musiała się zająć, a on próbował ugasić ogień. Zanim zdążył to zrobić, samochód wyleciał w powietrze.

- Marty nie zażywał kokainy.

- Cóż, proszę pana, powinienem chyba dodać, że na chwilę przed tym, jak to się zdarzyło, odebraliśmy telefon. Jacyś mężczyźni poinformowali, że widzieli pańskiego znajomego, jak sprzedawał haszysz miejscowemu chłopcu. Oni...

- Nie - wyrzucił z siebie Pellam. - To niemożliwe.

- Bardzo dokładnie opisali wóz, proszę pana.

- Kim oni są? Kto to zgłosił?

- To był anonimowy telefon. Znaleźliśmy paczuszkę z folii aluminiowej ze sporą zawartością trawki. Do tego pewną ilość kokainy. To wszystko było w samochodzie. W schowku. Nie cały spłonął.

Pellam uniósł ręce do twarzy. Był ciekaw, czy się rozplacze. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zdarzyło mu się to dwa razy. Raz zaraz po pogrzebie przyjaciela. Drugi raz, kiedy odeszła od niego żona. Za każdym razem był pijany. Teraz jednak był trzeźwy i nie sądził, aby udało mu się zapłakać.

- Może to pana pocieszy - powiedział zastępca szeryfa. - Korner orzekł, że wszystko zdarzyło się bardzo szybko.

Popatrzył na lekarza, szukając potwierdzenia tego, że szybka śmierć jest lepsza od powolnej.

Lekarz podał Pellamowi papierowy kubek. W środku były dwie pigułki, maleńkie białe pigułki.

- Pomogą panu zasnąć.

Pellam pokręcił głową, ale nie oddał mu kubka. Trzymając go oburącz, wpatrywał się w dwie białe kropki na jego dnie, studiując uważnie ich wygląd, zwracając uwagę na to, w jaki sposób pada na nie światło przytłumione przez ścianki papierowego kubka, jak spoczywają obok siebie, doskonale symetryczne - niczym rodzaj trójwymiarowego symbolu nieskończoności.

Nie mógł im powiedzieć, że jednym z uczuć, jakie nim teraz miały, była wściekłość.

Od miesiący suszył Marty'emu głowę, żeby dał sobie spokój z haszyszem. W swoim czasie Pellam zaliczył pewną dawkę niedozwolonych substancji, lecz mimo to był zszokowany, widząc, że Marty przesznułował do Meksyku kilka torebek z folii aluminiowej. Kiedy Pellam je odkrył, tuż przed świtem wyciągnął chłopaka z łóżka i przygważdżając go do zimnej, metalowej ściany przyczepy zażądał, aby ten powiedział mu, gdzie ukrył resztę towaru. Marty przyznał się do wszystkiego i oddał narkotyki Pellamowi, który je wyrzucił. Po tej historii Marty obiecał, że nie będzie niczego brał, dopóki jeżdżą razem.

Czy to możliwe, że złamał dane mu słowo? Ale kokaina? Chłopak nigdy nawet o niej nie wspomniał.

- Hm, czyli co...? - Zaczął mówić, zwracając się do zastępcy szeryfa, ale nagle poczuł pustkę w głowie. Obaj mężczyźni czekali cierpliwie. Wreszcie przypomniał sobie, o co chciał zapytać.

- Co powinienem teraz zrobić?

Lekarz odparł: - Nie musi pan absolutnie niczego robić, tylko wypoczywać. Nadal twierdzę, że do jutra nie powinien pan opuszczać łóżka.

- Ale...

Młody zastępca szeryfa podniósł w górę okulary przeciwsłoneczne z żółtymi szklami w kształcie zaokrąglonych trójkątów, przechodzącymi w odcień orzechowy - jakby żywcem wzięte z filmu o motocyklistach kręconego w latach sześćdziesiątych. Kciuk drugiej ręki zatknął za skórzany, pleciony pasek - szczerzy chłopak o błyszczącej, gładkiej twarzy - i powiedział:

- W tej chwili koroner spisuje raport; zawiadomiliśmy już rodzinę tego młodego człowieka. I

waszą wytwórnię.

Rodzinę...

Witam, pani Jacobs. Nie zna mnie pani, ale pracowałem z pani synem... Jakieś trzy tygodnie temu wykopali nas obu z burdelu w Nogales...

Zastępca szeryfa ciągnął:

- Załatwiamy formalności, żeby przewieźć ciało do Los Angeles. Pomyśleliśmy, że pewnie chciałby mu pan towarzyszyć i zarezerwowaliśmy dla pana miejsce na ten sam lot.

Miejscowy dom pogrzebowy zgodził się dostarczyć ciało na lotnisko w Albany. Polecicie pojutrze, liniami American Eagle, lot numer 6733.

- O ile do tego czasu wydobrzeje - wtrącił lekarz.

Syn pani, pani Jacobs, wysadził się w powietrze, pałac crack...

- Oczywiście - odrzekł zastępca szeryfa. - Pewnie. - Mężczyzna nachylił się ku niemu i Pellam zauważył grudkę tłuszczu na czarnym pasku kabury marki Sam Browne, mocowanej na ramieniu - prawdziwa skóra, konserwowana wazeliną. Zastępca szeryfa odezwał się:

- Wie pan, nie bardzo lubię narkotyki. Szczególnie, że pański znajomy sprzedawał je naszej młodzieży. Ale oczywiście bardzo żałuję, że spotkało go coś takiego. To nie było w porządku. Nie te proporcje, rozumie pan, co mam na myśli?

W zmrużonych, stalowoszarych oczach młodego człowieka malował się smutek, więc Pellam mu podziękował. Ponownie spojrzął na pigułki. Kubek nie był zrobiony z woskowanego papieru i Pellam zauważył, że jego palce pozostawiły na ściankach wilgotne ślady.

Teraz przemówił lekarz:

- Proszę je zażyć. Powinien pan odpocząć.

Pellam nie mógł wydobyć z siebie głosu. Skinął tylko głową.

- Teraz zostawimy pana samego. Gdyby potrzebował pan towarzystwa albo czegokolwiek, mieszkamy z żoną niecałe sto metrów stąd. Przez całą noc ktoś tutaj będzie, dyżurna pielęgniarka. Wystarczy, że pan ją poprosi, a ona mnie zawiadomi.

- Dziękuję.

Mężczyźni wyszli z pokoju. Pellam odstawił kubek na blat stolika. Ale źle wymierzył odległość i kubek wylądował na krawędzi, po czym spadł na podłogę. Słyszał, jak jedna z pigulek, albo może obie naraz toczą się dokąds bez końca. Nawet nie spojrzął w dół. Opadł na poduszkę i wpatrywał się w sufit tak długo, aż w końcu zmierzch przeszedł w mrok i Pellam usnął.

Ten dźwięk.

Siedząc w przyczepie, Pellam przypomniał sobie, jak Marty przysiadł bokiem na swoim wąskim łóżku i machał nogą obutą w adidas w tę i z powrotem. Łup-łup, przerwa, łup-łup. Jak równomierne bicie serca.

Boże, ależ tu było teraz cicho. Pellam nastawił ucha, ale nie dobiegł go żaden odgłos.

Nic poza szumem, ale ten istniał tylko w jego głowie. (Słyszał co prawda głos Marty'ego, jego śmiech i głuche uderzenia jego butów, ale te dźwięki również istniały wyłącznie w jego głowie). Żadnego warkotu samolotów, żadnego hałasu silników diesla. Żadnych okrzyków bawiących się dzieci. Pellam siedział w fotelu kierowcy i odwracając się, spoglądał w tył na część mieszkalną. Kiedy usiadł prosto, ból w jego plecach nieco zelżał. Stanie wciąż było dla niego torturą, chyba że się o coś opierał. Z jakiegoś powodu, gdy się poruszał, ból nie był tak ostry jak wtedy, gdy stał nieruchomo.



- Och, Marty...

Wstał. Ta tragedia zmęczyła go bardziej niż przeżyty wypadek. Poruszał się sztywno.

Odmówił noszenia laski, którą zalecił mu lekarz.

Miał ciemny strup na głowie, a jego siniec zaczynał powoli robić się zielony.

Postanowił spakować rzeczy chłopaka póki ma na to odwagę. Napełnił nimi plastikową torbę na zakupy z domu towarowego Macy's, a następnie przez kilka minut odpoczywał, siedząc na łóżku i przyglądając się torbie: duże, czerwono-brązowe logo, biała pajęczyna zagniecen. Nagle podniósł się, opróżnił torbę i zapakował jej zawartość do własnej skórzanej walizki, którą kupił osiem lat temu na Rodeo Drive, składając koszule, dżinsy i bokserki Marty'ego tak starannie, jakby miał zamiar odnieść je do pralni w Beverly Hills.

Potem usiadł i przez pół godziny przyglądał się walizce.

Gdy kilka godzin wcześniej wypuszczono go z kliniki, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było ogolenie się. Po drodze minął lustro i przeraził go widok własnej twarzy z nierównym, przetykanym siwizną zarostem. Wyglądał, jakby był mocno zniszczonym przez życie pięćdziesięciolatkiem.

Później zadzwonił do ojca Marty'ego. Nie była to łatwa rozmowa. Mężczyzna, emerytowany oświetleniowiec, najwyraźniej obwinał go za śmierć syna. Nie traktował go pogardliwie, nie był złośliwy, ale przez cały czas trwania ich rozmowy Pellam wychwytywał

ukrytą w jego głosie podejrzliwą nutę - jakby to Pellam dostarczył narkotyki, które zabiły jego syna. Zastanawiał się, jak tamten wygląda, jaki ma dom i jakie były jego relacje z Martym. Chłopak często narzekał na swoich starych, ale większość przytaczanych przez niego sytuacji była tego typu, że Pellam zadawał sobie pytanie: „Na czym właściwie polega problem?”. Marty skarżył się, że rodzice zabronili mu przez miesiąc korzystać z samochodu po tym, jak upił się do nieprzytomności w Ho-Jo's przy Eden Expressway. Albo że zmusili go do odwiedzenia terapeuty po tym, jak seryjnie wagarował.

Typowo licealne reakcje - jęczenie i narzekanie.

Pellam poprosił też do telefonu matkę Marty'ego i poczuł olbrzymią ulgę, gdy ojciec chłopca stwierdził, że to nie jest najlepszy moment. Potem rozłączył się i położył na wznak na łóżku w przyczepie.

Teraz otwierał i zamykał ciężkie mosiężne zatrzaski wieka. Ta walizka kosztowała go tysiąc dolarów.

W jednej z kieszeni namacał butelkę demerolu, wyjął ją i wrzucił do kuchennej szuflady. Potrzebował czegoś innego. Powoli przykucnął i sięgnął w głąb szafki. Wyciągnął

butelkę mezcala z ćwiartką zawartości i nabrzmiałym, białym robakiem na dnie. Nalał sobie podwójną porcję i wychylił alkohol dwoma łykami. Zakaszłał i poczuł w klatce piersiowej rosnące mrowienie, które przesunęło się w kierunku twarzy, uśmierzając ból w sposób niemal natychmiastowy. Nalał sobie jeszcze jedną, mniejszą porcję i znowu przykucnął

ostrożnie, żeby odstawić butelkę na miejsce. Wsunął ją aż pod ścianę szafki, ale trafiła na jakiś opór i przechyliła się naprzód. Tkwiący luźno korek wyskoczył i zanim Pellam zdążył ją pochwycić, z butelki wylało się ćwierć szklanki alkoholu. - Niech to szlag. - Ale udało się ocalić robaka.

Pellam poszperał w głębi szafki, szukając tego, o co oparła się butelka. Znalazł coś miękkiego i pomarszczonego. Odsunął gwałtownie rękę, myśląc: „Szczur albo mysz...” Zajrzał do środka. Nieduża foliowa torebka. Sięgnął głębiej i wyciągnął ją na zewnątrz. W środku był towar Marty'ego. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym zawiązał całość w papierowe ręczniki, które

namoczył pod niskociśnieniowym kranem i ugniół z nich kulę. Następnie włożył ją do brązowej, papierowej torby, zgniótł ją także, wysiadł z samochodu i wyrzucił wszystko do kosza na śmieci.

Następnie podniósł walizkę, dysząc boleśnie z wysiłku i zamknął samochód. Poszedł sztywnym krokiem w zimnym, jesiennym słońcu do oddziału firmy Greyhound, która zajmowała niewielkie pomieszczenie przy stacji benzynowej na Main Street. Tam opłacił przewiezienie walizki do rodziców Marty'ego.

Urzędnik pogłaskał skórzane wieko.

- Porządna rzecz.

- Owszem - odparł Pellam i gdy walizka dołączyła do innych bagaży na wózku, odwrócił się i apatycznie wyszedł na zewnątrz.

Przypomniał mu się ostatni raz, kiedy był z ojcem na polowaniu - w rodzinnym Simmons w stanie Nowy Jork, prawdopodobnie nie więcej niż sto kilometrów od miejsca, w którym teraz stał.

Pamiętał, jak szli po takiej samej szorstkiej trawie, po której teraz podążał, utykając, wciągając w nozdrza ten sam zapach mokrych liści tak samo skąpanych w białych promieniach słońca. Dwadzieścia pięć lat temu Pellam senior przedzierał się przez pola, z wysiłkiem unosząc długą strzelbę marki Browning i chybiając nawet do najbardziej ślamazarnych bażantów. Dwa dni później przeszedł pierwszy z kilku zawałów, które ostatecznie go wykończyły.

Pellam zawsze kojarzył tamto polowanie ze śmiercią ojca.

Teraz wspomnienie wróciło i nie mógł się od niego uwolnić.

Szedł wolno, opierając cały swój ciężar na lewej stopie, aby w ten sposób zmniejszyć choć trochę tępy ból w plecach. Znowu pomyślał, że powinien był jednak wziąć tę cholerną laskę, którą proponował mu lekarz.

Górna część parku została zabezpieczona przez policję. Cienka, żółta taśma z napisem

„Biuro szeryfa” była rozciągnięta między stojącymi blisko siebie, grubymi i zardzewiałymi metalowymi palikami. Do jednego z nich przyczepiono łańcuch, który teraz spoczywał na ziemi; może posłużono się nim, żeby zagrozić przejście, chociaż Pellam podejrzewał, że gliniarze skorzystali z okazji, żeby użyć całego sprzętu do walki z przestępczością, jakim dysponowali. Obszedł metalowy palik i zaczął wspinać się drogą wiodącą na szczyt wzgórza.

Oddychając ciężko i boleśnie, dotarł na samą górę i zatrzymał się.

Wszystko zrównane z ziemią.

Przeszedł na środek parkingu; tam, gdzie wcześniej była trawa i żwir, teraz widać było tylko zaorany pas żyznego czarnoziemu oraz nierówne wgłębienia pozostawione przez pracujący buldożer. Pellam dostrzegł wcześniej ślady gąsienic na zboczu wzgórza, ale nie poświęcił im większej uwagi.

Wszystko zrównane z ziemią.

Na samym środku - prawdopodobnie w miejscu, gdzie stał samochód Marty'ego - nie było żadnych śladów pożaru, żadnych odcisków stóp czy opon. Nic, tylko sterta sypkiej, świeżo wykopanej ziemi, niczym ogromna, okrągła mogiła. Pellam zabawił dłużej na miejscu tragedii. Przez większość czasu po prostu spacerował wolno, zataczając kręgi wokół

zaoranego terenu, nasłuchując nawoływania ptaków i wiatru świszczącego w liściach; nie było tam naprawdę nic do oglądania.

Absolutnie nic.

- Co się tam stało?

- Stało? - powtórzył zastępca szeryfa.

Stali przy zaparkowanym na Main Street samochodzie Pellama. Mocno zbudowany zastępca szeryfa wyglądał znajomo. Pellam zastanawiał się, czy to nie ten sam, który zawiózł

go do kliniki zaraz po wypadku. (Jak nazywała się kobieta, która prowadziła tamten wóz?

May? Mary? Nie, Meg. Tak jest. Meg). Stróż prawa stał z rękoma lekko odsuniętymi od ciała, prezentując potężne bicepsy. Pellam zauważył, że jego trzysta pięćdziesiątka siódemka ma gumowaną rękojeść. Ciekaw był, czy z broni tej strzelano kiedykolwiek poza strzelnicą. Ten policjant również miał przeciwsłoneczne okulary motocyklisty, z tym że jego szkła miały odcień fioletowy.

- Byłem na miejscu wypadku - wyjaśnił mu Pellam - i cały teren jest zaorany.

- A, tak. Wie pan, ta cała sprawa... Uznano, że gdyby ludzie wiedzieli, gdzie to się stało, mogliby się zniechęcić.

- Zniechęcić? - Co pan chce przez to powiedzieć?

- To nie była moja decyzja. Naprawdę nie wiem, czyja. Słyszałem tylko, że ponieważ mamy teraz sezon na oglądanie drzew, mogłaby na tym ucierpieć turystyka.

- Zniechęcić?! - powtórzył zdesperowany Pellam.

Zastępca szeryfa odparł obojętnym tonem:

- Wszystko to wyglądało dosyć nieprzyjemnie. Paskudny pożar, wie pan. Krew.

Przyjeżdżają do nas myśliwi i...

- Dlaczego w takim razie zostawiliście tam taśmę?

- Taśmę?

- Taśmę policyjną. Na moje oko coś takiego równie skutecznie odstraszy wam turystów.

- A, taśma. Ma pan rację. Całkiem o niej zapomnieliśmy. Ale dziękuję, że zwrócił mi pan na to uwagę.

- Bardzo proszę - odparł Pellam. - A co się stało z samochodem?

- Z samochodem?

Miniaturowe igielki bólu wbijały się, wędrując z góry na dół i z powrotem, w plecy Pellama. Pomyślał o demerolu. Pomyślał o tequili, z robakiem albo i bez robaka. Ból był coraz silniejszy, a on zaczął tracić cierpliwość.

- Samochód mojego przyjaciela, ten, który spłonął?

- To znaczy, proszę pana?

- Chciałbym go zobaczyć.

- To chyba nie będzie możliwe.

- Dlaczego nie?

Policjant nawet nie drgnął. Ten facet był jednym wielkim kawałem mięsa.

- Bo to po prostu nie jest możliwe, proszę pana.

- Rozumiem. To wszystko wyjaśnia.

Stali zwrócenii twarzami do siebie; zastępca szeryfa lustrował ulicę, wypatrując przestępców; Pellam natomiast lustrował jego twarz.

- A może mógłby mi pan powiedzieć, gdzie on teraz może być?

- Naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że odholowano go po skończonym dochodzeniu.

- Zrobiliście jakieś ekspertyzy?

- Ja naprawdę...

- Rozumiem - mruknął Pellam. - Nieważne. - Tym razem obaj rozejrzeli się po ulicy, po czym

Pellam wrócił spojrzeniem do swojego rozmówcy i odezwał się:

- Zapomniałem, jaka to była firma. Pan może wie?

- Firma?

- Ta, w której mój przyjaciel wypożyczył samochód.

- Nie mamy tutaj żadnego przedstawicielstwa Avisu ani Hertza. Ani w okolicy

- Bardziej pomocna byłaby dla mnie informacja, gdzie go wypożyczył, a nie gdzie tego nie zrobił.

- Chyba w warsztacie Sillmana. Pół kilometra w górę tej ulicy.

- Dzięki.

Zastępca szeryfa zmienił temat:

- Dom pogrzebowy Klemana wszystko zorganizował.

- Dziękuję panu, panie władzo. Doceniam to.

- Nie ma za co dziękować, proszę pana. Byłem kiedyś w Los Angeles. Razem z żoną wybraliśmy się do Disneylandu. Tego prawdziwego, wie pan.

- Aha.

- Domyślam się, że jedzie pan na pogrzeb. Burmistrz opłacił panu bilet...

- Nie, na razie nigdzie się nie wybieram.

Jakaś lampka musiała zapalić się w umyśle mężczyzny, ale jego oczy pozostały spokojne.

- Nie?

- Zostanę tutaj przez jakiś czas.

- Tutaj?

- Zgadza się.

- Och. Spodziewaliśmy się, że będzie pan chciał wyjechać.

- No tak, ale nie wyjeżdżam. A teraz chciałbym zobaczyć policyjny raport. I...

- Nie mogę go panu pokazać.

- Co takiego? - Pellam czuł, że zaczyna gotować się w środku.

- Bo to nie jest dokument przeznaczony do wiadomości publicznej.

- Dokument przeznaczony do wiadomości publicznej?

- Właśnie tak, proszę pana.

- Ale ja nie jestem byle ciekawskim. Przyjaźniliśmy się.

- Przykro mi, proszę pana.

- A raport koronera? Czy ten dokument jest przeznaczony do wiadomości publicznej?

- Nie, proszę pana, obawiam się, że nie. Raport stwierdza jedynie, cytuję, że ofiara zmarła na skutek urazów doznanych w wyniku sprowokowanego przez siebie pożaru.

- Panie władzo, ktoś zabił mojego przyjaciela. Mieliśmy kilka przypadków wandalizmu, zanim zginął, nasz wóz został zniszczony i...

- Tutaj w Cleary?

- Tak - przytaknął Pellam.

- Nie przypominam sobie, aby pan to zgłaszał.

- Bo niczego nie zgłosiliśmy. Dopóki to się nie stało, nie brałem tych incydentów na poważnie.

- Rozumiem, proszę pana. Niech mi pan powie jedną rzecz: kiedy przyjeżdża pan do małego miasteczka, miejscowe dzieciaki pewnie często majstrują coś przy wozie, prawda?

Takie głupie figle. Zdarzały się już wcześniej, mam rację?

- Jasne, ale...

- Sam pan widzi.

- Ale nigdy dotąd dzień po takich figlach jeden z moich przyjaciół nie padł ofiarą morderstwa.
- Morderstwa? Nonsens, proszę pana. Koroner orzekł, że to był nieszczęśliwy wypadek.
- Domyślam się, że nic więcej z pana nie wyciągnę.
- Ma pan rację. - Potężny mężczyzna założył okulary przeciwsłoneczne i jego oczy przybrały lekki odcień fioletu. Po chwili dodał:

- Na pańskim miejscu uważałbym na siebie, zostając tutaj. W końcu zdarzyły się już dwa nieszczęśliwe wypadki. Może po prostu ma pan pecha.

Pellam obiecał, że będzie na siebie uważał. Jednocześnie przyszło mu coś do głowy: istniała spora szansa na to, że zastępca szeryfa miał jednak rację.

Alan Lefkowitz siedział w swoim wielkim, niepokalanie czystym gabinecie, kołysząc się w tył i w przód na obitym skórą biurowym fotelu i wyglądał przez okno, które również było wielkie i niepokalanie czyste. Pod nim sznur samochodów ciągnął wzdłuż Santa Monica Boulevard, mijając po drodze kompleks Century City. Wzrok Lefkowitza utkwiony był w szerokiej drodze pełnej szpanerskich samochodów, lecz myślami znajdował się on daleko, w północnej części stanu Nowy Jork.

Każdego dnia Alan Lefkowitz, lat 52, prezes i główny udziałowiec wytwórni Big Mountain Studios, wkładał co najmniej dziesięć godzin ciężkiej pracy w swoje filmowe projekty. Absolwent prawa i odnoszący znaczne sukcesy były agent, nieprzerwanie doksztalał się na Uniwersytecie Kalifornijskim i Uniwersytecie Południowej Kalifornii w dziedzinie księgowości i finansów - i to w wieku, gdy wielu jego znajomych (albo raczej kolegów po fachu; w końcu to było Hollywood), także producentów, zlecało najcięższą robotę swoim podwładnym i odgrywało prawdziwych macho, zajmując się „pracą kreatywną” (czytaj: burze mózgów w Palm Springs, picie w hotelu Beverly Hills).

Inna pozycja w jego bilansie w rubryce „aktywa”: Lefkowitz był uczciwy. Niemal całkowicie udało mu się przewyciężyć najgorszą siłę przyciągania Hollywood, za sprawą której producenci ciążyli w stronę głupawych komedii dla nastolatków, filmów policyjnych czy efektów specjalnych - kręconych z rozmachem obrazów science fiction oraz horrorów. I chociaż w jego dorobku darmo byłoby szukać filmów równie ambitnych jak te tworzone przez jego ulubionych reżyserów - Bergmana, Fassbindera, Kurosawę i Truffaut - w głębi duszy marzył o robieniu dobrych filmów.

W czasach gdy szkoły filmowe wypuszczały szeregi studentów znających się na kinie (tak właśnie, nigdy nie było mowy o filmach), w Stanach nie brakowało niezależnych reżyserów, kręcących wspaniałe, niskobudżetowe, poważne produkcje. Lecz szczególnym darem Lefkowitza była umiejętność pracy w ramach systemu. Jego filmy były w większości finansowane i zawsze dystrybuowane przez duże wytwórnie; z jedną z nich miał obecnie podpisany niezwykle intratny kontrakt na pięć filmów (jeden z lepszych interesów, jakie można było ubić we współczesnym przemyśle filmowym). Swojej odwadze, temperamentowi oraz umiejętności przekonywania ludzi, by uwierzyli w jego wizję, zawdzięczał fakt, iż na dobre zadomowił się w tym olbrzymim przedsiębiorstwie, jakim był show-biznes i umiał

sprawić, by wykładało 80 procent funduszy na każde pięć filmów, jakie tylko zamarzyło mu się wyprodukować.

Tak, ładnie wyrzeźbione ciało, mercedes z prawem wjazdu na plażę i intratny kontrakt na pięć filmów z rzędu. Nie mogło być lepiej. Jednak chociaż w porze lunchu mógł spokojnie oddawać się przyjemnym rozmyśleniom na temat pomyślnego dla niego biegu spraw, Lefkowitz obsesyjnie powracał myślami do stanu Nowy Jork - Empire State - bujając się w tył i w przód na wartym trzy tysiące dolarów skórzanym fotelu.

Powód jego zadumy spoczywał przed nim na biurku (które było wielkie, lecz dalekie od stanu niepokalanego porządku): podniszczony, pełen czerwonych poprawek egzemplarz scenariusza, pokryty bazgrołami, cyframi i słowami. To był pierwszy z pięciu zakontraktowanych filmów. Ponura, liryczna produkcja zatytułowana „Zasnąć w płytkim grobie”. Obraz, w którym nie było żadnych zwłok, pościgów samochodowych, cwanych małolatów ani scen walk karate i w którym żaden aktor

pod wpływem czarnej magii nie zamieniał się w psa, dziecko lub osobę przeciwnej płci.

Z projektem wiązała się dziwna historia. Pojawiła się możliwość zakupu praw do produkcji filmu, pewna wytwórnia kupiła scenariusz i przystąpiła do jego realizacji. Jednak już po miesiącu została ona odwołana. Lefkowitz, który od czasu, gdy kilka lat wcześniej przeczytał książkę, na podstawie której powstał scenariusz, marzył o nakręceniu tej historii, błyskawicznie przejął prawo do jej sfilmowania. Jednak zakup praw z drugiej ręki równał się konieczności uiszczenia dodatkowej opłaty; musiał nie tylko zapłacić za scenariusz, ale także zwrócić pierwszej wytwórni koszty poniesione w związku z przerwana produkcją. W ten sposób to, co miało być niskobudżetowym, artystycznym filmem, z dnia na dzień stało się wysokobudżetowym monstrum.

Wtedy też sprawdzila się słynna zasada obowiązująca w Hollywood: jeśli ktoś coś chce, inni też tego chcą. W ubiegłym tygodniu dwie inne wytwórnie złożyły ofertę wykupienia praw do filmu.

Lojalność bywa rzeczą zmienną w Hollywood i wytwórnia Lefkowitza w mgnieniu oka odsprzedałaby jego projekt konkurencji, gdyby nie to, że zgodnie z kontraktem miał niekwestionowane prawo do nakręcenia tego filmu.

Niekwestionowane, to znaczy o ile zdoła dotrzymać całego szeregu terminów produkcyjnych. Obecnie zaś istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że terminów tych nie uda się dotrzymać. Na chwilę obecną jego firma miała dwa tygodnie opóźnień, a Lefkowitz doskonale wiedział, iż prawnicy wytwórni zdążyli już poinformować szefostwo produkcji, że jeśli zdjęcia nie rozpoczną się w ciągu najbliższych trzech tygodni, wszelkie umowy zostaną zerwane. On odpowiedziałby za zerwanie kontraktu, a „Płytki grób” zniknąłby z planów produkcyjnych jego firmy szybciej, niż złota biżuteria znika z nowojorskiej ulicy.

O tym wszystkim rozmyślał Lefkowitz w chwili, gdy do jego gabinetu wszedł asystent kierownika produkcji, przystojny, zasadniczy trzydziestolatek.

Ów młody człowiek, tak pełen energii i wypowiadający się nonszalancko na temat skopania tyłka konkurencji w dniu, w którym obejmował swoje stanowisko, nie wyglądał już tak młodo jak dawniej, zanim zaczął pracować u Lefkowitza. Zdecydowanie nie tryskał energią, a jedynie tyłek, o jakim teraz regularnie rozmyślał, należał do niego samego.

- On ma dzwonić tu o trzeciej - oznajmił.

Lefkowitz popatrzył na swój zegarek, Oyster Perpetual.

- To znaczy za pięć minut.

- Powiedz mi, co właściwie zaszło.

Asystent kierownika produkcji zaczął:

- Marty...

- Jaki Marty?

- Jacobs. Asystent Pellama.

- Jasne.

- Zginął, a...

- Jezu.

- ...a Pellam trafił do szpitala. Nie jestem w stu procentach pewien, ale z tego, co mówił szeryf, zrozumiałem, że chodzi o dwa niezależne od siebie nieszczęśliwe wypadki.

- Co się stało Marty'emu?

- Jego samochód wyleciał w powietrze.

- Jezu. A co z jego rodziną?

- Szeryf zadzwonił i sam ich powiadomił. Ja z kolei zatelefonowałem w imieniu firmy.

Nie musisz nic robić, ale...

Lefkowitz odparł:

- Poślemy kwiaty. Znasz tę kwiaciarnię, wiesz, o której mówię?

- Załatwione.

- Napiszę też parę słów. A co z Pellamem?

- Nie jestem pewien. Dostałem tylko wiadomość, że zadzwoni do biura o trzeciej.

- Powinniśmy wyposażyć wszystkie nasze wozy w telefony komórkowe. To głupota, że jeszcze tego nie zrobiliśmy. Zajmiesz się tym, okej?

- Mówisz i masz.

- Jest szansa na to, że nas pozwą?

- Kto?

- Rodzina Marty'ego.

- Nie mam pojęcia... Jest jednak coś, o czym powinieneś wiedzieć, Alan. Sprawy się skomplikowały.

- Chyba nie może być już gorzej?

- Burmistrz miasteczka, w którym to się wydarzyło - Cleary - dzwonił tutaj. To wariat.

Całkiem mu odbiło. Nie dadzą nam zezwoleń na zdjęcia.

- O Chryste Panie. O dupa blada.

- To naprawdę małe miasteczko. Znaleźli ten towar...

- Jaki towar?

- No, Marty miał przy sobie trochę trawy. Mówią, że miał też kokainę, ale nie wydaje mi się...

- Psiakrew - westchnął Lefkowitz. Spojrzał na szeroką, pustą autostradę. Przymknął powieki. - Dlaczego, dlaczego, dlaczego...? - Obrócił się gwałtownie w fotelu i popatrzył na swojego asystenta. - Myślisz, że zgodziliby się, gdybyśmy im zapłacili?

- Już próbowałem. Proponowałem tysiące. Prawie wszedłem mu w tyłek.

- I co?

Asystent przełknął ślinę.

- Nazwał mnie ścierwojadem. A potem fiutem. A potem się rozłączył. Jesteśmy spaleni, Alan. Ten cały projekt jest spalony.

Lefkowitz był jak otępiały. Minęła chwila. Wreszcie zapytał.

- Ale Pellamowi nic się nie stało?

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Obaj mężczyźni równocześnie spojrzeli na zegarki. Była trzecia. Asystent odezwał się:

- Najlepiej sam go o to zapytaj.

Pellam oparł głowę o szklaną ścianę budki telefonicznej. W Cleary wciąż były budki ze skrzypiącymi, dwuskrzydłowymi drzwiczkami. Spojrzał na dwa inicjały wryte na aluminium; poza nimi w budce nie było żadnych śladów graffiti. Tylko jeden zestaw inicjałów wyglądających jak „JP”. Wsłuchiwał się w buczenie sygnału. Pod bandażem na skroniach czuł swędzenie gojącej się skóry.

Alan Lefkowitz osobiście podniósł słuchawkę - coś, czego nigdy przedtem nie robił.

Żadnej sekretarki. Żadnego asystenta. Tylko łagodny głos opalonego, wysportowanego, ekscentrycznego producenta - multimilionera.



- John, jak się masz? Co się stało?

W jego głosie wyczuł autentyczne współczucie.

- W porządku, Lefty, nic mi nie jest. - Następnie w bardzo ogólnych słowach Pellam zrelacjonował oba wypadki - to, jak potracił go samochód Meg i śmierć Marty'ego.

Potem Lefkowitz zadał pytanie:

- A zezwolenia? Co się stało?

- Zezwolenia? Co z nimi? - Pellam zmrużył oczy. Nie, to nie inicjały „JP” wydrapano na aluminiowej ścianie budki. To było „JD”. Pod spodem ktoś dopisał flamastrem: „Tygrysy są numerem jeden!!!”. Wszystko można było powiedzieć o wsi, tylko nie to, że miejscowe nastolatki są niepiśmienne. Na Manhattanie widział podobny napis. „Debbo i Ki som najlepsi!”.

- Nie dadzą nam zezwoleń. Burmistrz, czy ktoś inny. Nic ci nie powiedzieli?

- Pellam był w szoku. Nagle poczuł, że pali go gorączka. Tydzień pracy zmarnowany.

Śmierć Marty'ego daremna.

- Nic nie słyszałem. Powiedzieli dlaczego?

Lefkowitz odparł:

- Znaleźli przy nim jakieś gówno. Nie wiem dokładnie, haszysz czy coś w tym rodzaju.

Wy obaj...

- Alan, Marty nie palił w dniu, kiedy zginął. Nie wiem, co się naprawdę stało, ale to nie było to. Znalazłem jego towar. Był nietknięty.

- Może i tak... Ale wiesz, że nie mam wyboru.

- To nie była wina Marty'ego. - Pellam skupił w końcu wzrok na czymś za szybą i zdał sobie sprawę, że wpatruje się prosto w witrynę agencji nieruchomości Dutchess County Realty. Zewnętrzna żaluzja była opuszczona, a w środku paliło się światło. W biurze nie było nikogo.

- Cóż, przykro mi, John. Ale chyba to rozumiesz.

- Pewnie. - W tym momencie dotarło do Pellama, że chyba każdy z nich myśli o czym innym. Powiedział więc: - A właściwie to nie, Alan, nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Musimy się rozstać.

- Alan, co ty gadasz?

- Mówię, że cię zwalniam, John.

- Co takiego? Tak po prostu?

- Myślałem, że tamten drobny incydent przed paru laty czegoś cię nauczył.

Pellam zapytał, zniżając głos:

- Co do diabła chcesz przez to powiedzieć?

- Dzięki tobie i Marty'emu znalazłem się znowu w punkcie wyjścia.

- Mówię ci, że Marty został zamordowany. To wszystko było ukartowane.

Lefkowitz sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Odstaw wóz do nowojorskiego biura. Twój czek będzie już tam na ciebie czekał.

- Ale tak...

Lefkowitz przerwał mu:

- Przykro mi, John. W przypadku tego projektu nie ma miejsca na pomyłki. Po tych słowach rozłączył się.

- ...po prostu?

Pierwszą rzeczą, jaką robiła Meg Torrens zaraz po przebudzeniu, było włożenie na palec

wskazujący pierścionka z dwukaratowym diamentem; potem kładła się jeszcze na piętnaście minut i leżała, starając się o niczym nie myśleć.

Był to rodzaj medytacji, o którym gdzieś przeczytała. Oczyszczającej umysł, uzdrawiającej, relaksującej i sprawiającej, że człowiek stawał się bardziej kreatywny. Nie zawsze działała, ale nawet jeśli tak było, wymagała samodyscypliny - tresowania własnego mózgu, jakby to był niesforny psiak - a to zawsze się przydawało. Chociaż troszeczkę. Jak dobre rady z „Mademoiselle”. Albo z „Domu i Ogrodu”.

Obok niej Keith lekko się poruszył. Oddychał miarowo.

Zerknęła na niego i zamknęła oczy.

O niczym nie myśleć.

W oddali zaświergotał ptak, ciężarówka zmieniała biegi na pochyłości Lampton Road.

Nie myśleć, nie myśleć.

Na moment przed włączeniem się budzika podświadomie to wyczuła. Elektroniczne bzz. Meg otworzyła oczy i w chwili gdy rozległ się alarm ich Seiko, wyciągnęła rękę i wyłączyła go. Poklepała Keitha po jego masywnym ramieniu. Był od niej dziesięć lat starszy i zdążył już obrosnąć tłuszczem jak na poważnego biznesmena przystało. Ale to jej nie przeszkadzało. Jego nogi i tyłek nadal były szczupłe; odrobina brzuszka nie przeszkadzała tak bardzo, jeśli cała reszta była w porządku. Keith miał szeroką, przystojną twarz, twarz aktora grającego role sympatycznych kupców i właścicieli kolei. Jego włosy były gęste i trudne do ułożenia, więc nadawał im kształt za pomocą lakieru, rozdzielając je pośrodku idealnie prostym przedziałkiem. Meg regularnie odводziła go od ich farbowania; uważała, że szpakowate włosy są seksowne.

Keith wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń, mrużąc coś pod nosem. Przysunęła się do niego, wdychając ciepły zapach jego rozspanego ciała, który buchnął prosto w jej nozdrza spod okrywającego go prześcieradła i kołdry.

Zawsze zaczynało się od zegarka.

Keith sennie ściągnął z nadgarstka swój Rolex i upuścił go z hałasem na nocny stolik.

Kiedy zdjął zegarek, wiedziała już, co się święci.

Jego dłonie zaczęły przesuwać się po jej ciele.

- Skarbie... - powiedziała, słabo protestując. Ale pozwoliła mu przyciągnąć się do siebie.

Pocałowali się. Zsunęła z siebie fioletową koszulkę nocną firmy Victoria's Secret, którą Keith kupił jej przed kilkoma miesiącami i nieśmiało wręczył zapakowaną w pudełko, jakby obawiał się, że mógłby ją w ten sposób urazić.

Zaczęła się dobrze znana rutyna. Jego długie pocałunki, w usta, w brodę, coraz niżej.

Na chwilę zatrzymał się przy szyi, biorąc do ust jej łańcuszek. Często to robił, a ona zastanawiała się, czy złoto ma jakiś szczególny posmak, który mu odpowiada. Potem jego usta odnalazły jej obojczyk, przesunęły się w dół na piersi, a następnie wolno, bardzo wolno, ku jej sterczącym sutkom.

Gdy się kochali, Keith był pełen wigoru, działał prosto i skutecznie.

Meg już na niego czekała. Mimo że od czasu do czasu, biorąc prysznic, pozwalała swoim dłoniom błądzić po najintymniejszych miejscach, nie robiła tego od ostatniego razu, kiedy się kochali, to znaczy od tygodnia. Dlatego teraz, chociaż było wcześniej rano, chociaż wolałyby się najpierw wykąpać i umyć zęby, chociaż nie czuła się atrakcyjna, chociaż w ciągu najbliższych pięciu minut musiała obudzić Sama i wyszykować tak, żeby zdążył na swój szkolny autobus - wbrew temu wszystkiemu poczuła gdzieś głęboko delikatne drżenie.

Uśmiechnęła się, ucałowała klatkę piersiową i sutki męża, a następnie przewróciła go na plecy. Pieściła go, zsuwając się niżej, w kierunku brzucha. Jej pożądanie wzrosło, gdy zaczął pęcznieć w jej ustach.

Tak teraz wyglądało ich życie erotyczne - zazwyczaj rano, zazwyczaj spontanicznie.

Ale Meg Torrens nie narzekała. To prawda, że znikła gdzieś ich młodzieńcza namiętność. Ale kto jest namiętny po dziesięciu latach małżeństwa? Brak namiętności rekompensował fakt, że jedno nie miało wobec drugiego wygórowanych wymagań. Seks był kojący, jak myszkowanie po sklepach ze starociami czy wypróbowywanie nowych przepisów. Przyjemność zapomnienia. Cicha i odrobinę anonimowa. Nauczyli się nie zakłócać wzajemnie swoich fantazji.

Keith już prawie dochodził. Przytrzymał nieruchomo jej głowę. Potem usiadł, przewrócił ją na plecy i znowu zaczął całować jej piersi, przesuwając się w dół. Polizał jej pępek, po czym zsunął się niżej, pieszcząc jej szczupłe ciało.

Po pięciu minutach pod dotykiem jego zwinnych palców i języka wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz. Leżała, oddychając ciężko i uśmiechając się w półmroku, starając się przedłużyć tę chwilę.

Keith z galanterią odczekał minutę lub dwie, zanim ponownie w nią wszedł. Objęła go kurczowo i zajęczała tak, jak wiedziała, że on lubi, ale jest zbyt nieśmiały, aby ją o to poprosić. Ugryzła go w ucho. Zatopiła paznokcie w jego plecach. Przycisnęła twarz do jego miękkich, siwiejących włosów, na których zbierał się już pot.

Objęła go nogami w pasie i jeszcze raz wydała z siebie jęk. A potem, nagle, otworzyła szeroko oczy.

To było jak policzek. Jak kubek zimnej wody.

Nie!

Wspomnienie tamtego dźwięku nie dawało jej spokoju. Psstryk.

Nie mogła go umiejscowić, lecz wspomnienie natrętnie powracało. Całkiem zepsuło jej tę chwilę. Nienawidziła go. Nie, nie, proszę, daj mi spokój.

Wtedy sobie przypomniała. Jednocześnie Keith ścisnął ją z furją, wyciskając jej całe powietrze z płuc. Poczowała pulsowanie i gwałtowne napięcie w jego łądźwiach.

To był prawdziwy intruz - tamten dźwięk.

Raz za razem odtwarzała w myślach przyjemny szum wydawany przez odbitkę wysuwającą się z Polaroida tamtego mężczyzny. Wyobraziła sobie jego pociągłą twarz, słyszała w głowie jego głos. Widziała jego połyskliwą, ciemną bliznę. Pistolet maszynowy.

Oldsmobil. Od dawna pani tu mieszka?

Keith zsunął się z niej. Ścisnęła uda i przeciągnęła się. Leżeli tak jeszcze przez pięć minut. (Spokojnie, nie myśleć o niczym!). Potem Meg powoli usiadła. „Ja, miejscowa?” -

pomyślała z gniewem. Uznał ją za miejscową?

- Która mieszka tutaj od dziesięciu lat?

- Kocham cię - powiedział Keith.

- Ja ciebie też.

Siedziała tak przez chwilę, dopóki nie dostrzegła w lustrze odbicia swojej twarzy. W oczach miała zmieszanie i strach. Uśmiechnęła się do męża i zmusiła się, by odsunąć od siebie wszystkie myśli o dokumentaliście filmowym. Wskoczyła z łóżka i przeszła do holu.

Podłogę łazienki pokrywała czarna wykładzina frotte. Zasłona prysznicowa była czarna w czerwone róże, a ściany różowe (Meg nie mogła się zdecydować, czy wystrój nawiązywał do

osiemnastowiecznego stylu wiejskiego, czy raczej do wiktoriańskiego burdelu). Potrząsnęła głową i wzburzyła palcami swoje jasnoblond włosy. Sterczały dziko we wszystkie strony po wczorajszym lakierze i elektrycznej lokówce, której użyła, aby je ułożyć.

Czekało ją co najmniej pół godziny wytrwałej pracy, jeśli chciała zmienić się w jasnowłosą, wytapirowaną agentkę nieruchomości.

Obsesyjnie wpatrywała się w lustro. Nigdy nie lubiła swoich ust. Stanowiły niemal płaskie płaszczyzny, musiała więc używać dwóch subtelnie różniących się odcieni szminki, żeby wydawały się pełniejsze. Poza tym starała się pamiętać, żeby zawsze mieć dolną wargę lekko wydętą, co sprawiało, że wyglądała bardziej kapryśnie niż zmysłowo. Wiedziała jednak z doświadczenia, że mężczyznom nadąsane kobiety podobają się na równi z tymi seksownymi.

Wyszedłszy spod prysznic, Meg wytarła ręcznikiem swoje szczupłe nogi i talię, po czym odruchowo stanęła na wadze, chociaż od chwili gdy Sam skończył miesiąc, nie przekroczyła czterdziestu pięciu kilogramów choćby o pół kilo. Rozczesała gładko włosy i włożyła szlafrok.

Potem zawołała w głąb korytarza:

- Dalej, Sam, zbieraj się, kochanie.

W sypialni Keith nadal leżał w łóżku. Wyglądało na to, że śpi, ale gdy go mijala, usiłował chwycić ją swawolnie za pośladki. Klepnęła go lekko po ręce, po czym pociągnęła męża za ramię.

- Wstajemy, wstajemy! - zawołała. - Świat czeka.

Keith jęknął.

Meg zeszła na dół po schodach. Dopiero kiedy znalazła się w kuchni, włożyła kapcie.

Rano lubiła dotyk dywanu pod swoimi stopami.

Po kwadransie bułki były ciepłe, a kawa gorąca. Meg popijała ją z ciężkiego kubka, zastanawiając się, skąd brały się te wszystkie zwariowane nazwy płatków śniadaniowych dla dzieci, kiedy to Sam zbiegł z tupotem po schodach. Pod wieloma względami przypominał

ojca. Rano był zwykle półprzytomny, miał zapuchniętą twarz, a jego płowe włosy sterczały na wszystkie strony. Lecz w przeciwieństwie do Keitha (niskiego i tęgiego zarówno czterdzieści lat temu, jak i obecnie), Sam był wysoki i szczupły.

Był też genialny. Tę akurat cechę odziedziczył po swoim ojcu. Gdyby Meg była religijna, dziękowałaby wszechwładnym dobrem duchom, w których istnienie już prawie uwierzyła, że Sam otrzymał w genach inteligencję Keitha, a nie jej.

Meg Torrens, która skończyła zaledwie dwa lata miejscowego college'u, miała zostać matką Samuela K. Torrensa, posiadacza doktoratu cum laude.

Keith zszedł wolno po schodach, ubrany w luźne, szare spodnie zaprasowane w kant, białą koszulę i krawat w zielono-czarne paski.

Nalała mu kawy. Powiedział:

- Dzięki, kochanie - i zajął się słodką bułeczką.

Prenumerowali „New York Timesa”, ale Keith wolał „Cleary Leader”, która to gazeta, jeśli czytało się ją regularnie, potrafiła napędzić człowiekowi porządnego stracha; zaczynało się wierzyć, że w Dutchess County mieszkają sami mordercy, pedofile i pogrążeni w żałobie koledzy szkolni nastoletników, którzy wjechali rodzinnym autem pod pociąg zamroczeni wódką podebraną ojcu. Dzisiaj był wtorek, dzień, w którym gazeta się ukazywała i Keith niecierpliwie przerzucał strony cienkiego wydania, chłonąc lokalne ploteczki.

- Mamo - odezwał się Sam, siadając na krawędzi krzesła i dziobiąc łyżką swoje płatki.

- Wiesz, co to jest? Nie je, nie pije, a chodzi i bije?

Meg wiedziała, że jej powodzenie jako matki, podobnie jak powodzenie polityka, w dużej mierze zależy od umiejętności kłamania z uśmiechem na ustach. Dlatego też teraz obróciła się do syna, zastanowiła przez chwilę, wreszcie zmarszczyła brwi. - Nie mam pojęcia. Co takiego?

- Zegar! - odparł ze śmiechem.

Meg także się roześmiała i starła mu kilka płatków z policzka. Keith chrząknął z rozbawieniem i potargał synowi włosy.

Sam zrobił unik i potrząsając głową, przywrócił swojej fryzurze poprzedni kształt.

- Tato!

Keith przyglądał mu się przez chwilę z czułością, po czym wrócił do czytania. Bywał na swój sposób nieśmiały, nawet w kontaktach z żoną i synem, dlatego nie podniósł wzroku nad gazety, kiedy zaproponował:

- Może poszlibyśmy w sobotę na mecz, jeśli nie będę musiał pracować? - Zupełnie, jakby się obawiał, że mu odmówią. I dodał: - Tym razem gramy z... - Popatrzył pytająco na Meg. - Z kim tym razem gramy?

Obecni i przyszli rywale licealnej drużyny byli dobrze znani większości mieszkańców Cleary.

Meg odparła:

- Zapomniałeś, że w ten weekend nie ma meczu? Mamy festyn. Jeśli weźmiesz wolne, możemy pójść wszyscy razem.

- Właśnie! - zawołał Sam załamującym się z podniecenia głosem.

- No, brzmi źle.

Meg dodała:

- Może powinnam zgłosić do konkursu swój przecier jabłkowy.

Keith odpowiedział wolno:

- No pewnie. Mogłabyś to zrobić. On i Sam wymienili spojrzenia.

Zaprotestowała:

- Nie był aż tak zły.

- Był smaczny, mamo. Naprawdę.

- Może tylko - zasugerował ostrożnie Keith - następnym razem powinnaś dodać trochę spożywczego barwnika.

- Malkontenci. - Meg otworzyła „Timesa” na stronie z ogłoszeniami o kupnie i sprzedaży nieruchomości i policzyła prowizję, jaka przypadłaby jej w udziale w ubiegłym roku, gdyby zajmowała się sprzedażą domów w Scarsdale albo Greenwich zamiast w Cleary.

O siódmej trzydzieści przyjechał autobus i Meg rzuciła Samowi pudełko z lunchem, ozdobione wizerunkami zawodowych zapaśników. Objął ją, a potem zniknął za frontowymi drzwiami.

Wtedy to Keith zapytał:

- Czy tamten facet zadzwonił w końcu do firmy ubezpieczeniowej?

- Jaki facet? - spytała.

- Ten z wypadku. Filmowiec. Psstryk.

- A, tamten. Całkiem o nim zapomniałam. Nie wiem. Zadzwonię do niego i zapytam.

Keith spojrzął na zegarek, mruknął:

- O cholera - i wszedł szybko po schodach na piętro. Wrócił po dziesięciu minutach; wyglansowane na wysoki połysk buty i granatowa marynarka dopełniały jego oficjalnego stroju.

Przelotny całus w policzek i Keith zniknął za kuchennymi drzwiami.

- Na razie, kochanie! - zawołała za nim.

Keith uniósł w górę dłoń i coś odpowiedział, ale nie usłyszała, co. Jego słowa zagłuszył tamten dźwięk, który ponownie wypełnił jej uszy, szum Polaroidu. I chociaż bardzo się starała, nie mogła go od siebie odpędzić.

Pan Pellam?

Pellam uśmiechnął się i uściśnął dłoń mężczyzny, rozglądając się jednocześnie wokoło.

Scena była jak żywcem wzięta z naprawdę kiepskiego filmu - takiego, jakiego Alan Lefkowitz nawet by się nie tknął. Znajdowali się w małym, dusznym biurze miejskiego urzędu. Na ścianie kalendarz z fotografią przedstawiającą tartak, martwy kwiat w tkniętej suszą doniczce, kilka pożółkłych teczek, mapa nosząca datę „1964”. Woń cierpkiej, starej kawy, papieru i stęchłej tektury.

A za biurkiem - przedstawiciel lokalnej władzy o wyglądzie tego kaznodziei z telewizji, Orala Robertsa, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Pan jest burmistrzem, zgadza się?

- Hank Moorhouse. - Srebrzyste włosy, błękitny garnitur, bladozielona, błyszcząca koszula i krawat w brązowo-żółte paski. Obwisłe policzki i pokryta drobnymi krostkami skóra. Przekrwione oczy. - Burmistrz i sędzia pokoju w jednej osobie. Po pierwsze, proszę przyjąć nasze szczerze kondolencje z powodu tego, co spotkało pańskiego przyjaciela. Czy mógłbym coś dla pana zrobić?

Pellam dyskretnie zlustrował niedzielny, wyjściowy strój Moorhouse'a.

- Chciałbym zobaczyć raport koronera dotyczący śmierci mojego przyjaciela. Zastępca szeryfa...

Nie wierzył własnym oczom, kiedy mężczyzna skinął głową i zaczął przeglądać piętrzące się na jego biurku dokumenty. Spod sterty papierów wyciągnął jakąś teczkę.

- Oczywiście, proszę pana. Bardzo proszę.

Pellam otworzył ją. Na wierzchu leżały zdjęcia przedstawiające ciało Marty'ego -

zrobione na miejscu eksplozji i w trakcie autopsji. Na ich widok poczuł się tak, jakby ktoś raził go prądem. Na chwilę zamknął oczy, a potem spojrzał na niewzruszoną twarz Moorhouse'a i przełożył błyszczące zdjęcia pod spód. Przeczytał krótki, niechlujnie wystukany na maszynie raport.

Przyczyną śmierci był szok i utrata krwi na skutek rozległych oparzeń. We krwi znaleziono śladowe ilości alkoholu, ale nie narkotyków.

- Skąd pomysł, że zginął w trakcie palenia kokainy, skoro coroner nie znalazł w jego organizmie ani śladu narkotyku?

Moorhouse pozwolił sobie na ostrożny śmiech.

- Och, wie pan, to proste. Wyraźnie widać, że zginął, zanim zdążył cokolwiek wypalić.

Pellam oddał mu teczkę.

- Chciałbym zobaczyć policyjny raport, jeśli to możliwe.

- Przykro mi. To nie jest dokument...

- ...przeznaczony do wiadomości publicznej.

Moorhouse przytaknął.

- Niestety. Zgadza się, proszę pana.

- A wzięliście pod uwagę możliwość, że został zamordowany?

- Nie ja się tym zajmuję, proszę pana. Do takiego wniosku mogą jedynie dojść szeryf i coroner. Tom - nasz szeryf - wyjechał akurat z miasta na dzień lub dwa. A jeśli chodzi o coronera, to, no cóż, chyba sam pan widzi? - Moorhouse postukał w teczkę. - Naczelnny lekarz hrabstwa zdaje się nie mieć żadnych wątpliwości.

Pellam nie ustępował:

- A jak to jest z zezwoleniami?

Moorhouse przechylił się do tyłu na swoim zielonym fotelu obitym sztuczną skórą.

- W tej sprawie nie musi pan rozmawiać ze mną. Może je panu wydać urzędnik ratusza.

- Naprawdę?

- Tak jest. Na jelenie będą pana kosztować dwadzieścia pięć dolarów. Niedźwiedzie są pod ochroną, natomiast gęsi...

Pellam uśmiechnął się.

- Ja mówię o tym, że odmówił pan mojej wytwórni wydania zgody na nakręcenie tutaj zdjęć.

- A, o to chodzi. To prawda.

- Dlaczego?

Moorhouse wyciągnął kawałek przezroczystej taśmy klejącej z plastikowego podajnika, skleił ją w palcach i zaczął żuć. - Gdyby pański przyjaciel zabił się w wypadku albo rzucając się pod samochód, żeby ocalić małą dziewczynkę, wywiesilibyśmy w mieście transparenty powitalne na cześć waszej ekipy. Ale chłopak palił kokainę...

- Wcale nie palił kokainy. Nigdy jej nie zażywał. Podróżowaliśmy razem od wielu miesięcy.

- Mimo to znaleźliśmy fiolki z kokainą - i haszysz.

- Wątpię, aby należały do niego.

- Myśli pan, że ktoś przyszedł i wrzucił do płonącego samochodu paczkę haszyszu zapakowanego w folię aluminiową?

- Skoro policja ją tam znalazła, to tak, tak właśnie myślę.

- Co pan sugeruje, proszę pana?

Siedzący przed nim mężczyzna, podobnie jak obaj zastępcy szeryfa, zdecydowanie nadużywał formułki „proszę pana”. Za każdym razem te dwa słowa zdawały się przybierać w jego ustach inne znaczenie.

- To niemożliwe, żeby miał przy sobie narkotyki.

- Jak może pan być tego taki pewny?

- Po prostu jestem.

- No cóż, to i tak nie ma znaczenia. Od nas zależy, czy wydajemy zezwolenia, czy nie.

Tym razem postanowiliśmy tego nie robić. Nie mam nic więcej do dodania. Jesteśmy samowystarczalną społecznością.

Pellam zamrugał, zastanawiając się, co u licha miałyoby to znaczyć.

- Chcę przez to powiedzieć, proszę pana, że nie potrzebujemy tutaj waszego filmu. Nie trzeba nam waszych hollywoodzkich pieniędzy.

- Wcale tego nie sugerowałem.

Moorhouse uniósł w górę dłonie.

- W takim razie wszystko jest jasne. Nie ma już nic więcej do dodania.

- Chyba nie.

Pomarszczona, obwisła szyja Moorhouse'a napięła się, gdy ten pozwolił sobie na zdawkowy uśmiech. Wsunął szufladę biurka. - A teraz... Mam dla pana bilet... Lotniczy, a nie miejski parkingowy...

- Ale ja nigdzie nie wyjeżdżam.

- Pan nie...

- Nie wyjeżdżam.

- Aha. Rozumiem.



Pellam dodał:

- Bardzo tu u was ładnie. Liście i w ogóle.
- Przyjeżdżają do nas turyści z całego świata.

Pellam odrzekł:

- To zrozumiałe.
- A więc jeszcze przez jakiś czas będzie pan podziwiał nasze drzewa?
- Wie pan, bez tych zezwoleń i tak nie mam nic do roboty. Więc chyba mogę pozwolić sobie na krótki urlop.

- Urlop. - Z taśmy klejącej nic już prawie nie zostało. Brwi Moorhouse'a niemal niedostrzegalnie zbliżyły się do siebie, nie więcej niż o parę milimetrów. - To wspaniale.

Cieszę się, że nasza mała miejscowość zrobiła na panu wrażenie. Hm, muszę jednak wspomnieć o pewnej rzeczy, dla pańskiego dobra. Ta pańska przyczepa. Nie może pan parkować na ulicach miasta nocą do szóstej rano. Chyba że wykupi pan bilet. Miejski parkingowy, nie lotniczy, rzecz jasna.

- Założę się, że jest to ściśle przestrzegane.
- Tom i jego chłopcy potrafią utrzymać porządek. Pellam podszedł do drzwi.

Przystanął.

- A samochód?
- Samochód, proszę pana?

Cholera, chyba też powinien nauczyć się tak mówić. Proszę pana, proszę pana, proszę pana... To było bardzo w duchu Zen. Zupełnie jak mantra.

- Samochód, którym jeździł Marty Ten, który się spalił. Macie go nadal na przechowaniu, prawda?

- Wydaje mi się, że już został sprzedany.
- W ciągu dwóch dni?
- Na złom.
- Tak sobie...?
- Sprzedaż samochodu to nic trudnego, proszę pana.
- Chodzi mi o to, że będzie chyba jakiś proces, tak? Jakieś dochodzenie.

- Policyjne dochodzenie zakończyło się wraz z wydaniem raportu przez koronera. Jeśli chciałby pan się dowiedzieć czegoś więcej, niech pan zapyta w wypożyczalni.

- Dziękuję za okazaną pomoc... - Pellam otworzył drzwi, po czym odwrócił się i dodał:
- Proszę pana.

\*

Meg Torrens oparła się o zagłówek i usłyszała znajome skrzypienie krzesła. To było najstarsze krzesło w tym starym biurze, nauczycielskie krzesło z ciemnego dębu, ze skomplikowanym mechanizmem sprężynowym pod rzeźbionym siedzeniem, które jak dotąd nie pasowało do niczyich pośladków.

- Wex - powiedziała. - Mogę cię zapewnić, że nie zgodzą się na nic innego jak na zabudowę jednorodzinną i niekomercyjną. Mówimy tu przecież o planowaniu przestrzennym w Cleary...

Wexell Ambler siedział naprzeciwko i z niezadowoloną miną przyglądał się leżącemu przed nim planowi.

W agencji nieruchomości Dutchess County Realty panował niczym niezmałcony spokój, jak to

zwykle przed południem. W handlu nieruchomościami godziny największego ruchu przypadały na wieczory i soboty, chociaż Meg wątpiła, aby rzeczywiście można było w ten sposób opisać to, co się działo w Cleary (Tak, panie Pellam, miał pan stuprocentową rację: ludzie w Cleary nie bywają zajęci. Nigdy nie byli i nigdy nie będą). Niewielkie biuro zagracone było przez trzy biurka i niepasujące do siebie krzesła, sfatygowane regały oraz eklektyczny wybór wiecznie zapalonych lamp, jako że zewnętrzna żaluzja od roku była opuszczona i nie dawała się podnieść. Pomieszczenie ozdabiały: jeden pozółkły fikus, kilka prymitywnych rysunków domów wykonanych w szkole podstawowej przez córkę jednego z pośredników oraz ogromna ścienna mapa Cleary i okolic, na której miasteczko wyglądało o wiele bardziej imponująco niż w rzeczywistości.

Ambler obrócił kilkakrotnie plan i przestudiował go. Żadne z ułożeń go nie satysfakcjonowało.

Wex Ambler był wysokim mężczyzną - miał metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Był szczupły, nieco po pięćdziesiątce. Miał mocno przerzedzone włosy, chociaż zostało mu się kilka bujniejszych kosmyków, które sterczały mu we wszystkie strony. Miał też pociągłą twarz i zawsze starał się trzymać głowę uniesioną do góry; w przeciwnym razie pod brodą tworzyło mu się niewielkie wole z obwisłej skóry. Grał w golfa, przebiegał trzy kilometry dziennie i był członkiem rady miejskiej. Uważał (wyjątkowo zgodnie w tej kwestii z resztą miejscowej populacji), że jest najbogatszym człowiekiem w Cleary. Był właścicielem Foxwood, jedynego osiedla bloków mieszkalnych w mieście, a poza tym najpopularniejszym developerem w tej części hrabstwa. (Nieruchomości oraz śmierć bogatego krewnego były w Cleary jedynymi sposobami na szybkie wzbogacenie się).

Współpracownica Meg, blondynka o końskiej urodzie o imieniu Doris, szybkimi ruchami ołówka wykreślała kolejne pozycje na swojej liście rzeczy do zrobienia. - A sio! -

mówiła za każdym razem. Wyprowadzona z równowagi tak jawnie okazywanym samozadowoleniem, Meg rzuciła jej poirytowane spojrzenie - choć Doris w ogóle tego nie zauważyła - po czym ponownie odwróciła się do Amblera.

- Oni nie są... - Ambler szukał właściwego słowa. - Postępowi. Meg roześmiała się, a jej mina mówiła: „Dopiero na to wpadłeś, jeśli chodzi o Cleary?”.

Wiedziała, że Ambler opowiadał wielu osobom - swojej byłej żonie, partnerom, a nawet całkiem obcym ludziom - iż jego życiowym celem nie jest gromadzenie olbrzymich bogactw. Tym, co najbardziej ukochał, było przedsiębiorcze działanie. Nieważne, co robił, byle miał przed sobą jakieś wyzwanie. Sam proces dostarczał mu więcej satysfakcji i podniecenia niż kapitał, jaki ze sobą przynosił.

A mimo to mówił teraz:

- Według mnie różnica między działkami o powierzchni trzech tysięcy metrów i ośmiu tysięcy metrów... - Podniósł głowę znad papierów, przeliczył. - ...wynosi około ośmiu milionów dolarów. W sumie. Za wszystkie działki.

- Ale przed opodatkowaniem - odparła z powagą, marszcząc brwi. To miał być żart.

Ambler go nie docenił.

- Wyznaczenie nowych planów potrwa wieki całe.

Meg zauważyła:

- To najlepsze tereny na północ od miasta. Są...

- Meg - Doris oderwała się od swojej listy. - Popatrz. To on. Wygląda na to, że wcale go tak bardzo nie poturbowałaś.

Podniosła głowę i przyjrzała się chudemu mężczyźnie w dżinsach idącemu w dół Main Street.

- To jest ten...? - spytała Meg.

- Tak - przytaknęła Doris.

Spojrzenie Amblera powędrowało w ślad za nim.

- Kto to? Doris odwróciła się do niego z wyrazem podniecenia na twarzy. - Nie słyszał pan? To ten człowiek z wytwórni filmowej. Meg potrąciła go samochodem. - Uśmiechnęła się do

Meg i wróciła do skreślania pozycji na swojej liście.

Ambler odparł jednak:

- Wiem, słyszałem. Podobno widzieli cię też w jego pokoju...

Meg zamrugała powiekami. Doris poderwała głowę znad biurka i odłożyła ołówek.

Ambler pokręcił głową.

- Miałem na myśli pokój w klinice.

Oczy Meg zapłonęły.

- Poszłam zobaczyć, jak się miewa.

- Nie mówiłaś mi o tym - zauważyła Doris.

- A słyszeliście, co się stało z jego partnerem? - spytała Meg.

- Nie - zaciekawiła się Doris.

- Nie słyszeliście o tym wypadku? - ciągnęła Meg.

- Jakim wypadku? - Ambler popatrzył na nią.

- Sama niewiele wiem. Tylko tyle, że palił narkotyki i wysadził się w powietrze.

Zginął na miejscu.

- O mój Boże - wykrzyknęła Doris. - Ten pożar w parku to było to?

- Właśnie.

Ambler milczał. Patrzył teraz przez okno.

Doris odezwała się:

- Masz pecha, kochana. Wie pan, panie Ambler, tydzień temu, zaraz jak ci dwaj się tu zjawili,

Meg nie mówiła o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wkręcić się na zdjęcia próbne...

- Doris - warknęła Meg.

Doris zwróciła się do Amblera:

- Meg pracowała trochę jako modelka na Manhattanie, wiedział pan? Jej zdjęcia były kilka razy w „Vogue’u” i „Self”. I w „Woman’s Day”.

- Chyba coś słyszałem - mruknął Ambler.

Doris szczebiotała dalej niczym podlotek:

- Wiem, że chciałaś się dostać na zdjęcia próbne, ale...

- Wystarczy!

- ...ale żeby od razu gościa przejechać? To dopiero zagrywka.

Suka - powiedziała bezgłośnie Meg do Doris, która zamrugała powiekami i wróciła do swojej listy.

Ambler przestał jej się przyglądać i znowu wyjrzał przez okno, starając się coś wypatrzyć po drugiej stronie ulicy. Meg od razu to zauważyła. Dostrzegła też Pellama, który stał przed cukiernią Marge i zdejmował pokrywkę ze styropianowego kubka z kawą.

- I co on tutaj robi? - zapytał Ambler.

Meg odpowiedziała:

- Szukali plenerów do filmu. Facet jest dokumentalistą.

- Nie, chodzi mi o to, dlaczego nie wyjechał z miasta? Skoro jego kumpel nie żyje...

Doris odezwała się:

- Wiecie, rozmawiałam z Dannym, tym, który pracuje u Marge na popołudniową zmianę. Słyszał od Betty z biura Moorhouse'a, że gość zamierza zostać u nas jakiś czas.

- Tak? - spytali jednocześnie Meg i Ambler.

- Betty tak powiedziała Danny'emu.

- Czyli jednak nakręcą u nas ten film, co? - spytał Ambler.

- Nie wiem - mruknęła Doris.

Meg patrzyła w szybę; widziała Pellama pomiędzy odwróconymi literami napisu na witrynie. Nie odrywając od niego wzroku, powiedziała: - Posłuchaj, Wex, rozumiem twój punkt widzenia, ale weź pod uwagę warunki i ukształtowanie terenu. Jest praktycznie płaski; będziemy mieć zerowe nachylenie. A wycinka? Drzewa zajmują tylko jedną czwartą całej działki i na dodatek rośnie tam tylko płytko ukorzeniona sosna. Nie trzeba ich będzie nawet dotykać, chyba że zdecydujesz się pójść w tamtą stronę z kanalizacją.

- Nie mówię, że nie chcę tych działek. Mówię tylko, że nie chcę podziału na działki o powierzchni ośmiu tysięcy metrów. Byłoby idealnie, gdyby miały po dwa tysiące metrów.

Meg zmarszczyła brwi.

- Dlaczego od razu nie zrobić sześćdziesiąt na czterdzieści? Spalić las i wykarczować.

Zrobić bloczki z tworzyw popiołowych. - W jej głosie pojawiła się irytacja.

Oboje zdali sobie sprawę, że dyskutują, wyglądając przez okno. Jednocześnie odwrócili głowy i spojrzeli na siebie. Ambler wstał. Meg zmarszczyła brwi. Przyszło jej do głowy, że mógł się obrazić. Odezwał się:

- Będę musiał się nad tym zastanowić.

- Mam jeszcze jednego dewelopera, który jest zainteresowany - powiedziała Doris.

Kogo?

Ralph Weinberga.

- Ach, on - mruknął Ambler. - Chciałabyś sprzedać ten teren... komuś takiemu jak on?

- Płaci tak samo jak wszyscy.

Ambler milczał przez chwilę.

- Nie mam teraz do tego głowy Wybacz.

Zasnąć w płytkim grobie / wytwórnia big mountain

STUDIOS

ROZJAŚNIENIE:

PLENER, DZIEN, CMENTARZ, MIASTECZKO BOLTS CROSSING, STAN

NOWY JORK

NAPISY, widzimy KAMIENNE ANIOŁY na cmentarzu. Nieregularne granitowe nagrobki, obtłuczone i połamane, zniszczone przez pogodę. Anemiczna trawa, mdłe, upiorne oświetlenie barwy pogrzebanych tutaj kości.

Pellam pociągnął łyk bourbona i pochylił się nad maszyną.

Po drodze wstąpił do domu pogrzebowego, żeby zapłacić za odesłanie trumny z ciałem Marty'ego do Los Angeles i dowiedział się, że wszelkie opłaty zostały już uiszczone przez Alana Lefkowitza. Następnie spędził w ciszy kilka minut sam na sam z Martym w pomieszczeniu na tyłach

domu pogrzebowego, gdzie przygotowywano zwłoki do transportu.

Tak naprawdę była to zwykła załadownia. Chciał coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. W niewielkiej kaplicy w pobliżu pomieszczenia, w którym stała trumna, znalazł

Biblię. Przez trzy, cztery minuty szukał jakiegoś fragmentu, który by mu się spodobał. Nic się nie nadawało. Odłożył Biblię na miejsce, dotknął gładkiego, ciężkiego wieka i wrócił do swojej przyczepy.

Był wietrzny wieczór i wóz kempingowy kołysał się lekko, przypominając mu pobyt na łodzi, chociaż jak dotąd pływał tylko dwa razy. Z jego żołądka co jakiś czas dobiegało głucho bulgotanie. Kolacja złożona z szynki w sosie owocowym, którą zjadł wcześniej w Cedar Tap, najwyraźniej mu nie posłużyła.

Wrócił do maszyny, niewielkiego, przenośnego urządzenia produkcji niemieckiej.

Zaczął stukać w klawisze.

...Cmentarz znajduje się na płaskowyżu. Zbocze jednego ze wzgórz porośniętych sosnowym lasem opada łagodnie w kierunku cmentarza. Po drugiej stronie teren schodzi w dół ku rzece. Z tego miejsca można dojść wprost do miasteczka. Stara armata jest mała i pokryta grubą warstwą farby, tak jak ławki w parku. Witryny sklepowe są wypłowiałe i pełne staroci, których nikt nie chce, narzędzi, których nikt nie potrzebuje. Temu miastu udało się osiągnąć coś wyjątkowego: z powszechnie tu panującej atmosfery znużenia uczyniło paliwo napędzające tysiące małomiasteczkowych marzeń.

UJĘCIE: masz, którego lina szarpana wiatrem wydaje brzęczący odgłos.

UJĘCIE: samochód terenowy z napędem 4x4 przejeżdża z rykiem silnika; strzela rura wydechowa. Prowadzi go MŁODY CZŁOWIEK, z uśmiechem pozdrawia NASTOLETNIĄ DZIEWCZYNĘ. To typowy mieszkaniec Cleary: zadziera nosa, jest pewny siebie, okazuje sympatię tylko swoim ziomkom tej samej rasy. KAMERA PODĄŻA za jego samochodem aż...

DŁUGIE UJĘCIE: z naprzeciwka nadjeżdża motocykl, prowadzi go ostrożnie trzydziestokilkuletni mężczyzna. W jego wyglądzie jest coś złowróbnego. On...

Drgnął, słysząc na zewnątrz trzask drzwiczek samochodu. Przez zasłonięte okna widział światła, ale pochłonięty pisaniem nie zauważył, że nie zniknęły za wzniesieniem, tylko zatrzymały się przy jego wozie.

- Halo, Pellam, jesteś tam? Zobaczyłam światło - rozległ się kobiecy głos.

Otworzył drzwi.

- Cześć - powiedział i wpuścił Janine do środka.

Akurat tędy przejeżdżałam.. No wiesz. - Roześmiała się, stawiając na stole torbę z zakupami. Rozejrzała się po kabinie. - Wiesz, co mi to przypomina? Samolot.

Co to był za zapach? Zjawił się razem z nią. Pellamowi przysła do głowy świeżo skoszona trawa. Wyjrzał na zewnątrz, po czym zamknął drzwi do przyczepy i zaryglował je.

- Luksusowe skojarzenie - powiedział. - W wytwórni nazywają je gnojowozami.

- Dlaczego?

- Istnieje kilka teorii - odparł. - W żadną z nich wolałbym się teraz nie zagłębiać.

- Słuchaj, dowiedziałam się o twoim przyjacielu. Tak mi przykro.

- Dziękuję.

- Co się stało?

Pellam był zdania, że smutek, podobnie jak radość, najlepiej tłumaczyć prostymi słowami. - Wypadek samochodowy.

- To straszne. Okropne. - Wyglądało na to, że rzeczywiście tak myślała i Pellam zastanawiał się, czy kobieta się rozpłacze. Miał wielką nadzieję, że tego nie zrobi. Dodała: - A co mówiłam ostatnio o Cleary? Co tydzień w „Leaderze” czyta się o wypadkach samochodowych. - Przyjrzała mu się uważnie i ruchem głowy wskazała jego udo (przerażające, jak szybko rozchodzą się plotki w takich małych miasteczkach). - A jak ty się czujesz?

- To nie ta noga. Ale wylizę się z tego.

Z jej głosu zniknął smutek; był wdzięczny, że mu go okazała, nie przesadzając jednocześnie z emocjami.

- Mogę ci ją wymasować. Uczyłam się masażu leczniczego.

- Może później. W tej chwili jest jeszcze trochę obolała.

Rozejrzała się ciekawie po wnętrzu przyczepy. Jej spojrzenie zatrzymało się dłużej na jednym z elementów wystroju: afiszu reklamującym film Abła Ganza „Napoleon” z nowojorskiego festiwalu filmowego. Za każdym razem, gdy jakaś nowa rzecz przykuła jej uwagę lub ją rozbawiła, wydawała z siebie cichy śmiech.

- Słyszałam, że nie nakręcicie jednak u nas filmu.

- Zgadza się.

- Ale ty zostajesz?

- To też prawda. Wywalili mnie z roboty.

- Nie! Dlaczego?

- Takie jest Hollywood.

- Co za pech. - Mimo wszystko wcale nie wyglądała na przybitą. Dotknęła jego ramienia. -

Przykro mi z powodu filmu, ale cieszę się, że zostajesz.

Nie odpowiedział.

Odczekała kilka sekund, po czym puściła jego ramię i znowu się rozejrzała.

- Nie dostajesz tu czasami klaustrofobii?

- Nie jest aż tak źle.

- Czy ja ci przypadkiem nie przeszkadzam? - Mówiąc to, rozsiadła się wygodnie we wnęce jadalnej, najwyraźniej czując się jak u siebie.

Kiedy pada tego typu pytanie, bywa, że trzeba odpowiedzieć: „Tak, przeszkadzasz”; są też chwile, kiedy mówi się: „Ależ skąd”.

Pellam odparł:

- Nie, ależ skąd.

- Przyniosłam ci coś na deser.

- Na deser?

- Mówiłeś, że lubisz słodkie. Pamiętasz tamto ciasto u Marge? Kiedy mnie podrywałeś? W poniedziałek? - Z każdym zdaniem jej brwi unosiły się coraz wyżej.

- Tak, pamiętam. On ją podrywał? i było paskudne - dodał.

- Powinłam była cię ostrzec. Moje desery nie są paskudne. Opróżniła torbę, wyjmując z niej najpierw niewielką paczuszkę zapakowaną w folię, a następnie termos, dwa kubki i słoik miodu.

- Herbata. Ziołowa herbata. Owoce dzikiej róży i trawa cytrynowa. Bardzo relaksująca.

- Rozwinęła folię. - I ciastka czekoladowe z orzechami.

- No, z orzechami. - Pellam przyjrzał im się uważnie. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Chwileczkę. Czy to...? To chyba nie jest to, o czym myślałem?

Owszem. Mają przez to trochę goryczki, ale taka już jest meskalina, nie? Mimo to warto spróbować. Mówię ci, człowieku... słabsza niż marihuana, ale z drugiej strony nie budzi cię potem kaszel. Masz jakiś talerz?

Poszperał w szafce.

- Tylko plastikowy.

- Wstydź się. Jednorazowe talerze? Czym ci przyroda zawiniła? - Janine pokroiła ciastka, przyniosła ze sobą również własny nóż.

Pellam odgryzł kawałek. Ciastko miało gorzki smak i zostawiało na języku kawałki rozmięklej rośliny. Herbata smakowała ohydnie, ale trzeba było czymś przepłukać usta.

- Miodu? - Podsunęła mu słoik.

- Nie. - Pociągnął łyk wodnistej napary. Zerknął na butelkę whisky. Kuszące.

Przyszło mu jednak do głowy, że według Janine wytwarzanie alkoholu z roślin może być czymś okrutnym. - Wspomniała, naprawdę - powiedział. Skończyła już swój kawałek ciastka.

Przeżuł więc resztę swojego.

Spojrzała na zapisaną na maszynie kartkę.

- Mogę? - Wyciągnęła ją z maszyny i przeczytała w skupieniu. Po kilku minutach wydała kolejny ze swoich zaskoczonych, cichych chichotów. - To fantastyczne. Zupełnie jak poezja. Tak się pisze scenariusze?

- Ja tak piszę scenariusze.

- Nie wiedziałam, że jesteś pisarzem.

- Piszę rzeczy, których nikt nie czyta, tak jak... - Ugryzł się w język. Miał zamiar powiedzieć: „Tak jak ty sprzedajesz domy, których nikt nie kupuje”. Świetny tekst, tylko niewłaściwa kobieta. -  
...wszyscy inni w Hollywood.

- Rozumiem. Ale przecież cię, no, zwolnili?

- To zwariowany biznes - odparł, nie zagłębiając się w dalsze wyjaśnienia.

Przeczytała kilka kolejnych fragmentów. - Cholera, Pellam, to czysta poezja.

- Sam film jest dobry, ale mógłby być o wiele lepszy. Poza tym stawki Gildii za poprawianie scenariuszy są nieprzyzwoicie wysokie.

- Wiesz, kogo mi to przypomina? Renoira? Felliniego? Davida Lyncha?

- Kogo? - spytał.

- Kahlila Gibrana.

- Co takiego? Spróbował się uśmiechnąć. Czy to nie był ten poeta romantyczny?

Pellam nie czytał go, ale miał wrażenie, że w Hallmark lubią cytować fragmenty jego wierszy.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- No, naprawdę, naprawdę tak myślę.

- No cóż, dzięki.

- Te opisy są fantastyczne.

- Uważam, że sceneria jest jednym z głównych bohaterów filmu - wyjaśnił. - Wybór miejsca akcji może sprawić, że będziemy mieć do czynienia z zupełnie innym filmem. To tak, jakby obsadzić Denzela Washingtona zamiast Wesleya Snipesa. Te same kwestie, ten sam reżyser, ale inny film. Ale żeby Kahlil Gibran?

- Skoro tak świetnie piszesz, dlaczego jesteś tylko dokumentalistą?

- Tylko?

- Wiesz, co mam na myśli.

Wiedział.

- Lubię podróżować. Nie cierpię zebrań. Nie cierpię Kalifornii. I nie mam garnituru...

- Brzmi, jakbyś recytował katechizm.

- In nomine Zanuck, et Goldwyn, et spiritus Warner.

- Och. To będzie film z jakimś przesłaniem?

- Dział reklamy powiedziałyby, że opowiada o zdradzie i namiętnościach. Ale to chyba zwykły film o miłości.

Zmrużyła oczy i zlizwała miód z zaróżowionego palca. - Chyba?

- Trudno powiedzieć, co tak naprawdę jest miłością. - Pellam odłamał kolejny kawałek ciastka.

Żadnego rauszu, żadnych ludzików zapychających mu watą szczeliny w mózgu. Był rozczarowany.

Ona znowu rozglądała się po wnętrzu wozu. Wysunęła kilka szuflad, pokiwała głową.

- Nie masz nic przeciwko temu? - Wyczuł, że odpowiedź twierdząca i tak by jej nie powstrzymała. Podeszła do szafki, otworzyła ją i zaczęła wyjmować ze środka podniszczone albumy.

Był jednak szybszy i delikatnie wyjął je z jej rąk, śmiejąc się przy tym.

- Ojej, przepraszam - powiedziała. - Chyba jestem trochę wścibska, co?

Pellam uśmiechnął się i odłożył albumy na miejsce.

Przez chwilę mu się przyglądała. - Wiesz, myślałam dziś o tym przez cały dzień.

Wydajesz się taki znajomy... Jest w tobie coś... Może gdzieś o tobie czytałam?

- O mnie?

Janine pokręciła głową.

- Może - odparła poważnie - spotkaliśmy się w poprzednim życiu.

Słyszał już kiedyś coś podobnego. Czasami mówiły: „Ty i ja to pokrewne dusze”.

Czasami waliły prosto z mostu: „Mogę iść z tobą do przyczepy?”. A czasami nie mówiły nic, tylko patrzyły na niego głodnym, rozżalonym wzrokiem. To było najgorsze.

Pellam mruknął:

- W poprzednim życiu, tak? Może byłaś pionierką, a ja kowbojem. - Opowiedział jej historię Dzikiego Billa Hickoka.

- Cholera, Pellam, to rewelacja. Prawdziwy bandyta!

- Naprawdę nazywał się - zawsze muszę to podkreślać - James Butler Hickok. Nie William. - Zamrugnął powiekami i przyjrzał się ciastku. Zdawało się unosić w powietrzu.

Odłamał jeszcze jeden kawałek i zjadł. - Tak czy owak, był moim... - Na chwilę jego umysł przestał pracować. Z trudem znalazł właściwe słowo. - ...krewnym. To znaczy moim przodkiem. Ze strony matki - dodał.

W oczach Janine błyszczał entuzjazm. Wysunęła swoje wąskie biodra z wnęki i wstała. Dokąd się wybierała? W kabinie nie było zbyt wielu możliwości manewru. Spytała:

- A to nie on prowadził Wild West Show? Ten, w którym występowała Annie Oakley?

- Nie, nie, nie - tamten nazywał się Buffalo Bill. William Cody Dzikie Bill był rewolwerowcem. Najszybszy strzelec i tak dalej. Zupełnie jak w filmach. Buffalo Bill zatrudniał go przez jakiś czas w swoim show, ale kiepski był z niego artysta. Najlepiej wychodziło mu strzelanie do ludzi. I tyle. Może więc znałaś Dzikiego Billa w swoim poprzednim życiu.

- Och, ale w poprzednim życiu nie żyje się życiem swoich przodków. Może na przykład byłeś



szeryfem, którego zabił Dzikie Bill i powróciłeś...

- On nie zabijał szeryfów. Był tropicielem i urzędnikiem sądowym.

- Okej, w takim razie zabitym przez niego indiańskim wojownikiem. Albo złodziejem byłą. Ja mogłam być indiańską squaw. I spotkaliśmy się kilka razy w przeszłości...

Pellam całkiem zgubił wątek. Janine zniknęła w tyle przyczepy. Dobiegł go jej stłumiony głos.

- Bardzo tu wygodnie. - Usłyszał odgłos włączanej lampki nocnej. - Przytulnie, wiesz?

- Pewnie tak. - Ruszył niepewnie w jej stronę. - A może byłem kochankiem żony złodzieja byłą... - Urwał.

Janine wyciągnęła się na łóżku. Pellam zdał sobie sprawę z tego, że gapi się na jej cycki. Zauważyła jego spojrzenie, więc powiedział szybko:

- Ładny wisiołek. Sama zrobiłaś? - Wskazał srebrny naszyjnik z wisiorkiem w kształcie księżyca w pełni. Księżyc miał kobiecą twarz i zawstydzoną minę.

Uniosła się i podsunęła mu wisiołek pod nos. Spróbował skupić na nim wzrok. -

Najbardziej chodliwy towar w moim sklepie. - Nagle zmarszczyła brwi.

- Co się stało?

- No wiesz, przyniosłam ci ciastka i herbatę, a ty nawet nie poprosiłeś, żebym się rozgościła.

Zgasił nocną lampkę. Księżyc zaglądał do środka przez żaluzje, a jego zimne światło było równie silne jak żarówka. - Wybacz. Jak mogę to naprawić?

- Na początek mógłbyś pomóc mi zdjąć buty.

Podniosła nogę, a on ujął lewą dłonią jędrną łydkę w opiętych dżinsach i chwycił obcas buta. Spojrzał. Miała na sobie kowbojki.

Ile chcesz? - spytał chłopaka Bill.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, Bobby rzucił:

- Weź cztery.

- Powtórz jeszcze, jak masz na imię? - dodał Billy.

- Ned. I pewnie, wezmę cztery.

Naleśnik wykonał salto w powietrzu niczym kość w filmie „2001: Odyseja kosmiczna”

- kość, która zmieniała się w stację kosmiczną. Naleśnik zaś - po tym, jak Bobby, dostosowując się do trajektorii lotu, zwinnym ruchem podsunął pod niego powlekany papierowy talerz firmy Grand Union - w jednej chwili stał się tylko kolejną pozycją w śniadaniowym zestawie nastolatka: naleśniki, kiełbaska, jajka i tost z masłem.

- To było, no wiesz, totalnie fantastyczne - westchnął chłopak, przewracając oczami i odtwarzając spojrzeniem lot naleśnika.

Billy skinął na swojego brata, mówiąc:

- Nikt nie podrzuca naleśników tak jak Bobby.

Kolejny rzut. Ned, solidnie zbudowany siedemnastolatek, zdecydował się ostatecznie zjeść pięć naleśników, a nie cztery.

Bobby wyglądał na jednocześnie skrępowanego i zachwyconego tak otwartą pochwałą swojego talentu. Nic nie powiedział. Wytarł tylko ręce w służbowy fartuch.

Billy i Bobby byli bliźniakami. Niewiele wyżsi od chłopca, mierzyli po około metra osiemdziesięciu i wazyli niecałe osiemdziesiąt kilogramów. Byli jednak mniej umięśnieni niż chłopak i liczyli sobie po trzydzieści pięć lat. Ciemne włosy nosili podobnie uczesane, w stylu lat siedemdziesiątych: z długą grzywką. Myli je mydłem dziegciowym i zawsze unosił się wokół nich zapach apteki. Tego dnia obaj ubrali się na brązowo. Bobby miał białą koszulę, ponieważ zgłosił się na ochotnika do przygotowywania śniadania dla członków Kiwanis.

Billy, który tylko kręcił się w pobliżu i pomagał każdemu, kto potrzebował pomocy, ubrany był w beżową koszulę z krótkimi rękawami we wzory przypominające ogniwa łańcucha.

- Która godzina? - zapytał chłopca, który spojrzał na duży, błyszczący zegarek (prezent urodzinowy, pomyślał Billy).

- Dochodzi jedenasta.

- Zaraz powinniśmy kończyć - zauważył Bobby. Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym serwowano śniadanie - piwnicy Pierwszego Kościoła Prezbiterialnego w Cleary - i gestem wskazał najbliższej stojący stolik do gry w karty, przykryty papierową serwetą. - Siądź tam. Zaraz do ciebie dołączymy.

- Jasne - odparł Ned, zwracając swoją okrągłą, gładko wyszorowaną i zaczerwienioną twarz we wskazanym kierunku.

Bobby przygotował sobie i bratu dwa talerze naleśników z kiełbaskami, po czym przełożył je margaryną. Na koniec dołożył sobie jeszcze kilka dodatkowych kiełbasek i polał obie porcje syropem.

Zawołał do stojącego po drugiej stronie sali Earla Gibsona, kierownika Cleary Bank & Trust oraz przewodniczącego Kiwanis i zapytał, czy mogą teraz zrobić sobie przerwę i coś zjeść. Earl podszedł do nich, uścisnął ich spocone dłonie i powiedział: - Pewnie. - A potem podziękował im

obu, że się tak świetnie spisali. I spytał: - Na czym polega twój sekret, Robercie?

Bobby mrugnął do chłopaka i odparł:

- Napowietrzają się, kiedy je podrzucam, to wszystko.

- Są naprawdę dobre, panie Gibson - dodał Ned, zwracając się do Earla.

A Billy rzucił:

- Drzyjcie wszystkie bary. Mój braciszek Bobby nadchodzi.

Wszyscy się roześmieli, a bliźniacy przysiedli się do chłopca.

Obaj uwielbiali wolontariat. Byli trenerami Małej Ligi i regularnie pracowali w Klubie dla Chłopców w Cleary oraz w Kole Młodych Farmerów. Ale ich ulubionym ochotniczym zajęciem były imprezy takie jak ta - Jesienne Śniadanie Naleśnikowe Kiwanis, letnie grillowanie ze szkoleniami dla bezrobotnych, wreszcie - chociaż żaden z nich nie był żonaty i nie miał dzieci - regularne składkowe kolacje dla biednych dzieci (nie ma nic lepszego jak połączenie dobrego żarcia i pracy ochotniczej).

Ned był jednym z tych nastolatków, którzy potrafią swobodnie rozmawiać z dorosłymi, szczególnie, jeśli są to dorośli w rodzaju bliźniaków, mający pojęcie o sporcie i na tyle wyluzowani, żeby od czasu do czasu pożartować sobie z Polaków albo opowiedzieć jakiś dowcip o babskim okresie czy o cymbałach. Chłopak paplał więc w najlepsze i minęło trochę czasu, zanim Billy i Bobby zorientowali się, czego dotyczy ten niespójny monolog.

- O rany, słyszałem, że to było maksymalny odjazd. Ten Sid, trochę jest z niego palant, no wiecie, ale czasami potrafi być w porządku, akurat przejeżdżał obok i widział tę całą chmurę.

- Chmurę? - spytał Billy, wkładając do ust spory kawałek naleśnika.

- No. Chmurę dymu. Powiedział, że była totalnie czarna. Myślałem, że mu odbiło, poważnie. Mówię mu: „Sorki, stary, ale z benzyny nie ma czarnego dymu”. Ale potem pomyślałem, że to musiały być opony. Słyszeliście o tym nielegalnym wysypisku w Jersey?

Mieli tam z milion opon i jak się zapaliły, nikt nie mógł ich ugasić.

- Chyba to przegapiłem - mruknął Bobby. Zmarszczył brwi. - A ty coś słyszałeś?

- Billy odparł: - Absolutnie nic.

- Ned mówił dalej: - No, więc pogałem zaraz do tego parku. Stan już tam był i nie pozwolił nam podejść bliżej. Ale mówię wam, ciała już nie było, a samochód - powinniście to zobaczyć! Totalnie rozpieprzony. Ekstra!

- Nie słyszałem o żadnym samochodzie, co się stało? - spytał Bobby.

Ned odparł:

- Gość wdychał jakieś łatwopalne freebase<sup>5</sup> czy crack<sup>6</sup>. No i wszystko pierdyknęło jak M 80<sup>7</sup>.

- Co to właściwie jest freebase?

Bobby wzruszył ramionami i dokończył swoje naleśniki, po czym wziął sobie jeszcze na dokładkę połowę porcji brata.

- Nie mam pojęcia.

- A co się stało z facetem, który prowadził? - zapytał Bobby.

- Usmażył się. Jak ta kiełbasa...! - Ned wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł w górę 5

Oczyszczona przy pomocy eteru lub innego rozpuszczalnika organicznego forma kokainy. Eter, jako bardzo niestabilna i łatwopalna substancja, może się zapalić i eksplodować.

6 Kokaina oczyszczona z soli; w przeciwieństwie do freebase, przy jego otrzymywaniu nie ma potrzeby używania substancji łatwopalnych. W porównaniu z innymi formami kokainy crack jest

silnie uzależniający, o natychmiastowym, krótkotrwałym działaniu.

7 Jugosłowiański karabin szturmowy.

kielbasę nabitą na biały plastikowy widelec. Potem włożył ją w całości do ust i zaczął wolno przeżuwać.

- To był ten gość z wytwórni filmowej, tak?

Ned przytaknął:

- No, i to chyba znaczy, że z filmem mamy przechlapane. A mieli kręcić w Cleary.

Chociaż ten drugi ciągle tutaj jest. Kumpel tamtego.

- Chciałbym zagrać w filmie - powiedział Billy.

Ned aż się rozpromienił.

- Właśnie, moglibyście zagrać razem! Chyba nigdy jeszcze nie widziałem w filmie bliźniaków. -

Wytarł palcem syrop z talerza i starannie go oblizał. - Moim zdaniem to byłoby totalnie wystrzałowe.

Tylko wiecie, co mi nie daje spokoju?

- Co takiego?

- No, pomyślcie tylko. Te rozbierane sceny, nie? Jak facet całuje Sharon Stone, Kim Basinger, czy jakąś inną laseczkę, to chyba musi mu stanąć, nie uważacie?

Bobby mruknął:

- No chyba.

- Człowieku, to musi być totalny obciach. Pewnie starałbym się wtedy myśleć, jak zawalczyć o drugą bazę czy coś w tym rodzaju, ale założę się, że i tak by mi stanął. Rany, a gdybym tak doszedł, jak bym ją całował? I wszyscy by to widzieli? Boże, chyba umarłbym ze wstydu.

Bliźniacy popatrzyli na siebie. Nie wyglądało na to, żeby któryś z nich w podobnej sytuacji miał umrzeć ze wstydu.

Billy odezwał się:

- Myślę, że fajnie by było, gdyby zrobili u nas film. Pojechałbyś potem do centrum handlowego, do multipleksu w Osborne, zobaczyć na ekranie naszą własną Main Street.

Ned przytaknął.

- A wiecie, co jeszcze byłoby fajne? Kiedy w filmie się całują; no wiecie, dziewczyna musi się z tobą całować, nawet jeśli uważa cię za głupka. Bo tak jest w scenariuszu. No więc zrobiłbym tak: obejmuję ją, reżyser krzyczy: „Kręcimy..”.

- Chyba „Akcja” - podsunął Bobby.

- Właśnie, „akcja”, a wtedy ja wsuwam jej język tak szybko jak wąż, raz, dwa i po sprawie! A ona musi to wytrzymać. I musi udawać, że jej się to podoba.

- Ale wtedy na pewno by ci stanął - zauważył Billy - i spaliłbyś się ze wstydu... Czy coś z niego zostało?

- Z czego? - Ned ssał swój widelec.

- Z tamtego samochodu?

- Tylko parę metalowych kawałków. Były zupełnie powykręcane i spalone, ale...

- To gdzie jest teraz ten samochód? - chciał wiedzieć Billy.

Ned odparł:

- Jimmy i ja chcieliśmy pójść go obejrzeć. Jest w warsztacie Sillmana. Bo stamtąd go wypożyczyli.

- A jak myślisz, ile jest teraz wart? - zapytał Bobby.

- Wart? Człowieku, to kupa złomu. Z tyłu prawie nic nie zostało. Ale silnik może być cały.

Bobby popatrzył na brata.

- Może powinniśmy mu się przyjrzeć.

- Nie zawadzi.

Bobby zerknął na pusty talerz chłopca.

- Nieźle, kolego, chcesz dokładkę?

- Przecież już zamknięte - zauważył Ned.

- Do diabła, dla ciebie otworzymy kuchnię.

- W takim razie tylko naleśniki z kiełbaskami. Jajek już nie chcę.

- Już się robi - zawołał Bobby w momencie, gdy Billy otworzył usta, żeby powiedzieć to samo.

\*

Dom Wexella Amblera stał przy Barlow Mountain Road, kawałek na południe od Cleary. Teren wokół domu opadał lekko ku zbiornikowi, który na mapach najbliższej okolicy nosił dumne miano jeziora, choć w rzeczywistości był jedynie sadzawką. Przed stu laty niejaki Samuel Bingham, magnat ubezpieczeniowy z Hartford, postanowił z okazji czterdziestych urodzin żony zrobić jej niespodziankę i podarować coś, czego by jeszcze nie miała, co nie pozostawiało mu zbyt wielu możliwości. Jego uwagę zwróciło niewielkie zagłębienie w terenie ich prawie trzydziestohektarowej posiadłości i wpadł mu do głowy pewien pomysł. Wykarczował trzysta jabłoni i postawił tamę na przepływającym tamtędy wąskim strumieniu.

W rezultacie powstało płytkie, zarośnięte jeziorko o powierzchni czterech hektarów, otoczone obecnie domami podobnymi do tego, w którym mieszkał Ambler: rezydencjami w stylu kolonialnym, z których każda warta była pół miliona dolarów (dom należący do Amblera był z nich najstarszy, zbudowano go w 1746 roku) oraz współczesnymi willami.

Każda z działek liczyła nieco ponad osiem tysięcy metrów kwadratowych. Była żona Amblera zaprojektowała ogród w sposób prosty i uporządkowany. Rozsiewające pyłek choiny, azalie, rododendrony i bukszpan pospolity. Szybko zrezygnowała z uprawy tulipanów i roślin jednorocznych („Nie zamierzam fundować tym przeklętym sarnom darmowych obiadów” - mawiała szorstko).

Ambler stał akurat na brzegu sadzawki i wykonywał regularne zamachy wędką, usiłując umieścić maleńką ciemnoczerwoną muchę w żółtym plastikowym kółku unoszącym się na wodzie jakieś dziewięć metrów przed nim. Za każdym razem, gdy poruszał gibkim wędziskiem, mucha niemal trafiała w cel, miał jednak trudności z kompensowaniem gwałtownych podmuchów wiatru. Całe życie polował i często łowił na spinning, ale wędkarstwem muchowym zajmował się dopiero od roku i przekonywał się, że jest to trudne jak diabli. Mimo to nie rezygnował, cierpliwie wpatrując się zmrużonymi oczami w kółko, które przez żółte soczewki jego okularów wydawało się niemal białe.

Za jego plecami rozległy się wolne kroki. Były głośne (pomyślał, że idący musi być mężczyzną); ktoś celowo ciężko stawiał stopy, żeby uprzedzić go o swoim przybyciu.

Najwyraźniej nie chciał przestraszyć Amblera.

Spojrzał przez ramię na młodego mężczyznę.

- Mark.

- Siemasz, Wex.

Mężczyzna miał na sobie błękitne dzinsy, kraciatą kurtkę, niebieski bezrękawnik puchowy i robocze buty. Pod trzydziestkę, dobrze zbudowany. Jego wąskie wargi wyginały się w nieszczerym uśmiechu, a rudawy wąsik był irytująco rzadki. Włosy miał przystrzyżone na dłuższego języka, z

przedziałkiem pośrodku. Ubrany w poliestrowy garnitur mógłby być typowym kierownikiem działu w sieci Kmart. Nie wyglądał na tego, kim był, to znaczy egzekutora długów. Ambler raczej za nim nie przepadał; z drugiej jednak strony z dniem, w którym zatrudnił Marka w swojej firmie budowlanej, niemal doszczętnie pozbył się problemów z odzyskiwaniem należności za robociznę i towary.

Młody mężczyzna żuł tytoń; Ambler miał nadzieję, że splunie, wtedy mógłby go ochrzanić. Ale Mark miażdżył tylko prymkę tytoniu w ustach z rozkoszą, zapatrzony błogo w jezioro.

- Złowiłeś coś? - Zwykła grzecznościowa formułka. Żółwie jaszczurowate, węże i algi były jedynymi żywymi stworzeniami w tej sadzawce. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Nie.

- Popytałem ludzi. Wygląda na to, że to prawda. Z tamtym gościem.

- Zostaje w mieście?

- Tak jest.

- Po co?

- Wypytuje o tego kumpla, co zginął.

- Psiakrew.

- Nic się nie martw, Wex.

- Czy ktoś mógł cię widzieć?

- Nie. Jestem pewny.

- Jak bardzo pewny?

Mark był nieziemsko cierpliwy. Niesamowicie, jak spokojni i cierpliwi potrafią być naprawdę niebezpieczni ludzie.

- Nikt mnie nie widział.

- Bo ja, kiedy się dowiedziałem, że samochód spłonął, myślałem już, że nic nie znajdą.

- Zawinałem towar w folię aluminiową. Był w schowku na rękawiczki. Przez to się wszystko upiekło.

- Upiekło? Jak to?

- No, w pozytywnym sensie dla nas. Chodzi o to, że pewnie dlatego towar się nie spalił. Trochę haszu i kilka fiolek cracku.

Jakby nie chcąc poznać reszty szczegółów, Ambler zapytał szybko:

- Jesteś pewien, że nikt nie namierzy telefonu, z którego dzwoniłeś do szeryfa? Mogą zrobić analizę głosu.

- Tom nie ma takiego sprzętu, Wex. Dobrze o tym wiesz. A poza tym akurat był u fryzjera. Zostawiłem wiadomość Gladys, a ona nie zna mojego głosu. Powiedziałem, że kilku z nas go widziało.

- Nie powinienem był kazać Moorhouse'owi tak szybko zaorywać terenu. - Coś jeszcze przyszło Amblerowi do głowy. - A co z odciskami palców?

Mark nie odpowiedział, popatrzył tylko na barwną kępę drzew po przeciwnej stronie sadzawki.

Ambler mruknął:

- Przepraszam. Na pewno o wszystkim pomyślałeś. Po prostu byłem pewny, że Pellam wyjedzie. To takie irytujące.

Mucha zatoczyła szeroki łuk i zaplątała się w trzciny. - Cholera - rzucił Ambler.

Wyciągnął swój skomplikowany scyzoryk wędkarski wyposażony w przyrządy do usuwania haczyków i skrobania ryb. Już chciał przeciąć żyłkę, gdy pomyślał, że może się w nią potem zaplątać

gęś kanadyjska. Miał też na nogach markowe buty za dwieście dolarów i nie miał pojęcia, gdzie są jego wodery. Westchnął i wszedł do wody, żeby odplątać żyłkę. Pod stopami czuł miękki muł. Wzdłuż łydek unosiły mu się bąbelki powietrza.

- Chcesz, żebym ja to zrobił? - spytał Mark.

- Nie - odparł Ambler.

Zbliżył się niepewnie do trzciny, odczepił muchę, po czym wolno wrócił na brzeg.

- Wiem, co to za typ.

- Kto?

- Ten facet z wytwórni filmowej. Nie wyjedzie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. - Ambler westchnął.

- Znasz go?

- Znam ten typ - powtórzył niecierpliwie. Młody człowiek zmrużył oczy i zapatrzył się na gromadę gęsi lądujących po przeciwnej stronie jeziora. W jego spojrzeniu była jakaś tęsknota - zupełnie jakby żałował, że nie patrzy przez celownik strzelby i nie podprowadza ptaka na odległość trzech metrów. - Chcesz, żebym miał go na oku?

- Tak, chcę.

Chwila milczenia. Obok nich przepłynął łabędź. Ambler wiedział, że - chociaż piękne

- łabędzie są wredne jak jasna cholera.

W końcu Mark odezwał się:

- Chcesz, żebym coś jeszcze zrobił? Ambler spojrzał tylko na niego, po czym ukląkł i zaczął rozplątywać żyłkę.

- To u was można wypożyczyć samochód? - Pellam zagadnął młodego chłopaka.

Dzieciak miał na sobie kombinezon i stał pod żółtym chevroletem monte carlo umieszczonym wysoko na podnośniku. W warsztacie znajdowały się dwa kanały oraz niewielkie biuro, wszędzie czuć było smarem, benzyną i przypaloną kawą. Oczy Pellama zaczęły łzawić od spalin.

- Zgadza się. - Choć wymieniał olej, to poza paznokciami u chłopaka nie widać było nawet najmniejszej plamki brudu.

- To niezły wyczyn, nie ubrudzić się w takim miejscu.

- Ja tu nie pracuję aż tak ciężko.

Pellam ziewnął. Był zmęczony. Łóżka w przyczepach kempingowych nie są zbyt szerokie, a Janine była dużą dziewczyną. Była też pełną werwy kochanką. I odrobinę zdesperowaną. Denerwowało go, gdy powtarzała mu, jak jej z nim dobrze i jaki dobry jest w łóżku. Nie wierzył, żeby jakakolwiek kobieta mogła mieć w ciągu dwóch godzin tyle orgazmów. A przynajmniej nie na wąskim łóżku w przyczepie.

Obudził się w środku nocy i zobaczył, że płacze. Zapytał, co się stało. Odpowiedziała z gniewem, że i tak nie zrozumie. Czuł, że powinien nalegać na wyjaśnienia, ale zasnął i kiedy ponownie się obudził, była siódma, a Janine szperała w jego niedużej lodówce.

Usmażyła olbrzymi omlet, który zjadła z apetytem; Pellam przełknął swoją porcję z grzeczności.

Teraz zwrócił się do mechanika-czyścioszka:

- Ty jesteś Sillman?

- Nie, ja tu tylko pracuję.

- A jest tu jakiś Sillman?

- Tak, ale teraz jest na Florydzie.

Pellam wszedł głębiej na parking i jeszcze raz rozejrzał się w poszukiwaniu wraka. Nie był pewien, czy chce go oglądać. Ale nie miało to znaczenia, bo chociaż ujrzał całą masę starych gruchotów, nie było wśród nich ani jednego spalonego.

- Podobno to do was należał ten wóz, który się spalił. Wtedy, w parku?

- A, tak. Okropne, nie?

- Wiesz, co się stało z tym samochodem?

- Był tu jeszcze wczoraj. Stał z tyłu. Potem ktoś go kupił.

- Kupił?

- Tak jest, proszę pana. Na złom.

- Znowu to „proszę pana”... - I nikt z ubezpieczalni nie zabronił go sprzedawać?

- Mnie?

- No, komukolwiek.

Nie wiem, proszę pana. Nikt mi niczego nie zabraniał. Słyszałem, że pan Sillman załatwił wszystko z rodziną tego chłopaka. Wypłacił im okrągłą sumkę. Podobno całe sto tysięcy.

Jak na miasteczko, w którym na pierwszy rzut oka nikt się nie spieszył, niektóre sprawy załatwiano zaskakująco szybko.

- Dlaczego Sillman miałby wypłacać rodzinie odszkodowanie? Wszyscy mówią, że to była wina tego chłopaka.

- Nie jestem prawnikiem, proszę pana, tylko mechanikiem.

- Wiesz może, kto kupił ten samochód? - zapytał Pellam.

- Nie.

- A kto mógłby to wiedzieć?

- Sillman. To on go sprzedał.

- Mówiłeś, że jest na Florydzie.

- W Clearwater.

- No to jak...

- Wyjechał dziś w południe.

- To wszystko, co wiesz na ten temat?

- Tak, proszę pana.

- A kiedy wróci Sillman?

- Pewnie w przyszłym miesiącu.

- To głupie pytanie, ale pewnie nie wiesz, gdzie go mogę złapać?

- Clearwater to duże miasto.

Jak mówiłem, pytanie było głupie.

- W przyszłym miesiącu, tak? Zawsze bierze taki długi urlop?

- Zdarza się.

Pellam rzucił:

- Ten warsztat... Musi nieźle prosperować, skoro właściciel może pozwolić sobie na miesiąc wakacji.

- Zdziwiłby się pan. A tak przy okazji, ma pan fajny wóz. Napełnić bak?

- Nie dzisiaj - odrzekł.

\*

Pellam podszedł do trzech mężczyzn grających w pokera, którzy siedzieli w głębi pachnącego



piwem i kwaśnym zacierem baru w zajęzdzie Hudson Inn.

- Mogę się przysiąść? - zapytał.

Z początku byli nieufni. Postawił więc wszystkim kolejkę Budweisera w wysokich butelkach, potem jeszcze jedną. Towarzystwo trochę się rozluźniło. Najbardziej rozmowny nazywał się Fred. Pod siedemdziesiątkę, o czerwonej, pomarszczonej twarzy. O dziwo, nie był farmerem, co stanowiło duże zaskoczenie, tylko przez całe życie pracował na kolei, a przed dziesięciu laty Amtrak wysłał go na wcześniejszą emeryturę. Pete - sporo po czterdziestce - prowadził agencję ubezpieczeniową w swoim domu kilometr za miastem. Już przed pierwszym rozdaniem chłonał każde słowo Pellama, bez przerwy przyznając mu rację i zapamiętałe potakując. Nieustannie też wołał: - Zaczekaj! - i prosił Pellama o powtórzenie, chcąc upewnić się, że wszystko dobrze rozumiał. Trzeci mężczyzna miał na imię Nick.

Dwadzieścia jeden lat, drugiego tak zblazowanego próżno by szukać w Cleary. Przewracał

oczami, mówił: - Cholera! - rzucając przy tym krzywy uśmieszek, który, jak stwierdził

Pellam, nie był wcale tak złośliwy, jak by się mogło wydawać. Po prostu stanowił element topografii jego twarzy. Pellam zakwalifikował go w myślach jako poszukiwacza. Zdolny obrońca z licealnej drużyny, obrastający tłuszczem w poszukiwaniu kariery.

To Fred oznajmił pozostałym, że Pellam pochodzi w prostej linii od słynnego rewolwerowca. - Dzikiego Billa Hickoka.

Pellam przymknął na chwilę oczy.

- Jak się tego dowiedziałeś?

Fred wzruszył ramionami. Oczy Pete'a rozszerzyły się o kolejnych parę milimetrów.

Powiedział: - O kurczę. - A Nick rzucił: - Pięć dolarów na początek.

Oczywiście, Janine. Fred musiał rozmawiać z Janine. - Wchodzę - rzucił. - I podbijam o kolejne pięć.

Pete ożywił się.

- No, ja widziałem tamten film. Kto w nim grał? Jimmy Stewart? Nie pamiętam. Dzikie Bill był jednym z najlepszych strzelców na całym Zachodzie. Klasyczny rewolwerowiec.

Zastrzelił... Jakże on się nazywał? Zapomniałem. Chyba Billy'ego Kida. To było... po prostu niewiarygodne. Dokładam dziesięć. No i zarobił kulkę w plecy... O rany, wybacz, Pellam. -

Spuścił wzrok i zaczerwienił się na to faux pas.

- Chryste, Pete, przecież nie znałem człowieka.

- No, ale wiesz.

Fred odezwał się:

- Rozdający dorzuca dziesięć. Zarobił kulkę w plecy. Hej, Pellam, czy to dlatego usiadłeś twarzą do drzwi?

Pellam roześmiał się i odparł:

- Nie. - Nie przyznał się, że wybrał to miejsce, żeby mieć dobry widok przez ulicę na witrynę agencji nieruchomości Dutchess Realty Company, za którą siedziała Meg Torrens. Jej biała bluzka była nieco zamazana, lecz wciąż widoczna w mroku biura. Wcześniej doszedł do wniosku, że agentka nieruchomości mogłaby opowiedzieć mu to i owo o mieszkańcach Cleary, łącznie z tym, który z nich mógłby nie życzyć sobie w miasteczku obecności ekipy filmowej.

- Strzelili mu w plecy? Cholera, wredne zagranie - mruknął Nick i rzucił na stół

kolejne żetony. - Sprawdzam.

Grali tak przez dobrą godzinę. Pellam zdążył przegrać pięćdziesiąt dolców, z czego większość zgarnął Fred.

Pete wciąż wpatrywał się w niego w irytująco żądny sensacji sposób, gdy Fred zagadnął:

- Pellam, a czy trafiło ci się kiedyś rozdanie umarlaka? - Zwrócił się do Nicka: -

Wiesz, co to jest?

- Co? Jakaś potężna karta, której nikt nie przeskoczy?

- Dziki Bill trzymał je w ręku, kiedy oberwał kulkę. Ful z asów i ósemek. Miałeś kiedyś coś takiego, Pellam? - Fred układał przed sobą wysokie sterty wyszczerbionych żetonów.

- Nie przypominam sobie.

Nick wstał i poszedł się odlać, a tymczasem Pellam odwrócił się do Freda i Pete'a:

- Mam do was pytanie. Przypuśćmy, że mam rozbitą samochód. Kto w okolicy kupiłby go na złom?

- A jeździ jeszcze? - chciał wiedzieć Fred.

- Nie, to już tylko kupa blachy.

Miejscowi popatrzyli po sobie. Pete odezwał się.

- Jest kilka miejsc. Ja pojechałbym na złomowisko Stan Grodsky'ego, za miastem, przy dziewiątce.

Fred dodał: - To Polaczek, okantuje cię.

Pete zaczerwienił się.

- Pytał, kto skupuje wraki. Stan je skupuje.

Fred powtórzył:

- Okantuje cię.

Pete nie dawał za wygraną:

- Ja zrobiłem tam kiedyś niezły interes.

- Tak mówisz.

- Nie wierzysz? Sto worków cementu po trzy dolary sztuka. Fred mruknął: - To były mniejsze worki po piętnaście kilo, nie dwadzieścia. Poza tym, ile z nich było pełnych?

- Niewiele.

Fred prychnął z pogardą.

Pellam zapisał sobie nazwisko, a Fred skrzywił się. - Jest jeszcze paru innych.

Demobil Billa Sheckera przy sto szóstce, jakieś pięć kilometrów na północ stąd.

Widać było, że Pete ze wszystkich sił stara się sobie coś przypomnieć. - O, jest jeszcze R&W Też przy dziewiątce.

Fred przytaknął. - Racja, zapomniałem o nich.

Wrócił Nick. Stolik był zastawiony butelkami - wyglądały jak szklany, brązowy las.

Barman uprzątnął część i gra rozpoczęła się na nowo. Pellam patrzył, jak karty wyskakują spod grubych palców Nicka.

Grali jeszcze przez dwadzieścia minut. Potem Pellam zauważył po przeciwnej stronie ulicy jakiś ruch. W mroku trudno było coś wypatrzyć, ale mogła to być ładna blondynka w białej bluzce, zbyt grubo umalowana, w cielistych rajstopach, zamykająca o zmroku małomiasteczkową agencję nieruchomości. Popatrzył na trójkę waletów, którą miał w ręce i złożył karty. Wstał.

Siedzący przy stole spojrzeli na niego.

- Mam dość.

- Niemiło jest przegrywać - zauważył Fred.

Nick zmarszczył brwi: było jeszcze za wcześnie, żeby pasować; Pellam złamał regulamin pokerzysty. - Jak chcesz.

- Może przyłączę się do was jutro.

- Wpadnij jeszcze kiedyś, kiedykolwiek - poprosił Pete. - Chciałbym poznać twoje zdanie na temat, o którym wcześniej rozmawialiśmy. No, wiesz, o czym mówię.

Pellam nie miał zielonego pojęcia. - Jasne. Dobranoc, panowie.

Zanim znalazł się na chodniku, Meg zdążyła już zamknąć drzwi na klucz i szła w kierunku swojego samochodu.

Nagle Pellam poczuł obok siebie czyjąś obecność. Zaskoczyło go to. Ktoś ujął go za ramię.

Janine pocałowała go w kark.

- No proszę, sam nasz filmowiec! - Przycisnęła piersi do jego bicepsa. - Właśnie zamknęłam interes i zamierzałam zajrzeć do ciebie po drodze, żeby się przywitać. Jak się masz, kochanie?

- Nie najgorzej - odparł Pellam, zmuszając się, żeby nie śledzić wzrokiem znikającej w mroku sylwetki Meg.

Janine ścisnęła lekko jego posiniaczone udo, uważając, żeby go nie urazić i powiedziała: - Wyglądasz dziś na mniej obolałego niż ubiegłej nocy. - Przebiegły uśmiech. -

Tak sobie myślę, skarbie, że nie widziałeś jeszcze, jak mieszkam. Chodź do mnie, przygotuję ci kolację. Mogę nawet zrobić coś mięsnego...

Może kiedy indziej? Muszę nadać przesyłkę do wytwórni. Potem będę całą noc pracował.

Jutro ja mam spotkanie grupy wsparcia, a pojutrze zebranie kobiecego centrum interwencji kryzysowej. Może mogłabym... O cholera, idzie mój stary. Chciał mi pokazać swój nowy motor... -

Zrobiła krok do tyłu i przyjrzała mu się uważnie. - No, chyba nie jesteś zazdrosny, co?

- Ani trochę.

- Grzeczny chłopiec. - Przez chwilę intensywnie wpatrywała mu się w oczy, po czym nagle nachyliła się i pocałowała go w usta. Jej wargi były lekko rozchylone. Wzdrygnął się zaskoczony, ale odwzajemnił pocałunek.

Janine powiedziała: - Z kolei w sobotę jest Święto Jabłek i pracuję na stoisku. Co powiesz na niedzielę?

- Jasne. Świetnie.

Gdzie się podziała Meg? Zgubił ją. Niech to szlag, dlaczego włożyła akurat czarną marynarkę? Nigdzie jej nie widział. Obejrzał się na Janine, która mówiła:

- Tylko żebyś nie narobił sobie skurczów w żadnej innej części ciała poza tą ręką, którą piszesz. - Żartobliwie dotknęła pięścią jego podbródka. Mimo to drgnął, gdy kość dotknęła kości. Janine dodała: - I niech ci nie przyjdzie do głowy mnie wystawić. Mama nie lubi być wystawiana do wiatru.

- Oczywiście, kochanie. - Rzucił jej uśmiech, ratując się sarkazmem.

Niedaleko od nich odpalił silnik toyoty należącej do Meg. Usłyszał warkot z rury wydechowej i zobaczył szary samochód wyjeżdżający tyłem z miejsca parkingowego.

Odezwał się: - Smutne to, ale muszę już lecieć. Pora trochę popracować. W takim razie do niedzieli?

- Zamykam o czwartej. Może potem zajrzę do twojej przyczepy i razem pojedziemy do mnie? Co ty na to?

- Brzmi wspaniale.

Pocałował ją w policzek i oddalił się pospiesznie. Idąc w stronę toyoty, zobaczył, że niewielki samochodzik dodaje gazu i odjeżdża. Na zakręcie mignął jeszcze światłami stopu i zniknął.

- Cholera.

Pellam zwolnił kroku. Przystanął, po czym zawrócił do wozu. Myślał po drodze o złomowiskach.

Doszedł do końca opustoszałej ulicy i na rogu skręcił w boczną uliczkę, gdzie stała zaparkowana jego przyczepa. Myślał o tym, co by tu zjeść. Myślał o...

Prawie na nią wpadł. Na niedużą, szarą toyotę stojącą na jałowym biegu tuż przy krawężniku.

Oparł dłonie na dachu i nachylił się do okna, gdzie siedziała ona, trzymając oburącz kierownicę i patrząc prosto przed siebie.

Powiedziała:

- Jesteś sam.

- Nie. Ty jesteś ze mną.

- Myślałam, że może umówiłeś się na randkę.

- Na randkę?

- Widziałam cię przecież z tą... - Zastanawiała się przez chwilę, ale w końcu kobieca złośliwość zwyciężyła. - ...Miss roku 1969.

- To interesy - odparł.

- Ach. Interesy.

- Napijesz się czegoś? - spytał Pellam.

Wiedział, że mu odmówi, ale ciekaw był, jakiej użyje wymówki. Kobiety potrafiły odmawiać mężczyznom na tysiące różnych sposobów i każde „nie” znaczyło coś innego.

- Nie mogę. Umówiłam się na wieczór z przyjaciółkami. Na brydża.

- A może wolałabyś poker? Mogę umówić nas na partyjkę kawałek stąd, w zajeździe.

Roześmiała się. Minęła kolejna chwila.

- Chciałam ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu twojego kolegi. Słyszałam o wypadku.

- Dziękuję.

- Poza tym chciałam cię przeprosić.

Uniósł w górę brew, a ona dodała: - Za tamten dzień. W klinice.

- Nie ma o czym mówić. To ja przesadziłem - odparł Pellam. - Nie znoszę szpitali.

Wprawiają mnie w podły nastrój.

- Nie... - Wbiła wzrok w deskę rozdzielczą. - Ja zachowałam się nieuprzejmie.

Minął ich samochód z podrasowanym silnikiem; rura wydechowa strzeliła, gdy zwolnił przed znakiem stopu, a następnie znowu przyspieszył.

Meg powiedziała:

- Jest jeszcze coś. Uśmiechnął się. - Tak?

Przełknęła ślinę, próbując bronić się przed flirtem.

- Wiem, że to trochę niespodziewane. Ale może chciałbyś wpaść dziś do nas na kolację?

- A gotujesz tak jak jeździsz?

Zamrugła powiekami, usiłując wymyślić naprędce jakąś ripostę. Niemal widział gonitwę myśli w jej głowie. Tym razem postanowiła jednak zrezygnować ze złośliwości. -

Okolo ósmej. W tej okolicy to wyjątkowo późna pora - i wyjątkowo modna. Zazwyczaj kładziemy się spać razem z kurami.

- Przyniosę wino.
- Nie, nie rób sobie kłopotu.
- To żaden kłopot.

Meg wytłumaczyła mu, jak ma dojechać. Zapamiętał wskazówki i powtórzył je na głos. Potem rzucił z uśmiechem: - W takim razie do zobaczenia. - Wrzuciła bieg. Wycofała samochód i zawróciła na skrzyżowaniu, aż żwir posypał się spod kół. Przez cały czas, gdy rozmawiali, trzymała wóz na chodzie. Najwyraźniej planowała szybki odwrót.

Spojrzała jeszcze w lusterko i pomachała mu bez uśmiechu. Potem jej samochód zniknął w ciemnościach.

Meg Torrens mieszała kwaśną śmietaną ze świeżym koperkiem, słuchając, jak jej mąż krząta się piętro wyżej.

Keith Torrens lubił zmieniać ubranie do kolacji.

W tym celu rozkładał wcześniej ten strój na łóżku. Podpatrzył to w jakimś serialu.

Gdyby ktokolwiek inny w Cleary oznajmił, że zamierza przebrać się do kolacji, potraktowano by go jak wariata. Chyba że miałyby to być żart i chodziłoby o przebranie się z dresu w coś porządniejszego. Ale Keith miał ceremonialną elegancję we krwi. Meg uważała, że to urocze.

Bywał humorzasty i milczący, ale przecież był naukowcem. I to genialnym naukowcem. Jego umysł w niczym nie przypominał umysłów zwykłych ludzi.

A Meg lubiła eleganckich mężczyzn.

Lubiła też mężczyzn dbających o etykietę.

I takich, którzy odnosili sukcesy.

A Keith taki właśnie był. Nie znała nikogo, kto byłby tak oddany firmie jak jej mąż.

Zawsze marzył o tym, żeby prowadzić swój własny interes. Keith był marzycielem. Nawet jako kierownik działu badawczo-rozwojowego w Sandberg Pharmaceutical w pobliżu Poughkeepsie (a nie była to robota do pogardzenia, jak powtarzała mu dziesiątki razy, zawsze wtedy, gdy pod wpływem nagłego impulsu zamierzał złożyć wypowiedzenie) był opętany jedną myślą: zostać przedsiębiorcą.

Z początku nie był pewien, jak się do tego zabrać. Najpierw chodziła mu po głowie firma konsultingowa. To jednak za bardzo pachniało zredukowaną kadrą menadżerską średniego szczebla. Potem wpadł na pomysł otwarcia kontraktowego laboratorium badawczego. Ale to było z kolei dobre dla jajogłowych frajerów i - co gorsze - nie przynosiłoby takich zysków, jakich pożądał Keith, a pożądał ich tak bardzo, jak widoku swojego nazwiska na drzwiach gabinetu.

Wreszcie pewnego dnia przed dwoma laty wrócił do domu i oznajmił, że w końcu zamierza to zrobić.

- Co takiego? - spytała z niepokojem Meg.

- Rzucam pracę.

- Rozmawialiśmy o tym dziesiątki razy - przypomniała mu.

- Dale ma kapitał.

Dale był kolegą Keitha z firmy Sandberg i kandydatem na jego wspólnika.

- Ile dokładnie? - dociekała.

- Wystarczy.

Wiedziała już, że teraz nic go nie powstrzyma.

Tak więc chociaż ich zadłużenie hipoteczne wynosiło 185 000 dolarów, chociaż planowali posłać syna na MIT, a Meg zarabiała rocznie 12 000 na prowizjach i to tylko przy dobrej koniunkturze, Keith postanowił rzucić się na głęboką wodę.

W ciągu kilku szalonych miesięcy, pracując po osiemdziesiąt cztery godziny tygodniowo, Keith, Dale i ich prawnik zdołali wypłacić się jakoś z odszkodowań na rzecz firmy Sandberg, przewidzianych w surowych klauzulach o niekonkurencyjności i założyć własny biznes.

Było jej trochę przykro, że nie dopuścił jej do spółki. Nie, żeby chciała mieć do czynienia ze sprawami czysto technicznymi: budowaniem wytwórni, finansami, zatrudnianiem pracowników.

Wiedziała, że zwyczajnie się na tym nie zna. Ale uważała się za całkiem dobrego pośrednika handlowego i zabolą ją, gdy Keith kupił ziemię u innego agenta nieruchomości. Pewnego wieczoru zdarzyło jej się nawet odebrać wiadomość od tego sukinsyna, jej konkurenta. Zatrudnił innego pośrednika!

- Skarbie - powiedziała mu wtedy - przecież ja z tego żyję. Dlaczego mnie nie poprosiłeś?

Popatrzył na nią zaskoczony, a po chwili zakłopotany. Wiedziała, że nawet do głowy mu nie przyszło, żeby skorzystać z jej pomocy. Przyznał wówczas, że zawałił sprawę.

Przeprosił ją, wyglądając jak małe nieszczęście. Jak chłopiec, który zapomniał o Dniu Matki.

Pełen skruchy. Roześmiała się i wybaczyła mu.

Był genialny. Tylko czasami po prostu nie myślał. Nie mogła tego zrozumieć. Jak to w ogóle było możliwe.

Sam wpadł do kuchni, obracając się jak fryga.

- Mamo, ty wiesz, dlaczego wyginęły dinozaury? Bo ziemię uderzył asteroid i wszystkie wytruły się trującym gazem. - Powąchał przygotowany przez nią sos. - Faj. - I zniknął.

Czy rzeczywiście tak było? Jak to możliwe, żeby na całej planecie w jednej chwili wyginęły wszystkie zwierzęta? Czy ewolucja musiała zaczynać się od początku? Może nasza cywilizacja byłaby o całe miliony lat do przodu, gdyby niejeden głupi asteroid...

Meg przełożyła sos do miseczki i rozłożyła krakersy na talerzu niczym płatki kwiatów.

Skończyła zastawiać stół i ruszyła na obchód pomieszczeń na parterze.

Sama zaprojektowała cały wystrój domu. Tapeta markowa - drobne kwiatki niczym rozrzucone krople błękitnej farby. Szeroki na osiem centymetrów dekoracyjny pas w kolorze burgunda biegnący wzdłuż ścian, pod nim rzeźbiony gzyms. Plecione dywaniki. Większość antyków kupiła za jednym zamachem, na aukcji w Vermont; część w stylu rustykalnym, malowana i mocno sfatygowana, sporo mebli z epoki wiktoriańskiej (a do tego burdelowa łazienka, pomyślała. Trzeba będzie to zmienić). Wszędzie suche bukiety, wieńce, wazony i ozdobne serwetki. W salonie na ścianach wisiały wykonane w sepii odbitki dziewiętnastowiecznych fotografii. Meg kupiła je w miejscowym sklepie ze starociami po dolarze za sztukę i oprawiła w stare ramki. Zdarzało jej się mówić gościom, że fotografie przedstawiają jej przodków; wymyślała wówczas misterne kłamstwa na ich temat.

Przyciemniła światło w kinkietach i przez chwilę stała, usiłując ocenić romantyczny efekt tej operacji. Pokręciła głową. Ponownie podkręciła światło i podreptała na górę.

Keith siedział na łóżku i pastował buty. Gdy weszła, przyglądał się swoim mokasynom wzrokiem szlifierza diamentów.

Robił to, dopóki nie zaczęła się rozbierać. Wówczas upuścił jeden wypolerowany but na podłogę. Uśmiechnął się szeroko.

- Hej, kolego - powiedziała Meg. - Za dwadzieścia minut przychodzi nasz gość, więc na razie lepiej o tym zapomnij.

Postawił buty na podłodze, wsunął w nie stopy i złożył na jej ustach niewinny pocałunek. Następnie wyszedł z pokoju. Meg wrzuciła ubranie do kosza z brudną bielizną i narzuciła na siebie szlafrok.

- Tak rób, właśnie tak...

Przeszła do łazienki.

- Nie rób tak, właśnie tak...

Pod prysznicem, z włosami osłoniętymi przezroczystym czepkiem ozdobionym wizerunkami

posepnych mew (prezent gwiazdkowy od Sama), Meg wystawiała ciało na ostre smagnięcia wody i myślała o tym, czego nie powinna robić tego wieczoru.

Ten tekst stał się ich prywatnym żartem, jej i Keitha, kiedy opowiedziała mu o filmie oglądanym w liceum na lekcji higieny. Porada „tak rób, właśnie tak, nie rób tak, właśnie tak” była przewodnim motywem filmu, który ostrzegał młodzież przed zagrożeniami związanymi z seksem w sposób tak zawoalowany, że nikt nie wiedział, czego dokładnie nie należało robić.

Doszła do wniosku, że dzisiejszego wieczoru nie powinna mówić o: filmie, śmierci tego chłopaka i Hollywood...

To sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle go zaprosiła.

Kiedy wyszła spod prysznic, usłyszała dobiegający z dołu kojący odgłos zmienianych w nieskończoność kanałów w telewizorze.

Rozłożyła na łóżku czarny sweter z angory z gwiazdą z perełek przypiętą nad lewą piersią i luźne czarne spodnie z ostrym kantem. Usiadła przy toaletce. Pokryła twarz grubą warstwą pudru w płynie i zaczęła nakładać na powieki niebieski cień. Jej dłoń znieruchomiła w pół gestu.

- Co jest we mnie takiego charakterystycznego dla Cleary?

- Pięć lat, a nie dziesięć, panie Pellam.

- Psstryk.

Meg weszła do łazienki i zmyła makijaż mleczkiem Ponds. Zza sedesu wyciągnęła najnowsze wydanie „Vogue’a” i zaczęła je kartkować.

\*

No cześć - przywitał ją John Pellam.

W głębi ducha Meg była przekonana, iż każdy facet z Hollywood uważa wierność własnej żony za coś tak niezwykłego, że zasługującego wręcz na sensacyjny nagłówek w numerze „National Enquirer”. Ale słaby uścisk dłoni Pellama i niewinne cmoknięcie w policzek uświadomiły jej, że być może trafiła na wyjątek od tej reguły.

Mimo to jego oczy uważnie zbadały jej twarz; niewiele brakowało, a wybuchłaby śmiechem, widząc, jak bardzo stara się zorientować, co się właściwie zmieniło w jej wyglądzie. W końcu doszedł chyba do wniosku, że chodzi o francuski warkocz.

Wcześniej Keith przyjrzał jej się równie uważnie i powiedział:

- Kochanie, masz nowy sweter. Świetnie na tobie leży. - Przed dwoma laty sam podarował go jej na Gwiazdkę.

Pellam miał na sobie czarne dżinsy, zapiętą pod szyją szarą koszulę bez krawata oraz czarną sportową marynarkę.

Uśmiech nie schodził mu z ust, gdy rozglądał się po domu i gawędził z Keithem.

Usłyszała, jak jej mąż mówi:

- Wygląda na to, że szybko dochodzi pan do siebie po tej małej przygodzie z moją żoną, że się tak wyrażę. Powinni wprowadzić u nas specjalny przepis: kiedy Meg prowadzi, wszyscy inni muszą obowiązkowo zakładać kaski...

- Dobrze już, dobrze, kolego - przerwała, krzywiąc się w uśmiechu. - Może dla odmiany porozmawiamy o twoich błotnikach? Albo o stłuczkach.

Keith przewrócił oczami.

- Okej, zdarza mi się czasami w coś stuknąć, to fakt.

- Trafiłeś bez problemów? - Meg zwróciła się z pytaniem do Pellama.



- Miałem bardzo dokładne wskazówki.

Keith wyjrzał przez otwarte drzwi.

- O, ma pan wóz kempingowy? - Wyszedł na ganek.

- Dom to zawsze dom - mruknął Pellam. A do Meg powiedział: - Mam mały prezent. -

Podał jej niedużą, płaską torebkę. - Ach, i jeszcze to - dodał i wręczył jej owiniętą w papier butelkę, która - jak się okazało - zawierała merlota, jednego z jej ulubionych.

Meg popatrzyła na niedużą torebkę. - Co to jest? Pellam wzruszył ramionami.

Otworzyła ją i wybuchła śmiechem.

- Kochanie! - zawołała do Keitha. Pellam wyszczerzył zęby w uśmiechu. Meg uniosła w górę naklejkę na zderzak z napisem: „Tak wielu pieszych. Tak mało czasu”.

Keith roześmiał się.

- A to dobre. Naprawdę dobre. - Po czym rzucił: - Chodźmy. Pokażę panu nasz dom.

Meg spojrzała w górę schodów. Z pomiędzy szczebelków balustrady wyglądała drobna twarzyczka.

- Sam, zejdź do nas.

Jej synek zbiegł po schodach.

Podszedł zaraz do Pellama i wyciągnął rękę.

- Miło mi pana poznać.

Meg poczuła przypływ dumy.

Pellam uśmiechnął się - może rozbawiło go tak oficjalne powitanie i silny uścisk dziecięcej dłoni.

Meg wiedziała, że ludzie bezdzietni traktują cudze dzieci jak coś w rodzaju domowych zwierzątek. Ona sama włożyła wiele wysiłku w wychowanie swojego syna. Był grzeczny i bezpośredni. Teraz odezwała się:

- Poznaj mojego syna. Ma na imię Sam. Sam, to jest pan Pellam.

- Chodźmy na górę - zaproponował Keith. - Sam, też możesz przerwać odrabianie lekcji i pokazać panu Pellamowi swój pokój.

- Ekstra! - zawołał chłopiec.

Męska część biesiadników znikła na piętrze.

Meg przeszła do kuchni i rozlała wino Pellama do trzech kieliszków. Pociągnęła łyk, wpatrując się w zaparkowany przed domem samochód kempingowy. Czy powinna do nich dołączyć?

Nie. Coś jej mówiło, że lepiej będzie, jeśli zostanie tam, gdzie jest.

Po dziesięciu minutach schody zatrzeszczały pod ich stopami. Kolejnym punktem wycieczki miała być przyczepa Pellama. Sam rzucił się do wyjścia, ale Keith kazał mu najpierw założyć kurtkę. Meg podała mężczyznom kieliszki. Pellam przyjął swój z uśmiechem i skinął głową. Keith zerknął na kieliszek i odmówił:

- Później się napiję. - Zdecydowanie wolał mocniejsze trunki. Głównie szkocką.

- Mamo, pokazałem panu Pellamowi mój komputer i mój alarm przeciwwłamaniowy i wykrywacz metali...

Pellam dodał:

- Sam go zmajstrował. Nie do wiary.

- Tata mi pomagał - wyjaśnił Sam.

- W bardzo niewielkim stopniu - zaśmiał się Keith. Podeszli do drzwi. Keith powiedział do Meg:

- Zwiedzimy sobie jeszcze przyczepe.

- Ale kolacja jest już gotowa - zaprotestowała.

- Skarbie - odparł cierpliwie. - To przecież Winnebago... - A jedno spojrzenie na twarz Sama przekonało ją, że wóz kempingowy wart jest zimnej kolacji.

Gdy wyszli na ganek, Sam spytał Pellama:

- Panie Pellam, lubi pan bomby?

- Pracowałem przy kilku.

- He?

- No, tych wybuchających w filmach. Meg roześmiała się.

Sam mówił dalej, podekscytowany:

- Może kiedyś pokażę panu atropy bomb. Mają takie na naszym złomowisku. Są naprawdę świetne. Mama nie pozwala mi żadnej kupić, ale... O rany, ale fajnie. Mogę usiąść za kierownicą?

- Możesz nawet zatrąbić - powiedział Pellam.

- Super.

Przy stole Pellam docenił przygotowaną ucztę: osso bucco<sup>8</sup>, tłuczone słodkie ziemniaki, sałatka z zielonej fasoli, brokuły. Jakim cudem udało jej się przygotować to wszystko w ciągu dwóch godzin, jakie upłynęły od chwili, gdy spotkała się z nim na mieście?

Sam był już w łóżku, Keith nakładał na talerze, a Pellam rozglądał się po pokoju.

Sprawiał takie wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie widział żadnego domu.

Wreszcie Keith poprawił krawat i podniósł w górę kieliszek z winem.

- Za moją cudowną żonę i jej doskonałą kolację.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym. O polityce Waszyngtonu i smogu w Los Angeles. Pellam zapytał Keitha, czym się zajmuje.

- Mam niewielką firmę produkującą leki bez recepty. Syrop na kaszel, aspirynę i tym podobne rzeczy.

- Mój mąż jest zbyt skromny - wtrąciła Meg. - Powoli wyrasta na konkurenta koncernu Bristol-Meyers. Nie jest łatwo, ale z czasem mu się uda.

- Tacy drobni przedsiębiorcy jak ja zawsze mają pod górę. Ale lubię wyzwania.

Rywalizacja to najciekawszy aspekt prowadzenia własnej firmy.

- Ta firma to jakaś spółka?

- Tak. Przy tych wszystkich odszkodowaniach, jakie trzeba płacić, spółka to najlepsze rozwiązanie. Zaraz po wynagrodzeniach największą część moich kosztów pochłania ubezpieczenie.

- Ma pan wspólnika?

Cisza. Meg poruszyła się niespokojnie. Najwyraźniej Pellam zadał kłopotliwe pytanie.

Keith odparł: -

- Miałem. Dale'a Meyerhoffa. Pracowaliśmy razem w firmie farmaceutycznej niedaleko Poughkeepsie. Zmarł jakiś czas temu.

- Zmarł? Och, bardzo mi przykro.

- W wypadku samochodowym - wtrąciła Meg.

A Keith dodał:

- W ubiegłym roku. To był dla nas potężny szok.

Pellam zrozumiał, że oboje już dawno uporali się z żalem po stracie wspólnika, teraz 8 Steki z giczy cielecej.

zaś odczuwają skrępowanie z jego powodu - najprawdopodobniej martwią się, że wspominając o wypadku, przypomnieli mu o śmierci Marty'ego. Rzucił więc:

- Czyli teraz sam się pan wszystkim zajmuje?

Keith odparł:

- Musiałem się sporo nauczyć. Dale - to znaczy mój wspólnik - zajmował się sprzedażą i finansami. A ja... Jestem przede wszystkim chemikiem. Naukowcem. Wie pan, zwyczajnym jajogłowym.

- Wytwórnia, w której kiedyś pracowałem, wyprodukowała film o jednym chemiku.

- Naprawdę? - Keith uśmiechnął się. - Z reguły bohaterami filmów są policjanci, potwory albo detektywi.

- Tak naprawdę to nie chodziło o zwykłego chemika. Film był zatytułowany „Alchemik z Surrey”. Kręciliśmy go w Anglii. Był rozpowszechniany lokalnie, w bardzo niewielu kopiach.

- Czyli czarownice i czarnoksiężnicy?

- W swoim czasie alchemicy byli uważani za naukowców - powiedział Pellam. -

Zrobiliśmy naprawdę porządną dokumentację. Zamiana ołowiu w złoto to prymitywna alchemia. Prawdziwi alchemicy praktykowali sparygię.

Zauważył, że Meg co chwila zerka na talerze i podsuwa mu te półmiski, których zawartość zbyt szybko znika. Keith nie jadł, zasłuchany w opowieść Pellama.

- Sparygię? - powtórzyła Meg.

Pellam odparł:

- Chodzi o ekstrakcję podstawowych składników różnych rzeczy, najczęściej roślin.

Alchemicy dążyli do wyodrębnienia esencji danej materii, która to esencja miała mieć moc wykraczającą poza czysto chemiczny skład materii.

- Pamiętam to z wykładów z historii nauki na MIT - wtrącił Keith. - O czym dokładnie był ten film?

- Scenariusz oparto na autentycznej historii. Pod koniec osiemnastego wieku w Anglii żył pewien bogaty człowiek, niejaki James Price. Jak wielu bogaczy w tamtych czasach pociągała go nauka. Może zresztą było to coś więcej niż tylko hobby, skoro został członkiem Królewskiego Towarzystwa Naukowego. Jednak w gruncie rzeczy facet był maniakiem.

Autentycznym dziwakiem. W swojej wiejskiej posiadłości w Surrey urządził laboratorium. W tajemnicy przeprowadzał różne eksperymenty, po czym wezwał do siebie znajomych i kolegów naukowców. Zaprowadził ich do laboratorium, gdzie wcześniej przygotował trzy podstawowe alchemiczne składniki: rtęć, azotan i siarkę...

- Keith roześmiał się. - Wie pan, do czego służą?

- Daj mu skończyć - upomniała go Meg.

- Do czego? - spytał Pellam.

- Do produkcji naboju. Azotan i siarka wchodzi w skład prochu strzelniczego, a piorunian rtęci znajduje się w spłonce naboju.

Pellam zaśmiał się.

- Szkoda, że o tym nie wiedziałem. Byłaby z tego niezła metafora dla tego filmu. Tak czy owak, Price miał też przygotowane inne, sekretne składniki w zamkniętych pudełkach.

Kiedy goście zgromadzili się w laboratorium, nastąpiło wielkie wejście alchemika. Price

wyglądał okropnie: był chory, ziemisto blady, skrajnie wyczerpany. Zmieszał jakiś biały proszek z trzema podstawowymi substancjami i przemienił je w sztabkę srebra. Potem zrobił to samo z czerwonym proszkiem i otrzymał złoto. Metale zostały poddane oględzinom przez jubilera, który podobno potwierdził ich autentyczność.

- A wtedy Price zaczął sprzedawać swoje składniki w programie „Telezakupy” i zbił na nich fortunę - prychnęła Meg.

Keith uciszył ją.

Pellam mówił dalej:

- Teraz dopiero robi się ciekawie. Price kontynuował swoje alchemiczne eksperymenty i wyprodukował masę złota, ale po kilku miesiącach podupadł na zdrowiu. Kiedy Towarzystwo zaczęło nalegać, aby powtórzył swój eksperyment w obecności świadków, Price zgodził się. Pewnego ranka w jego laboratorium zjawili się trzech członków Towarzystwa. Price zaprosił ich do środka, przygotował wszystkie składniki, po czym wypił truciznę. Umarł na ich oczach, nie zdradzając, co wchodziło w skład tajemniczego proszku.

Keith odchylił się do tyłu na krześle i po chwili zapytał:

- A więc to wszystko była bujda? Dlatego musiał się zabić?

- Pozostawiliśmy to pytanie bez odpowiedzi. Trudno robi się filmy oparte na prawdziwych wydarzeniach. Trzeba upiększać rzeczywistość.

Meg zaśmiała się na te słowa.

Nagle Keith spojrzał na Pellama, mrużąc czujnie oczy.

- Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

Naprawdę? - rzucił Pellam.

- Był pan kiedyś sławny?

- Keith... - zaczęła Meg.

Pellam odparł poważnie:

- Moja matka uważała, że już od urodzenia.

Meg ponownie się roześmiała.

Keith pokręcił głową.

- Jeszcze sobie przypomnę. - Znowu zmrużył oczy, jakby coś zaświtało mu w głowie, ale musiało zaraz umknąć, bo zaczął opowiadać o swojej firmie i najnowszych produktach.

To, o czym mówił, mogłoby zainteresować jedynie innego biznesmena. Pellam kiwał głową i zaciskał szczęki, żeby powstrzymać ziewanie. Cieszył się, że Keith nie jest kinomanem i hollywoodzkie plotki w ogóle go nie interesują. Z drugiej jednak strony był strasznym nudziarzem. Pellam słuchał jego wywodów jednym uchem - do chwili, kiedy dotarło do niego, że Keith mówi o niejkiej pannie Woodstock znającej astrologię oraz intymne sekrety wszystkich mieszkańców miasta. Meg nachyliła się do przodu i z nieśmiałym uśmiechem wyraźnie podzieliła zdanie Pellama. Na co on nie spuszczał już wzroku z Keitha, dopóki Meg nie znikła w kuchni ze stertą brudnych naczyń.

Mężczyźni zostali sami. Nadeszła pora, aby poważnie porozmawiać. Keith pochylił się nad stołem i zapytał:

- Rozmawiał pan już z naszym agentem ubezpieczeniowym? Na temat wypadku?

- Jeszcze nie. Meg podała mi jego nazwisko. Lekarz obiecał, że za kilka dni będzie miał dla mnie gotowy rachunek. Czeka jeszcze na wycenę z laboratorium rentgenowskiego.

- Proszę dać mi znać, gdyby miał pan jakiegokolwiek problemy.

- Dziękuję.
- Jak długo zamierza pan zostać w mieście?
- Naprawdę nie wiem. Ja...

Wróciła Meg.

- Za chwilę będzie kawa. - Usiadła przy stole. - Powiedz mi, ty jesteś żonaty? - zapytała.

Już raz odpowiedział jej na to pytanie. Wtedy, w klinice. Może tym razem pytała ze względu na Keitha, żeby pokazać, że nic o nim nie wie. To by znaczyło, że między nimi jest jakaś bliskość. Pellam ogarnął spojrzeniem jej strój. Broszka przypięta nad piersią. Wyglądała dziś znacznie młodziej. Miała delikatniejszy makijaż. Może w pracy, sprzedając domy, musiała wkładać maskę agenta nieruchomości. Taki kamuflaż.

Przyłapał się na tym, że się na nią gapi, a nie odpowiedział na jej pytanie.

- Nie - rzucił. - Rozwiodłem się parę lat temu.

Rzeczywiście. Wspominałeś o tym. Ach. Zawodna pamięć. Tylko tyle.

- Od czasu do czasu spotykam się z pewną dziewczyną. To nic poważnego. Ma na imię Trudie. - Cholera, zapomniał do niej zadzwonić. Zrobi to jutro. Na pewno.

W kuchni zadzwonił ekspres do kawy. Gdy Meg wstawiała, Pellam jeszcze raz zerknął na jej broszkę. Pomyślał o naszyjniku Janine. I o jej piersiach. Jej naszyjnik przedstawiał księżyc. Meg przypięła sobie słońce.

- Deser - oznajmiła, wracając z kuchni z tacą.

Keith dodał:

- Meg robi genialne desery. Postawiła tacę na stole.
- Ciastka czekoladowe z orzechami - zauważył Pellam.
- Lubisz takie? - zapytała.
- Uwielbiam.

\*

Beżowy wóz zjechał z autostrady na asfaltowy parking, którego nawierzchnia stopniowo zmieniała się w czarny żwir. Motel Sleepy Hollow.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się Billy.

Bliźniacy wysiedli z samochodu. Bobby chwycił leżącą na tylnym siedzeniu sporą torbę. - Boski Heineken - oznajmił, dumny niczym importer piwa w królestwie podpiwku.

Wciągnęli głęboko powietrze, a Bobby powiedział:

- Jesień. Uwielbiam jesień.

Billy spojrzał na zegarek.

- Późno.

Bobby minął go i otworzył drzwi. Ukazało się brzydkie, kwadratowe pomieszczenie, zbyt duszne, zbyt jasno rozświetlone. Billy ruszył za bratem.

- Gorąco - powiedział. Otworzył okno.
- Cholerna sauna. Uff.

Żaden z nich nie przepadał za tym miejscem. Było tanie, plastikowe, tandetne.

Przypominało im Brooklyn, gdzie się urodzili i Yonkers, gdzie mieszkali do początku szkoły średniej, kiedy to ich ojciec stracił pracę w piekarni Stella D'Oro i przeniósł się wraz z całą rodziną do Dutchess County. Kupił coś, co miało być sklepem z antykami, a w rzeczywistości okazało się - ku

uciesz nastoletnich bliźniaków - złomowiskiem.

Skończyli szkołę średnią. Bobby ledwo, ledwo, mimo że był kapitanem drużyny strzeleckiej, Billy ze średnią ocen 4.0. Po śmierci ojca odziedziczyli jednorodzinny domek pomalowany na cytrynowy kolor i złomowisko, któremu zmienili nazwę, umieszczając na szyldzie własne imiona: Robert i William. Obiecali sobie, że ożenią się tylko z bliźniaczkami

- co znacznie ograniczało ich szanse matrymonialne na obszarze Dutchess County - więc ich życie towarzyskie nie było zbyt ożywione.

Prowadzili jeszcze inne interesy, w związku z którymi co kilka tygodni bywali w Nowym Jorku. Zawsze jednak gnało ich z powrotem do domu, który - tak się akurat składało

- stał na pierwszej działce, jaką Wex Ambler zagospodarował w Cleary. Był to ładny dom, duży i pełen ich ukochanych przedmiotów: ciemnych obrazów przedstawiających martwą naturę w postaci nieżywych ptaków i królików, sztychów ze skaczącymi rybami, rzeźbionych w drewnie figurek koni i niedźwiedzi oraz modeli samochodzików z kolekcji Franklin Mint.

Dwa identyczne skórzane fotele z regulowanymi oparciami - hity od Searsa - stały na wprost wielkiego stereofonicznego telewizora. Siedząc w swoim fotelu, Billy miał w zasięgu ręki kuchenkę mikrofalową, która idealnie nadawała się do podgrzewania nachos z chili podczas oglądania teleturniejów.

Wymarzony dom dla dwóch samotnych chłopców.

I całkowite przeciwieństwo tego, co reprezentował sobą ten obskurny motel.

Billy podzielił się tą myślą z bratem, rozgniatając w łazience rybika.

Bobby wzruszył ramionami.

- Nie mamy wielkiego wyboru. W domu nie możemy tego robić.

- Co nie znaczy, że musi mi się tu podobać.

Bobby ponownie wzruszył ramionami, wyrażając w ten sposób niechętną zgodę.

Usiadł na łóżku i otworzył dwa piwa. Wysączyli je. Billy włączył telewizor, narzekając na rozklekotanego pilota. Po pięciu minutach rozległo się pukanie do drzwi. Billy otworzył. W progu stał Ned, amator naleśników na śniadanie, ubrany w dżinsy, T-shirt i kurtkę uniwersyteckiej drużyny futbolowej.

- Ned, chłopie, no wchodź.

- Cześć, chłopaki, co słychać?

- Na razie jeszcze nic - roześmiał się Bobby, o milisekundę uprzedzając Billy'ego z dowcipem.

Ned zmarszczył czoło, nie rozumiejąc tego, co najwyraźniej miało być śmieszne. -

Trochę tu gorąco - powiedział.

- Tak, trochę. Dziwną mamy pogodę.

- Ale macie tu niezłą metę. Naprawdę niezłą. - Ned rozejrzał się po pokoju.

Bliźniacy wymienili między sobą sceptyczne spojrzenia, podczas gdy Ned podziwiał brązowo-pomarańczowy chodnik, brązowe meble z laminatu i przybite do ścian fotografie kwiatów. Wyglądał przy tym tak, jakby znalazł się w wytwornej sali balowej jakiegoś hotelu przy Piątej Alei.

Otworzyli kolejne piwa i przełączyli telewizor na powtórkę programu „Bill Cosby Show”.

Bobby odezwał się:

- W tym serialiku jest po prostu beznadziejny. Mówię o Cosbym. Strzela miny do kamery i liczy tylko zarobioną kasę, o wiele bardziej podobał mi się w „Szpiegach”. To było dopiero aktorstwo.

- Nie widziałem - odparł chłopak.

- Nie pokazywali tego za twoich czasów. O takich dwóch gościach z CIA. Białego grał Robert Cummings...

- Culp - poprawił go Billy.

- Racja, Robert Culp. No i Bill Cosby. Mówię ci, stary, rewelacyjny serial. A jakie sceny walk karate.

- No, ale w tym serialiku gra Lisa Bonet - zauważył Bobby.

- Gorąco tu jak diabli - stwierdził nagle Billy. Zdjął koszulę i otarł nią pot z twarzy.

Pod spodem miał podkoszulek bez rękawów.

- Słuchaj, Ned, silny z ciebie facet. Sprawdź no, czy nie uda ci się zakręcić ogrzewania.

Chłopak zerwał z siebie czerwono-białą kurtkę i upuścił ją na łóżko. Przez kolejnych pięć minut mocował się z gałką kaloryfera, aż z wysiłku zrobił się purpurowy na twarzy.

- Cholera, zapieczona.

- Dobra, daj spokój - mruknął Bobby. - Będziemy się pocić i tyle. - Rozpiął koszulę aż do pępka - nie miał pod spodem podkoszulka - i zaczął się wachlować jej połami. Bliźniacy opadli na jedyne dwa fotele, jakie były w pokoju. Ned już siadał na podłodze, ale Billy powstrzymał go.

- Nie, zajmij honorowe miejsce. - Mówiąc to, wskazał mu łóżko i Ned klapnął na gąbczasty materac.

Bobby podał mu następne piwo. Potem przez pół godziny oglądali telewizję.

Wreszcie Bobby zaproponował:

- Hej, chcesz czegoś spróbować?

- Chyba tak. Sam nie wiem - odparł Ned.

Bobby wyjął z kieszeni kopertę - niedużą kopertę z brązowego papieru. Podniósł ją do góry i potrząsnął. Coś zagrzechotało. - Niespodzianka...

- Co tam masz? - spytał chłopak.

Bobby otworzył kopertę i pokazał Nedowi jej zawartość.

- Co to jest, do diabła?

W środku było ponad dwadzieścia kryształów przypominających cukierki.

- Spróbuj, są słodkie - powiedział Bobby.

Billy delikatnie potrząsnął kopertą; na dłoń chłopca wysypały się trzy czy cztery kryształy. Ned uniósł je i powąchał.

- Nic nie czuć.

- Fakt.

- Będziemy jeść jakieś cukiereczki?

- Jasne, czemu nie?

Billy i Bobby wzięli każdy po jednej bryłce. Chłopak zbliżył dłoń do ust, ale chwycili go za nadgarstek. Billy z prawej, Bobby z lewej strony.

- Nie za dużo. Na razie tylko po jednym.

- Hę?

- Po jednym.

Ned wrzucił pozostałe kryształy z powrotem do koperty. Potem wsunął pojedynczy kryształ do ust. Wolno rozgryzł.

- Faktycznie słodki. To... - Urwał. Jego oczy rozszerzyły się, a potem nagle przymknął

powieki. - O rany - wyszeptał. - Ale odjazd: Na maksa. - Potarł uszy, jakby były zatkane, uśmiechając się głupio przez cały czas. - Co to jest, do cholery? - Jego słowa przeszły w chichot. - O rany. Super towar.

Bliźniacy wiedzieli, co się z nim teraz dzieje - miękka wata zaczyna wypełniać każdy zakamarek twojego mózgu, czujesz ciepło, a w koniuszkach palców to zmysłowe drżenie, opływające skórę niczym dotyk kobiety kładącej się wolno, bardzo wolno na twoim ciele; masz wrażenie, że cały zmieniasz się w ciepły płyn, rozpuszczasz, płyniesz...

- Zadowolony? - spytał Bobby

Chłopak zachichotał.

- O rany. - Otworzył szeroko usta i wciągnął głęboko powietrze, jakby je smakując.

Bracia wymienili spojrzenia i niemal niedostrzegalne skinięcia głową. Bobby złożył

kopertę i wsunął ją Nedowi do kieszeni dzinsów, gdzie jego dłoń zabawiła przez dłuższą chwilę.



Trzecie na liście.

Złomowisko R&W przy trasie numer dziewięć, o którym kolesie grający w pokera byli łaskawie mu wspomnieć, okazało się tym właściwym. Była dziewiąta rano, a wyblakły szyld głosił, że firma otwarła już swe podwoje.

Pellam zaparkował wóz na niewielkiej działce i wrócił wzdłuż zwirowanego pobocza usłanego zgniecionymi puszkami po piwie oraz celofanowymi opakowaniami po jedzeniu na wynos. Od czasu do czasu mijały go rozpędzone samochody i furgonetki; za każdym razem czuł wtedy silne uderzenia powietrza.

Złomowisko rozciągało się za szarym, połamanym ogrodzeniem przyozdobionym artykułami czekającymi na swego kupca. Zardzewiały szyld stacji benzynowej Mobil, ogrodowa figurka czarnoskórego dżokeja, pęknięte koło od wozu, baryłka do przechowywania whisky, zabytkowa taczka, kilkanaście samochodowych kołpaków, wygięty pług, pokryty smarem pedał maszyny do szycia. Jeśli R&W wystawiło tu na widok swoje najlepsze towary, Pellam wolał sobie nie wyobrażać, co mogło znajdować się za ogrodzeniem.

Zresztą i tak go to nie interesowało. Obiekt, który zwrócił jego uwagę, spoczywał na samym końcu działki - tam, gdzie otwarta brama z metalowej siatki ukazywała oczom ciekawskich największe sekrety złomowiska - i był nim wypożyczony samochód, ten sam, który ponosił winę za śmierć Marty'ego.

Przed płotem stała niewielka szopa, wyraźnie pochylona na lewy bok. Nikt nie odpowiedział na pukanie Pellama, więc wolno podszedł do tego, co było niegdyś samochodem.

Wrak go przeraził. Widok tego rodzaju zniszczeń zawsze jest przerażający, kiedy człowiek widzi, co zostało z popisowego towaru eksportowego miasta Detroit - zamiast twardej, błyszczącej blachy poskręcana stal ze śladami głębokich pęknięć. Przód był prawie nietknięty, ale z tyłu cały lakier był odparzony lub zdarty i wszędzie pełno było czarnego, stopionego plastiku. Widać było, że wybuchł bak. Metal wybrzuszył się na zewnątrz jak folia aluminiowa. Wewnątrz wozu prawie nic nie pozostało oprócz sprężyn jednego fotela i jednego czy dwóch szerniałych kawałków tapicerki wydzielających kwaśną woń spalonego włosa.

Wtedy zauważył otwory.

Początkowo nie był pewien - blacha pełna była różnych wgnieceń i uszkodzeń. W

niektórych miejscach metal przepalił się na wylot, w innych widać było zagłębienia i trójkątne dziury tam, gdzie fragmenty wybuchającego baku uderzyły z siłą pocisku. Ale gdy Pellam przykucnął i przyjrzał się z bliska karoserii, znalazł dwa otwory, które były bardziej okrągłe niż inne, o średnicy około dwóch centymetrów. Odpowiadały dokładnie pociskom kaliber 0,30 albo 0,303 cala. Nie można było oczywiście wykluczyć, że to przygodni myśliwi albo jacyś chłopcy przestrelili karoserię już po wypadku (Pellam pamiętał, że sam wiele razy bawił się potajemnie w Bonnie i Clyde'a, spędzając uroczę popołudnia na strzelaniu z należącego do ojca automatycznego colta kaliber 0,45 do takiej porzuconej furgonetki cherry, rocznik '54). Ale mimo to...

- Mogę w czymś pomóc?

Pellam podniósł się wolno i odwrócił.

Stojący przed nim mężczyzna miał trzydzieści kilka lat i zaokrąglony brzuch, ubrany był w roboczy kombinezon i kowbojski kapelusz. Miał twarz jak księżyc w pełni i dziwacznie przyciętą

grzywkę.

- Chyba tak? - odparł Pellam.

- No to słucham - odparł tamten z uśmiechem. Ręce miał pokryte smarem i wycierał je

- bezskutecznie - w zwitek papierowych ręczników.

- To pana teren?

- Zgadza się. W R&W to ja jestem R. Nazywam się Robert. Ale wszyscy mówią na mnie Bobby.

- Macie tu sporo ciekawych rzeczy, Bobby.

- Fakt. Kiedyś brałem wszystko z demobilu, ale ostatnio wojskowe wyprzedaże nie są już takie jak dawniej.

- Naprawdę?

- Nie robi się już takich interesów jak kiedyś. Mój tato, który prowadził ten interes przed nami, kupował wszystko prosto od Wujka Sama. Kompasy, części do dżipów, opony, ciuchy. Druga wojna światowa, wie pan. Bagnety, półautomaty, karabiny M-1. Wszystko oryginalne, słowo honoru. Kreozot i woskowany papier...

Wzrok mężczyzny spoczął na spalonym wraku.

- Mam lepsze fury, jeśli to pana interesuje.

- Nie, po prostu zwróciłem na niego uwagę.

- Kupiłem go w takim jednym warsztacie w Cleary. Za sto dolarów. Myślę, że uda mi się coś uratować spod maski, a potem sprzedam grata na szrot. Można by za niego dostać nawet ze trzy setki... Ale skoro nie szuka pan samochodu, to czego?

- Rozglądam się, to wszystko.

- Nie jest pan stąd - zauważył Bobby - ale pański akcent... No, wie pan, brzmi znajomo.

- Urodziłem się w Simmons. Jakieś sto kilometrów stąd.

- Mam tam kuzyna. - Mężczyzna ruszył z powrotem do szopy. - Gdyby potrzebował

pan pomocy, wystarczy zawołać. Nie znajdzie pan na niczym ceny, nie wypisujemy ich, szkoda zachodu. Ale jeśli coś się panu spodoba, na pewno się dogadamy. Przyjmę każdą rozsądną propozycję.

- Będę o tym pamiętał.

- Jak się człowiek za wysoko ceni - powiedział Bobby - klienci niczego nie kupią.

Zarobić można tylko na wyprzedażach.

- Dobra filozofia.

Tym razem trafił na samego szeryfa.

Pellam nie zdążył nawet postawić stopy na asfalcie Main Street, gdy ten wyrósł przy nim jak spod ziemi. Pachniał Old Spicem albo jakąś inną tanią wodą po goleniu. W

przeciwieństwie do swoich zastępców był wysoki i chudy, jak sucha gałąź. Nie miał też na twarzy szpanerskich okularów stróża prawa.

- No, proszę pana? Jak tam się pan dzisiaj miewa?

Znowu to „proszę pana”.

Szeryf uśmiechał się szeroko, trudnym do opisanego uśmiechem wszystkich policjantów. Zupełnie, jakby należeli do jakiejś sekty. Pellam wysiadł z wozu i odparł:

- Nie najgorzej. A pan?

- Jakoś leci. Ciężka pora roku. Szaleństwo z tymi wszystkimi mieszczuchami, amatorami kolorowych liści. Osobiście tego nie rozumiem. Może powinniśmy otworzyć tutaj biuro podróży i

wodzić ludzi z wycieczką na Manhattan, żeby popatrzeli sobie na beton i światła reflektorów.

- Pellam odwzajemnił uśmiech.

- Nazywam się Tom Sherman. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Moje nazwisko już pan chyba zna - odparł Pellam.

- Owszem.

- Czyli wrócił pan do Cleary - zauważył Pellam. - Słyszałem, że pan wyjechał.

- Prywatne sprawy. Jak pan się czuje po tym drobnym wypadku?

- Noga jest trochę sztywna, ale to wszystko.

- Chciałem powiedzieć, że nie pociągniemy raczej pani Torrens do odpowiedzialności.

Chyba że chce pan wnieść skargę...

Pellam pokręcił głową.

- Nie. Zapłaciła rachunek za leczenie. Nie szukam łatwego zysku.

- No cóż, myślę, że to uczciwe podejście, proszę pana. Rzadko się z tym spotykam.

Czytałem w tygodniku „Time” o ludziach pozywających innych o byle głupstwo. Pewna kobieta - widziałem to w telewizji - chyba w programie „Sześćdziesiąt minut”, nie pamiętam.

Ta kobieta otworzyła pudełko płatków śniadaniowych i co znalazła? Zdechłą mysz. Pozwała firmę i dostała, no nie wiem, chyba z pół miliona dolarów. A przecież jej nie zjadła, ani nic z tych rzeczy. Tylko ją zobaczyła. Mówiła, że później przez rok śniły jej się myszy. To dopiero kit, co?

- Aha. Tak w ogóle, szeryfie, chciałem pana o coś zapytać.

- Tak?

- Widziałem ten samochód, którym jeździł mój przyjaciel.

- Pana przyjaciel? Ach, ten, który wysadził się w powietrze.

- W karoserii są jednak otwory po kulach.

- Otwory po kulach? - Szeryfowi nie drgnął ani jeden mięsień w jego szczupłych policzkach. -

Wątpię, proszę pana.

- Poluję, od kiedy skończyłem dwanaście lat - odparł Pellam.

- Zbadaliśmy go naprawdę dokładnie i nie znaleźliśmy żadnych śladów.

- Są dwa otwory - sprecyzował Pellam. - Tuż obok baku. Twarz szeryfa pozostała nieruchoma. -

Ach, ma pan na myśli te otwory z tyłu? Mniej więcej metr od siebie?

- Tak sędzę - odparł Pellam.

Szeryf pokiwał głową.

- Strażacy.

- Co takiego?

Kiedy zjawili się na miejscu, samochód jeszcze płonął, a bagażnik był zamknięty.

Użyli takiej piki, nie wiem dokładnie, jak to się nazywa, wygląda jak długi pręt z hakiem na czubku, do wyważenia bagażnika. Zawsze tak postępują w przypadku płonącego samochodu.

Otwierają, co tylko się da. Mają mnóstwo świetnego sprzętu. Nożycami wycinają ludzi z rozbitych samochodów.

- Aha.

- Gdzie pan w ogóle widział ten samochód, proszę pana?

- Przy autostradzie. Na złomowisku kilometr za miastem.

Szeryf spojrzał w dół, na swoje buty fachowo wypolerowane wazeliną.

- Hm, szukałem pana między innymi po to, żeby powiedzieć panu jedną rzecz.

Chciałem zauważyć, że to, co pan teraz robi, to chyba nie jest najlepszy pomysł.

- A co ja takiego robię? - spytał Pellam.

- Wie pan, mam wrażenie, że nie może się pan pogodzić z myślą, iż pański znajomy zabił się, biorąc narkotyki i usiłuje pan udowodnić, że było inaczej.

- Śledztwo potoczyło się tak błyskawicznie...

- Słucham?

- Dochodzenie koronera, policyjne śledztwo. To wszystko potoczyło się naprawdę błyskawicznie.

Niewzruszona, pozbawiona okularów przeciwsłonecznych twarz. Wolne skinienie głową.

- Może jest pan przyzwyczajony do tempa pracy miejskiej policji. My tu w Cleary nie mamy tysiąca zabójstw w roku, proszę pana. Od czasu do czasu zdarza się morderstwo albo wypadek i wtedy szybko załatwiamy wszystkie formalności.

- Rozumiem. Ale szczerze wątpię w to, aby mój przyjaciel zażywał narkotyki...

- Panie Pellam, nie mamy tutaj archiwów z dowodami, jakie się widuje w telewizji.

Mamy jednak szafkę, w której przechowujemy akta spraw i w tej chwili leży w niej paczka owinięta w folię aluminiową, a w środku kilka uncji haszyszu. Wie pan, ja...

- Ale...

- Proszę pozwolić mi skończyć. Otóż, proszę pana, ja byłem w Wietnamie i w swoim czasie paliłem to i owo. Powinienem też dodać, że nie mam nic przeciwko filmowcom ani panu czy też pańskiemu przyjacielowi. Mamy narkotyki, zapalniczkę, spalone poszycie... Sam pan widzi, na co to wskazuje.

- Nigdy nie słyszałem, żeby samochód wyleciał w powietrze tylko dlatego, że ktoś w pobliżu zapalił skręta.

- Niech pan sobie przypomni tego czarnego komika, który podpalił się kilka lat temu.

- Marty nie paliłby koki w samo południe na terenie parku stanowego.

Szeryf uśmiechnął się blado.

- Tak? A gdzie by palił?

Pellam nachylił się ku niemu. W oczach szeryfa mignął mu jakiś błysk, coś jakby ostrożność.

- Niech pan mnie wysłucha, szeryfie, a potem powie, co pan by o tym pomyślał, zgoda? Na mojej przyczepie ktoś wypisuje groźby. Potem mój przyjaciel ginie w bardzo tajemniczych okolicznościach. Zaś po czterdziestu ośmiu godzinach miejsce, w którym zginął, jest zaorane, samochód sprzedany na złom, a gość, który wynajął go mojemu przyjacielowi, wyjeżdża do Miami.

- Do Clearwater. Fred Sillman co roku jeździ do Clearwater.

- Prawdę mówiąc, mam w dupie jego urlopowe zwyczaje. Mój przyjaciel nie zginął w sposób, o jaki się go obwinia. I jeśli pan nie zamierza się dowiedzieć, jak do tego doszło, sam się tego dowiem. To wszystko.

- Zrobiliśmy, co do nas należy, proszę pana. Dowiedzieliśmy się o pańskim przyjacielu czegoś, co nie jest miłe. Przykro mi z jego powodu i żałuję, że stracił pan pracę, ale przedłużanie pańskiego pobytu w Cleary niczego nie zmienia.

- Każe mi pan wyjechać z miasta?

- Oczywiście, że nie. Ma pan prawo przebywać w naszym miasteczku, zwiedzać je, do diabła, może pan nawet kupić tutaj dom - jak rozumiem, dość dobrze zna pan naszą agentkę od nieruchomości. Mówię tylko, że nie ma pan prawa bawić się w policjanta. I jeśli zacznie pan

niepokoić ludzi, będą musiał interweniować.

- Zapamiętam sobie pańskie ostrzeżenie. - Pellam spróbował się uśmiechnąć. Bez powodzenia. Lepiej wyszło mu pożegnanie: - Miłego dnia, proszę pana.

\*

Wexell Ambler wybierał się z wizytą do swojej kochanki.

Wyszedł z domu - oficjalnie na zebranie - i pomaszerował do wielkiego cadillaca zaparkowanego na podjeździe w kształcie litery U. Nie mógł się doczekać chwili, gdy znajdzie się wraz z nią w jacuzzi na przeszklonym tarasie swojego domu w pobliskim Claverack w stanie Nowy Jork, skąd będą mogli spoglądać na majaczące w oddali Catskill Mountains, o tej porze roku cudownie spłowiełe. Nie mógł się też doczekać świeżej kawy i smaku jej potraw.

Myślał o tym, że będą się powoli kochać w gorącej wannie albo na ogromnym łóżku z wysokim drewnianym zagłówkiem, które jej kupił po tym, jak powiedziała, iż podobają jej się jego proste linie. Dziwna z niej była kobieta. Często je ze sobą porównywał, swoją była żoną i obecną kochankę. Próbował ustalić między nimi podobieństwa i różnice. Obie były atrakcyjne, dobrze się ubierały, potrafiły poprowadzić rozmowę w country klubie. Żona była inteligentniejsza, ale jednocześnie nie miała aż tyle wyobraźni; brakowało jej ikry, pasji. Na wszystko mu pozwalała. Kochanka natomiast stawiała mu wyzwania (niewykluczone, pomyślał teraz, że właśnie dzięki temu czuł się młodszy. Taką samą niepewność odczuwał w kontaktach z jedną z pierwszych dziewcząt, w jakich był zakochany).

Wsiadł już do samochodu, gdy z domu wybiegła jego gospodyni, dając mu znaki, żeby nie odjeżdżał.

- Dzwoni Mark - zawołała. - Mówi, że to pilne.

Ambler odparł:

- Niech zadzwoni na telefon w samochodzie.

Wycofał wóz z podjazdu i jeszcze raz pomachał jej czule na pożegnanie.

Czekając na telefon, mniej myślał o tym, co jego ponury współpracownik ma mu do powiedzenia, a więcej o kobiecie, z którą zamierzał się spotkać.

Ambler był człowiekiem religijnym (zasiadał w komitecie wykonawczym Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego) i zdawał sobie sprawę z tego, że kalwińska teoria predestynacji nie rozgrzesza go z konieczności wyboru właściwej, moralnej drogi; niemniej jednak religia sprawiała, że odczuwał bezradność w pewnych kwestiach moralnych, zwłaszcza tych, które były dla niego zdecydowanie niewygodne. Wolał się wówczas poddać i pójść za własnym instynktem.

Chociaż więc wiedział, że to, co robi, jest niemoralne, czuł się uzależniony od swojej kochanki, co mniej lub bardziej uprawniało go do twierdzenia, że nie kontroluje własnego zachowania.

Mimo to starannie tuszował swoje cudzołóstwo. Nigdy na przykład nie myślał o nim w kategoriach „zdrady”, które to słowo nadawało całej sprawie drobnomieszczański charakter.

Zawsze też nazywał w myślach swoją flamię kochanką albo metresą, a nie dziewczyną czy „kobietą, z którą spotykał się na boku” (Wex Ambler bardzo cenił sobie godność). Nigdy też nie ośmieliłby się postawić swojej kochanki w krępującej sytuacji tylko po to, żeby zaspokoić swoją żądzę i dokonywał cudów, aby utrzymać ich romans w tajemnicy.

Był tylko jeden problem - problem, którego nie wziął pod uwagę w swoich kalkulacjach - a mianowicie taki, że zakochał się w niej po uszy.

Ambler liczył sobie pięćdziesiąt dwa lata, nie był więc jeszcze tak stary, by nie pamiętać, że

miłość robi z ludzi głupców, a w jego świecie - jak również w jego zawodzie -

głupota była grzechem śmiertelnym. Usiłował bronić się przed tym uczuciem, ale w przeciwieństwie do religii, pieniędzy i władzy, miłość zawsze miała ostatnie słowo.

Trafiło go i to porządnie.

To on nalegał, aby ich schadzki były coraz częstsze. Czuł, że całym sobą ciąży ku niej, ulega jej. Był coraz bardziej spragniony, wręcz zdesperowany, podczas gdy ona zdawała się zachowywać coraz większy dystans.

Czyż można sobie wyobrazić większego głupca niż zakochany mężczyzna w średnim wieku? I czy ktokolwiek inny mniej przejmowałby się tym, że robi z siebie głupca?

Ambler wciągnął w nozdrza pył suchych liści oraz ciepłe powietrze z nawiewu cadillaca i pomyślał, że chciałby już być na miejscu.

Wtedy zabrzączał telefon. Ten dźwięk zawsze go irytował; przypominał alarm, jaki rozlega się ze szpitalnego monitora w momencie, gdy pacjentowi przestaje bić serce. Szybko chwycił lekką słuchawkę.

- Tak?

- Rozmawiałem z Tomem - odezwał się Mark.

- Dobrze. No i?

- Gość bawi się w prywatnego detektywa.

Ambler skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Tutejsze drogi były wąskie i kręte; wiły się w niebezpieczny sposób pomiędzy farmami, na których hodowano konie i krowy. Zdarzało mu się już lądować na poboczu, kiedy nie myślał o tym, jak jedzie. W końcu zapytał Marka:

- Co masz na myśli?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której usłyszał, że Mark splota. Młody człowiek żujący tytoń - co za głupota. Może robił to, żeby przyciemnić sobie wąsy. Wreszcie Mark rzucił:

- Zadaje dużo pytań na temat swojego kumpla i tamtego samochodu. Był nawet w R&W.

- Na złomowisku?

- Tak. Szukał wraka wozu.

Prawe przednie koło z hałasem zeskoczyło z asfaltu i Ambler poczuł silne szarpnięcie.

Samochodem zarzuciło. Sprowadził wóz ponownie na jezdnię. Przesadził ze skrzętem kierownicy i przejechał przerywaną żółtą linię, zanim udało mu się zapanować nad autem.

Mark spytał:

- Co teraz zrobimy? Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zaproponować mu pieniądze. No wiesz, przekupić go, żeby stąd wyjechał.

- Wtedy może pomyśleć, że miałem coś wspólnego z tym wypadkiem.

- Niekoniecznie. - Kiedy Ambler nie odpowiedział, Mark dodał: - Chociaż rzeczywiście mogłby tak pomyśleć.

- Mam pomysł - powiedział Ambler. - Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon.

Spotkajmy się.

- Teraz?

- Nie, przez jakiś czas będę zajęty. Potem do ciebie zadzwonię. Rozłączyli się. Przez resztę drogi do chaty Ambler otrząsał się z niepokoju, jaki wzbudziły w nim rewelacje Marka.

Prawdę mówiąc, nastrój poprawił mu się dopiero, gdy skręcił na usłany liśćmi podjazd i zobaczył samochód swojej kochanki stojący na ukos po przeciwnej stronie chaty. Wsiadł z cadillaca

niecierpliwy i radosny jak siedemnastolatek w drodze na swoją pierwszą poważną randkę.

Ochotnicza straż pożarna w Cleary mogła poszczycić się długą tradycją walki z żywiołem, odpowiednio udokumentowaną.

Dziesiątki spłowiałych fotografii ręcznych pomp, wozów ciągniętych przez konie, a nawet kilka zdjęć przedstawiających strażaków podających sobie z rąk do rąk wiadra, ozdabiały ściany niewielkiego biura - zupełnie, jakby firma miała na etacie ucznia samego Matthew Brady'ego<sup>9</sup>, który rejestrował wszystkie ważniejsze pożary przed, po oraz włącznie z wielkim pożarem z roku 1912.

Strażacy sprawiali przy tym takie wrażenie, jakby pozowali do fotografii i Pellam był ciekaw, czy rzeczywiście przerywali na moment pracę, wygładzali swoje sumiaste albo podkręcone do góry wąsy i ustawiali się w swobodnych pozach.

Dzień dobry panu - powitał go siedzący za biurkiem mężczyzna, kołysząc się na metalowym krześle. Był nieco po trzydziestce, ubrany w opinający muskuły czarny T-shirt i niebieskie dżinsy, a na głowie miał czapkę nowojorskich Metsów.

- Nie przeszkadzam?

- Jak widać. Zaległo milczenie.

Pellam wyrztał przez szybę na wielki, żółty wóz strażacki marki Seagrave.

- Macie tu niezły sprzęt.

- Miasto nam nie żałuje, to fakt.

- Wszyscy tu są na ochotnika?

9 Matthew Brady (1827-1896) - pionier reportażu fotograficznego, zasłynął zdjęciami z wojny secesyjnej.

- Tak. Opłacają tylko jednego dyżurnego, żeby przyjmował zgłoszenia dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To musi pan być skonany.

Mężczyzna wzruszył ramionami na ten żart i zaraz odpalił:

- Ale za to człowiek ma od groma nadgodzin.

- Jestem tym facetem z wytwórni filmowej - przedstawił się Pellam.

- Wiem.

- Mogę zadać panu parę pytań?

- Jasne, proszę pana.

- To pan miał dyżur, kiedy wybuchł tamten samochód? Wtedy w parku?

- Samochód pańskiego kolegi?

- Właśnie ten - przytaknął Pellam.

- Przyjąłem zgłoszenie, proszę pana. I zaraz ruszyliśmy.

- Może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Pyta pan, co spowodowało wybuch?

- Pytam o wszystko, co może mi pan powiedzieć. Mężczyzna odparł:

- Najwięcej informacji znajdzie pan w raporcie koronera.

- Nie pytam oficjalnie, nic z tych rzeczy. Po prostu, jestem ciekaw. To był mój dobry znajomy.

- Tak, proszę pana, rozumiem. - Strażak zmrużył oczy i popatrzył na nieskazitelny, pomalowany czerwoną emalią metalowy dach. - Pamiętam, że kiedy przyjechaliśmy, tył wozu był już cały w ogniu. Ktoś przejeżdżał obok i zadzwonił po straż.



- Wie pan, kto to był?

- Nie. Chyba telefonowano z budki. Anonimowe zgłoszenie.

- A więc zjawiliście się na miejscu i co dalej?

- Tam oczywiście nie ma żadnego hydrantu, więc musieliśmy pompować wodę ze zbiornika w wozie i ugasić ogień na tyle, żeby się zbliżyć do pańskiego znajomego. Potem połowa oddziału z gaśnicami i łopatami zajęła się gaszeniem poszycia. I to by było na tyle. W

końcu odciągnęliśmy ciało od wraku i ostatecznie ugasiłszy pożar. Facet zginął na miejscu.

To była szybka śmierć.

- Wybuchł zbiornik z paliwem?

- Tak, proszę pana.

- Otwieraliście też bagażnik?

- Zgadza się, wyważyliśmy zamek.

- Jak się to robi?

- Zazwyczaj po prostu wyważamy cylinderek w zamku, a potem sięgamy do środka i przesuwamy zapadkę. Ale tym razem blacha była wypchnięta na zewnątrz, więc po prostu nakłuliśmy ją w paru miejscach piką. W ten sposób obluźowaliśmy zamek i otworzyliśmy bagażnik.

- Po co było go otwierać?

- Szeryf nam kazał. Chciał sprawdzić, co jest w środku. Zresztą to standardowa procedura. Na wypadek, gdyby w bagażniku były kanistry z benzyną albo ropą. Poza tym koło zapasowe potrafi fajczyć się godzinami, jeśli dobrze się go nie zgasi.

- I znaleźliście coś ciekawego?

- Słucham?

- Powiedział pan, że szeryf chciał zajrzeć do środka.

- Nie wiem. Byłem już wtedy przy masce.

- Ma pan pod ręką jedną z tych pik?

Pytania Pellama nie zdążyły go jeszcze zaniepokoić, ale strażak robił się coraz bardziej czujny.

- Są załadowane na wóz, proszę pana. Tak naprawdę cywilom nie wolno tu przebywać.

Pellam skinął głową. Przez zatłuszczone szybę popatrzył na wóz strażacki. Piki sprawiały wrażenie tępych i ciężkich. Nic nie wskazywało na to, że mogłyby zrobić tak małe otwory jak te, które widział w karoserii samochodu.

- Z czego one są?

- Ze stali, rzecz jasna.

- Ostatnie pytanie. Dlaczego cały teren został zaorany?

- Na polecenie szeryfa. Słyszałem, że ktoś zadzwonił do niego i kazał mu to zrobić.

Ale nie wiem, dlaczego.

- Nie wie pan przypadkiem, kto to był?

- Niestety nie.

Pellam podziękował, po czym dodał:

- A nie zapyta mnie pan?

- O co, proszę pana?

- Czy będziemy tu kręcić film?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- To dla mnie bez różnicy, proszę pana. Ja robię w zbożu i paszy, a nie w filmach.

W południe Meg Torrens wyszła z biura agencji nieruchomości Dutchess County Realty i wywiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „Zaraz wracam”, ustawiając wskazówki znajdującego się pod napisem zegara na kwadrans po pierwszej. Rozejrzała się po placu. Po przeciwnej stronie zobaczyła zaparkowaną przyczepę Pellama. Upewniła się, że nic nie jedzie, po czym przeszła przez ulicę i zbliżyła się do samochodu. Zwróciła uwagę na jasno - i ciemnobrązową farbę, poobłukiwane błotniki, plamy błota oraz pęknięcia na przedniej szybie. Czego ona tutaj u diabła szuka?

Po prostu w porze lunchu wyszłam na małe zakupy, to wszystko.

Skarbie, kiedy ty ostatnio kupiłaś coś u tych zdzierców handlujących antykami? Trzy, cztery lata temu, prawda?

Wyobraziła sobie siebie w jednej z takich przyczep na planie filmowym. Tamta praca modelki była czysto fizyczna, wyczerpująca. Na dodatek traktowano ją jak przygłupiego cocker spaniela. Była pewna, że z aktorstwem jest inaczej.

Pogładziła metalową karoserię wozu. Na jednym z boków zauważyła niewyraźne pozostałości graffiti. Wyglądało to jak dwa krzyże.

Zarzuciła na ramię skózaną torbę i wolno ruszyła przed siebie ulicą, przyglądając się wszystkiemu, co tyle razy mijała, nie zwracając na to większej uwagi. Kamień węgielny datowany na koniec września 1929 roku - czyżby Czarny Czwartek? Drewniana, malowana beczka na chodniku oznaczona numerem 58 wypisanym czerwoną farbą. Jeden z budynków miał na dachu wiatrowskaz w kształcie wieloryba - dlaczego akurat tutaj, dwieście kilometrów od oceanu? W innym zauważyła przepiękne, okrągłe witrażowe okno.

Spoglądała właśnie na wystawę Steptoe Antiques, gdy usłyszała za sobą zbliżające się kroki, a czyjś głos powiedział:

- Nie miałbym nic przeciwko jeszcze jednej porcji tych doskonałych ciastek.

Meg odwróciła się z obojętnym wyrazem twarzy, który tak długo ćwiczyła na wypadek, gdyby doszło do ich spotkania. Odparła:

- Trzeba je było zjeść, kiedy miałeś okazję, kowboju.

Pellam podszedł bliżej, żeby zobaczyć, co ją zaciekało na wystawie.

- A jak ci idzie nauka jazdy?

- Tak samo, jak tobie nauka fotografowania.

Meg pokazała mu wiszący za szybą postrzępiony dywanik.

- Widzisz? Wydaje się, że na metce jest napisane sześćdziesiąt. Tak naprawdę ten dywanik kosztuje sześć stów. Za mniej go nie sprzedadzą.

- Co ma przedstawiać ten rysunek na nim, psa?

Meg przyjrzała się uważniej.

- Może. A może kota? Nie mam pojęcia.

- Świetna kolacja - ciągnął Pellam. - Dobrze się bawiłem.

Uniosła w górę jedną brew.

- Ja też. - Starannie wybrała intonację.

- Masz piękny dom. To pierwsza kolacja od ponad roku, jaką zjadłem w domu, prawdziwym domu.

- Żartujesz - odparła, chociaż nie była tym zaskoczona. - Wiesz, Sam nie mówi teraz o nikim innym, tylko o tobie. Nie zapomnij, co mu obiecałeś.

Mruknął:

- Atrapy bomb. Nie, nie zapomniałem.

Podeszli do biura kolejnej agencji nieruchomości. Pellam przejrzał wywieszane oferty.

Głos Meg zabrzmiał o oktawę niżej, gdy rzekła:

- Mam tu kilka znakomitych okazji, panie Pellam. Istnieje też możliwość dofinansowania zakupu...  
Roześmieli się.

Wzbudzali spore zainteresowanie. Samochody zwalniały, mijając ich. Meg myślała:

„A idźcież wy wszyscy do diabła”, ale odwaga szybko ją opuszczała. Czuła się bezbronna, jak wtedy w kurorcie na Florydzie, gdy wystąpiła ubrana w nowe bikini, które okazało się zdecydowanie zbyt kuse jak dla niej. Obronnym gestem skrzyżowała więc ramiona na piersi, tak jak wtedy.

- Chyba lepiej będzie, jak już sobie pójdę - rzuciła.

Pellam dotknął jej ramienia. Zamarła, po czym pozorując swobodę, zrobiła krok do tyłu. Odezwał się:

- Chciałbym cię o coś zapytać. W tajemnicy.

W jej mózgu wybuchła prawdziwa gonitwa myśli; wolno skinęła głową.

- Czy jest jakiś powód, dla którego ktoś mógłby nie życzyć sobie w Cleary ekipy filmowej?

- Jesteśmy przeciwni narkotykom.

- Słucham?

- Ludzie mówią, że swoim zachowaniem dawalibyście zły przykład.

- W porządku, zgoda. Już to słyszałem... Zapytam inaczej: czy z jakiegoś powodu ktoś mógłby zabić mojego przyjaciela - tylko po to, żebyśmy nie nakręcili tutaj filmu?

Meg odwróciła się ku niemu gwałtownie, z ustami otwartymi z przerażenia.

- Mówisz poważnie? - Znowu spojrzała na wystawę. - To było głupie z mojej strony.

Oczywiście, że mówisz poważnie.

- Rozmawiamy nieoficjalnie?

- Jasne - przytaknęła.

- Okej. Marty faktycznie miał trochę haszu. Tyle że w przyczepie. Razem z bibułkami...

- Z czym?

- No, skręca się z nich papierosy.

- Ach, racja.

- Tak więc nie miał ich przy sobie w tamtym samochodzie, który wyleciał w powietrze. Ktoś później podrzucił mu narkotyki.

Pokręciła głową, jakby odpierając zarzuty - jakby Pellam był prawnikiem oceniającym jej reakcje w sądzie.

- Jakiś czas potem obejrzałem sobie ten wóz.

- I co?

- Znalazłem w karoserii dwa otwory po kulach.

- Otwory po kulach?

Tak sędzę. Tuż obok baku. Moim zdaniem było tak: ktoś strzelił, celując w bak, który eksplodował, a po wszystkim podrzucił narkotyki i odjechał, zanim zjawiała się tam straż pożarna.

W pierwszym odruchu pomyślała, że to niemożliwe - nie w Cleary. Ale zaraz przypomniała sobie o ciemniejszej stronie miasta. Zabójstwo tamtych biznesmenów, od czasu do czasu jakieś gwałty, dwóch licealistów, którzy wpadli na drzewo z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę (obaj byli zresztą naćpani heroiną).

Pellam mówił dalej:

- Może mógłbym pogadać z Keithem. Może dałoby się przeprowadzić jakieś badanie metalu. Sprawdzić, czy to rzeczywiście dziury po kulach.

Odparła:

- Dlaczego nie porozmawiasz z Tomem? To przecież on prowadził śledztwo... - Po chwili zrozumiała. - No tak. Uważasz, że on jest w to jakoś zamieszany, prawda? Nasz szeryf?

- Po prostu wolałbym uniknąć rozgłosu.

Skinęła głową. Otworzyła torebkę i podała mu wizytówkę Keitha.

- Jasne, nie ma sprawy. Zadzwoń do niego. Polubił cię.

Po drugiej stronie placu zauważyła obserwującą ich parę. Kobieta nachyliła się ku mężczyźnie; zaczęli szeptać między sobą. Meg znowu poczuła się skrępowana.

- Życie w małym miasteczku...

- Mieszkam tutaj od pięciu lat, panie Pellam. Ale mam wrażenie, że od dziesięciu.

- Zjemy razem lunch? - zaproponował.

Zawahała się. Tak, nie, tak, nie... Odparła:

- Hm, lepiej nie.

- Dlaczego?

- Nie rób tego. - Bo jesteśmy w Cleary - odpowiedziała.

Kiwnął głową i rzucił:

- Rozumiem.

- Powodzenia, Pellam. - Weszła do kawiarni.

- Aha, jeszcze jedno... Chodzi mi tylko o lunch. O nic więcej.

Meg uniosła w górę ręce i pozwoliła im opaść bezwładnie po bokach.

- Być może faktycznie masz jak najuczciwsze intencje... - Urwała i przez milisekundę usiłowała wyczytać z jego twarzy reakcję na te słowa. Bez skutku. Dokończyła: - Ale Cleary to Cleary.

- Rozumiem, że to się nie zmienia.

- Nie za naszego życia. - Uśmiechnęła się i weszła do środka. Obite siatką drewniane drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem.

Firma M&T Pharmaceutical zajmowała jednopiętrowy klocek z pustaków na obrzeżach miasta. Budynek z prefabrykatów otaczał zwirowany parking, na którym stało trzydzieści czy czterdzieści samochodów - głównie starych fordów torino i chevroletów nova, ale także parę japończyków. Pellam zauważył też całe mnóstwo furgonetek; wiele z nich miało przyciemniane szyby noszące ślady mokrych nosów podnieconych psów myśliwskich.

W pobliżu głównego wejścia znajdowało się kilka oznaczonych miejsc parkingowych.

Przy pierwszym z nich widniała tabliczka z napisem „K. Torrens”. Miejsce obok było puste, a tabliczka zamalowana. Prawdopodobnie należało do nieżyjącego współnika Keitha. W Los Angeles, pomyślał cynicznie Pellam, takie miejsce zajęto by już pięć minut po pogrzebie.

Było późne popołudnie. Ściemniało się i w chwili gdy zdołał wcisnąć przyczepę na dwa miejsca przeznaczone dla gości, na stojącym pośrodku parkingu słupie zapaliła się lampa sodowa. Minął tablicę z logo firmy - podświetlanymi pochyłymi literami „M” i „T”.

Młoda recepcjonistka z puszystą, zalotną fryzurą uśmiechnęła się do niego, wypychając policzek cukierkiem.

- Dzień dobry, Daria - powiedział Pellam, przeczytawszy jej imię wygrawerowane na złotym

łańcuszku.

- Czym mogę służyć, proszę pana?
- John Pellam. Jestem umówiony z Keithem Torrensem.
- Tak, proszę pana. Proszę sobie usiąść.

Pellam usiadł i zaczął kartkować świeżutki egzemplarz „Tygodnika Chemicznego”. Po trzech minutach do recepcji wkroczył szeroko uśmiechnięty Keith Torrens.

- John. - Wymienili uścisk dłoni. - Miło cię znowu widzieć.
- Dziękuję, że znalazłeś dla mnie chwilę.
- Zapraszam, pokażę ci nasz zakład.

Fabryki z reguły przygnębiały Pellama - ścisła dyscyplina, to, w jaki sposób maszyny wyznaczały miejsce, w którym człowiek miał stać i dyktowały mu, co ma robić (doszedł do wniosku, że odzwierciedla to chyba jego wewnętrzny lęk przed tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby jego kariera nagle się zawaliła, a on wylądowałby przy jakiejś taśmie produkcyjnej, gdzie do końca życia wkręcałby wkręty samogwintujące w części do pralek firmy Whirlpool). Jednak zakład produkcyjny M&T zdecydowanie go zaskoczył. Wszystkie pomieszczenia były jasne i czyste, wyłożone nieskazitelnie białymi kafelkami i rześście oświetlone. Pracownicy nosili białe kurtki, spodnie i buty oraz przezroczyście niebieskie czepki, przypominające te, jakie zakłada się pod prysznic. Wielu z nich pochylało się nad pasami transmisyjnymi, kontrolując sprzęt, pakując kartony albo sprawdzając odczyty na ekranach komputerów. Jak okiem sięgnąć, stal nierdzewna i biel aparatów.

- Niczego sobie przedsiębiorstwo.

Keith odparł:

- Jestem tylko płotką. Żeby konkurować z takimi koncernami jak Pfizer czy Bristol Meyers-Squibbs, trzeba mieć większą wydajność. I tyle... - Małe windy unosiły pod sufit jasnobrązowe tekturowe pudła, które następnie przesuwają się po podwieszonym w górze pasie transmisyjnym i znikają w magazynie.

Keith, podniecony faktem, że ma okazję pochwalić się swoją firmą, gadał jak nakręcony, co w połączeniu z głośnym pulsowaniem dziesiątek rozmaitych urządzeń sprawiało, że Pellam wychwytywał jedynie pojedyncze zdania. Mimo to uśmiechał się i potakiwał z entuzjazmem.

Skończyli obchód pod drzwiami gabinetu Keitha.

- Nie jest duży, ale jesteśmy z niego dumni.
- Kiedy znowu będę miał grypę, kupię wasz syrop na kaszel - zażartował Pellam.
- Dam ci tyle próbek, że wystarczy na dwa lata. - Zniknął w korytarzu.

Po pięciu minutach Pellam - z kieszeniami wypchanymi opakowaniami pastylek na ból gardła, buteleczkami z syropem na kaszel i aerozolem do nosa - został uroczyście wprowadzony do gabinetu Keitha, dużego, pustawego pokoju, wykończonego tanią boazerią.

Keith był najwyraźniej typem przedsiębiorcy, który wolał inwestować w rozwój firmy.

Pellam zamknął drzwi i od razu rzekł cicho:

- Chciałbym prosić cię o przysługę.
- Meg wspominała, że coś cię niepokoi.
- Byłbym wdzięczny, gdybyś zachował to dla siebie.
- Oczywiście.
- Chodzi o mojego przyjaciela. Tego, który zginął.
- W wypadku samochodowym.

- Nie jestem pewien, czy to był wypadek.

- Nie?

- Znalazłem wrak i zauważyłem z tyłu coś, co wygląda na otwory po kulach. Szeryf twierdzi, że to robota strażaków, ale ja przyjrzałem się dokładnie ich sprzętowi i uważam, że to niemożliwe.

- Otwory po kulach... - Keith zmarszczył brwi.

Pellam wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że ktoś mógłby zbadać te otwory i stwierdzić, czy to naprawdę ślady po kulach. Ktoś taki jak ty?

- Prawdopodobnie byłoby to możliwe. Jak wyglądają te otwory?

- Te, które widziałem, miały trochę ponad dwa centymetry średnicy, co odpowiadałoby kalibrowi 0,30.

- Naboje myśliwskie, na jelenie, mogły mieć miedzianą łuskę - mruknął Keith.

- Faktycznie, mogły.

Keith patrzył w sufit.

- Myślisz, że znajdziemy te pociski wewnątrz samochodu?

- Załóżmy, że zniknęły.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się porozumiewawczo i skinął głową. Potem zamyślił się. -

Samochód spłonął, prawda?

- Tak.

- Jeśli więc - zaczął wolno Keith - pociski były ołowiane, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie znajdziemy żadnych śladów ołowiu. Ołów utlenia się w bardzo niskiej temperaturze. Jednak z miedzią sprawa wygląda zupełnie inaczej. Ma bardzo wysoki punkt wrzenia. A jeśli jeszcze pocisk przejdzie przez stalową blachę karoserii? Tak, myślę, że w otworach zostałoby wystarczająco dużo osadu, żebyśmy znaleźli tam ślady miedzi.

- W takim razie następne pytanie...

- Z przyjemnością pomogę.

- Nie chciałem osobiście cię w to angażować. Może po prostu mógłbyś mi powiedzieć, czego powinienem szukać?

- Po czterech latach chemii nieorganicznej na pewno mógłbym. Ale może prościej będzie, jeśli wyskoczmy razem na pół godzinki? Pobiorę próbki i migiem przewieziemy je do laboratorium. Przepuścimy je przez chromatograf i spektrometr. Gdzie jest ten samochód?

- Na takim małym złomowisku przy trasie numer dziewięć.

- R&W?

- Właśnie.

Keith zmarszczył brwi.

- Myślałem, że w tego rodzaju sytuacjach policja konfiskuje wóz, czy coś w tym rodzaju.

- No to już wiesz, dlaczego ta sprawa tak bardzo mnie interesuje.

Samochód kempingowy Pellama, a za nim cougar Keitha, wjechały na parking firmy R&W, którego znaczną część zajmowały piętrzące się stosy pogiętych miedzianych rur.

Thustawy facet, z którym Pellam rozmawiał poprzedniego dnia - Bobby, jeśli dobrze pamiętał

- stał przy nich niczym dumny ojciec, opierając dłonie na szerokich biodrach. Miał na sobie dzinsowe spodnie na szelkach i lnianą czapkę, przez co wyglądał jak maszynista pociągu.

Pellam i Keith wygramolili się z wozów i podeszli do niego.

Keith odezwał się pierwszy.

- Cześć.

- Witam, panie Torrens. Jak tam interesy?

- Nie najgorzej. A jak tutaj?

- Niech pan tylko popatrzy - odparł z dumą Bobby. Keith skinął głową.

Pellam przyjrzał się plątaninie rur.

- Nieźle.

- Bez jaj. - Bobby roześmiał się na to stwierdzenie oczywistego faktu.

Przez chwilę stali tak we trzech, gapiąc się na trzy metry sześciennie rur, kiwając przy tym głowami z podziwem, jak to zwykle robią mężczyźni na widok cennego znaleziska.

Pellam zerknął za ogrodzenie, szukając spalonego wraku. Oświetlały go nagie żarówki w drucianych siatkach.

Bobby wyciągnął rękę w zaskakująco oficjalnym geście.

- Miło mi powitać. To pan jest tym gościem z filmu, prawda?

Pellam zamrugnął powiekami.

- Zgadza się. A przyjechałem w związku z tym, o czym wczoraj rozmawialiśmy. W sprawie samochodu.

- Samochodu?

- Rozmawiałem z panem o tamtym spalonym wraku. - Ruchem głowy wskazał poczerwiałe szczątki.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Nie pamiętam, ale raczej nie.

Pellam popatrzył na niego.

- Rozmawialiśmy o tamtym samochodzie. Tamtym spalonym.

Mężczyzna podniósł daszek czapki i tłusta grzywka opadła mu na czoło. - Jakoś nie przypominam sobie.

- No tak. Wszystko jasne.

Pellam westchnął i sięgnął do kieszeni. Znalazł banknot i już miał go wyciągnąć, gdy tamten powiedział:

- To Bobby.

- Słucham?

- Rozmawiał pan z moim bratem Bobbym. Ja jestem Billy. Och. Billy czyli William.

„W” ze skrótu R&W. Jasne.

Keith roześmiał się.

- Billy i Bobby są bliźniakami.

Billy dodał:

- Ale niech to pana nie powstrzymuje. - Wziął od Pellama banknot.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy obejrzel ten wrak?

- Jeśli szuka pan samochodu - Billy wzruszył ramionami - mógłbym zaproponować coś lepszego.

Ale wolna wola. - Wrócił do przeglądania swoich cennych rur.

- Podeszli do wypalonego wozu.

Pellam szepnął do Keitha:

- Bliźniacy?

- Podejrzewam, że nie wzięliby za dużo. Jeśli będziecie kiedyś kręcić taki horror...

Obeszli pogięty wrak. Nagle Pellam zatrzymał się jak wryty.

- Już nie ma.

Keith zamrugał powiekami i pochylił się. Ktoś wyciął palnikiem acetylenowym cały bagażnik wraz z częścią tylnych błotników. Pellam zawołał:

- Przepraszam... Billy oderwał się od rur.

- Tak, proszę pana? Wolnym krokiem zbliżył się do wraka.

Pellam spytał:

- Co się stało z tą blachą? Tą tutaj, z tyłu?

- A co jest? - wykrzyknął Billy.

- Popatrz sam - rzucił Keith.

- Cholera, zniknęła - zorientował się Billy.

- Zdążyłem to zauważyć.

- Psiakrew. - Bliźniak oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się po ziemi, jakby szukał zgubionej ćwierćdolarówki.

- Może to Bobby zaczął go ciąć na części? - zasugerował Keith.

- Nie, on nie lubi ciężkiej roboty. Cholera. Kto mógł tu przyjść i ukraść połowę spalonego samochodu?

Keith i Pellam wrócili na parking.

- Przykro mi. Niepotrzebnie cię fatygowałem.

Keith odparł:

- Mimo wszystko to dziwne. Znajdujesz samochód i coś, co wygląda jak dowód przestępstwa.

Wracasz następnego dnia i okazuje się, że właśnie ta część wozu zniknęła.

- No, to rzeczywiście dziwne.

Billy wszedł do szopy, machając na pożegnanie Keithowi i temu filmowcowi.

Następnie podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. Bobby odebrał po pierwszym sygnale.

Musiał wiedzieć, że to Billy, bo po prostu podniósł słuchawkę i zapytał:

- Co tym razem?

- Zgadnij, kto nas właśnie odwiedził.

Niech pomyślę... Duch Elvisa śpiewający „Love Me Tender”.

- Gdzie tam - odparł Billy. - Wolałbym, żeby to był duch. Tak byłoby o wiele lepiej dla ciebie i dla mnie.



- Wszystko w porządku?

Kochanka Wexa Amblera milczała.

Po chwili mocniej ścisnął jej pośladki, wbijając w nie paznokcie - dosyć długie, jak na mężczyznę. Jęknęła. Opamiętał się i zwolnił nieco uścisk.

- Boli cię? - zapytał. - Czy to...

- Och, Wex...

- ...sprawia ci ból?

Znowu jęknęła i przycisnęła czoło do jego pulsującej szyi. Kiedy zaczęli się ze sobą spotykać, z początku było to cokolwiek kłopotliwe.

Pojawiło się kilka problemów.

Po pierwsze, żadne z nich nie miało dotąd romansu, nie wiedzieli więc, co można, a czego nie można robić. Romanse rządziły się przecież własnymi prawami. Jak wygląda umawianie się na randki? Czy w ogóle można nazywać takie spotkania „randkami”? Czy powinno się robić zakupy w dwóch różnych sklepach spożywczych, żeby uniknąć przypadkowego spotkania, zwłaszcza wówczas, gdy towarzyszy nam małżonek? A może lepiej jest wpadać na siebie jak gdyby nigdy nic i w ten sposób unikać wzbudzania podejrzeń?

Po drugie, w ich służbowe relacje wkradł się pewien element zazdrości. Ambler przyjął do wiadomości fakt, że jego kochanka jest zamężna, ale od czasu do czasu bolało go, gdy uświadamiał sobie, że pewnych rzeczy - na przykład jakiejś techniki całowania lub pewnego rodzaju pieszczoty - nauczyła się od męża.

Po trzecie, żadne z nich nie miało już dwudziestu pięciu lat. Ambler pracował w młodości na budowie i nadal polował oraz łowił ryby; lata fizycznego wysiłku przyczyniły się do zmniejszenia wpływu grawitacji i siedzącego trybu życia na jego ciało. Nie można było jednak zaprzeczyć, że miejsce tkanki mięśniowej powoli zaczynał zajmować tłuszcz, erekcje, które zwykły utrzymywać się przez godzinę, teraz zanikały po kwadransie, a po wytrysku przez kolejne dwadzieścia cztery godziny nie było z niego żadnego pożytku. Włosy mu się przeredziły (pewnym pocieszeniem był fakt, że nie osiwił) i pojawił się obwisły podbródek; Ambler nabrał zwyczaju poklepywania go za każdym razem, gdy przechodził obok dużego, owalnego lustra w jadalni i robił to dopóty, dopóki żona nie skomentowała tego zwyczaju -

wówczas natychmiast go zaniechał.

Co ciekawe, jego kochanka, młodsza od niego o ponad dziesięć lat, była jeszcze bardziej czuła na punkcie swojego wyglądu niż on. Jeśli chodzi o ciało, spokojnie mogła uchodzić za trzydziestolatkę; mimo to zawsze przed rozebraniem się gasiła światło i zaciągała zasłony.

Lecz pomimo obopólnego skrępowania szybko popadli w przyjemną rutynę i wkrótce po raz pierwszy od wielu lat uprawiali udany, namiętny seks.

Dzisiaj w ciemnej, cierpko pachnącej drewnem sypialni Ambler przygwoździł ją do surowego, dębowego łóżka i wszedł w nią - z całej siły. Niemal z okrucieństwem. Nie był pewien, dlaczego. Wiedział, że ma opinię człowieka bezwzględniego w interesach oraz kilku innych sytuacjach, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że może być okrutny wobec kogoś, kogo kocha. Teraz jednak, czując, że za chwilę będzie szczytował, chciał zranić swoją kochankę. Chciał, żeby przyznała, że ją boli, lecz mimo to nie chce, żeby przestał.

- Boli cię, kochanie?

- Tak - jęknęła; poczuł jej gorący oddech na skórze, kilka centymetrów od swojego ucha.

Dwukrotnie głęboko wciągnęła powietrze, potem wyszeptała coś, czego nie zrozumiał, wreszcie powiedziała: - Nie przestawaj. Nie, nie przestawaj. Podoba mi się to. - Wydawała z siebie miękkie stęknienia. Czuł woń jej perfum zmieszana z potem.

- Podoba ci się...

- Nie przestawaj.

- ...kiedy sprawiam ci ból?

- Och, Wex...

Po wszystkim leżeli przytuleni do siebie. W przeciwieństwie do tego, co wkrótce po seksie działo się w jego małżeńskiej sypialni, Ambler i jego kochanka często zaczęli ze sobą rozmawiać zaraz, jak tylko złapali oddech.

Dzisiaj jednak Wex pocałował ją tylko w czoło i wyszeptał: „Kochanie”, po czym przez około pięć minut każde z nich leżało pogrążone we własnych myślach, na wpół drzemiąc.

- Słyszałem, że on nadal jest w mieście - zagadnął Ambler jak gdyby nigdy nic.

- Kto?

- Ten facet z wytwórni filmowej.

- Wiem.

- Jak myślisz, czego on może chcieć?

- Podejrzewam, że chce dojechać do siebie po wypadku.

- Ale jednak nie nakręcą u nas filmu? - spytał Ambler.

- Dlaczego ty go nie lubisz?

- Dlaczego uważasz, że go nie lubię? Jednak nie powiedział tego na głos. Odparł tylko:

- Widzisz, co się stało. Narkotyki i tak dalej.

- To nie jego wina.

- Ci filmowcy...

- Są tacy sami jak inni - odparowała.

- Cieszysz się, że został, prawda?

- Wex, o co ci chodzi?

- No, o narkotyki i...

Przerwała mu:

- Wzięłaś sobie na barki ciężar bycia moralnym obrońcą naszego miasteczka i wmawiasz ludziom, że wielki, zły świat tylko czeka, żeby ich żywcem pożreć.

To go zdenerwowało. Zastanowił się. Nie, to niemożliwe, żeby wiedziała, czego dopuścił się Mark. Gdyby cokolwiek podejrzewała, nie byłoby jej tutaj. - Chyba mnie przeceniasz - rzekł.

- Może, ale tyranizujesz ludzi.

- Ja jeden miałbym tyranizować całe Cleary? - Po chwili spytał: - Rozmawiałaś z nim o roli dla siebie?

- Nie.

- Ale myślałaś o tym?

- Brałam to pod uwagę. Myślałam...

- Myślałaś, że zrobi z ciebie Lane Turner - zadrwił.

- Marnuję się tutaj. Marnuję swoje życie. Powinam...
- Co powinnaś? - spytał, czując, że powoli ogarnia go rozpacz.
- Och, nic.

- Wcale nie marnujesz swojego życia.

- Mam wrażenie, że tylko płynę z prądem.

- Jak możesz tak mówić? Nadałaś sens mojemu życiu. Jego słowa zatoneły w ciszy jak ołowiany ciężarek w wodzie. Ścisnęła jego ramię, a on podziękował niebiosom za otaczające ich ciemności.

Twarz płonęła mu ze wstydu.

Po chwili zapytał: - Myślałaś kiedyś o przeprowadzce?

Milczenie. A potem:

- Myślałam.

- I odeszłabyś, tak po prostu? Nie omawiając tego ze mną?

- Nie wkładaj mi w usta czegoś, czego nie powiedziałam. Mam różne plany.

- W niektórych z nich bierzesz mnie pod uwagę, a w innych nie. Rozumiem.

- Wex... - W jej głosie pojawił się nagły chłód.

Ambler był niemal pewien, że wcześniej nie wyczuwał go w jej tonie. Przyszło mu do głowy, że za chwilę po raz pierwszy się ze sobą pokłóca. To byłoby fatalne, zwłaszcza w świetle tego, co zamierzał jej powiedzieć.

Mówiła dalej:

- Nie psuj tego. To znaczy tego, co jest pomiędzy nami.

- Czy coś się stało?

- Nie, nic się nie stało. O co ci chodzi?

Zaczynało to przypominać rozmowy, jakie prowadził ze swoją żoną. Zanim przestał ją kochać.

Wycofał się. - Wydajesz się taka... Sam nie wiem.

Odparła: - Przecież tylko rozmawiamy. Nie bierz tego do siebie.

- To ty sprawiasz wrażenie, jakbyś szukała zaczepki.

- Nie szukam.

Za chwilę poczuł, jak ona sztywnieje i odsuwa się od niego. Zaledwie o kilka milimetrów - ale wystarczająco daleko, żeby zrezygnował z tego, co sobie zaplanował i dotknął jej nogi w najbardziej niewinny sposób, szukając przebaczenia za swe niesprecyzowane winy.

Tego dnia nic nie szło mu tak, jak by sobie życzył. Nie było co do tego wątpliwości.

Żałował, że się kochali. Zaburzyło to równowagę sił na jej korzyść. Kobiety i mężczyźni.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmienią.

Przeszedł go nagły, bolesny dreszcz. Poczuł gniew.

Przez dłuższy czas milczeli. Ambler myślał o czymś intensywnie, wreszcie wytarł spoconą dłoń w prześcieradło.

- Mogę cię o coś zapytać?

Nie odpowiedziała.

Ambler mówił dalej: - Spotykamy się już od... Od pół roku?

- Coś koło tego - odparła neutralnym tonem.

- Zastanawiałem się... Kiepsko mi to idzie... (Przypomniał sobie, że równie kiepsko szło mu wtedy, gdy po raz pierwszy zdecydował się zaprosić ją na randkę).

Ona wyraźnie miękła. Wiedział, że ma słabość do rycerskich, nieśmiałych mężczyzn. -

Co takiego chciałeś mi powiedzieć, Wex? Przynajmniej z jej głosu zniknął ten okropny chłód.

Poczuł pustkę w głowie, a zaraz potem wybuchnął: - Myślę, że powinniśmy się pobrać.

Chciał, żeby to zabrzmiało lekko, jak żart. Tak, jak w serialach komediowych o parach w średnim wieku. Dowcipne uwagi. Cięte riposty. Strojenie min do kamery. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby jeszcze powiedzieć.

A z jej strony - całkowita cisza. Jakby przestała oddychać.

Chyba niemożliwe, żeby nie brała tego dotąd pod uwagę? Czyżby aż tak źle ocenił sytuację, tak bardzo się pomylił? Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Niemal słyszał jego bicie.

Jej dłoń dotknęła jego ramienia. - Obiecaliśmy sobie, że nigdy nie będziemy o tym myśleć.

- To było kiedyś. - Na próżno szukał jakiegoś kamienia milowego w ich związku -

dwudziestego piątego razu, kiedy się kochali? Dwunastej kolacji przy świecach? a może po raz sześćdziesiąty śmiali się ze zrozumiałego tylko dla nich żartu?

Usiadła wyprostowana na łóżku i sięgnęła do nocnego stolika. Rozbłysło światło.

Słaba żarówka, którą na jej życzenie umieścił w lampie. Wiedział, że nie znosi jaskrawego oświetlenia.

Meg Torrens otuliła nagie ramiona kołdrą i westchnęła:

- Och, Wex.

W tym, jak wymówiła jego imię, z ciepłym, czułym uśmiechem, usłyszał wyraźne

„nie” - tak wyraźne, jakby wykrzyzczała mu je prosto w twarz.

Zasnąć w płytkim grobie

wytwórnia big mountain studios

ujęcie plenerowe: droga do bolt's crossing, w pobliżu lasu - dzień DETAL: TWARZ JANICE.

Jest nie tyle postarzała, co ogorzała. Widać w niej przygasłą urodę kobiety czterdziestoletniej, matki-ziemi. Była na Woodstock, płakała tam i ćpała. Długie włosy opadają jej na twarz, pomiędzy nich prześwituje czerwona skóra.

Odgarnia je na bok. Wiatr znowu nawiewa je na twarz.

PÓŁZBLIŻENIE: SHEP. Opiera się o swój motocykl Światło powinno być zabarwione na czerwono, tak, aby tworzyło aurę wokół chromowanych części motocykla, harmonizującą ze słońcem zachodzącym za ich plecami. Shep jest rozdarty. Powiedział jej, że odjeżdża i chce to zrobić. Ale jednocześnie rozpaczliwie szuka w niej czegoś, co by go przy niej zatrzymało. Czy to litość? Czy może coś bardziej autentycznego, wzajemnego? Nie wie.

Pellam siedział w przyczepie, chociaż tak naprawdę był teraz w Bolfs Crossing, a nie w Cleary, w stanie Nowy Jork. Właśnie tam chciał teraz być.

W Bolfs Crossing nie było cuchnącego kadłuba wozu, z którego niczym kępki włosów sterczały przypalone fragmenty tapicerki.

W Bolfs Crossing ludzie leżący nieruchomo w domach pogrzebowych nie byli wcale martwi i po czterech scenach znowu zaczęli przewijać się w retrospekcjach, pełni życia, skłonni do kłótni, roześmiani.

W Bolfs Crossing ludzie tacy jak Marty nigdy nie umierali.

OSTRE PRZEJŚCIE DO: PÓŁZBLIŻENIA, MONTAŻ RÓWNOLEGŁY, na przemian Janice i Shep

JANICE: Miałam nadzieję, że cię tu spotkam.

SHEP: Pomyślałem, że lepiej będzie (unikając jej wzroku) Miałem trochę kłopotów z hamulcami je naprawić przed wyjazdem.

JANICE: Myślałam o tym, co mówiłeś. No wiesz, wczoraj w nocy. O mnie.

SHEP: Byłem na ciebie zły. Byłem...

JANICE: Miałeś rację. Ciągłe szukam odpowiedzi w przeszłości. Jeśli nie będę uważać, z mojej przyszłości nic nie zostanie.

Pellam wyciągnął kartkę z maszyny do pisania przy cieszącym uszy zgrzycie walka.

Na górze napisał „wkładka numer 58A” i wsunął ją pomiędzy kartki scenariusza, który wyjął wcześniej z okładek. W tej chwili stanowił on stertę stu pięćdziesięciu pogniecionych arkuszy papieru pokrytych jego charakterem pisma i poprzekładanych wkładkami takimi jak ta.

Położył dłoń na wierzchu, po czym wziął scenariusz do ręki i przekartkował go, czując na podbródku lekki powiew powietrza.

Przeszedł do szoferki, usiadł w fotelu kierowcy i wyjrzał na zewnątrz przez brudną przednią szybę. Zamiast olśniewającego, filmowego zachodu słońca w Bolfs Crossing, miał przed sobą krętą, wiejską drogę prowadzącą do Cleary.

Silnik wozu odpalił przy pierwszym podejściu. Dojechał do centrum miasta, zaparkował i wysiadł wprost w oślepiające słońce. Mrugając powiekami, ruszył wzdłuż Main Street, aż znalazł sklep papierniczy oferujący usługi kserokopiarskie. Położył na ladzie scenariusz i poprosił o zrobienie kopii. Grzeczny nastolatek z trądzikiem poinformował go, że będzie gotowa za około dwadzieścia minut. Pellam chciał zapłacić, ale chłopak odparł:

- Nie ma pośpiechu, proszę pana. Nie wiadomo, czy będzie pan zadowolony.

Pellam zawahał się, po czym rzucił:

- Jasne - myśląc, że nie jest w Los Angeles czy Nowym Jorku, gdzie grzeczność sprzedawcy zwykle wzbudza podejrzenia.

Wyszedł na tonącą w słońcu ulicę i zapragnął napić się kawy. Po przeciwnej stronie zauważył szyld kawiarni „U Marge”, ale wspominając dzień, w którym byli tam z Martym, postanowił poszukać innego lokalu. Wolał pójść gdzieś, gdzie nie będą go tak dobrze znali.

Nie chciał być adorowany przez obsługę, nie chciał rozmawiać o Martym ani o filmowych rolach, ani o Hollywood.

Wszedł do drugstore'u z turkusowym, falującym barem i wysokimi stołkami z chromu i czerwonego winylu.

- Dzień dobry, panie Pellam - powitał go jeden ze sprzedawców, mężczyzna w średnim wieku, którego Pellam pierwszy raz widział na oczy.

To by było na tyle, jeśli chodzi o anonimowość.

I o wrogie nastawienie. Jakby na przekór powszechnej opinii na temat związków filmu z narkotykami, wszyscy obecni w barze - cała szóstka - ślali mu porozumiewawcze uśmiechy i spojrzenia mówiące: „O nic nie proszę, ale gdybyś przypadkiem chciał zaciągnąć mnie do Hollywood i obsadzić choćby w jednym odcinku dowolnie wybranego serialu, nie miałbym nic przeciwko temu”.

Skinął im głową, podszedł do aparatu telefonicznego i wystukał numer karty kredytowej. Firmowa została zablokowana. Westchnął i połączył się na własny koszt. Po pięciu minutach połączono go z asystentem kierownika produkcji. Chłopak był w świetnym humorze.

- Hej, hombre. Módl się, żeby Lefty cię nie namierzył, bo jeśli to zrobi, w tej minucie pośle w

tamtą stroną rakiety samonaprowadzającą wycelowaną prosto w twoje jaja.

- Rozumiem, że nie przyjął mnie z powrotem do roboty?

- Wolnego, chłopie. Prawie ci się udało położyć ten film, ale chyba mimo wszystko uda się go uratować. Lefty znalazł jakąś dojną krowę. Prawnicy stwierdzili, że wypadek Marty'ego to była force majeure [10](#), dzięki czemu wynegocjował jeszcze parę tygodni.

- Znaleźliście lokalizację?

- Jeszcze nie, ale wysłali wolnego strzelca do Pensylwanii. Tam jesień później się zaczyna.

Będzie więcej czasu na zdjęcia.

- Ale Pensylwania jest do niczego - wtrącił Pellam.

- Połączę cię z Leftym. Będziesz mógł mu to powiedzieć osobiście.

- Jesteś dziwnie spokojny.

- Jestem na prochach.

- A ja chcę coś zrobić i potrzebuję twojej pomocy.

- Nie. - Wesołe, bardzo wesołe „nie”. - Nie ma mowy.

- Wysłuchaj mnie. Zamierzam...

- John, wytłumacz mi coś. Chcesz, żebym teraz ja wyleciał z roboty?

- Prędzej czy później każdy asystent kierownika produkcji wylatuje z roboty. Taki jest porządek rzeczy.

- Okej, tłumacz dalej.

- Poprawiłem scenariusz.

- Jaki scenariusz?

- „Płytki grób”.

- Hmm. Dlaczego?

- Chcę, żebyś pokazał zmiany Bobowi. Nadal ma reżyserować?

- Oszalałeś, Pellam?

- Nie pokazuj tylko tego scenariusza Lefkowitzowi. Wyłącznie reżyserowi.

- Nie mogę.

- Niby dlaczego? Czy Lefty zwolnił Boba?

- Nie i nie może tego zrobić. Sprawy zaszły za daleko. Ma problemy z terminami, równie duże, jak ze swoją opryszczką.

- Świetnie. W takim razie wysłałam ci ten tekst przez Express Mail.

- John, nie!

- Na twoje nazwisko.

- John, wykluczone, żeby przyjęli cię z powrotem.

- Wcale mi o to nie chodzi. Nie chcę nawet swojego nazwiska na liście płac. Ta 10 (franc.) - siła wyższa.

historia jest tylko za dobra, żeby spieprzyć ją takim beznadziejnym scenariuszem. Przekaż poprawki Bobowi i nie pozwól, żeby Lefty je zobaczył.

- John...

- Cześć.

- ...nie!

Idąc w stronę baru, Pellam zauważył w kącie stojak z okularami przeciwsłonecznymi.

Jego własne, w wyniku bezpośredniego spotkania z małą toyotą Meg Torrens, podzieliły los

aparatu fotograficznego. Postanowił kupić sobie nową parę. Zauważył, że niektóre miały lustrzane szkła w kształcie zaokrąglonych trójkątów. Przymierzył je i ocenił swój wygląd w lustrze.

Uśmiechnął się. Idealnie. Tak jest: nieugięty Luke<sup>11</sup>.

- Pasują panu - zauważył stojący za barem mężczyzna w średnim wieku.
- Jak wyglądam? Jak małomiasteczkowy szeryf?
- Dokładnie tak. Spokojnie mógłby pan wlepić mandaty na autostradzie.
- Biorę - zdecydował Pellam.
- Chce pan do nich etui ze skaju?
- Nie trzeba.

Usiadł przy barze. Ten zza lady nie sprawiał wrażenia zainteresowanego hollywoodzką karierą. Wolał opowiadać Pellamowi o swoich licznych podróżach. Zwierzył mu się, że w tym roku spędził z żoną wakacje w Peru i Chile.

- Normalnie człowiek nie myśli o powietrzu, którym oddycha. A tam? Wie pan, te wysokości. Przejdzie pan kilka przecznic - to znaczy w górach oczywiście nie ma przecznic, ale wie pan, co mam na myśli. - I musi się pan położyć i zdrzemnąć. Człowiek jest po prostu wykończony! Zawsze wydawało mi się, że mam nie najgorszą kondycję. Bez problemu potrafię porąbać kilka sągów drewna. Ale tam nie dawałem rady. A te wszystkie miejscowe staruszki zasuwały, jakby nigdy nic, wciskając turystom garnki, koce i biżuterię. Na widok portfela rzucają się na człowieka. Pędzą, aż się za nimi kurzy! I to w takim powietrzu. Chyba kwestia przyzwyczajenia. - I tu podsumował swój wywód, mówiąc: - Wszystko jest względne.

- Pewnie ma pan rację - rzucił Pellam i zaraz wysłuchał kolejnej opowieści, tym razem o ruinach Machu Picchu.

Wreszcie spojrzął na zegarek i powiedział:

11 „Nieugięty Luke” (1967) - film z Paulem Newmanem w roli bohatera wojennego.

- Muszę jeszcze coś załatwić.
- Byliśmy też nad Orinoko, ale nie widziałem ani jednego krokodyla - skrzywił się mężczyzna.
- Życie jest pełne rozczarowań. - Pellam wstał i włożył swoje nowe okulary zastępcy szeryfa.
- Ale nie ma mowy o rozczarowaniu. Sally i ja jedziemy tam znowu w październiku.

Znajdziemy krokodyla, może pan być pewien!

Pellam życzył mu powodzenia.

Pellam zaparkował wóz na podjeździe przed domem Torrensów (przyszło mu tu do głowy słowo „domostwo”). Na ganku pojawiła się Meg. Uśmiechnęła się i zbiegła po schodach prowadzących na podjazd, wycierając ręce w fartuszek z falbanką i wyglądając dokładnie jak gospodyni domowa z seriali komediowych produkowanych w latach sześćdziesiątych.

Gospodyni domowa, owszem, ale w obcisłej jedwabnej bluzce w kolorze niebieskim, której dwa górne guziki (a może trzy?) były rozpięte. Podnieś wzrok, chłopcze. Boże, ależ piegowaty dekolt. Pellam uwielbiał, kiedy kobieta miała piegi.

- Co cię do nas sprowadza, Pellam?

- Wpadłem coś pożyczyć.

Zamrugnęła powiekami. Pozwolić sobie na żart czy nie?

- Maselnicę?

- Nie.

- Niedźwiedzie sadło do smarowania twojej odprzodowej broni myśliwskiej? - zapytała.

- Mam cię.

Uśmiechnął się wyrozumiale. - Tak się składa - powiedział - że rozmawiasz właśnie z jedynym człowiekiem w stanie Nowy Jork, który strzelał z karabinu sharps kaliber 0,54 cala<sup>12</sup>.

12 Broń wyprodukowana w 1848 roku w Stanach Zjednoczonych.

Nawet nie drgnęła jej powieka. - Sharps? Nie rozśmieszaj mnie. Karabin sharps to broń ładowana od wlotu, a nie od wylotu lufy. Masz mnie.

Roześmiała się na widok jego zakłopotanej miny.

- Dziewczyny zwykle miękną na gadkę o broni, prawda?

- Na całym cholernym świecie nikt poza mną i paroma gośćmi ześwirowanymi na punkcie broni nie słyszał o karabinach sharps.

- Nigdy z niego nie strzelałam, ale mój tatuś miał taki. Kolekcjonował broń. Ja sama mam w gabinecie starego springfielda<sup>13</sup>.

- Naprawdę? - zaśmiał się.

Przytaknęła. - No tak. Z całym zestawem do siodła.

- A niech mnie, co za kobieta. Strzelałaś z niego kiedyś?

- Po co trzymać broń, jeśli się z niej nie strzela? Ale spróbuj potem pozbyć się zapachu prochu z jedwabnej bielizny.

- Nie mam takiego problemu.

- Sam i ja bierzemy go czasami na strzelnicę. Oczywiście ciężko jest znaleźć odpowiednią amunicję.

- A ja po to właśnie przyjechałem.

- Po amunicję?

- Po twojego syna.

- Będziecie oglądać bomby? - upewniła się.

- Tak. Mogę go zabrać?

Meg roześmiała się:



- A znasz rodzica, który miałby coś przeciwko temu, żeby ktoś przez kilka godzin zajął się jego dzieckiem? - Zawołała Sama, po czym zwracając się do Pellama, dodała: - Och, zanim zapomnę... W sobotę po południu mamy tutaj Święto Jabłek. Chciałbyś zobaczyć, jak to wygląda?

- Chyba tak. Będziesz tam?

- To rodzinne święto.

Co to miało znaczyć? Będziesz tam? To rodzinne święto. Czekał przez chwilę na jakiś sygnał z jej strony, a kiedy się nie doczekał, odparł:

- Jasne. Na pewno będę.

Sam wybiegł na ganek.

13 Amerykański karabin wojskowy ładowany odcylcowo z 1873 roku.

- Och, panie Pellam, to pooglądamy te bomby?

- Pewnie, Sam.

- Super! A pojedziemy pańskim wozem?

- Tylko takim transportem dysponuję.

- Mamo, mogę?

- Oczywiście, tylko wróć na szóstą na kolację.

- Wie pan, oni mają tam fantastyczne rzeczy. Nawet czerwone i zielone bomby, a do tego łuski moździerzowe - tata mówi, że nie ma już w nich prochu - i granaty ręczne...

- Pod żadnym pozorem niczego mu nie kupuj.

Pellam roześmiał się.

- Rozkaz, proszę pani. Wsiedli do samochodu.

- Wiesz, Sam, mam pewien pomysł. To mogłoby być ciekawe.

- Co, panie Pellam?

- Może wziąłbyś ze sobą swój wykrywacz metalu?

- Wykrywacz metalu?

- Kolekcjonuję różne rzeczy - wyjaśnił Pellam. - I zawsze, kiedy jestem w nowym miejscu, staram się coś nowego wyszperać.

- Ja zbieram dinozaury. I karty z baseballistami. No i oczywiście z zapaśnikami. - Sam wyskoczył z szoferki Winnebago i popędził do domu.

Ta energia. Skąd dzieci ją czerpią?

Po dwóch minutach był już z powrotem.

- Potrzebujesz do tego baterii?

- Nie. Są naładowane. Używam akumulatorów niklowo-kadmowych. A co pan właściwie kolekcjonuje, panie Pellam? Monety?

- Łuski od nabojów - rzekł.

- Ekstra - zawołał Sam.

Okazało się, że atrapy bomb zachwyciły Pellama w takim samym stopniu jak Sama.

Złomowisko, na które się udali, znajdowało się o wiele bliżej niż R&W Pamiętał, że gracze z pokera wspominali mu o nim. Handlowało dokładnie tym, co widniało w jego nazwie, to znaczy nadwyżkami wojskowymi, które wbrew temu, co twierdził Bobby (albo Billy), nie były wcale takie ubogie. Części samochodów wojskowych, pudełka z nabojami, latryny polowe, narzędzia, namioty, latarki. Wszystko solidne, funkcjonalne, w kolorze szarozielonym. Wiele rzeczy nadawało się co najwyżej na przyciski do papierów na biurko: celowniki bombowe, stare wysokościomierze i

stalowe hełmy nieużyteczne nawet jako doniczka.

Ale bomby robiły naprawdę potężne wrażenie. Miały różne kolory i różne kształty.

Niektóre były zakończone ostro jak rakiety, inne zaokrąglone jak dawne bomby lotnicze. I naprawdę były ogromne. Pellam ostrożnie zastukał w jedną z nich. Pusta.

Sam objaśnił go:

- To bomby ćwiczebne. Nie ma się czego bać.
- Nie boję się - odparł szybko Pellam.
- A wygląda, jakby się pan bał, że to zaraz wybuchnie.
- Cha, cha.

Sam pokazał mu łuski moździerzowe, granaty ogłuszające i bagnety, groźnie wyglądające szpikulce z głębokimi rowkami, którymi spływa krew. Większość z tych rzeczy wciąż była pokryta lepkiem kreozotem.

Chociaż Meg mu tego zabroniła, miał wielką ochotę kupić chłopakowi jakąś atrapę bomby. Kosztowały jedyne pięćdziesiąt dolców za sztukę. Ostatecznie przyznał w duchu, że sam chciałby taką mieć. Jedną z tych ciemnoniebieskich. Mógłby umieścić ją na masce swojego wozu.

Nie - tak naprawdę chciał kupić taką bombę i przesłać ją na koszt odbiorcy Alanowi Lefkowitzowi, na adres wytwórni Big Mountain Studios: bulwar Santa Monica, Century City, Kalifornia...

Potem Sam stwierdził, że pora chyba poszukać tych łusek od nabołów. Wsiadli do samochodu i jechali przez dziesięć minut, aż znaleźli się za miastem, zaparkowali i rozpoczęli poszukiwania.

Szli przez las, podążając wyraźnie wydeptaną ścieżką. Chłopiec niósł na ramieniu pudło wykrywacza metalu, a w rękę trzymał krótki metalowy pręt zakończony dyskiem. Na szyję założył słuchawki. Oprócz nich nikogo w lesie nie było. Dzień był cichy, bezwietrzny.

Co pewien czas Sam spoglądał w górę na Pellama, jakby oczekiwał, że ten powie coś błyskotliwego.

- Myśli pan, że znajdziemy tu jakieś łuski od nabołów?
- Nigdy nie wiadomo.
- Takie zostawione przez myśliwych?
- Właśnie.
- Pan też poluje, panie Pellam?

- Owszem. Chociaż już dawno tego nie robiłem. Ale dawniej bez Przerwy chodziliśmy z ojcem na polowania.

- A gdzie on mieszka?

Pellam zerknął na chłopca.

- Hm, zmarł kilka lat temu.

- Jak dziadek Wold.

- To jest panińskie nazwisko twojej mamy? Wold?

- Aha. Wie pan, moja mama ma karabin. Dostała go od dziadka. Jest strasznie stary.

Mama zabiera mnie czasami nad rzekę, żeby z niego postrzelać. Mówię panu, robi potworny hałas, kiedy się z niego strzela. Kiedyś nawet taki wystrzał przewrócił mnie na ziemię.

Odłożył na bok swój wykrywacz metalu, po czym zademonstrował Pellamowi strzał z karabinu i przewrócił się na wznak. Leżał tak na trawie całkiem nieruchomo.

Pellam przyjrzał mu się zaniepokojony.

- Hej, wszystko w porządku? Nic ci nie jest?

- Pewnie, że nic! - Sam jednym skokiem zerwał się z ziemi. - A mój tata to nie lubi polować.

Czasami tylko chodzimy razem na ryby. Na co pan poluje?

- Na bażanty, kaczki, gęsi.

- A lubi pan futbol? - dopytywał się dalej Sam.

- Kiedyś nawet grałem.

- Wiedziałem! Gdzie? Założę się, że zawodowo.

Pellam wybuchnął śmiechem.

- Ja, zawodowo? Jestem na to przynajmniej o czterdzieści kilo za lekki. Nie, grałem tylko w szkolnej drużynie.

- Jako rozgrywający?

- Nie, skrzydłowy. Wolałem, żeby rzucał się na mnie jeden, góra dwóch wielkich facetów, zamiast czterech czy pięciu.

- Jakie to uczucie zaliczyć przyłożenie? Za linią punktową? Wie pan, strasznie podoba mi się, kiedy zawodnicy przebiegają linię i upuszczają piłkę jak gdyby nigdy nic. To takie fajne! Jakie to uczucie?

- Nie zaliczyłem zbyt wielu przyłożeń. Nie byłem aż tak dobry.

- Na pewno pan był! - zaprotestował chłopiec. - Na pewno dzięki panu wasza drużyna wygrywała. Kiedy to było? Kilka lat temu?

- Ponad dwadzieścia.

Sam przewrócił oczami. - Kurka wodna, to jest pan starszy niż moja mama. A nie wygląda pan staro.

Pellam roześmiał się. Zapomniał już, jak celnie dzieciaki potrafią rozwiewać złudzenia dorosłych.

- Hm, panie Pellam, a poćwicz pan kiedyś ze mną podania? Mama czasami próbuje ćwiczyć ze mną rzuty, ale wie pan, to tylko dziewczyna. Może moglibyśmy kiedyś razem spróbować, dałby mi pan kilka wskazówek. Bo mój tata... No, wie pan, on ciągle pracuje.

Obchodzi go tylko jego fabryka.

Pellam wiedział, że nie powinien zagłębiać się w ten temat. Odparł więc niezobowiązująco:

- Zobaczymy.

- Mama cieszyłaby się, gdyby zatrzymał się pan u nas na dłużej. Zauważyłem, że pana lubi.

Ten temat też nie był bezpieczny.

Zbliżyli się do grzbietu wzgórza, skąd roztaczał się widok na parking, na którym zginął Marty. Dzielila go od nich odległość jakichś dwustu metrów. Pellam dostrzegł w pobliżu tylko jedno podobne wzniesienie z widokiem na parking, oddalone od niego najwyżej o pół kilometra. Może dysponując dobrym celownikiem optycznym oddałoby się stamtąd celny strzał, ale snajper wybrałby raczej to miejsce, w którym właśnie stali. Poza tym wzgórze znajdowało się bliżej krańca parkingu, jeśli więc Marty zaparkował tyłem, bak samochodu stałby się doskonale widocznym celem.

Mimo to byłyby to cholernie trudny strzał przy każdym wietrze; poza tym w ciepły dzień - a tamten dzień taki był - fale gorąca unoszące się z leżącej poniżej doliny dodatkowo utrudniałyby widoczność.

- Dobra, Sam, bierz się do roboty. Znajdź mi coś ciekawego.

Przez kolejnych dziesięć minut chłopiec spacerował z wykrywaczem metalu w tę i z powrotem,

znajdując dwie zgniecione puszkę po piwie Coors oraz ćwierćdolarówkę („Jest twoja, synu”). Nagle pisnął i podbiegł do Pellama z łuską od naboju kaliber 0,22 cala, pochodzącego ze strzelby.

- Za mały. Szukam naboju centralnego zapłonu. Znasz różnicę między zapłonem centralnym a bocznym?

- Nie, proszę pana.

- Kiedy iglica uderza punktowo w brzeg dna łuski naboju kaliber 0,22 cala, mamy do czynienia z nabojem bocznego zapłonu. W przypadku naboju większego kalibru iglica uderza w spłonkę centralnie. Wtedy mówimy o naboju centralnego zapłonu.

- Jejku, ale fajnie.

- Chodź tutaj, coś ci pokażę...

Sam zmarszczył brwi, po czym jego oczy rozszerzyły się z zachwytem, gdy Pellam odchylił połąkę kurtki i wyciągnął zza paska rewolwer. Był to colt z 1876 roku, stalowy, z palisandrową kolbą.

- O rany - szepnął chłopiec.

Pellam skierował lufę rewolweru w dół.

- Pamiętaj, żebyś zawsze zachowywał się tak, jakby broń była naładowana, nawet jeśli tak nie jest. Wyobraź sobie, że w każdej chwili może wystrzelić i nigdy w nic nie celuj, chyba że zamierzasz strzelać. Rozumiesz?

- Rozumiem. To broń dla rewolwerowca.

- To colt peacemaker, kaliber 0,45. - Odciągnął kurek i wychylając bębenek, wydobyl z niego nabój. Pokazał chłopcu jego dno. - Zobacz, to w środku to jest spłonka. Iglica uderza w spłonkę, co powoduje wybuch prochu. W takich starych rewolwerach jak ten używało się czarnego prochu. Karabin twojej mamy też takim strzela. Nowsza broń jest bezdymna.

- A pozwoli mi pan z niego postrzelać, panie Pellam? Proszę.

- Może. Najpierw musimy zapytać twoich rodziców.

- To niech pan chociaż do czegoś strzeli, co?

- Nie teraz, Sam. To nie jest zabawka. - Wsunął broń z powrotem za pasek spodni. - Ty lepiej poszukaj mi jakichś łusek.

Chłopiec z jeszcze większym entuzjazmem zaczął przeszukiwać teren. Pellam nie zwracał na niego uwagi; przyglądał się ciemnej plamie zaoranej ziemi w oddali, na parkingu, gdzie Marty'ego spotkał tak straszliwy koniec. Nie zauważył więc, że chłopiec pochyła się nagle, podnosi coś z ziemi i biegnie w jego stronę.

- Panie Pellam, niech pan zobaczy, co znalazłem! Niech pan patrzy!

Położył mu na dłoni dwie łuski. Obie były od naboju kaliber 0,30, ale nietypowej długości - na pewno większe niż naboje do powszechnie znanego M1 garanda [14](#). Nie mogły też być wystrzelone z M1, ponieważ karabin o krótkiej lufie nie pozwoliłby na oddanie celnego strzału z takiej odległości.

- Dobra robota, Sam. - Poklepał rozpromienionego chłopca po ramieniu. - Właśnie czegoś takiego szukałem. - Wrzucił łuski do kieszeni.

- Panie Pellam, a pokaże mi pan kiedyś tę swoją kolekcję?

- Jasne, Sam. Pora jednak wracać do domu.

- Nieee...

14 M1 garand - amerykański karabin samopowtarzalny.

Zeszli razem ze wzgórza, opowiadając sobie po drodze zabawne przygody z wędkowania.

\*

Tego wieczoru, gdy Sam był u siebie na górze, a Keith jeszcze nie wrócił z pracy, Meg Torrens zjadła kanapkę z pieczonym indykiem oraz zimnym sosem żurawinowym i wypła kieliszek białego wina, przeglądając nagłówki w „New York Timesie” i czytając pierwsze akapity wszystkich artykułów.

W tle słyszała postukiwania i trzaski typowe dla stuletniego domu, przytłumiony szum włączającego się pieca... Było coś uspokajającego w sposobie, w jaki prosty mechanizm wprowadzał w ruch całe to urządzenie, tłocząc gorącą wodę do rur. Co pewien czas piec się wyłączał i wtedy następowały chwile całkowitej ciszy.

Skończyła czytać dodatek o sztuce, odłożyła gazetę i poszła na górę do pokoju Sama.

- O, to ty, mamusiu. Meg zbliżyła się do komputera.

- Wy tłumacz mi jeszcze raz, jak to działa. Wybierasz numer telefonu i co mówisz? - spojrzała na ekran.

- Ojej, mamó - jęknął Sam. Zbliżała się dziewiąta, a on był zmęczony. - To jest modem. Nie trzeba niczego mówić. Odzywa się sygnał i wtedy wiesz, że jesteś w Internecie.

- Pokaż mi. - Z radia z budzikiem w ich małżeńskiej sypialni sączyła się jakaś rzewna melodia country and western - stara piosenka Patsy Cline.

Sam pochylił się nad klawiaturą i zaczął błyskawicznie uderzać w klawisze. Meg i Keith płacili trzydzieści dolarów miesięcznie za dostęp do tego serwisu, który - jak to wkrótce odkrył Sam - zawierał sporą bazę z informacjami sportowymi; w rezultacie któregoś miesiąca musieli dopłacić fortunę po tym, jak ich syn wydrukował sobie podstawowe składy wszystkich drużyn baseballowych poczynając od roku 1956.

Sam podniósł słuchawkę i wybrał numer, wydymając z irytacją usta, lecz Meg wiedziała, jak wielką frajdę czerpie z możliwości pochwalenia się swoją ezoteryczną wiedzą.

Ze słuchawki rozległ się przeciągły pisk. Sam wycelował głośnik w matkę zupełnie, jakby to był miotacz promieni - Ratatata! - i ekran komputera ożył.

- Teraz jesteś podłączona do sieci. Co chcesz znaleźć?

- Nazwisko. Chcę wyszukać nazwisko pewnego człowieka. Wystukała kilka liter na klawiaturze.

Po pięciu sekundach na ekranie pojawiły się wyniki wyszukiwania. Meg przesunęła tekst w dół. - Co zrobić, żeby to wydrukować?

- Możesz to wydrukować z sieci albo ściągnąć cały plik.

Gdzie ich uczą takich rzeczy? Po prostu powiedz mi, co mam nacisnąć.

- To. - Sam radośnie wcisnął klawisz, w odpowiedzi na co drukarka zaczęła wydawać z siebie dziwne dźwięki.

Przypominały jej odgłosy Polaroida. Psstryk.

Drukarka pracowała tak przez dłuższy czas. A Meg pomyślała, że będzie miała co czytać.

Jabłka.

Tysiące jabłek, setki tysięcy. Miliony.

Pellam nigdy w życiu nie widział tylu jabłek. I w tak różnych postaciach. Szarlotki, jabłka w cieście, zawijane ciastka z jabłkami, przeciery jabłkowe, dżemy, jabłka marynowane i kandyzowane. Można było w nich nurkować. Można było kupować je w każdej ilości świeże, suszone, malowane i łączone w wieńce albo ozdoby ściennie o kształcie gęsi lub prosiąt.

Wokół kręciły się dziewczęta poprzebierane za jabłka. A wszyscy chłopcy zdawali się mieć okrągłe, rumiane policzki.

Jakaś kobieta usiłowała namówić go na konkurencję, w której nagrodą był tradycyjny placek z jabłkami; trzeba było tylko trafić obręczą w tablicę, do której przymocowane były jabłka.

- Nie przepadam za jabłkami - poinformował ją.

Boisko wypełniał ponad tysięczny tłum kłębiący się przy stoiskach, uczestniczący w różnorodnych zawodach i szperający w wystawionych na sprzedaż starociach - były tam swetry, drewniane szkatułki na świecidełka, zegary zrobione z wyrzuconych przez morze kawałków drewna, ceramika, makramy. Janine obsługiwała stoisko z biżuterią. Pellam natychmiast się tam skierował, poczekał, aż zajęła się kolejnym klientem i wtedy dopiero się przypomniał. Na co zdążyła jedynie zawołać:

- Jutro kolacja, pamiętasz?

Przytaknął.

- O czwartej. Nie zapomnij, kochasiu. - Mrugnęła i posłała mu całusa.

Pellam oszacował, iż połowę kłębiącego się tłumu stanowili turyści, a połowę miejscowi mieszkańcy. Wyglądało na to, że nikt, kto ma więcej niż siedemnaście lat, nie jest do końca pewien, dlaczego znalazł się w tym miejscu. Turyści próbowali rozpaczliwie uszczknąć coś z lokalnego kolorytu - ach, ta wspaniała wieś! - zatrzymując się na chwilę i kupując wazon, biżuterię, ozdoby oraz produkty spożywcze, które następnie zabierali do swoich mieszkań na Manhattanie. Z kolei mamusi i tatusiowie z Cleary wykorzystywali okazję, aby plotkować i opychać się smakołykami. Jedynie dzieci naprawdę świetnie się bawiły, ponieważ dla nich ten festyn nie oznaczał niczego więcej poza możliwością zobaczenia całych ton jabłek. A czego więcej trzeba w taki piękny, jesienny dzień?

Na pewno dać sobie spokój ze zdjęciami. Pellam zostawił aparat w przyczepie. Teraz był tylko jeszcze jednym turystą podziwiającym liście, stoiska, całą tę malowniczą scenerię.

Toyota zjawiła się pięć minut później, pędząc przez parking i hamując z poślizgiem na pokruszonym asfalcie. Meg od razu go zauważyła i pomachała mu ręką. Nie było z nią Keitha, tylko Sam. Chłopiec również zamachał z entuzjazmem. Pellam był ciekaw, czy powiedział któremuś z rodziców o jego zamiłowaniu do militariów.

Jak wtedy, gdy zaprosiła go na kolację, tak i teraz wyglądała o dziesięć lat młodziej od prowincjonalnej matrony, która odwiedziła go w klinice. Jej włosy nie były sztywne i natapirowane, lecz związane z tyłu w kucyk. Miała na sobie obcisłe džinsy i ciemną bluzkę z golfem w tureckie wzory pod zamszową kurtką. Pod szyją przypięła sobie staroświecką srebrną broszkę.

Sam przysunął się do niego.

- Dzień dobry, panie Pellam.

- Jak się masz, Sam?

- Witaj - powiedziała Meg. W odpowiedzi skinął jej głową.

Nagle otoczył ich gęsty tłum przybyszów z Manhattanu w markowych koszulkach.

Mężczyźni o ciemnych, kręconych włosach, kobiety w czarnych elastycznych spodniach.

Wszyscy mieli potężne przedramiona i łydki, które zawdzięczali godzinom spędzonym w jakimś renomowanym nowojorskim klubie sportowym.

Liczna ta grupa minęła ich i wreszcie znaleźli się sami.

- Udało ci się dotrzeć - zauważyła Meg.

- Za nic bym tego nie przegapił.

- No, to proszę - powiedziała. - Prezent, dla ciebie.

- Rzuciła mu jabłko. Złapał je lewą ręką.

- Nie znoszę jabłek - odparł.

- Sam uśmiechnął się szeroko. - Ja też.

- Cleary nadal jest małym miasteczkiem? - uśmiechnął się trochę później Pellam.

- Zmarszczyła brwi.

Wyjaśnił:

- Nie będą gadać, widząc nas spacerujących razem? - Krążyli po obrzeżach festynu.

- A niech gadają - mruknęła Meg. - Czuję się dziś buntowniczką. A co mi tam.

Sam co i raz zapędzał się do różnych stoisk, ale zawsze wracał z powrotem, aby przyglądać się Pellamowi z nabożnym podziwem. Po czym znowu zniknął, żeby przywitać się z kolegami ze szkoły i wspólnie spiskować, zachwycony, żądny psot, rozradowany - i cały czas w ruchu.

- Energia wprost go rozpięra. - Pellam przyglądał się akurat spontanicznie zorganizowanemu wyścigowi.

Meg odparła: - Nie ma to jak obserwowanie dzieci, jeśli chcesz się czegoś o sobie dowiedzieć. To najcenniejsza nauka. Ktoś kiedyś powiedział, że dzieci są najuczciwszymi i najbardziej zakłamanymi, najokrutniejszymi i najlepszymi istotami pod słońcem. -

Roześmiała się. - Oczywiście, to tylko połowa prawdy, jeśli mówi się o własnym dziecku.

- Jak się dobrze zastanowić, to jest bardzo mało dobrych filmów o dzieciach - rzekł

Pellam. - Najczęściej rządzą sentymenty. Albo taki rewizjonizm - reżyserzy próbują utrwalić na taśmie lepszą wersję własnego dzieciństwa. Albo kładą dzieciakom na barki problemy dorosłych. To tandeta, jeśli chcesz znać moje zdanie. Chciałbym obejrzeć kiedyś film o tym, jak trudno jest być dzieckiem. To dopiero byłby ciekawy projekt.

- Czemu nie zaproponujesz tego swojej wytwórni?

Byłej wytwórni, pomyślał Pellam i nie odpowiedział. Meg odbiegła nagle, żeby powstrzymać Sama przed wdrapaniem się na płot.

Pellam znalazł się przed strzelnicą, gdzie można było wygrać wypchane indyki, czekoladowe indyki i prawie siedmiokilowego mrożonego indyka, trafiając do maleńkich gumowych kaczek - pomalowanych tak, żeby wyglądały jak indyki - ze sfatygowanej śrutówki searsa kaliber 0,22 cala. Pellam przywołała Sama.

- Co byś chciał, synu - jednego z tych wypchanych indyków czy czekoladowego?

Sam popatrzył nieśmiało na matkę, która odparła:

- Poproś pana Pellama, o co chcesz. - Popatrzyła na niego z uśmiechem. - Muszę to koniecznie zobaczyć.

- No to chyba poproszę czekoladowego. - Sam wpatrywał się w Pellama jak w obraz.

Meg powiedziała:

- Jeśli pan Pellam zestrzeli ci indyka, będziesz mógł go zjeść.
- Ale nie całego na raz - rzucił Pellam. - Wyglądają na dosyć spore.

Obsługujący stoisko przyjął dolara od Pellama, który zapytał:

- Ile trzeba zestrzelić, żeby wygrać czekoladowego indyka? Tego większego?

Mężczyzna naładował lekką broń. - Sześć trafień na dziesięć.

- W porządku. - Pellam pochylił się naprzód, opierając łokcie na sięgającym piersi kontuarze i powoli oddał cztery strzały. Za każdym razem spudłował, wzbijając jedynie kurz z worka z piaskiem, który pełnił funkcję kulołapa.

Sam śmiał się. Meg też.

Pellam wolno się wyprostował. - Myślę, że już wiem, jak to działa. - Szybko uniósł

broń do policzka. Sześć strzałów - szybkich i krótkich wybuchów, w tak krótkich odstępach czasu, jakich potrzebował, żeby ponownie pociągnąć za spust. Sześć kaczek sfrunęło z tablicy.

- O cholera - szepnął mężczyzna ze strzelnicy i zaraz poczerwieniał. - Och, przepraszam, pani Torrens.

Pellam oddał mu broń, a Sam odebrał nagrodę, wpatrując się w Pellama szeroko otwartymi oczami.

- O rany.

- Nic nie dodasz, Sam?

- O chole... - zaczął wolno chłopiec.

- Sam - ostrzegła go Meg.

- No... dzięki, panie Pellam. To było totalnie odjechane. Mówię panu, totalnie.

- Sam - zaczęła Meg.

Sam przerwał jej:

- Mama uważa, że nie mówię po ludzku.

- Wiem, co znaczy „odjechany” - uśmiechnął się Pellam. Zerknął na czekoladowego indyka. - Mam nadzieję, że jest świeży.

Sam odpakował folię i odgryzł indykowi głowę. - O rany - powiedział z ustami pełnymi czekolady i odszedł, co kilka kroków oglądając się za siebie. Koniecznie musiał o tym komuś opowiedzieć.

Meg i Pellam poszli dalej. Meg odezwała się:

- Myślałam, że znasz się tylko na starej broni...

- Podróżuję po autostradach w Los Angeles. Tam trzeba umieć strzelać.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Od ojca - odparł.

- A gdzie się wychowywałeś? - zapytała.

- W Simmons.

Odwróciła się ku niemu.

- Nie! W tym tutaj, za rzeką? - Ruchem głowy wskazała kierunek zachodni.

- W tym samym.

- Jest bardzo podobne do Cleary.

- Trochę biedniejsze i bardziej zaniedbane - mruknął Pellam. - No i nie ściągają do nas turyści, żeby podziwiać liście. W Simmons mamy głównie sosny.



Szli przez chwilę w milczeniu, brodząc w wysokiej trawie na skraju boiska.

- Keith nie mógł przyjechać?
- Dojedzie później. Jest w firmie.
- Miło z jego strony, że mi wtedy pomógł.
- Podobno ktoś ukradł to, czego szukaliście.
- Tak. Byli od nas szybsi.

Po kolejnych paru minutach - zupełnie jakby Pellam zapytał o jej męża - Meg powiedziała:

- Keith się zmienił. Kiedy zginął jego wspólnik, bardzo to nim wstrząsnęło. Zrobił się nerwowy.
- Naprawdę? Nie wyczułem tego.

- Nie byłem pewna, czy zechce ci pomóc. Nie lubi robić niczego poza, no wiesz, swoją własną działalnością. Bardzo mnie ucieszyło, że się z tobą spotkał.

Budzili zainteresowanie; dziesiątki głów odwracały się bez żenady, a oczy śledziły każdy ich krok.

Po pięciu minutach oglądania kolejnych stoisk Pellam zapytał:

- A dlaczego ty wyjechałaś z Manhattanu?

- Keith dostał pracę w tutejszej firmie farmaceutycznej. Jeśli chodzi o mnie, jako modelka przestałam dostawać propozycje, a jako aktorka jakoś nie mogłam się przebić.

Potem urodziłam dziecko. No i zawsze chciałam mieć dom.

- Podoba ci się w Cleary?

Zaśmiała się nerwowo i odwróciła wzrok.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. I nie będzie miał znaczenia fakt, czy spędzę tu kolejnych dwadzieścia pięć lat. Nigdy nie poznam tego miasta na tyle, żeby się na jego temat wypowiadać. W miejscach takich jak to trzeba się urodzić. Trzeba mieć tu korzenie.

Jeśli znajdziesz się tu w jakikolwiek inny sposób, zawsze będziesz tylko gościem. Możesz być duszą towarzystwa, możesz nawet zostać wybranym do rady miejskiej, ale miasta takie jak Cleary nigdy nie staną się częścią ciebie. Albo masz je w genach, albo nie. Ja nie mam.

Niedaleko od nich rozległy się oklaski. Właśnie wybrano nową jabłkową miss. Pellam ujrzał kilkoro dzieciaków kręcących się w pobliżu jego i Meg. Rozeszła się więc pogłoska, że facet z filmu trafia z odległości piętnastu metrów w oko gumowej kaczki. Chłopcy trzymali się jednak w pewnym oddaleniu, gdy Pellam i Meg krążyli po boisku. I wdychali tam soczysty, bogaty aromat zdeptanej trawy.

- Masz teraz ładną fryzurę.

Palce Meg automatycznie dotknęły kucyka, zaraz jednak zatrzymała się w pół gestu i opuściła dłoń. Uciekła w bok spojrzeniem, udając, że wypatruje czegoś na horyzoncie.

Zbliżyli się do świątecznego zoo - smutnej kolekcji złożonej z krów, kóz, gęsi, kaczek i jednego kuca. Dopiero wtedy zapytała:

- Czy to dlatego rozstałeś się z żoną?

- Nie rozumiem?

- No, w związku z tym, że tak dużo podróżujesz.

- Było wiele powodów. Oczywiście moja praca miała z tym wiele wspólnego.

- Nie było cię pewnie w domu miesiącami...

- Wtedy aż tyle nie podróżowałem.

- A ja bardzo chciałabym podróżować - powiedziała Meg. - Może od czasu do czasu zagrać w

jakimś filmie. Niekoniecznie musiałabym być gwiazdą. Mogłabym nawet robić to, co ty. Być tylko dokumentalistą.

- Nie sądzę, żeby ci to odpowiadało.

- Oczywiście, uwielbiam mój dom. Nie potrafiłabym go sprzedać. Ale móc zobaczyć te wszystkie nowe miejsca... To byłoby jak wyjazd na wakacje, tyle że miałabym konkretny cel. Moim zdaniem to byłoby cudowne - odparła.

Kobiety tak właśnie mówią: mój dom. Nigdy: nasz dom. Przypomniał sobie, że jego żona mówiła dokładnie to samo. Rzecz jasna, ostatecznie tak to się skończyło. Ich dom stał

się jej domem. Pomyślał, że widocznie było to coś w rodzaju samospełniającej się przepowiedni.

- Myślę, że Sam mógłby wtedy przyjeżdżać do mnie na tydzień albo dwa. - Po chwili dodała: - Keith też, oczywiście. - Zerknęła na niego, ale w żaden sposób nie zareagował na jej wpadkę. O ile faktycznie była to wpadka.

Pellam uznał, że lepiej będzie omijać tematy rodzinne. Powiedział: - Nie potrafię ci nawet wytłumaczyć, dlaczego podoba mi się takie życie. Nie chodzi nawet o samą pracę -

wyszukiwanie plenerów, znajdowanie miejsc, w których mógłby powstać film. Oczywiście to wszystko jest w porządku, za to mi płacą. Ale najbardziej lubię być w trasie... - Wykonał ruch ręką. - Simmons znajduje się jakieś sto kilometrów stąd, prawda? Dorastałem w otoczeniu kolorowych liści i wiktoriańskich budynków. Ale naprawdę się ucieszyłem, kiedy dostałem tę robotę i zacząłem szukać miasteczek takich jak to.

Pomachał Samowi. Wyglądało na to, że jego fanklub rozrósł się już do sześciu członków.

- Wtedy w marcu - mówił dalej - siedziałem przez cały miesiąc w domu. W końcu zadzwonił pewien producent - chciał, żebym zrobił dokumentację do filmu o związkach zawodowych. Usiadłem za kółkiem i pojechałem do stalowni w Gary w Indianie. Brzydkie, zimne i szare miejsce. Wszędzie rozmiękła breja. Chyba nigdy wcześniej nie znalazłem się tak blisko przedsionka piekieł. Mimo to cieszyłem się, że odebrałem ten telefon.

Meg zmarszczyła nos.

- Ja jeździłabym tylko w fajne miejsca. Do Rio, San Francisco albo na Hawaje...

Pellam roześmiał się.

- To nie miałabyś wiele zleceń.

- Nie, ale za to bawiłabym się świetnie przy tych, które bym dostała.

- Sprzedają tu piwo?

- Pewnie tak, ale nie wolałbyś jabłeczniaka? Świeżutkiego!

- Nie, chcę się napić piwa. Nie znoszę jabłek, pamiętasz?

- W takim razie Święto Jabłek nie jest dla ciebie. Nie znajdziesz tu chyba wielu atrakcji.

- Tego bym nie powiedział.

Meg zignorowała tę próbę flirtu i pociągnęła go w stronę stoisk oferujących przekąski i napoje.

Gdy jego matka oglądała z panem Pellamem farmerskie zoo, Sam pobiegł w kierunku strzelnicy łuczniczej. Początkowo zamierzał wrócić do mężczyzny ze śrutówką i zestrzelić coś w prezencie dla pana Pellama, ale potem przypomniał sobie, że widział ludzi strzelających z łuku do tekturowych tarcz w kształcie jeleni. Jedną z nagród była mała plastikowa piłka do futbolu, a ponieważ pan Pellam grał w szkolnej drużynie, Sam postanowił

ją dla niego zdobyć.

Zapłacił mężczyźnie obsługującemu strzelnicę dolara za dziesięć strzałów, a handlarz wręczył mu

niewielki łuk - zwykły prosty, a nie bloczkowy, jakiego używa się do polowania.

Sam chwycił go i założył strzałę na cięciwę tak, jak to robił na obozie. Następnie zajął pozycję i napiął łuk. Mięśnie jego rąk drżały, a palce zbyt szybko puściły cięciwę, zanim zdążył dobrze wycelować. Strzała trafiła jelenia w zad.

- No - zawołał za nim jakiś roześmiany głos. - Trafiłeś go w tyłek.

Sam odwrócił się. To był jeden z tych chłopaków z liceum. Ostatnia klasa, pomyślał.

Na imię miał chyba Ned. Uśmiechnął się do niego, ale Sam kierował się zasadą wszystkich uczniów szkoły podstawowej, według której każdy licealista to potencjalny terrorysta. Tacy jak on zabierają młodszemu lunch, wiążą ze sobą sznurówki ich sportowych butów w szatni, obrzucają przekleństwami, opluwają i traktują jak worek treningowy.

Sam przełknął ślinę i zignorował Neda. Ze wszystkich sił skoncentrował się za to na celu, tak jak uczyła go tego mama, kiedy strzelali razem - nie zwracając uwagi na łuk i strzałę, lecz skupiając się na miejscu, w które miał trafić. Napiął łuk i wpatrując się w tarczę, spróbował zapanować nad bólem przeszywającym jego wątłe ramiona. Wreszcie wypuścił

strzałę.

Prask.

I strzał w samo serce.

- Nieźle, kurde - powiedział tamten chłopak, kręcąc głową.

Sam przyjrzał mu się podejrzliwie. Ten Ned z niego nie kpił.

- Dzięki - odparł.

Kolejne dwa strzały w serce i jedno trafienie w brzuch. Potem siły zaczęły go opuszczać. Cztery strzały wbiły się w belę siana, nie trafiając jelenia. Ostatnia znowu przebiła mu brzuch.

- W porządku, synu. Możesz wybrać sobie dowolną wygraną z dolnej półki. Co chcesz?

Sam zawahał się. Licealista na pewno od razu zabierze mu piłkę. Po prostu wyrwie mu ją i zwieje. Mimo to wymamrotał:

- Poproszę jedną z tych piłek do futbolu.

- Okej, trzymaj.

Sam odebrał z rąk mężczyzny zieloną, plastikową piłkę i odszedł szybkim krokiem.

Starszy chłopak nie wykonał żadnego ruchu w jego stronę. Powiedział jedynie:

- Dobrze strzelasz, mały. Sam chciałbym tak strzelać.

Sam roześmiał się mimowolnie. Oto gość mający co najmniej siedemnaście lat przyznaje się jemu, Samowi, że nie potrafi strzelać z łuku tak dobrze jak on! To ci dopiero. -

To nie takie trudne. Po prostu trzeba, no wiesz, ćwiczyć.

- Jak masz na imię?

- Sam.

- Ja jestem Ned. - Wyciągnął do Sama dłoń.

Żaden licealista nigdy nie podałby ręki dzieciakowi z podstawówki. Sam z wahaniem uściśnął podaną mu dłoń.

- A chciałbyś coś zobaczyć? - zapytał Ned.

- Niby co? - Sam przestał odczuwać niepewność i skrępowanie. Tamten mógł dosłownie w każdej chwili odebrać mu piłkę i uciec z nią, ale nie, on tylko się uśmiechał i wyglądało na to, że zwyczajnie chce z kimś pogadać.

- Coś fajnego.

- No, dobra - odparł Sam popatrując na tę stronę boiska, gdzie jego mama przechadzała się powoli z panem Pellamem, tak jak to zawsze robiła z tatą.

Starszy chłopak ruszył w kierunku gęstego lasu rozciągającego się wzdłuż boiska.

- Dokąd idziemy? - chciał wiedzieć Sam.

- Zobaczysz.

- Parę metrów od granicy lasu znaleźli niewielką polankę. Ned usiadł i poklepał ziemię obok siebie. Sam przykucnął. - Pokaż no tę piłkę.

- Sam podał mu swoją wygraną.

- Całkiem niezła. - Chłopak podrzucił ją kilka razy. - Dobrze leży w ręku.

- Dam ją panu Pellamowi. On pracuje dla wytwórni filmowej.

- Tak, słyszałem o nim. Byłoby super, gdyby nakręcili u nas film. Chłopak oddał Samowi piłkę.

- Masz.

Przez chwilę milczeli.

W końcu Ned powiedział:

- Lubię to miejsce. Jest takie tajemnicze.

Sam rozejrzał się dokoła i pomyślał, że niczym nie różni się od innych polanek w lesie.

- Tak, fajnie tu.

- A masz dziesięć dolców? - szepnął Ned.

- Nie - odparł Sam, który w rzeczywistości miał jedenaście dolarów i nieco drobnych w kieszeni swoich dżinsów.

- To ile masz?

- Parę dolarów. Nie wiem dokładnie. A bo co?

- Chcesz kupić ode mnie cukierki?

- Cukierki? Za dziesięć dolców?

- To takie specjalne cukierki. Zasmakują ci. Wydawało mi się, że miałeś dziesięć dolców, kiedy płaciłeś tamtemu gościowi od łuku.

Sam odwrócił wzrok i ścisnął w dłoniach piłkę.

- No tak, wiesz, ale to nie moje, tylko mojej mamy

- Ned skinął głową. - Dobra, w takim razie dam ci trochę na spróbowanie. Przekonasz się, że warto je kupić. - Otworzył żółtą kopertę i wysypał na dłoń tuzin bryłek przypominających spore kryształy cukru. Wyciągnął dłoń do Sama, który przyjrzał im się nieufnie. Ned zaśmiał się, rozbawiony jego zaniepokojoną miną i włożył sobie jeden kryształ

do ust. - No, dalej, nie pękaj.

- Ja chyba nie...

Ned zmarszczył czoło.

- Chyba nie jesteś mięczakiem, co? W odpowiedzi na to Sam chwycił garść kryształów, wrzucił je do ust i szybko przełknął.

- Nie! - krzyknął z przerażeniem Ned. - Ty głupi gnojku! Nie miałeś zjadać ich wszystkich na raz! Jeden kosztuje dziesięć dolców!

- Nie chciałem... - Sam cofnął się przestraszony. Usta wypełniała mu intensywna, powodująca drętwienie języka słodycz. - Nie wiedziałem. Nie powiedziałeś mi... - Nagle poczuł ciepło, słabość i zawroty głowy. W ustach miał dziwny posmak przypominający smak witaminy do ssania, którą

zażywał co rano.

Ned przysunął się i chwycił Sama za kołnierz; chłopiec odsunął się lekliwie. Było mu słabo, a jego ciało przenikały fale gorąca.

- Sam! - To był głos mamy i dobiegał z całkiem bliska.

Nagle stracił grunt pod nogami. Ned uniósł go w górę, trzymając za koszulę.

- Ty durny mały fiucie! Jeśli powiesz o tym komuś, znajdę cię. I spiorę cię tak, że ducha wyzioniesz, zrozumiano?

Sam pomyślał, że powinien się bać, ale było mu tak dobrze, że się roześmiał.

- Słyszysz, co do ciebie mówię? I znowu śmiech.

Poczuł, że spada w dół na liście, które nagle ugięły się pod nim jak trawa w tej grze planszowej, w którą grał ze swoją opiekunką dotąd, dopóki z niej nie wyrósł. Trawa z waty cukrowej, kamienie z ptasiego mleczka... To się nazywało Cukierkowy świat<sup>15</sup>. No, całkiem 15 Gra planszowa „Candyworld”.

jak te cukierki, które zjadł. Ta myśl również go rozbawiła. Miał ochotę śmiać się bez końca, było mu tak dobrze.

Usłyszał dziwne, dudniące dźwięki. Podniósł głowę. Ned biegł, biegł bardzo szybko, coraz dalej w las. Samowi wydało się, że w pewnej chwili chłopak zmienił się w drzewo.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w to miejsce w skupieniu.

Potem spróbował wstać.

Śmiejąc się w głos.

Fajerwerki, zimne ognie, fontanny, ognie rzymskie objęły go swoimi płomieniami. W uszach słyszał ogłuszający szum. Potem ciepło i czyjeś łagodne nucenie.

- Sam? - Głos mamy był jednocześnie po tysiącokroć zwielokrotniony i bardzo, bardzo daleki, jakby była zamknięta w śluzie statku kosmicznego Enterprise.

Powoli opuszczał go dobry nastrój. Poczuł się bardzo senny, tyle że była to dziwna senność, taka jak wtedy, gdy usuwano mu migdałki, a on obudził się, czując okropny ból i takie pragnienie, iż myślał, że zaraz umrze. Czuł się tak bardzo samotny, kiedy przebudził się w szpitalu i płakał wieki całe, zanim zobaczył mamę śpiącą w drugim końcu pokoju.

To właśnie jej teraz potrzebował.

- Mamusiu - zawołał. Z trudem udało mu się stanąć na nogi. Zrobił parę kroków naprzód. - Mamusiu, pomóż mi!

Męski głos krzyknął:

- Sam! - To był pan Pellam. Sam przypomniał sobie o piłce. Zawrócił i ponownie znalazł się wśród czarnych eksplozji, w żarze, pośród strzelających fajerwerków, w ogłuszającym szumie, by po chwili wypaść na polankę, gdzie pochylił się, żeby podnieść piłkę. Był pewien, że trzyma ją w rękach, ale kiedy uniósł je do twarzy, w dłoniach miał tylko suche liście. Przewrócił się na ziemię.

Potem już nic nie widział; olbrzymia czarna fala przykryła go i oślepiła. Dalej jednak macał wokół siebie w poszukiwaniu piłki. Koniecznie musiał ją znaleźć.

Wygrał ją przecież dla pana Pellama.

Wyraz jej twarzy przeraził go.

Nie chodziło tylko o to, że płakała, a płacz zmienił napięcie i fakturę jej skóry, nadając jej wygląd maltretowanej żony; chodziło o rozbiegane spojrzenie, którego nie mogła na niczym skupić.

Pellam ujrzał w twarzy Meg Torrens panikę.

Po prostu stał obok niej, nie wiedząc, co powiedzieć, ani czy powinien dotknąć jej ramienia w braterskim geście pocieszenia. Myśląc, że powinien przejąć inicjatywę i nie mając pojęcia, co powinien w tej sytuacji zrobić.

Meg siedziała z wyciągniętymi przed siebie nogami; czubki jej butów stykały się ukośnie, ciało było pochylone w przód, łokcie oparte na udach, a dłonie poruszały się, wykonując takie gesty, jakby myślała je w niewidzialnej wodzie. Od czasu do czasu podnosiła głowę i patrzyła na niego, a wówczas Pellam słał jej uśmiech, który scenarzyści określiliby mianem współczującego i zatroskanego.

Czekali już tak dwadzieścia minut.

Przyjechał Keith i wraz z jego przybyciem Pellam poczuł, że sam się odpręży; zdał sobie sprawę, że do tej pory stał pochylony w przód, zaciskając szczęki. Patrzył, jak małżonkowie się obejmują. Keith skinął mu głową.

- Co się stało, do cholery? - spytał żonę.

Meg odsunęła włosy, które wysunęły się z kucyka i teraz opadały jej na twarz.

- Znaleźliśmy go - odparła i znowu zaczęła płakać.

Pellam wyjaśnił: - Sam stracił przytomność, nie mogliśmy go docucić. Lekarz jest z nim, od kiedy go przywieźliśmy. Nic jeszcze nie powiedział.

- Och, Keith, on był taki blady. To było straszne...

Z wściekłością, która - wiedzieli - nie była skierowana przeciwko nim, Keith dopytywał się:

- Ale co się stało? Przewrócił się? Miał jakiś atak?

Meg otarła twarz. - Znaleźliśmy go nieprzytomnego. Keith, to było potworne. Leżał tam zupełnie bezwładny. Zupełnie jakby nie miał żadnych mięśni. Próbowaliśmy go obudzić, ale nie otwierał oczu. - Popatrzyła na Pellama swoimi oczami osaczonego zwierzęcia, wpatrując się w niego, ale widząc niewątpliwie koszmarne obraz bladej skóry swojego syna na tle jesiennych liści. - Nie otwierał oczu.

Keith wyglądał tak, jakby chciał kogoś uderzyć. Nie miało dla niego znaczenia, czy winę za tę sytuację ponosi człowiek, zwierzę, czy może zagmatwane połączenia w krwiobiegu jego chłopca. Dyszał pragnieniem zemsty.

Meg przycisnęła policzek do piersi męża i nic już nie mówiła. Z wolna się uspokajała.

Lekarz o wyglądzie weterynarza - ten sam, który zajmował się Pellamem - wyłonił się z gabinetu i wolno szedł w ich stronę korytarzem.

Miał tak wyrazistą twarz, że nie trzeba było żadnych słów. Nie mogło być wątpliwości co do stanu chłopca. Pellam przypomniał sobie jego spojrzenie, gdy ten wszedł do jego pokoju z wiadomością o śmierci Marty'ego.

Tym razem nie doszło do żadnej tragedii.

Okrągła, obwisła twarz mężczyzny zwróciła się do Meg. Patrząc jej w oczy, lekarz powiedział:

- Nic mu nie będzie.

Meg znowu zaczęła płakać, lecz teraz już ciszej i mniej rozpaczliwie.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście, Meg. Za chwilę.

Wściekłość Keitha ulotniła się błyskawicznie, jakby bał się, że długotrwała nienawiść może mieć skutki uboczne.

- Co mu się stało? Czy to był atak serca?

- Keith, muszę zadać ci to pytanie. Czy Sam kiedykolwiek zażywał narkotyki?

- Narkotyki? - Keith wybuchnął gromkim śmiechem.

Meg puściła męża i zwróciła się ku lekarzowi. - On ma dopiero dziesięć lat, jak mógłby...?

- Narkotyki? - powtórzył Keith, jakby za pierwszym razem nie dosłyszał.

- Co właściwie... - zaczęła Meg. Lekarz jej przerwał:

- Sam przedawkował narkotyki.

Meg powiedziała z nagłą wściekłością w głosie: - Nie! To niemożliwe. Nie Sam.

- Nie rozśmieszaj mnie, do cholery - warknął Keith. - Zwariowałaś?

Lekarz nie dał się wytrącić z równowagi.

- To prawda, Keith. Wygląda na to, że coś zażył. Prawdopodobnie heroinę.

Keith eksplodował. - Chcesz powiedzieć, że dawał sobie w żyłę? To najbardziej szalona, najgłupsza rzecz, jaką... - Meg dotknęła jego ramienia. Z trudem się opanował. -

Przepraszam. Ale na pewno się mylisz.

- Jestem tak samo zaskoczony jak wy... - Lekarz wyjął z kieszeni niedużą foliową torebkę. W środku znajdowały się drobinki kryształów. - Znalazłem je w jego ustach.

Niezwykle łatwo się rozpuszczają, a to oznacza, że musiał ich połknąć o wiele więcej.

Wszyscy troje wpatrywali się w woreczek.

Bazę stanowi dekstroza - to znaczy cukier - ale zmieszany z czymś jeszcze. Nie wiem dokładnie, z czym. To chyba jakaś syntetyczna heroina. Silniejsza niż perkodan. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Ktoś umieścił heroinę w cukierku i dał ją mojemu synowi? - szepnął Keith. Spojrzał na Meg i rzucił niemal oskarżycielskim tonem:

- Z kim on był? Nikogo nie widziałaś? Nie pilnowałaś go?

Pellam natychmiast się najeżył, gotów bronić Meg.

- Oboje z nim byliśmy. Biegał to tu, to tam, ale...

- Na litość boską, Keith, byliśmy na Święcie Jabłek. Nie puściłam go przecież samego na spacer po południowym Bronksie...

Keith zamrugnął powiekami. - Przepraszam. Ja tylko... Wzięła go za rękę.

Lekarz odezwał się: - Wezwałem Toma. Musiałem to zrobić. Cokolwiek by to nie było, na pewno jest substancją kontrolowaną, a ja mam obowiązek to zgłosić.

Cholerna racja, że trzeba to zgłosić - warknął Keith. - Ale nie chcę, żeby „Leader” się o tym rozpisywał. Nie chcę, żeby wyszło na to, że Sam jest jakimś narkomanem.

Nic nie powiem tym z gazety. Ale to poważna sprawa, Keith. Nie wiem, Tom może nawet chcieć ściągnąć kogoś z Albany.

Meg poprosiła słabym głosem:

- Błagam, pozwól mi zobaczyć się z moim synem.

- Chodź - odparł lekarz. Zerknął na Pellama, a potem na jego nogę, na której wciąż utrzymywał się siniak. - Jak tam pan się miewa, proszę pana? - spytał uprzejmie, lecz bez szczególnego

zainteresowania.

- Dziękuję, w porządku.

Lekarz objął ramieniem Meg i poprowadził ją w głąb korytarza. Keith rzucił do Pellama:

- Przepraszam - i poszedł za nimi.

Pellam usiadł w fotelu - aluminium i pomarańczowe winylowe pokrycie - i wziął do ręki numer magazynu „People” sprzed miesiąca. Wpatrywał się w niego nie przeczytawszy ani jednego słowa, nie widząc ani jednego zdjęcia.

Po godzinie Sam wyszedł niepewnie z gabinetu. Meg obejmowała go ramieniem, a Keith silił się na wesołość, rzucając uwagi w rodzaju: „Nic ci nie będzie, kolego” czy

„Prawdziwy z ciebie twardziel, większy ode mnie”. Sam mrugał powiekami i spoglądał na ojca tak, jakby tamten przemawiał do niego w obcym języku.

- Dzień dobry, panie Pellam - powiedział. Twarz mu się nieco rozjaśniła, ale nadal była bardzo blada.

- Jak się czujesz, synu?

- Wymiotowałem.

- Rano będzie lepiej, zobaczysz.

- Kiepsko się czuję.

- No cóż, musisz szybko wyzdrowieć. Mieliśmy poćwiczyć rzuty, pamiętasz?

- Tak.

Meg, Sam i Pellam stali razem w milczeniu, podczas gdy Keith płacił rachunek, a następnie odbierał od lekarza receptę i kartkę z zaleceniami.

- Nagle drzwi kliniki otworzyły się i wszedł szeryf.

- Meg, właśnie się dowiedziałem.

- Tom. - Skinęła mu głową na powitanie.

- Przez dłuższą chwilę szeryf mierzył Pellama lodowatym spojrzeniem, po czym popatrzył w dół na Sama.

- Jak się masz, młodzieńcze?

- Nie najgorzej, proszę pana.

- Dzielny chłopiec.

Lekarz i Keith dołączyli do nich. Meg opowiedziała szeryfowi, jak znalazła syna w lesie, a lekarz resztę odnośnie narkotyków.

- Wiesz już, co to było?

- Najpierw muszę wysłać próbkę do laboratorium w Poughkeepsie. Przekażę ci odpis wyniku. Moim zdaniem to jakaś pochodna heroiny.

Szeryf wzdrygnął się. - W takim razie chyba będę musiał zawiadomić nowojorską dochodzeniówkę.

- To już drugie przedawkowanie - zauważył lekarz. - Tamten chłopak w ubiegłym roku.

Tom skinął głową.

- Tamten chodził do liceum. Coraz wcześniej zaczynają... - Spojrzał na Sama i zwrócił się do Keitha: - Mogę zadać mu kilka pytań?

- Zgadzasz się, skarbie? - spytała syna Meg.

- Tak.

- Może tylko ty, ja i chłopiec? - zaproponował szeryf. Pellam i Keith zrozumieli aluzję i wyszli



na zewnątrz.

Szeryf przykucnął przy pośliskłym doniczkowym bambusie, odruchowo wybierając sąsiedztwo maleńkiego, zatłuszczonego okienka w drzwiach wejściowych - jedyne źródła naturalnego światła w poczekalni.

Meg usiłowała zachować spokój i ze wszystkich sił próbowała się skoncentrować. W tej chwili marzyła tylko o tym, żeby wziąć w ramiona swojego synka.

Szeryf spojrzał chłopcu głęboko w oczy.

- Co się wydarzyło, Sam? Pamiętasz coś?

- Znalazłem kopertę. W środku były te cukierki. Zjadłem je.

- Zjadłeś je?

- Kilka z nich. Chyba nie powinienem był tego robić. Teraz mama strasznie się na mnie gniewa.

- Nie, kochanie, wcale się na ciebie nie gniewam - wtrąciła Meg.

Tom dodał:

- Po prostu martwi się o ciebie, to wszystko. Więc nie wiesz, skąd wzięła się ta koperta?

- Nie, proszę pana.

- Jesteś pewien, że od nikogo jej nie dostałeś?

- Nie, proszę pana. To znaczy, tak, jestem pewien. Nikt mi jej nie dał.

- Po prostu ją znalazłeś.

- Uhm.

- A wiesz może, co stało się z tą kopertą?

- Nie.

- Zadam ci teraz ważne pytanie, Sammy, i chcę, żebyś odpowiedział na nie zgodnie z prawdą.

- Dobrze.

- Znasz pana Pellama?

- Pewnie.

- Czy to on dał ci te cukierki?

Meg zeszywniała na te słowa. Taka myśl w ogóle nie przyszła jej do głowy. Chciała coś powiedzieć, ale szeryf uciszył ją ruchem ręki.

- Mówi pan o tamtej wygranej?

- Proszę?

- Pan Pellam wygrał czekoladowego indyka i dał mi go.

- Kiedy to było?

- Niedługo przed tym, jak się rozchorowałem.

- To była nagroda - wyjaśniła Meg. - Wygrana na strzelnicy.

Szeryf zignorował ją.

- Czy pan Pellam dał ci też tamte cukierki w kopercie?

Sam pokręcił głową.

- Nie, proszę pana.

- Znalazłeś ją, tak?

- Sam przełknął ślinę. - Tak, leżała na ziemi. Znalazłem ją przypadkiem.

- W porządku, Sammie. Wracaj teraz do domu i porządnie wypocznij.

- A więc jednak dał chłopcu słodycze - powiedział szeryf, wstając.

Meg powtórzyła, marszcząc brwi:

- Ze strzelnicy z czekoladowymi indykami. Dał mu figurkę z czekolady. Anie... to świństwo.

Posłuchaj, Meg. Sam twierdzi, że znalazł tę kopertę, ale kłamie. Widać to gołym okiem... No, może nie kłamie, tylko po prostu nie jest pewien. Meg, daj spokój, wiesz, jakie są dzieci. Moim zdaniem ktoś dał mu te narkotyki i on wie, kto to był.

- Myślisz, że to Pellam? - spytała.

- Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Jego kumpel bierze narkotyki i w rezultacie ginie. A potem twój syn przedawkowuje. - Po chwili zapytał: - Czy Sam był dzisiaj sam na sam z Pellamem?

Meg przełknęła ślinę i pokręciła przecząco głową.

- Chcę teraz zabrać mojego syna do domu.

- Oczywiście, Meg.

Stojący na zewnątrz Pellam patrzył, jak drzwi kliniki otwierają się, a matka i syn podchodzą do samochodu Keitha. Meg mocno przytuliła Sama.

- Zabieramy cię do domu, do łóżka.

- Źle się czuję.

Pellam zrobił krok naprzód, przykucnął i oparł dłonie na ramionach chłopca.

- Jak już wyzdrowiejesz, młody człowieku, będziemy mogli...

Meg stanowczo wzięła syna za rękę i praktycznie wepchnęła go do cougara. Pellam spojrzał na nią zdziwiony. Nie popatrzyła na niego. Nie powiedziała ani słowa. Po prostu wsiadła do swojego samochodu i uruchomiła silnik.

Keith usiadł za kierownicą auta i zapiął Samowi pas.

Następnie oba wozy wyjechały z parking, czerwony mercury Keitha i szara toyota Meg. Nawet na niego nie spojrzała. Pellam patrzył za nimi przez kilka minut. Wreszcie poza delikatną mgiełką unoszącą się nad asfaltem nie pozostało nic więcej do oglądania. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że podczas gdy on wpatrywał się w punkt, w którym znikł mu z oczu samochód Meg, szeryf obserwował go, siedząc w swym błyszczącym, nieskazitelnie czystym wozie patrolowym.

Pellam podszedł do niego.

- Przyjechałem tu razem z Meg, prosto z boiska. Zostawiłem tam swój wóz. Może mnie pan podrzucić z powrotem?

- Przykro mi, proszę pana, ale nie jadę w tamtym kierunku.

- Szkoda - odparł Pellam, patrząc, jak biało-czarny samochód teatralnie opuszcza parking, strzelając żwirem spod opon. - Tak czy owak dziękuję. Proszę pana.

Bobby siedział w szopie na złomowisku i czytał „National Geographic”. Zauważył plamę na marginesie i zastanawiał się, co to mogło być. Pewnie sok z winogron. A może krew? Albo ślad po surowej wołowinie?

Siedziba firmy R&W pękała w szwach od egzemplarzy „National Geographic”. Sterty miesięczników pleśniały pod ścianami. Żółkły i zieleniały. Jego brat nie rozumiał, dlaczego Bobby ciągle kupuje stare wydania. Było coś w tym piśmie; ludzie uważali, że się go nie wyrzuca, jakby wyrzucenie go było czymś niepatriotycznym. Wiązali więc je w paczki, zanosili do sklepów ze starociami, na wyprzedaże rupieci albo złomowiska takie jak R&W i sprzedawali posegregowane według roczników. Albo według dekad. Nie interesowało ich, ile na tym zarobią. Chodziło o to, żeby ocalić kawałek Ameryki przed zagładą. Poza tym, w jakim innym czasopiśmie dwunastoletni chłopiec mógł bezkarnie oglądać gołe cycki - w artykułach o Afryce albo Amazonii - i nie dostać za to porządnego lania?

Tego dnia Bobby czytał o Portland, mieście, w którym - jak mu się wydawało - fajnie byłoby zamieszkać. Zamknął jednak miesięcznik i rzucił pod ścianę szopy. Fakt, te pisma naprawdę zaczynały śmierdzieć. Trzeba będzie kupić lizol w aerozolu.

Nagle usłyszał trzask zamykanych drzwiczek samochodu.

Od razu wiedział, zanim jeszcze drzwi do szopy stały otworem, że będą kłopoty.

Coś takiego istniało między bliźniętami, a przynajmniej między nim a Billym. Jakiś rodzaj telepatii. Kiedy więc jego brat bliźniak otworzył drzwi i wszedł do środka, Bobby spojrzął mu prosto w oczy i zmarszczył brwi w sposób niemal identyczny jak Billy.

- Co jest? - spytał.

- To, że siedzimy po uszy w gównie - mruknął Billy.

- To znaczy?

- Dzieciak Torrensów zeżarł kilka pigułek. Prawie przedawkował.

- Cholera. Ten mały blondasek? - Bobby odruchowo popatrzył na tyły pomieszczenia, gdzie leżały zmagazynowane kartony ich specjalnych cukierków. - Skąd je wziął? - Ledwo zdążył to powiedzieć, a już znał odpowiedź; jego brat przesyłał mu jasny i wyraźny komunikat. Bobby ponuro pokiwał głową. - Nasz przystojniaczek? Ned. Wtedy, tamtego dnia.

- Twój kochaś.

- Bobby zaprotestował: - Nasz kochaś. To, że pierwszy go wypatrzyłem, nie znaczy, że masz mnie obwiniać. Dlaczego dał je temu gówniarzowi?

- A dlaczego aż tyle mu ich wtedy dałeś? Cholera, dobiore się chłopakowi do dupy.

Bobby uśmiechnął się blado. - Chyba już to zrobiłeś. Ale jego bliźniak nie był w nastroju do żartów. - To nie jest śmieszne.

Bobby z namysłem kiwał głową.

- A ten dzieciak Torrensów... - mruknął. - Wiedzą, że to my?

- Gdyby tak było, to chyba już by się nami zainteresowali.

- A jeśli Ned powiedział coś temu dzieciakowi? O tym, skąd ma pigułki?

- Wtedy możemy mieć mały problem - odparł w zamyśleniu Billy. - Szkoda, że gówniarz nie wziął wszystkiego na raz i po prostu nie wykitował. Tak byłoby o wiele lepiej.

- Więc już to znaleźli? Mam na myśli towar.

- Owszem - odparł Billy.

- Cholera.

- Na razie trzymają to w klinice, a potem wyślą gdzieś, żeby dowiedzieć się, co to jest.

- Kurwa mać - rzucił Bobby. - To niedobrze. To bardzo niedobrze. Co teraz zrobimy?

Billy popatrzył na brata w taki sposób, jakby tamten zadał najbardziej kretyńskie pytanie pod słońcem. - Jeśli dobrze się zastanowisz, może przyjdzie ci do głowy parę pomysłów.

Nie musiał nawet długo czekać, by tak się stało.

- Halo?

- Telefon odebrała gospodyni Wexa Amblera.

Meg nie znała jej. Widziała ją kilka razy, od kiedy ona i Ambler zaczęli się ze sobą spotykać - raz, jak wychodziła z ceglanego budynku z białymi obmurowaniami przy Maple Street, należącego do Pierwszego Kościoła Prezbiterialnego. Ale nigdy dotąd nie słyszała jej głosu. Gospodyni sprawiała wrażenie starszej od Amblera.

- Czy zastałam pana Amblera? - Meg, która nigdy w życiu nie widziała się w takiej roli, nagle

usiłowała naśladować sposób mówienia zawodowej sekretarki.

- Chwileczkę. Kto mówi?

Meg zastanawiała się przez krótką chwilę.

- Dzwonię z biura agencji Dutchess County Realty.

- Proszę zaczekać.

- Halo?

- Wex?

I już za moment usłyszała, jak jej kochanek mówi nienaturalnie oficjalnym tonem: -

Witaj, Meg. Jak się masz? Nie spodziewałem się twojego telefonu. - Po każdym zdaniu następowała krótka pauza. Wiedziała, że Ambler lubi czułe słówka i było dla niego czymś naturalnym zwracać się do niej per „kochanie” lub „moja droga”. Jednak w zaistniałej sytuacji musiał się bardzo pilnować i unikać tego rodzaju sformułowań.

Ambler raczej niechętnie przystał na żądanie Meg, aby nikt nie dowiedział się o ich romansie.

Meg zapytała szybko:

- Możesz swobodnie rozmawiać? - Po czym zaraz pożałowała swojego idiotycznego pytania.

Ambler je zignorował.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Zdarzył się wypadek. Ktoś dał Samowi narkotyki.

Chwila milczenia.

- Jak on się czuje?

- Nic mu nie będzie. Ale nie możemy się dzisiaj spotkać.

- Oczywiście. Rozumiem. Jakie to były narkotyki?

- Wyglądało to na heroinę.

- Jesteś pewna? - Jego głos zabrzmiał dziwnie płasko. Jakby nie usłyszał, co właśnie powiedziała.

- Tak stwierdził lekarz.

- Skąd je wziął?

Meg zawahała się.

- Nie mam pojęcia. Twierdzi, że znalazł.

- Na pewno nic mu nie będzie?

- Lekarz zapewnia, że tak.

Ambler powiedział wolno:

- Przykro mi. Żałuję, że mnie przy tobie nie było.

Odparła:

- Tak, byłoby mi łatwiej.

W słuchawce rozlegały się coraz głośniejsze trzaski.

Meg domyśliła się, że Wex rozmawia przez bezprzewodowy telefon i że właśnie zszedł do piwnicy albo wyszedł przed dom. Teraz mówił znacznie swobodniej.

- Kiedy możemy się zobaczyć? Ja...

Nagle urwał - bez wątpienia w polu widzenia pojawiła się gospodyni - po czym rzekł: -

Te ceny są trochę zawyżone.

- Ja też chcę się z tobą spotkać - odparła na to. - Są pewne sprawy, o których trzeba porozmawiać.

Była zadowolona, że Ambler nie jest sam i nie może zadać jej pytań, na które nie chciała w tej chwili odpowiadać, a już na pewno nie przez telefon. W jego głosie wyczuła frustrację. - Rozumiem. Mamy tutaj podobną sytuację. Może pojutrze?

- To już powinno być realne.
- Myślałaś może o mojej propozycji?
- Nie chcę teraz o tym rozmawiać.
- Wybacz. Po prostu... To do zobaczenia pojutrze.

Meg zdała sobie sprawę z tego, że odpowiada w taki sposób, jakby Keith był obok niej w pokoju, chociaż wcale go tam nie było:

- Pańskie warunki są dla mnie do przyjęcia. - Po czym odłożyła słuchawkę.

- I jak się czujesz, kolego? - spytał syna Keith.

- Całkiem nieźle, tato. - Głos chłopca był jednak bardzo słaby, on sam zaś leżał w łóżku otulony w szlafrok i koc. Keithowi na jego widok krajało się serce - był taki mały i kruchy.

Cicho szumiał wiatraczek w komputerze; ekran był pusty, z wyjątkiem migającego kursora oczekującego na komendę. Keith chciał go wyłączyć, ale tego nie zrobił; pomyślał, że Sam zostawił sprzęt włączony z jakiegoś powodu - może ze względu na pewien rodzaj otuchy, jaką można czerpać z dźwięku pracującego urządzenia.

Przysiadł na krawędzi łóżka i ciasniej otulił syna kocem.

- Jak brzuch? Boli?

- Smakowały mi lody. Wcale nie zrobiło mi się niedobrze. Keith skinął głową, pamiętając o tym, żeby patrzeć chłopcu prosto w oczy. Meg zwróciła mu kiedyś uwagę, że w czasie rozmowy zbyt często ucieka wzrokiem. Wyjaśnił jej wówczas, że zdarza mu się odpływać myślami i że nic nie może na to poradzić. Odparła, że to żadna wymówka. Kiedy ma się dzieci, trzeba dawać im sto pięćdziesiąt procent samego siebie.

Tyle rzeczy chciał mu powiedzieć. To, że wie, iż nie poświęca mu tyle uwagi, ile powinien; że w przeciwieństwie do ojców większości kolegów Sama nie przepada za sportem i że bez końca przekłada termin ich wspólnego wyjazdu na wakacje. I to, że gdyby dzisiaj nie pracował, najpewniej nigdy by do tego wszystkiego nie doszło. Wiedział jednak, że mówiąc takie rzeczy, jeszcze bardziej zdenerwuje syna i sprawi, że uzna on cały ten incydent z narkotykami za poważniejszy, niż był w rzeczywistości. Obiecał sobie, że po prostu jakoś mu to wynagrodzi. Nie po zakończeniu rozbudowy fabryki, nie po Nowym Roku, nie po zimowym okresie zachorowań, ale niedługo, naprawdę niedługo.

- Przepraszam za to, co się stało, tatusiu.

- Nie mamy do ciebie żalu, Sam.

- To było strasznie głupie.

- Sam - Keith nachylił się bliżej. - To bardzo, bardzo ważne, żebyś powiedział mi, skąd wzięłeś te pigułki.

- Cukierki?

- Tak. Cukierki. Wiem, że ich nie znalazłeś.

- Z oczu Sama popłynęły łzy. Cały drżał. Keith położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął je lekko. - Nie bój się. Nie pozwolę, żeby coś złego znowu ci się stało.

- On powiedział, że mnie pobije.

- Nikomu nie pozwolę cię tknąć. Przyrzekam. Powiedz mi, kto to był.

- Jeden chłopak z liceum.
- Jak się nazywa?
- Nie wiem. Na imię ma Ned. Chyba chodzi do ostatniej klasy.
- Jak wygląda?

- Taki duży. Jak piłkarz... Och, tatusiu... - Sam rzucił się ojcu na szyję. Obejmowali się przez kilka minut. Wreszcie Keith wstał. - Chcesz, żebym zostawił ci zapalone światło?

- Aha. Możesz?

Keith zmierzwił mu włosy.

- Zajrzę potem na górę i sprawdzę, czy śpisz.
- Okej.
- Dobranoc, synu.

Pożar, który wybuchł w klinice, nie był bardzo groźny.

Daleko mu było do słynnego Wielkiego Pożaru z 1912 roku.

Potrzebny był tylko jeden wóz strażacki z Cleary, a strażacy opanowali ogień przy pomocy gaśnic - ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, ponieważ długimi godzinami ćwiczyli posługiwanie się węzłem. Pożary lasu i przepalone tostery - to było wszystko, z czym mieli zwykle do czynienia. A w tym przypadku nie musieli nawet użyć siekiery. Jak większość budynków w Cleary, również klinika pozostawała otwarta, kiedy nocna pielęgniarka wychodziła na kawę albo - jak tym razem - żeby kupić baterie do swojego walkmana.

Najbardziej ucierpiało biuro. Ogień zniszczył karty wielu pacjentów, jak również przygotowaną do wysłania korespondencję oraz kilka kopert z materiałem do badań, które miały trafić do laboratorium analitycznego w Albany. Największe szkody spowodowała woda użyta do gaszenia pożaru.

Naczelnik straży pożarnej - szczupły mężczyzna o ostrych rysach twarzy, który prowadził w mieście agencję ubezpieczeniową i traktował oba swe zajęcia jednakowo poważnie, dokładnie przeszukał całe biuro. Prawdę mówiąc, wcale nie musiał się fatygować; nie trzeba było wiele czasu ani umiejętności policyjnych, aby dokonać odkrycia. Umieścił

swe znalezisko w dużej, czarnej torbie na śmieci (oddział straży pożarnej w Cleary nie dysponował specjalnymi torbami na dowody rzeczowe) a następnie wrócił do samochodu i spróbował skontaktować się z szeryfem przez CB radio. Zakłócenia na linii były tak duże, że wszedł z powrotem do biura i zadzwonił jeszcze raz z telefonu stacjonarnego, który działał, chociaż był częściowo nadpalony.

Stojąc przy osmalonym biurku i czekając, aż Tom podniesie słuchawkę, wpatrywał się w to, co przed chwilą znalazł. Z jakiegoś powodu ogień nie strawił całkowicie urządzenia zapalającego. Sądząc po etykiecie, butelka zawierała kiedyś wino musujące Taylor New York State, zapach zaś sugerował, że ostatnio przechowywano w niej benzynę.

Naczelnik wiedział również (z badań i niekończących się kursów doszkalających, jako że nigdy wcześniej nie miał do czynienia z ładunkiem zapalającym), że jako lontu najczęściej używa się kawałka szmaty. Jednak ten lont był jakiś inny. Uniósł butelkę na wysokość oczu.

Naczelnik był człowiekiem raczej pozbawionym poczucia humoru. Kiedy jednak w słuchawce rozległo się „Halo?” szeryfa, nie mógł powstrzymać śmiechu. Pomyślał właśnie, że muszą mieć do czynienia z wyjątkowo odczytanymi podpalaczami. Kto inny użyłby strony wyrwanej z egzemplarza „National Geographic” jako lontu zapalającego w koktajlu Mołotowa?

Mark - rzekł burmistrz Hank Moorhouse wysłuchawszy, co tamten miał mu do powiedzenia - to nie zbrodnia, kiedy ktoś łązi po okolicy i robi zdjęcia. Gdyby nie te dupki z miasta fotografujące nasze liście, bylibyśmy o wiele biedniejszym miastem. Dobrze o tym wiesz.

Była pora kolacji. Smakowite zapachy - pieczeni i polanych tłuszczem ziemniaków - wypełniały wiktoriańską rezydencję burmistrza. Z odległej części domu dobiegał szczeł sztucców oraz stłumione głosy biesiadujących.

Potęźnie zbudowany i groźnie wyglądający młody człowiek, którego policzek wypychała przeżuwana kostka tytoniu, odezwał się: -

Ten facet jest niebezpieczny. Słyszał pan, co się przydarzyło dzieciakowi Meg Torrens? Ktoś dał

mu narkotyki.

Nie! Nic o tym nie wiem. Samowi? - Jasny wąsik rozmówcy co chwilę przyciągał spojrzenie Moorhouse'a.

- Ludzie mówią, że dostał je od Pellama. Paru chłopaków widziało ich razem.

Mark obrócił kostkę tytoniu w ustach.

Nozdrza Moorhouse'a rozszerzyły się, wciągając łąpczywie woń kolacji. Chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Ale Mark pracował dla Wexella Amblera, Ambler zaś był wierzycielem obu hipotek zaciągniętych przez Moorhouse'a na kolonialną rezydencję z sześcioma sypialniami, jak również członkiem zarządu rady miejskiej. Odparł więc:

- Co za sukinsyn. - Oddał kawałek taśmy klejącej, skleił go, włożył do ust i zaczął żuć. Od dawna walczył z nałogiem, ale teraz pomyślał, że to lepsze niż żucie tytoniu.

- To nie wszystko. - Mark rzucił mu na biurko foliową torebkę wypełnioną białym proszkiem.

- Co to jest?

- A jak pan myśli?

Moorhouse popatrzył na torebkę takim wzrokiem, jakby zawierała fragmenty stopionego rdzenia reaktora z Czarnobyli.

- Widziałem, jak Pellam to upuścił - powiedział Mark. Moorhouse pochylił się nad biurkiem.

Uważał, żeby nie dotknąć opakowania. - Rzadko widuje się w Cleary takie rzeczy.

Chryste, a ja martwię się, że moi chłopcy... - Ruchem głowy wskazał jadalnię - popijają piwo.

Mówią, że nigdy nie palili haszu i ja im wierzę. Ale to... Co to właściwie jest, Mark?

Kokaina, tak?

- Myślę, że to speed. Amfetamina.

- I to jest nielegalne?

Mark prychnął.

- Nielegalne? Numer jeden na liście kontrolowanych substancji.

- Jak myślisz, ile to może być warte? Jaka jest tego - jak to się mówi w wiadomościach

- wartość rynkowa?

- Sądzi pan, że ja to wiem? - odparł Mark, podnosząc głos ze zdziwieniem. - Co to zresztą za różnica?

- Nie mogę aresztować kogoś tylko dlatego, że widziałeś, jak mu to wypadło. - Po namyśle

Moorhouse stwierdził, że wcale nie jest tego pewien. Może i mógłby to zrobić.

Zastanawiał się, gdzie dałoby się to sprawdzić. Cleary miało miejskiego prawnika.

Mark uśmiechnął się zyczliwie i nachylił się ku niemu w sposób, który uważał za swój popisowy numer.

- W takim razie będziemy musieli się nad tym głębiej zastanowić.

Wzrok Moorhouse'a krążył wokół trefnej paczuski niczym komar szukający na skórze odpowiedniego do ukłucia miejsca.

- Sam nie wiem.

Jakaś brązowa koperta plasnęła nagle o blat biurka. Moorhouse podskoczył, zawahał się, po czym po chwili wziął ją do ręki. Popatrzył na Marka, który wyjaśnił:

- W środku znajdzie pan trzy tysiące dolarów.

Moorhouse przesunął kciukiem po pliku banknotów.

- Cóż, wierzę ci na słowo. Skąd wzięły się te pieniądze?



- Powiedzmy, że kilku mieszkańców miasta urządziło zbiórkę. Uważamy, że ten facet nie powinien tu dłużej przebywać. Filmu nie będzie. Nie ma żadnego powodu, żeby nadal się tu kręcił.

- Co to więc oznacza? - spytał Moorhouse i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że nie powinien był pytać.

- Może pan to uznać za wynagrodzenie sędziego pokoju. Spojrzenie burmistrza powędrowało od pieniędzy do foliowej torebki.

Wsunął kopertę do szuflady biurka, po czym końcem swojego stylowego pióra wepchnął do niej również woreczek z białym proszkiem, miękkim niczym talk dla niemowląt.

Pellam wypił trzy kieliszki whisky Wild Turkey, wmawiając sobie, że coś świętuje, po czym położył się w przyczepie, słuchając, jak Willy Nelson śpiewa piosenkę „Crazy”.

Miał pewną teorię, która gwarantowała bardzo optymistyczne nastawienie do życia.

Trzeba zawsze zakładać, że wydarzy się najgorsze, a kiedy się nie wydarzy, wówczas to, co nas faktycznie spotyka, nie wydaje się wcale takie złe.

I jak tu nie być optymistą z taką filozofią?

Tak więc teraz, na granicy alkoholowego zamroczenia, Pellam powtarzał sobie, że najgorsze już się stało. Po pierwsze, stracił pracę, której potrzebował; po drugie, było to jedyne zajęcie na świecie - oprócz pławienia się w bogactwach - które odpowiadało jego temperamentowi. Po trzecie, w tej chwili cały Bulwar Zachodzącego Słońca prawdopodobnie huczy już od plotek przypisujących mu osobiście winę za pogrzebanie znakomitego filmu. Po czwarte, wciąż nie znalazł mordercy swojego przyjaciela. I po piąte, kobieta, o której bardzo dużo ostatnio myślał, była na niego wściekła z powodu, którego nie potrafił za żadne skarby świata zrozumieć (chodziło rzecz jasna o Meg, a nie o Janine czy... hm, Trudie. Za późno, żeby teraz do niej dzwonić. Zrobi to jutro).

Na zewnątrz zatrzymał się jakiś samochód.

Miał nadzieję, że to Meg, chociaż wiedział, że to niemożliwe. To musi być Janine.

Pellam domyślił się, co się stało: pewnie jej stary posuwał swoją aktualną panienkę pod fosforyzującym plakatem Jimmiego Hendriksa i ktoś poczuł się wystawiony do wiatru.

Chodź do mnie, Janine, skarbie, błagam... Wolna miłość. Daj szansę pokojowi. Na stojaka, pod ścianą...

Pod wpływem whisky Pellam czuł się lekki, niemal szczęśliwy. Najgorsze już się stało. Był uodporniony. A duża, niezgrabna, ciepła dziewczyna tylko czekała, żeby pójść z nim do łóżka.

Najgorsze...

Otworzył szeroko drzwi przyczepy... już go spotkało.

Ziemia i żwir trafiły go prosto w twarz, zanim zdążył unieść ręce i osłonić oczy.

Natychmiast oślepl. Płuca miał pełne kurzu z Cleary; zaczął się krztusić.

Było ich dwóch. Jeden wielki, prawdziwy niedźwiedź. Chwycił Pellama za koszulę i bez trudu wyciągnął go na zewnątrz. Pellam potknął się, stracił równowagę i upadł na kolana.

Czyjaś ręka przeciągnęła go parę metrów po ziemi.

Piekły go oczy, głośno kaszłał i pluł gorzkim pyłem.

- No, dalej, dupku, wstawaj - wyszeptał mu do ucha czyjś energiczny głos. Silne ramiona objęły go w pasie. Niedźwiedziowaty dźwignął go w górę. Pellam gwałtownie wyprostował nogi. Czubkiem głowy uderzył tamtego w podbródek.

- Cholerny skurwysyn! - usłyszał. - Przyciął mi język. Kurwa mać, kurwa mać!

Pellam kopnął jeszcze drugiego, mniejszego napastnika, ale ten z łatwością uniknął

ciosu.

To, co właśnie zrobił - ten nagły wyrzut ciała do góry - było odruchową reakcją.

Szybko się zorientował, że popełnił błąd. Z facetami tego pokroju, miejscowymi zabijakami, lepiej było nie żartować. Najlepsze, co człowiek mógł zrobić, to trzymać się poza zasięgiem ich pięści, przetaczając się i robiąc uniki, dopóki nie nadarzy się okazja wyprowadzenia celnego ciosu. Takich gości nie wolno było drażnić - trzeba ich było uderzyć raz, góra dwa razy, naprawdę mocno. Najlepiej od razu rozwalić im łeb. Sprawić, żeby myśleli, że za chwilę ich zabijesz. Wtedy odeszliby, przeklinając cię i udając, że nie jesteś wart ich zachodu.

Ci dwaj przyszedli tu zabawić się, a Pellam tylko ich wkurzył. Teraz byli naprawdę wściekli.

Niedźwiedziowaty walnął go z całej siły, celując w najbliższą część ciała - jego ramię.

Nawet nie bardzo zabolalo, ale już za chwilę Pellam znalazł się w żelaznym uścisku potężnych łap, z brodą przyciśniętą do piersi. Pellam był wyższy, więc napastnik nie mógł podnieść go do góry, mógł za to skutecznie go unieruchomić. Tymczasem drugi mężczyzna okładał go pięściami po brzuchu, trafiając prosto w przeponę i pozbawiając Pellama tchu.

Poczuł napływającą falę mdłości. Niedźwiedziowaty pytał tamtego:

- Leci mi krew z języka? Cholera, chyba tak. Kurwa, ale boli.

Pellam otworzył oczy, ale nie był w stanie niczego zobaczyć przez błoto i łzy.

- Czego chcecie? - wysapał. - Pieniędzy?

Niedźwiedziowaty jeszcze bardziej przygiął mu głowę do klatki piersiowej i kolejne słowa zmieniły się w charkot.

Nie, oni tylko chcą zatłuc mnie na śmierć...

Ten mniejszy znowu się zamachnął, celując w twarz Pellama, ale nie trafił, ponieważ przeszkodziły mu w tym łokcie niedźwiedziowatego.

- Ty, puść go na chwilę.

W tym samym momencie Pellam gwałtownie wciągnął powietrze, zadrżał, po czym jego ciało całkowicie zwiotczało.

- Cholera, co jest? - Niedźwiedziowaty rozluźnił uścisk. - Umarł? Kurwa. Co żeś mu zrobił?

- Co ja zrobiłem? Nic. Ja tylko...

Pellam błyskawicznie się wyswobodził. Poczuł, że koszula rwie mu się na plecach w miejscu, gdzie chwycił ją niedźwiedziowaty, a następnie wykonał markowany cios lewą pięścią, celując w mniejszego z napastników, który uskoczył w bok. Wprost pod uderzającą z całym impetem prawą pięść Pellama. Trzask pękającej przegrody nosowej sprawił mu prawdziwą satysfakcję; towarzyszący mu skowyt był wprost rozkoszny.

Pellam odwrócił się ku niedźwiedziowatemu, ale wielkolud był od niego szybszy.

Jedną ręką porwał go do góry jak szmacianą lalkę.

- Chcesz się ostrzej zabawić? - spytał.

- Niczego nie chcę. Ja...

Niedźwiedziowaty rzucił nim o bok przyczepy. Coś pękło, ale odgłos sugerował raczej coś metalowego, a nie kość. Pellam upadł na ziemię, rozpaczliwie chwytając powietrze, po czym udało mu się unieść na kolana. Niedźwiedziowaty walił w niego jak w worek treningowy, zadając ciosy z taką częstotliwością, żeby Pellam nie mógł wstać. Wszędzie czuł pulsujący ból.

W końcu przestał się bronić i leżał bez ruchu. Wyczerpany wydyszał:

- Wystarczy. W porządku?

W oddali rozległo się wycie syreny policyjnej. - Zmywajmy się stąd - powiedział niedźwiedziowaty.

- Boże, ale mnie boli - jęknął jego współnik. - Złamał mi nos. Złamał mój pieprzony nos. Niedźwiedziowaty szepnął:

- Zamknij się, dobra?

Usiłując złapać oddech, Pellam próbował wczołgać się pod przyczepę. Poczł jednak, że potężne łapska chwytają go za kostki. Wyciągnęły go spod wozu, po czym sięgnęły mu do kieszeni. Nie do tej - jak mógł się spodziewać - w której trzymał portfel, ale do przedniej kieszeni koszuli. Dlaczego właśnie tam? Nic w niej nie miał.

Syrena zawodziła coraz bliżej.

Pellam usłyszał:

- Spadajmy stąd, do cholery. Ruszaj się.

- Ale mój nos. Człowieku, ty nie...

- Ruszaj się, dupku.

Usłyszał trzask drzwiczek samochodowych i ochryply, krótki warkot odpalanego silnika, a potem pisk opon.

Pellam splunął krwią i spróbował odzyskać oddech. Co do diabła... Domyślił się, że tamtym nie chodziło o kradzież - zostawili w spokoju jego portfel oraz zegarek i nawet nie zajrzeli do przyczepy; przeszukali mu tylko jedną kieszeń. Gdyby zjawili się tu, żeby przekazać mu, że ma się wynosić z miasta, mieli na to mnóstwo czasu, ale tego nie zrobili.

Zakaszlał i zdołał dźwignąć się do pozycji półsiedzącej, lecz zaraz znowu opadł na wznak.

Samochód policyjny zahamował ostro po drugiej stronie przyczepy Syrena umilkła, a Pellam zobaczył na drzewach grę migoczących, kolorowych świateł.

Jego dłoń sięgnęła do kieszeni, w której grzebał niedźwiedziowaty Pod palcami wyczuł prezent. O Chryste, tylko nie to...

Wyciągnął na zewnątrz niewielką foliową torebkę. Koka albo speed. Co najmniej jeden gram. O Chryste Panie. Posiadanie narkotyków. Pellam wpatrywał się w torebkę zamglonym spojrzeniem.

Usłyszał z boku ich głosy:

- W porządku, trzeba go znaleźć. Przeszukajcie całą polanę.

Pellam znowu zaczął kaszleć, głośno, głęboko, kiedy policjanci obchodzili przyczepę.

Rozpoznał dwóch zastępców szeryfa, chociaż żaden z nich nie miał na nosie charakterystycznych okularów przeciwsłonecznych.

- No i co, proszę pana? - odezwał się jeden. - Wygląda na to, że znowu przydarzyło się panu nieszczęście.

- Nie, nie gońcie tamtych bandziorów. Stójcie tak dalej i naigrawajcie się ze mnie.

Czemu nie...

- Nic panu nie jest? - zapytał drugi.

Pomógł Pellamowi stanąć na nogi. Pellam kaszlał, krztusił się.

- Wody, błagam, dajcie mi trochę wody.

- Jasne, nie ma sprawy. - Pierwszy zastępca wszedł do przyczepy i zaraz wrócił ze szklanką wody.

Pellam wziął ją i popił nią zawiniątko. Następnie zaczął rozpaczliwie chwytać ustami powietrze,

a jego klatka piersiowa falowała w górę i w dół, jak u człowieka, który prawie utonął, a teraz znów znajdował się z powrotem na suchym lądzie.

- Czy może pan stać o własnych siłach?

Pellam zmarszczył brwi, widząc, jak drugi zastępca szeryfa przeszukuje dokładnie trawę, przyświecając sobie latarką.

- Tak, mogę.

- To świetnie. - Policjant uśmiechnął się szeroko. - Bo jest pan aresztowany. - Spojrzał na swojego kolegę. - Odczytaj mu jego prawa. I przeszukaj go.

- Nic przy nim nie znaleźliście? - spytał szeryfa Hank Moorhouse. Burmistrz mrużył oczy w ostrych promieniach słońca wpadających do jego biura we wczesny niedzielny poranek.

- Nic. Moi zastępcy szukali, tak jak pan kazał. Ale niczego nie znaleźli.

- Jest pan pewien, szeryfie? Żadnych narkotyków? Ci filmowcy bez przerwy czymś się szprycują - rzekł Moorhouse.

Tom dobrze o tym wiedział, ponieważ wraz z żoną czytali magazyn „People”.

Wiedział jednak również, że jego podwładni przeszukali całą okolicę i zero efektu.

- Był nieprzytomny, kiedy go znalezione?

- Nie, proszę pana. Leżał mocno pobity pod swoją przyczepą. Nie mógł wyrzucić niczego na taką odległość, żebyśmy to przeoczyli. Przeczesał cały teren. Dosłownie - przeczesał.

Moorhouse zapytał ostrożnie:

- Wie pan może, z kim się pobił?

- Nie. Jeśli pan chce, mogę popytać ludzi.

Moorhouse pokręcił głową.

- Nie. Zresztą Pellam pewnie sam wszczął bójkę. - Ruchem głowy wskazał biuro szeryfa, w którym znajdował się tymczasowy areszt. - Trudno winić jakiegoś miejscowego dzieciaka, że przyłożył dupkowi z Wybrzeża myślącemu, że wszystko mu wolno. Znalazł pan może jakieś dowody na to, że to on podpalił klinikę?

- Nie.

- Tak czy owak, to musiał być on.

- Na to wygląda - odparł szeryf bez przekonania. Nie przestawał podejrzliwie przyglądać się Moorhouse'owi, bawiąc się jednocześnie swoim potężnym, chromowanym rewolwerem kaliber 0,357.

Burmistrz skrzywił się. W tej chwili gdzieś tam znajduje się przez nikogo nie pilnowana torebka z LSD, PVC, czy co tam u diabła było. Gdzie jest? A jeśli trafi w ręce jakiegoś dzieciaka? Chryste.

- A co z Pellamem? - zapytał szeryfa. - Nic mu nie jest?

- Chyba nie. Wczoraj w nocy przywieźli go na posterunek całego we krwi. Od razu poszedł do kibla i się wyrzygał. Myślałem, czyby nie zawieźć go do szpitala, ale...

- Do szpitala, który próbował spalić, do cholery.

- Hm - mruknął niezobowiązująco Tom. - Teraz już mu chyba lepiej.

- Chyba powinniśmy z nim porozmawiać - stwierdził Moorhouse. - Niech pan przyprowadzi go tutaj.

Skuty kajdankami.

Na baczność przed tym małomiasteczkowym przystojniaczkiem ubranym w swój ulubiony, błękitny garniturek.

I skuty kajdankami, na litość boską.

- Panie Pellam, niech mi będzie wolno powiedzieć, jak bardzo jest nam przykro z powodu tego, co się stało. Takie rzeczy nieczęsto się u nas zdarzają. Cleary to spokojne miasto.

- Zaskakujące - dodał szeryf. - To znaczy, że coś takiego w ogóle miało miejsce.

Pellam skinął mu głową i zmrużył oczy przed zimnym, ostrym światłem wlewającym się do

środką przez brudne okna. Najbardziej bolała go prawa dłoń - a dokładnie kłykcie - w miejscu, którym trafił na kość.

- Dlaczego spędziłem noc w areszcie?

- Och. - Moorhouse rozparł się wygodnie w swoim fotelu obrotowym. - Został pan aresztowany za ZPPP Czyżby zastępca szeryfa nie odczytał panu pańskich praw?

- Oczywiście, że odczytał, panie burmistrzu - wtrącił szeryf.

- ZPPP? - powtórzył Pellam.

- Zakłócanie porządku po pijanemu. Przyznaje się pan do winy?

Prima aprilis. To musiał być żart. Pellam nawet zaśmiał się krótko.

- Dwóch dupków zapukało do moich drzwi, wyciągnęło mnie z wozu i sprząło na kwaśne jabłko.

To nie jest żadne ZPPP.

- Moorhouse uśmiechnął się wyrozumiale. - Czyli niewinny?

- Bez wątplenia. A znaleźliście tamtych dupków?

Szeryf przejął pałeczkę.

- Pozostali sprawcy...

- Pozostali sprawcy? - Pellam roześmiał się.

- ...zbiegli. Szukaliśmy śladów, ale bez skutku. - Zwrócił się do Pellama: - Nie był pan zbyt pomocny, jeśli chodzi o podanie ich rysopisów.

Pellam uniósł ręce do góry. Chromowane kajdanki zadzwoniły głucho.

- Ktoś rzucił mi w twarz chyba całą łopatę ziemi, zanim się do mnie zabrał.

Moorhouse odparł:

- Cóż, oczywiście w obliczu prawa nie potrzebujemy innych sprawców. Możemy oskarżyć tego, którego schwytaliśmy. To znaczy pana. W tym momencie przestaję być burmistrzem, a zmieniam się w sędziego pokoju. - Popatrzył na niezapisany kalendarz ścienny. - Wyznaczam rozprawę na za tydzień. Jeśli chodzi o kaucję...

- Jak to na za tydzień?

- Jestem bardzo zajęty człowiekiem.

- Świetnie. Więc niech mnie pan wypuści. Będzie pan miał mniej roboty.

Moorhouse zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów - koszula pokryta ziemią i rdzawo-czarnymi plamami krwi, zabrudzone spodnie, włosy zmierzwiłone po nocy przespanej na twardej poduszce.

- Jeśli mam być szczerzy, proszę pana, my także nie chcielibyśmy pana tutaj dłużej zatrzymywać.

Proszę pana, proszę pana, proszę pana...

Szeryf zakołysał się na grubych obcasach; deski podłogi zaskrzypiały.

Światło raniło Pellama niczym tępą brzytwa. Oczy mu łzawiły. Czekał. Moorhouse usiłował mu coś przekazać. Coś, z czego powinien wyciągnąć określone wnioski. Coś, czego właściwie nie powinien mu sugerować miejski sędzia pokoju - nawet w takim mieście.

Pellam pociągnął nosem i zamrugnął powiekami.

- Ma pan katar, proszę pana?

- To tamta łopata ziemi, o której wspomniałem.

- Aha. - Moorhouse zerknął na szeryfa. - Tom, niech pan zostawi nas na chwilę samych.

Oczywiście, panie burmistrzu. - Szczupły mężczyzna obrócił się na pięcie i opuścił gabinet tak sprężystym krokiem, że aż dziw brał, iż w tle nie słychać dźwięków marsza Sousy.

- Pellam, pański pobyt w naszym mieście okazał się... jak by to powiedzieć?

Uciążliwy.

- Nie bardziej uciążliwy, niż tych dwóch dupków, jeżdżących po mieście i naporzających spokojnych ludzi, którzy nikomu nie wadzą.

- No właśnie. - Moorhouse pokręcił głową. - Wiedział pan, że niewiele brakowało, a wczorajszej nocy spłonęłaby nasza klinika?

Pellam zamrugnął powiekami. Nie rozumiał, jaki to ma związek z jego sprawą.

- Co właściwie...

- A wie pan, co zginęło w płomieniach?

- A to ciekawe. Odparł: - Narkotyki, które znaleziono przy chłopaku Torrensów.

- Owszem, proszę pana. - Moorhouse uniósł w górę jedną brew.

- Och, niech pan da spokój. Oskarżycie mnie też o podpalenie? Nie macie na to materiału dowodowego.

Druga brew Moorhouse'a dołączyła do pierwszej i teraz obie zdawały się pytać: „Skąd zna pan takie określenia jak «materiał dowodowy? „Skąd, drogi panie?”

- Panie Pellam, reprezentuje pan zewnętrzne wpływy, które nie są dobre dla naszej społeczności.

- Zewnętrzne wpływy mogą się okazać zbawienne - rzucił Pellam. - Zwłaszcza że pan reprezentuje tutaj najwyraźniej wpływy wewnętrzne.

Moorhouse z uśmiechem wciągnął powietrze przez swoje białe zęby. - Jeżeli nie będzie pan uważał, mogę być zmuszony dodać obrazę sądu do rosnącej listy pańskich przewinień...

Pellam oparł zaciśnięte pięści na biurku i pochylił się do przodu. Gdyby nie te kajdanki...

- Chcę mieć wyznaczoną kaucję i mam gdzieś to, czy jesteś akurat zajęty anulowaniem mandatów za jazdę po pijanemu synalkom swoich kumpli - jutro ma się odbyć rozprawa.

Zaraz zadzwonię na Manhattan do mojego prawnika i ściągnę go tutaj z nakazem doprowadzenia mnie do sądu celem ustalenia, czy moje zatrzymanie odbyło się zgodnie z prawem. A jeśli dalej będziesz mi podskakiwał, pozwę cię za naruszenie procedur sądowych i niezapewnienie aresztantowi odpowiedniej opieki medycznej...

- Spokojnie, tylko bez niepotrzebnych nerwów. Porozmawiajmy...

- No, powiedz mi - ciągnął Pellam przez gniewnie zaciśnięte zęby - czy łatwo ci będzie wysupłać z miejskiej kasy dwieście, trzysta tysięcy na odszkodowanie?

Moorhouse nie przestawał sztucznie się uśmiechać. Twarz mu poczerwieniała i musiał markować kaszel, żeby przełknąć ślinę. Jego spojrzenie pobiegło ku aparatowi telefonicznemu. Pellam widział, że burmistrz jest wściekły. Ktoś postawił go w niezręcznej sytuacji.

- Ojej, ojej, ależ jesteśmy obrażalscy. Coś panu powiem. Wyjedzie pan z miasta, a ja nie wniosę żadnych oskarżeń.

- Ile wynosi kaucja? - spytał cicho Pellam.

Uśmiech burmistrza skrzywił się nieco i zmienił w grymas niezadowolenia.

- Wyznaczam kaucję na pięć tysięcy dolarów.

Za plecami Pellama zaskrzypiały drzwi. Do pokoju wpadła szeroka, trapezoidalna plama światła. Nie zwrócił na to uwagi. Wybuchnął:

- Ile? Skąd mam wziąć taką kasę w niedzielę?

Kobiety głos odparł:

- Ode mnie. Czek może być, prawda, Hank?

Burmistrz zmarszczył brwi.

- Dzień dobry, Meg. Co cię tu sprowadza?

Meg zbliżyła się do biurka.

- Może być czek? - I zanim zdążył odpowiedzieć, już go wypisywała.

- Nie musisz... - zaczął Pellam. Spojrzała na jego twarz, która musiała wyglądać dużo gorzej, niż sądził, ponieważ jej oczy rozszerzyły się na sekundę.

Moorhouse oderwał kawałek taśmy klejącej z rolki w podajniku, skleił ją i włożył do ust. Żuł zamyślony.

- Meg, to nie jest dobry pomysł.

Skończyła wypisywać czek. Pellam zapytał:

- Jak się dowiedziałaś?

Zignorowała go.

- Meg - spróbował ponownie Moorhouse. - To naprawdę nie jest dobry pomysł.

Meg rzuciła mu czek na biurko.

- Teraz pokwitowanie. Chciałabym dostać pokwitowanie.

Burmistrz nie mógł znaleźć właściwego druku i w końcu musiał wypisać je odręcznie na żółtej samoprzylepnej karteczce.

Meg wypadła z gabinetu. Pellam poparzył za nią, marszcząc brwi. Moorhouse wypluł przezutą taśmę i powiedział:

- Rozprawa odbędzie się w poniedziałek rano. Znam miejscowego prawnika, jeśli jest pan zainteresowany.

Pellam wyciągnął przed siebie zaciśnięte pięści, niemal dotykając nimi klatki piersiowej burmistrza.

- W tej chwili jestem zainteresowany pozbyciem się tych kajdanek. Są trochę... uciążliwe.

Pellam usiadł na miejscu dla pasażera, a Meg wrzuciła bieg i ostro ruszyła. Wypadli z miasta.

Od niechcienia zapiął pasy. Zauważył, że gałka dźwigni zmiany biegów jest spękana i odkształcona od ciągłego używania, a symbole biegów odwrócone do góry nogami. Jakby chcąc mu wyjaśnić, dlaczego, Meg zredukowała bieg na łagodnym łuku drogi, by za chwilę znów się rozpędzić do stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Znajdowali się w strefie ograniczenia prędkości do siedemdziesięciu na godzinę.

Usiłując przekrzyczeć ryk silnika, odezwał się:

- Dzięki. Ja...

Meg pokręciła głową.

Nie wiedział, co to miało znaczyć: czy chciała, żeby milczał, czy po prostu go nie słyszała. Strzałka prędkościomierza doszła już prawie do czerwonego pola.

Pellam wyjrzał przez okno. Ulice świeciły pustkami. Za to przykościelny parking wprost pękał w szwach od półciężarówek i samochodów osobowych. Kościół był przykładem klasycznej amerykańskiej architektury sakralnej - strzelista biała iglica i czerwona cegła, symetria, ład, prostota. Zastanawiał się, do jakiego wyznania należy, lecz prędko stwierdził, że tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia; religia w Cleary była prawdopodobnie wyznawana w ten sam sposób w każdym kościele, do jakiego by się nie trafiło.

- Gdzie jest Sam?

- W szkółce niedzielnej.



- A Keith?

- Miał coś do załatwienia. Potem wybierał się do fabryki.

- Aha.

Jechali w milczeniu do domu. Do jej domu. Jej samochodem.

A ona miała kamienne spojrzenie i zacięte usta.

Kiedy dojechali na miejsce, zahamowała ostro, pozostawiając półtorametrowe ślady na żwirze i wysiadła, trzaskając głośno drzwiczkami. Wbiegła po schodach na ganek, zostawiając Pellama samego w samochodzie.

Zniknęła za drzwiami.

Czekał.

W końcu wyjrzała na zewnątrz i zawołała:

- Wchodzisz czy nie?

- Chyba powinienem... - zaczął, ale już odwróciła się do niego plecami i weszła do środka.

Dom był bardzo cichy. Wydawało się to czymś nienaturalnym: taki stary dom, przestronny, pachnący ciepłym drewnem parkietu - i taka cisza. Domy takie jak ten powinny być wypełnione gwarem tuzina dzieciaków, pokrzykujących i wyczyniających różne harce oraz głosami dorosłych krzątających się przy swoich weekendowych zajęciach. Tutaj jednak panował niczym niezmacony spokój.

Pellam poszedł za Meg do kuchni. Włączała właśnie ekspres do kawy. Potem włożyła bułeczki do piekarnika. Skrzyżował ramiona na piersi. Meg milczała. Oparł się plecami o kuchenną szafkę. Potem opuścił ramiona i usiadł na krześle. Zaczął:

- Ja...

Trzasnęła puszką kawy o blat, odwróciła się na pięcie i spojrzała mu prosto w twarz. -

Mam tylko jedno pytanie.

- Wyciągnęłaś mnie z pudła, żeby zadać mi pytanie?

- Czy to ty dałeś Samowi to gówno? Nie odpowiedział.

Patrzyła na niego.

Pellam podniósł się.

- Jeżeli tak myślisz, to wolę wrócić za kratki. Dzięki.

Meg podeszła bliżej i stanęła zaledwie parę centymetrów od niego.

- Chcę, żebyś to powiedział. Powiedz mi prawdę.

- Nie dałem mu żadnych narkotyków. Odwróciła się do niego plecami.

Pellam dodał:

- Myślałem, że mnie znasz... Sądziłem, że lepiej się znamy.

Ona tymczasem przetrząsała swoją torebkę, wyciągając z niej arkusze papieru.

Przymrużył powieki. Kiepsko widział na prawe oko. Jakieś zapomniane ziarnko piasku z wczorajszej nocy znalazło się nie tam, gdzie trzeba. Otarł napływające mu do oczu łzy.

Dopiero wtedy udało mu się skupić wzrok na arkuszach papieru. Wydrukowała coś z komputera.

Pellam zmarszczył brwi i nachylił się bliżej.

- A więc to tak.

Odchrząknął. Więc nawet tutaj. W Cleary, w stanie Nowy Jork, zamieszkałym przez 5800 mieszkańców. Nawet tutaj.

- Widzę więc, że już wiesz - zauważył cicho.

Meg podsunęła mu papiery pod sam nos. Były przybrudzone i zniszczone od częstego czytania.

Patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Wydawało mi się, że słyszałam już gdzieś twoje nazwisko. Kiedy pracowałam w Nowym Jorku jako modelka, interesowałam się filmami. Kupowałam czasopisma filmowe.

Wiedziała, że skądś znam twoje nazwisko.

Wziął do ręki kilka kartek i przebiegł wzrokiem nagłówki, których treść mógłby recytować przez sen.

„Czas szaleństwa” Pellama - faworyt krytyków z Los Angeles w kategorii filmów niezależnych; Debiutujący reżyser Pellam szturmem zdobywa Cannes i Sundance; Najważniejszy film Nowojorskiego Festiwalu Filmowego: „Mieszkanie Sandry” Johna Pellama.

Były tam też inne, krzyczące słowami, które często nawiedzały go w sennych koszmarach: Reżyser filmowy skazany w związku ze śmiercią gwiazdy; Nowe rewelacje w sprawie Pellama: narkotyki na planie; Reżyser i koproducent skazani w związku z przedawkowaniem narkotyków przez gwiazdę filmu; Zabójczy film „Czas środkowoamerykański” trafia na półkę - producenci się wycofują.

Pellam odłożył papiery na stół. Wstał.

- Lepiej będzie, jak sobie pójde.

Meg stanęła między nim a drzwiami. Chwyciła go za ramię i mocno przytrzymała.

- Nie, proszę. Nie chcę, żebyś wychodził. Tak się bałam o Sama. Czułam się zraniona.

Wcale nie myślałam, że dałeś mu narkotyki, ale nie potrafiłam przestać myśleć o tym. - Z wahaniem dotknęła leżących na stole wydruków.

Puściła go. Pellam podszedł do okna wychodzącego na tyły domu i odsunął zasłonę.

- Nigdy nie sprzedawałem tego świństwa - powiedział. - Człowiek, który wtedy zmarł, był moim przyjacielem. Nazywał się Tommy Bernstein.

Meg odparła:

- To był świetny aktor. Widziałam kilka jego filmów. Ale chyba nie ty je reżyserowałeś.

- Nigdy dla mnie nie pracował. Aż do tamtego ostatniego filmu, „Czas środkowoamerykański”. Byliśmy przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi, można powiedzieć.

- Zaśmiał się. - Boże, ależ to dziwnie brzmi. Dorośli faceci mówiący, że są najlepszymi przyjaciółmi. - Znowu głuchy śmiech. - No cóż, pewnie nie zachowywaliśmy się jak dorośli.

- Co się stało?

- Reżyserowałem filmy niezależne - wiesz, Jarmusch, Seidelman, tego typu rzeczy.

Poznałem Tommy'ego tydzień po jego przyjeździe do Hollywood. Masz rację - był świetny.

Ale też bardzo szybko stał się sławny - zbyt szybko. Nie zdążył się na sławę uodpornić. Zbyt łatwo się zniechęcał i potrafił pracować tylko na haju. Wspólnie napisaliśmy scenariusz

„Czasu” - robiliśmy wypadki na pustynię i spędzaliśmy całe dni, pisząc. Tylko ja i on. Miał zagrać główną rolę. To miał być jego pierwszy poważny film. Ale Tommy mógł pracować tylko wtedy, kiedy brał kokę. Chciał jej coraz więcej, a ja mu ją dostarczałem. W dużych ilościach. W końcu przedawkował. Dostał zawału i umarł. Miał trzydzieści jeden lat.

Pellam wpatrywał się w drzwi lodówki, do których przy pomocy magnesów ktoś przyczepił papierowy model samolotu. Na kadłubie widniał napis: „Kocham cię, mamusiu!!!”.

- To wszystko było takie dziwne. Początkowo nic się nie działo. Absolutnie nic.

Zupełnie, jakby to nigdy się nie wydarzyło. Wstawałem rano i szedłem do pracy. Usiłowałem znaleźć nowego aktora do głównej roli, przeglądałem robocze taśmy, sprawdzałem, co można by wykorzystać. A potem wszystko się zawaliło. Łącznie ze mną. Nie mogłem pracować, nic mnie nie obchodziło. Producenci wycofali fundusze na realizację, a ja nie miałem polisy gwarantującej ukończenie filmu - takiego ubezpieczenia od utraty gwiazdy. Straciłem wszystkie swoje oszczędności, dom i cały sprzęt. Odsiedziałem rok za nieumyślne spowodowanie śmierci; mój asystent dostał wyrok w zawieszeniu.

- Przecież to nie była twoja wina.

- Owszem, moja. To ja mu dostarczałem towar. Miałem to nawet wpisane do budżetu jako „wydatki związane z obsadą filmu”.

- Czy to wtedy odeszła od ciebie żona?

Pellam uśmiechnął się.

- Nie, trochę później.

- To było sześć lat temu, Pellam. Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas nikt nie zaproponował ci pracy? Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało brutalnie, ale to przecież nie był koniec świata.

- Zabawne, co dla różnych ludzi może być końcem świata. Na przykład rok w celi w San Quentin. Można i tak to zdefiniować. Wierz mi, że to zdecydowanie kwalifikuje się jako koniec świata.

- Przykro mi, Pellam. - Dotknęła jego ramienia. To był już inny dotyk. Delikatniejszy.

Bardziej intymny.

Pellam zaśmiał się z goryczą.

- Do licha, w Los Angeles pełno było dziennikarzy, którzy gratulowali mi, mówiąc, że to cholernie niezły zabieg promocyjny - wykończyć gwiazdę własnego filmu. W całym kraju nie było gazety, która nie chciałaby o tym napisać. - Umilkł i przez chwilę nasłuchiwał

bulgotania kawy w ekspresie. - Pewnie mógłbym się szybko pozbierać zaraz po wyjściu z pudła. Straciłem sporo kontaktów, ale nie na tym polegał problem. Problemem było to, że zwyczajnie przestało mi zależeć. Straciłem ochotę na reżyserowanie filmów. Dlatego zająłem się wyszukiwaniem plenerów...

- Nie wiem, co powiedzieć.

Odsunął się od niej.

- To przejściowa sytuacja. Kiedyś się to zmieni.

- Musisz na to uważać - powiedziała.

- Na co?

- Na to twoje hasło: „To tylko przejściowa sytuacja”. Nawet się nie obejrzysz, jak twoje życie dobiegnie końca - odparła znacząco.

- Lubię wyszukiwać plenery - zaprotestował Pellam.

- A nie sądzisz, że twoja przyczepa to nic innego, jak tylko kryjówka?

- Każdy ma jakąś kryjówkę. Moja akurat ma cztery koła.

- Ale czego ty tak naprawdę tutaj szukasz, Pellam? W Cleary nie będzie kręcony żaden film. Nie interesują cię nasze jesienne liście. Czego zatem chcesz?

Pellam sięgnął do skarpetki i wyciągnął z niej przezroczystą torebkę z narkotykiem, którą niedźwiedziowaty podrzucił mu poprzedniego wieczoru.

Meg patrzyła badawczo to na torebkę, to na twarz Pellama.

- Co to jest?

- Prezent. Prawdopodobnie z tego samego źródła, z którego Sam dostał tamten narkotyk. - Opowiedział jej o nocnym napadzie. - Jeden z nich mi to podrzucił.

- Nie! Dlaczego?

- Żeby Moorhouse miał na mnie paragraf i mógł mnie w ten sposób zmusić do wyjazdu z miasta. - Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie. - Ale to nie Moorhouse za tym stoi, tylko ktoś inny.

- Kto?

- Ktoś, kto nie chciał, żebyśmy kręcili tutaj film. - Popatrzył na nią. - Ktoś, kto ma związek z narkotykami, które zażył Sam. Ktoś, kto zamordował Marty'ego. Właśnie dlatego nadal tu jestem. I dlatego nie wyjadę, dopóki nie dowiem się, kto to jest.

- Coś takiego, tutaj, w Cleary... - Pokręciła głową. - Przecież w tym mieście co drugi samochód ma czerwoną wstążeczkę przyczepioną do wstecznego lusterka.

Pellam zmarszczył brwi.

- Matki przeciwko jeździe po pijanemu - wyjaśniła Meg. - Nawet na torbach w supermarkecie są napisy: „Nie dla narkotyków”.

Pellam otworzył torebkę i powąchał jej zawartość.

- Dlaczego jej nie znaleźli? - spytała.

Bo ją połknąłem. Później, po przeszukaniu, odzyskałem ją wykorzystując pewien powszechnie znany proces biologiczny, w którego szczegóły lepiej nie wnikać w taki piękny poranek.

- Jezu, Pellam. A gdyby pękła? Mógłbyś umrzeć.

- W tej sytuacji nie mogłem pozwolić sobie na oskarżenie o posiadanie narkotyków. -  
Ruchem głowy wskazał leżące na kuchennym stole wydruki.

- Dlaczego po prostu nie spuściłeś jej w toalecie?

- Czasami w aresztach badają skład wody na obecność narkotyków.

Meg uśmiechnęła się rozbawiona.

- Jakoś nie wyobrażam sobie Toma badającego wodę z więziennego kibla.

Pellam roześmiał się.

- Kto wie, jakie ustrojstwa pozamawiał sobie z katalogu miesięcznika

„Małomiasteczkowy gliniarz” i teraz tylko czeka na okazję, żeby wypróbować je w praktyce.

Podszedł do zlewu, otworzył torebkę i patrzył, jak jej zawartość znika w odpływie pod baczynym spojrzaniem uśmiechniętej drewnianej gęsi w berecie.

- Znam takich, którzy płakaliby rzewnymi łzami, widząc, co w tej chwili robię.

Wytrzeł dłonie i podszedł do wysokiego kredensu. Nie znał się w ogóle na antykach.

Stał więc zakłopotany przed wymyślnym meblem.

- Robi wrażenie.

Meg wyjęła z piekarnika świeże bułeczki i postawiła je przed nim na stole. Od razu zjadł dwie. Miały wyraźny posmak drożdży. Domowe pieczywo.

Przez kilka minut popijali kawę w niezręcznym milczeniu. Pellam zjadał już trzecią z kolei bułeczkę.

- To najlepszy komplement - powiedziała i sama zjadła jedną. - Ja od nich nie tyję. To wcale nie próżność z mojej strony. Po prostu stwierdzam fakt.

Pellam przeszedł do holu. Podziwiał tapetę, meble.

Domy...

Wiedział, co Tommy Bernstein powiedziałby o jego własnym mieszkanku w Beverly Glen, na północ od Bulwaru Zachodzącego Słońca. „Cholera, stary, kiedyś jakiś inny dom zwali ci się na łeb. Będziesz miał kłopoty, zobaczysz...” Uważano, że domy stawiane na szczytach kanionów spadają na inne, stojące w dole pod nimi. „Zgniecie cię podczas pierwszego trzęsienia ziemi... Lepiej od razu sprzedaj tę rudę”.

- Na pewno spędzacie tutaj miło święta - zagadnął Meg.

- Święta? - Meg zastanowiła się. - Pewnie tak. Bardzo spokojne. Tylko nasza trójka.

Czasami zapraszamy przyjaciół. Domy takie jak ten są stworzone dla dużych rodzin. Było inaczej, kiedy sama byłam dzieckiem. Wszędzie ktoś się plątał. - Urwała. Po chwili powiedziała: - Muszę ci się do czegoś przyznać.

- Okej.

- Chodzi o tamten wypadek. Kiedy cię potrąciłam... Coś sobie przypominam. To nie był wypadek. Nie chodzi o to, że zrobiłam to celowo. Po prostu bardzo chciałam cię poznać.

Zobaczyłam cię idącego chodnikiem i świadomie zjechałam na bok. Zamierzałam udać, że wpadam w poślizg albo coś w tym stylu i zatrzymać się na poboczu. W ten sposób moglibyśmy nawiązać rozmowę. - Bawiła się swoim pierścieniem z diamentem. Odmiana węgla warta pięć

tysiący dolarów obracała się nerwowo wokół jej pięknego, smukłego palca.

- Dlaczego? - spytał.

- Myślałam, że będziesz mógł załatwić mi rolę w filmie.

- To dlatego odwiedziłaś mnie potem w klinice?

- Nie.

Stał tuż obok niej. Odwróciła się, a ich oczy się spotkały. Na zewnątrz, w oddali rozległo się kilka strzałów ze strzelby. Potem znowu zapanowała cisza.

Meg westchnęła.

- No cóż, może właśnie dlatego.

Nachylił się i pocałował ją. Po prostu.

- Nie - powiedziała. Ale była to jedyna forma protestu z jej strony. Objęła go ramionami i pocałowała, przyciągając mocniej do siebie.

Po czym nagle odsunęła się.

- Nie - powtórzyła. Tym razem mówiła sama do siebie i w przeciwieństwie do niego była zdeterminowana posłuchać tego rozkazu.

Wróciła do kuchni, stanęła przy oknie i zaczęła mimowolnie przecierać zlew.

Pellam dawno już przestał przeproszać za impulsywne zachowania. Teraz też poszedł za nią, wziął ze stołu kubek i dolał sobie kawy.

- Problem w tym... - Nie patrzyła na niego. Stała z wzrokiem utkwionym za oknem. -

...że mam romans.

Odstawił kubek.

Brawo, Pellam. Masz do tego talent, jak nikt inny. Lecisz na kobietę, w której życiu jest już dwóch innych facetów, podczas gdy sam chowasz się po krzakach przed naćpaną hipiską (a w domu czeka na ciebie chuda jak patyk, bezwstydną hollywoodzka biznesmenka, do której ciągle nie masz czasu zadzwonić).

Wiedział, że Meg zbiera myśli. Nadszedł czas na zwierzenia. Pora zrzucić ciężar z prześlicznej piegowatej piersi. Pellam usiadł. To może trochę potrwać. Wiedział, że niewierne żony i kiepscy reżyserzy filmowi mają tę samą wadę: lubią się gęsto tłumaczyć.

- Kto to jest?

- Pewien mężczyzna z naszego miasta.

- I nikt się jeszcze nie zorientował?

- Jesteśmy ostrożni aż do bólu. Widzisz, Keith jest wspaniałym człowiekiem.

Słownym, solidnym. Uwielbia Sama. Nigdy nie podniósł na mnie głosu. Troszczy się o nas.

Utrzymuje rodzinę. Ale czy jest między nami jakaś magia? Nie. Czy jednak w małżeństwie powinno się odczuwać magię?

- Słyszałem kiedyś takie powiedzenie: każdy związek jest jak ognisko. Przez parę miesięcy płonie pełnym płomieniem, przez rok tli się żarem, a potem zostaje już tylko popiół.

- Jest nam razem... wygodnie.

- Wygoda jest ważna.

- Ale ja chcę czegoś więcej, Pellam. A przynajmniej wydawało mi się, że chcę czegoś więcej. Ale ta cała historia z Samem i narkotykami... Strasznie się przeraziłam. To mną wstrząsnęło. Wczorajszej nocy nawet na chwilę nie zmrużyłam oka.

- Sam już się dobrze czuje, prawda?

- O, tak, nic mu nie będzie. Po prostu nagle poczułam się taka bezbronna. Jakby szukająca czegoś... - Zerknęła na niego. - ...jakiegoś ognia. To, że Sam zachorował, wydało mi się jakąś karą za to, co zrobiłam.

- Kochasz go? Tamtego faceta?

Chwila milczenia.

- Sądziłam, że tak. Ale chyba go nie kocham.

- A Keitha?

- Wiem, że kocham Sama i mój dom. I wydaje mi się, że kocham Keitha. Jestem zmęczona tym romanssem. Chyba nie powinnam ci tego wszystkiego mówić, co? - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nagle wydała mu się bardzo młoda.

- Pellam uśmiechnął się. - Mów, co tylko chcesz. Jestem dobrym słuchaczem.

- Keith jest taki mądry. On nie... Nie chodzi o to, że przez niego czuję się głupia, nie robi tego celowo. Ale faktem jest, że czuję się głupia.

- Dlaczego tak mówisz?

- Po prostu nie jestem, no wiesz, inteligentna.

- A co to oznacza? - spytał Pellam. - Że nie potrafisz liczyć w pamięci? Albo recytować z marszu całej tablicy Mendelejewa?

- Keith próbuje opowiadać mi o swojej firmie, ale ja tego po prostu nie pojmuję.

Staram się, ale...

- Meg, on jest chemikiem. Dlaczego miałabyś się nagle orientować w chemii?

- W polityce też się nie orientuję. I mało czytam. Staram się, ale to mnie zwyczajnie przerasta.

- To są zwykłe ogólniki. Co takiego cię przerasta?

Za ich plecami coś wystrzeliło i błysnęło. Meg podskoczyła, po czym wybuchnęła śmiechem. Przepaliła się żarówka w jednym z kuchennych kinkietów. Meg zdjęła osłonkę, podmuchała na żarówkę, żeby ją schłodzić, a następnie wykręciła.

- Kiedy byłam mała, bałam się światła. Czy to nie dziwne? Większość dzieci boi się ciemności. A ja nienawidziłam światła. W moim pokoju nie było drzwi i przez całą noc wpadało do środka jaskrawe, sine światło gołych żarówek w salonie. Nie mogłam przez nie zasnąć. Nawet kiedy już podrosłam i matka powiesiła w drzwiach prześcieradło, światło nadal wpadało do pokoju. A wiesz, dlaczego tak go nie znosiłam? Dlatego że kiedy moi rodzice się kłócili, ich głosy zdawały się wypływać z tego światła. Chowałam się wtedy pod kołdrę.

Matka myślała, że boję się duchów albo coś w tym rodzaju, podczas gdy ja bałam się światła.

Nadal się tak czuję. Przed światłem trudno jest uciec. - Meg wymieniła żarówkę. - I mam wrażenie, że ty jesteś ciemnością... - Zaśmiała się. - To wszystko na pewno nie ma sensu.

Na samym początku, kiedy Pellam zaczął pracować jako dokumentalista, często zastanawiał się, dlaczego zawsze się tak dzieje. Dlaczego ludzie tyle mu o sobie opowiadają, dlaczego odsłaniają przed nim swoje sekrety i głęboko skrywane namiętności. Księża nie słyszą zwykle połowy rzeczy, które słyszał Pellam. Później zrozumiał, że nie chodzi tu o jego umiejętność słuchania, a raczej o to, że nie stanowił zagrożenia. Ludzie obnażali przed nim duszę, a on znikał z ich życia po tygodniu albo dwóch. A wraz z nim znikwały ich tajemnice.

- Wiedziałam, że nie miałeś nic wspólnego z tamtymi narkotykami - zapewniła go. -

Naprawdę...

A jednak słowa przychodziły jej z trudem. Kobiety były zwykle lepsze od mężczyzn, jeśli chodzi

o przeprosiny, ale nie Meg.

- Co teraz zamierzasz? - zapytał.

- Przeszanę się z nim spotykać. Z moim kochankiem.

- Tego właśnie chcesz?

- To właśnie muszę zrobić... - Spojrzała na zegarek. - Pellam, czy mogę cię prosić o pewną przysługę?

Nie łudził się, że będzie to miało cokolwiek wspólnego z piegami na jej piersiach ani w żadnym innym miejscu jej ciała. Zdążył już z tego zrezygnować. Odparł:

- Jasne.

- Keith przez cały dzień będzie w pracy. Ale Sam niedługo wróci. Mógłbyś z nami zostać? Czy może masz inne plany?

- Nic ważnego.

- Mógłbyś? Zjedlibyśmy razem niedzielny obiad. A potem może postrzelałbyś trochę z Samem. Ma dwudziestkę dwójkę i małą śrutówkę kaliber 0,410, którą dostał od nas w ubiegłym roku.

- Z przyjemnością.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Nagle uśmiechnęła się jak bezczelna nastolatka. Znowu popatrzyła na zegarek.

- Odbieram Sama dopiero za godzinę. I jest coś, co moglibyśmy przez ten czas zrobić - tylko ty i ja, we dwoje.

- Do czego to niby miało prowadzić?

- Wzięła go za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Grabić liście.

- Poważnie?

Wyprowadziła go przed dom.

- Pewnie. Chodź, będzie fajnie.

- Od dwudziestu lat nie grabiłem liści. W Los Angeles nie ma liści. A nawet gdyby były, to i tak bym ich nie grabił.

Z początku się opierał. Ale stała przed nim, piękna kobieta, z którą łączyły go wspólne tajemnice. Powiedział więc:

- No dobra.

Przystanął na tylnej werandzie. Ogarnął spojrzeniem cztery, pięć akrów kolorowych liści. Meg rzuciła mu grabie.

Przyglądał się im przez chwilę, po czym rzekł:

- Nie wiem tylko, jak to coś działa.

Błysk światła zwrócił uwagę zastępcy szeryfa.

Zjechał radiowozem na pobocze i zaparkował w przedpołudniowym cieniu klonu cukrowego, którego pień znaczyły ślady po ubiegłorocznych zbiorach syropu. Wysiadł z samochodu, wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne o fioletowo zabarwionych szklach i ruszył przed siebie, przedzierając się przez wysoką trawę i krzewy forsycji. Spędził całe życie w Cleary oraz jego okolicach i znał lokalne zwyczaje - wiedział, gdzie kto bywał i o jakiej porze można było go tam spotkać, a o jakiej na pewno nie.



Na przykład miejscem, w którym nie należało się spodziewać widoku zaparkowanego samochodu, było właśnie to pole przed nim w niedzielny poranek.

Przeszedł przez pozostałości niskiego, kamiennego murku i szedł wzdłuż rzędu klonów, aż znalazł się na wąskiej drodze gruntowej prowadzącej do lasu. Zatrzymał się mniej więcej w jej połowie.

Samochód stał dokładnie na środku drogi. Zastępca szeryfa przystanął jakieś dwadzieścia metrów przed nim i przyjrzał mu się uważnie. Tani nissan. Biały. Nowojorskie tablice rejestracyjne, na zderzaku naklejka drużyny Cleary Tigers. Policjant zatrzymał się nie po to, żeby odnotować te wszystkie szczegóły. Zatrzymał się, ponieważ nie chciał zobaczyć, co znajduje się wewnątrz samochodu.

Pomyślał, że chyba już wie, co się stało. Dwoje licealistów spędziło ostatnie godziny swojego życia na przytulankach, by później usnąć i udusić się we śnie spalinami z uszkodzonej rury wydechowej. To był jedyny powód, dla którego ktoś mógł tutaj zaparkować w sobotni wieczór i jedyny powód, dla którego samochód nadal by tutaj był.

Zastępca szeryfa wziął głęboki oddech, żeby uspokoić bijące w popłochu serce i podszedł bliżej. Dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo się pomylił. Istniał jeszcze jeden powód, dla którego samochód mógł zostać porzucony na środku pustej drogi. Taki, że jego kierowca został zamordowany.

Chłopak został trzykrotnie postrzelony w klatkę piersiową z broni małego kalibru. Na jego twarzy malował się spokój, a na ciele prawie nie było śladów krwi. Co oznaczało, że umarł niemal od razu. Twarz chłopaka przyciśnięta była do okna od strony pasażera i odwrócona od zastępcy szeryfa, a dłoń zaciskała się na klamce. Nie widać było żadnych zasinień spowodowanych przez odpływ krwi do niżej położonych części ciała. To zaś znaczyło, że śmierć nastąpiła niedawno.

Cholera. Zastępcy szeryfa ścisnęło się serce. Obszedł samochód dookoła i spojrzał w twarz ofiary. Rozpoznał Neda Harpera. Licealistę, gracza w futbol i jeśli dobrze pamiętał, zapaśnika lokalnej ligi. Przypomniał sobie, że widział kiedyś w mieście ojca Neda prowadzącego białego nissana. Zdziwił się, że rodzice nie zgłosili dotąd jego zaginięcia.

Może kiedy twój syn jest osiemnastoletnim graczem w futbol, godzisz się z tym, że spędza noce poza domem i zaczynasz się niepokoić dopiero po dniu albo dwóch jego nieobecności.

Córeczka zastępcy szeryfa miała dopiero dwa latka, a on bez przerwy się o nią martwił. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby kiedyś miało się to zmienić.

Kto mógłby zrobić coś takiego?

Może chłopak zabrał jakiegoś autostopowicza, który okazał się zbiegłym więźniem z Sing Sing z pobliskiego Ossining. Ale czy wtedy morderca zostawiłby samochód? Może to był wypadek. Chłopak polował z kolegą, broń wypaliła i ten drugi spanikował. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Na pewno nie. Nie w przypadku, gdy na ciele ofiary widać trzy osobne rany.

Zrobił nieduże kółko, szukając widocznych śladów, wiedział jednak, że poszukiwaniami zajmie się szeryf i wezwie jeszcze posiłki z hrabstwa. Po chwili zrozumiał, że celowo zwleka, odsuwając od siebie moment, kiedy będzie musiał zatelefonować na posterunek i zgłosić morderstwo.

Promień słońca odbił się od przedniej szyby wozu, z głębi wilgotnego lasu odezwał się gołąb. Zastępca szeryfa wrócił wolno do radiowozu, modląc się w duchu o to, żeby to nie jemu przypadł w udziale obowiązek zawiadomienia rodziców chłopca.

O wpół do piątej Pellam przypomniał sobie o Janine.

- O cholera.

Sam spojrział na niego. Pewnie pomyślał, że źle skierował lufę swojej jednostrzałowej łamanej strzelby albo zapomniał o którejś z zasad bezpiecznego obchodzenia się z bronią, które Pellam bez przerwy wbijał mu do głowy.

Od paru godzin strzelali do celu ze śrutówek. Od czasu do czasu Pellam podrzucał w górę pustą puszkę albo dwie, a Sam, spocony z wysiłku, składał się do strzału. Pellam widział

determinację malującą się na twarzy chłopca. Raz zdawało mu się, że słyszy, jak Sam mamrocze coś pod nosem, pociągając za spust. Brzmiało to jak: „Ned”. Pellam spytał go, czy coś mówił, ale chłopiec pokręcił tylko głową i poprosił:

- Może pan podrzucić jeszcze raz?

- Musimy kończyć, synu - odezwał się teraz Pellam. - Mam coś do załatwienia w mieście.

Już w kuchni Sam zawołał:

- Mamo, szkoda, że mnie nie widziałaś.

- Widziałam. Obserwowałam was przez okno.

- Jak mi poszło, panie Pellam?

- Dobrze, naprawdę dobrze - pochwalił go Pellam. - Musisz jeszcze wyczyścić broń, Sam. Ale ja muszę teraz skoczyć do miasta. Zrobimy to razem po moim powrocie. - Zerknął

na Meg. Musiało być coś w jego słowach, bo... Do diabła, czyżby się właśnie zaczerwienił?

Patrząc na jej kokieteryjny uśmiech, poprosił:

- Mogłabyś podrzucić mnie do miasta? Wrócę własnym samochodem.

- Poczekajcie - zawołał Sam głosem jeszcze wyższym niż zazwyczaj. - Czy ja też mogę pojechać?

Meg uśmiechnęła się słodko:

- A ja?

- Lepiej nie.

Przez chwilę trzymała go w niepewności, po czym powiedziała:

- Czyli masz w mieście innych znajomych. Ludzi, których nie znam.

- To nie powinno potrwać dłużej niż kwadrans.

Meg uśmiechnęła się niewinnie.

- Kwadrans? Szybki jesteś.

- Rzucił jej błagalne spojrzenie.

- W tym momencie zadzwonił telefon.

Nie spuszczając wzroku z Pellama, Meg odwróciła się powoli i podeszła do aparatu.

- Witaj, skarbie... O, nie. Znowu? Co? Jakie problemy?

- Cześć, tatusiu! - zapiszczał Sam, podskakując do słuchawki. - Przestrzeliłem ze sto puszek...

Meg drgnęła i gestem kazała mu się odsunąć.

- Szykuję pieczeń. Nie zdążysz? - Westchnęła. - Okej, w porządku. Zostawimy coś dla ciebie.

Kocham cię.

- Cześć, tato!

Zwracając się do Pellama, wyjaśniła: - Keith utknął w fabryce. Będzie pracował do późna. W niedzielę, wyobrażasz to sobie? Powiedział, że wróci o jedenastej... A zatem zjemy a trois.

Sam skrzywił się.

- Co to takiego, mamuś? Brzmi paskudnie.

- To znaczy, że będzie nas troje na obiedzie.

- O, a ja myślałem, że znowu ugotowałaś coś dziwnego. - Zwracając się do Pellama, dodał: -

Mama robi czasami strasznie dziwne rzeczy. Śliskie i...

- Sam.

- ...i w takich ohydnych kolorach.

- Wystarczy, młody człowieku.

- A ten przecier jabłkowy mamy... - Ruszył w stronę drzwi wyjściowych. - ...to najpierw jest taki brązowawy. Potem zielenieje.

- Sam... - zaczęła łagodnie Meg.

Pellam przypomniał jej.

- To co, podwiesz mnie?

- Chodźmy.

Pellam krzyknął do Sama:

- Pamiętaj, żebyś nie czyścił broni, dopóki nie wrócę.

- Tak jest! A na koniec to on robi się siny. Fuj...

Meg zatrzymała się przecnicę od miejsca, gdzie stał zaparkowany jego wóz kempingowy.

Odwróciła się, żeby coś powiedzieć, ale Pellam ją ubiegł:

- Ty nie będziesz nic mówić o dzieciach-kwiatach, ja nie powiem słowa o twoim przecierze jabłkowym.

Wybuchnęła śmiechem.

- Do zobaczenia. - W tym momencie mógłby ją pocałować. Ale zamiast tego wygramolił się sztywno z jej ciasnego samochodziku - ciągle był obolały - i ruszył szybkim krokiem w stronę przyczepy. Wewnątrz paliło się światło. Otworzył drzwi. Zobaczył Janine, siedzącą nieruchomo ze spuszczoną głową.

Gdy wszedł do środka, zwróciła ku niemu twarz.

- Ty draniu.

- Przepraszam. Wczorajszej nocy wpakowałem się w kłopoty i...

- Ty draniu. - Janine nie miała wcale na myśli jego spóźnienia, lecz scenariusz filmu

„Zasnąć w płytkim grobie”. Segregator był otwarty, a ona przeczytała już ponad połowę.

Zamknął drzwi.

- Ta postać, którą dodałeś, to ja. Prawda? Pellam wolno usiadł.

- Częściowo wzorowałem ją na tobie. Ale tylko częściowo. Wcale tak o tobie nie myślę ani cię taką nie widzę. To fikcja. Scenariusz filmowy, nic więcej. W znacznej mierze stanowi wytwór mojej wyobraźni.

Pochyliła głowę i przeczytała na głos:

- „Żyjesz marzeniami, których nie da się wytłumaczyć przeszłością...”. „Przeszłość jest odległa i to sprawia, że tak bezpiecznie się w niej czujesz...” „Era Wodnika już dawno minęła...” Janice. Chryste, Pellam, mogłeś się chociaż bardziej postarać, jeśli chodzi o zmianę imienia.

- Ja wcale...

- Tak, ty! - Rzuciła segregatorem o ścianę. Zapięcie puściło i kartki posypały się na podłogę. - To ty żyjesz marzeniami, nie ja. Zjawiasz się w naszym życiu - nikt cię nie zapraszał do Cleary -

przyjeżdżasz do miasta, przywożąc tutaj tę swoją fantazję, obiecując ludziom, że wkręcisz ich do filmu, obiecując, że ich stąd zabierzesz...

- Nigdy niczego takiego nie mówiłem.

Znowu zaczęła płakać. Włosy przyklejały jej się do policzków. Odgarnęła je ze złością.

- Nic nie musiałeś mówić. Czego się u diabła spodziewałeś? Co mieliśmy sobie pomyśleć? Zjawiasz się tutaj, ze swoją przyczepą i aparatem, myszkujesz po mieście, zagadujesz ludzi, zapoznajesz się z nimi... Niektórych poznajesz nawet bardzo dobrze. Nie rozumiesz, jaką masz nad nimi władzę. Nie rozumiesz, jak zdesperowani bywają ludzie.

Rozpaczliwie chcą się wyrwać z takich miejsc jak Cleary. I co takiego robią? Obnażają przed tobą duszę, a ty ich zdradzasz. I dlaczego? W imię czego? Jakie słowo jest dla ciebie święte, Pellam? Sztuka? Robisz to w imię sztuki? Kina? Pieniądzy? Jak usprawiedliwisz to, że kradniesz czyjeś życie i robisz z niego film?

Wstał i spróbował ją objąć. Odtrąciła jego rękę.

- Nie możesz tak po prostu wejść w czyjeś życie, zabrać z niego, co ci się spodoba i sobie odejść.

- Przepraszam.

Podniosła się. Podeszła do drzwi i przystanąła. Jakby na coś czekała. Żadne z nich nie wiedziało, co powinno teraz nastąpić.

- Myślałam... - powiedziała Janine i umilkła. Wyszła na zewnątrz i delikatnie zamknęła za sobą metalowe drzwi.

Pellam westchnął. Podniósł z podłogi segregator i zaczął zbierać rozsypane kartki, jedną po drugiej.

Jadąc w dół Main Street, Pellam minął sklep spożywczy. Zatrzymał się, kupił butelkę chardonnay i wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się po ulicy za Janine. Nigdzie jej nie było. Co by jej zresztą powiedział, gdyby ją zobaczył? Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Zwrócił uwagę na jadący ulicą samochód, jakiś amerykański GT, na oko dziesięcioletni, z wysoko uniesionym tyłem. Minął go z rykiem silnika i zwolnił. Kierowca zatrzymał się przed Cedar Tap i zmusił jeszcze silnik do zmysłowego warknięcia, zanim przekręcił kluczyk w stacyjce. Wysiadł i wszedł do baru. Pellam podszedł do samochodu i zajrzał przez szybę do środka.

Następnie wrócił do swojego wozu, zapalił i wolno wyjechał z miasta. Opuścił w dół szyby po obu stronach i poczuł, jak chłodne powietrze wypełnia kabinę kierowcy...

Pędzi właśnie przed siebie szybkim, sportowym wozem. To porsche. Niemiecki samochód, bo w Los Angeles nie wypada mieć innego. Ale to nie wszystko. Trzeba też zapomnieć o tym, że niemiecki samochód jest absolutną koniecznością i zachowywać się tak, jakby się było pierwszym człowiekiem na Zachodnim Wybrzeżu, który wpadł na pomysł, żeby taki sobie sprawić. Porsche Pellama jest czarne. Prowadzi je ostro, z namiętnością kogoś, kto kocha szybką jazdę, choć już niekoniecznie całą tę maszynę, dzięki której wóz osiąga zawrotne prędkości. Za każdym razem, gdy ktoś zauważa: „Cholera, ci Niemcy robią naprawdę dobre samochody”, Pellam sprawia wrażenie zaskoczonego, jakby osoba ta odkryła właśnie jego najpilniej strzeżony sekret. Jadą na pustynię, on i Tommy Bernstein.

- Thomaso - woła Pellam, przekrzykując szum powietrza. - Zaraz zgubisz kapelusz.

I tak też się dzieje; mężczyzna zbyt późno sięga, żeby przytrzymać swój sztywny, kowbojski kapelusz o lekko wygiętym rondzie. Warte trzysta dolarów nakrycie głowy znika w wirze powietrza

za samochodem pędzącym z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Cholera, Pellam, zawracaj!

Pellam wydaje tylko głośny okrzyk radości i jeszcze mocniej dociska pedał gazu.

Tommy zdaje się nie mieć mu tego za złe. Tak jakby zatrzymanie teraz małego, czarnego samochodu było czymś niewłaściwym. Obaj mają poczucie pośpiechu, jakiejś misji.

Tommy wykrzykuje coś o kapeluszu i nielegalnych imigrantach. Pellam kiwa głową.

Słońce wisi nad nimi niczym rozpalona do czerwoności fajerka. Gorący wiatr przyprawia ich o ból uszu.

Za sobą zostawili Los Angeles. Przed nimi rozciąga się bezkresna pustynia.

John, daj mi coś! - woła Tommy. Powtarza to dwa razy, zanim Pellam go usłyszy i cztery razy, zanim zdecyduje się odpowiedzieć.

Błagam! - Jękliwe zawodzenie, które wiatr unosi i które natychmiast przepada w oddali.

Pellam rzuca mu od dołu solniczkę. Wiatr zaburza trajektorię lotu, ale Tommy chwyta ją niezgrabnie, rozpaczliwie wymachując rękoma.

- To nie jest śmieszne.

- W ten sposób ćwiczysz refleks. Tommy usiłuje się zaciągnąć.

- Za szybko jedziemy. Nie mogę...

Pellam wciska jednocześnie sprzęgło i hamulec. Samochód wpada w poślizg i zarzuca tyłem. Zwalniają do stu i Tommy może wreszcie wciągnąć trochę koki. Unosi do góry kciuk.

Pellam przyspiesza i odmawia, gdy Tommy go częstuje.

Pellam ma tego dnia filozoficzny nastrój. Woła:

- Myślisz, że pustynia to czysty minimalizm? Bzdura. Wcale nie. Jest cholernie skomplikowana. Zupełnie jak ten, no, kryształ. Albo jak wtedy, gdy barwy rozdzielają się pod mikroskopem. Pamiętasz te filmy popularnonaukowe, które pokazywali nam w liceum?

- Tak - odkrzykuje Tommy. - O gonadach, nasieniu i komórkach jajowych. - Szczerzy zęby w nieprzyzwoitym uśmiechu nastolatka, którego uwielbia odgrywać, chociaż widać, że zastanawia się nad słowami Pellama. Ze wszystkich sił usiłuje coś mądrego wymyślić. Pellam żałuje teraz, że w ogóle się odzywał.

Tommy cierpi na chroniczny brak pewności siebie. Jako aktor został wyróżniony nagrodą krytyków filmowych z Los Angeles i odebrał też statuetkę w Cannes, po czym złowił go pewien producent z dużej wytwórni. Od tej pory fantastycznie zarabia, ale filmy kręci gorzej niż kiepskie. Jego ostatni obraz, jak napisał pewien krytyk, nie zasługuje nawet na tytuł „szmiry”. Dlatego teraz Tommy przy każdej okazji usiłuje się zrehabilitować. - Nie staraj się tak bardzo - powtarza mu Pellam. - To miasto nie kocha desperatów.

Ale nawet tę radę Tommy traktuje jak koło ratunkowe.

Pellam prowadzi w milczeniu. Po półgodzinie zauważa wąską drogę odchodzącą w bok z autostrady i wiodącą w stronę wielkiego kamienia, sterczącego pośród piasku i niskich zarośli. Wykonuje szybki skręt kierownicą, samochód wpada w poślizg i zatrzymuje się w miejscu, którego nie widać z głównej drogi.

Wysiadają, przeciągają się, sikają na kamienie.

Tommy pyta:

- Wziąłeś ze sobą licznik Geigera?

- Do czego miałby się nam przydać?

- Przez pieprzone wojsko. Testują tutaj swoje bomby atomowe.

- Pomyliło ci się z Nowym Meksykiem.

- Skąd, do cholery - protestuje Tommy. - Pociski dalekiego zasięgu rozwalają tu owce i znikają.

Boję się. - Rozgląda się ostrożnie wokół siebie.

Pellam mówi:

- Tutaj nie ma owiec.

- A nie mówiłem? Bo wszystkie nie żyją. Posiekane jak kotlety. Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Nasze dzieci będą świecić w ciemnościach.

- Bierzmy się lepiej do roboty, hombre.

Wyładowują z samochodu dwa ciężkie worki na śmieci pobrząkujące szkłem. Pellam przeciąga je w pobliże wielkiego głazu. Nie ma tam zbyt wiele cienia, ale będzie, za godzinę albo dwie. Tommy, wkurzony teraz z powodu kapelusza, wciera balsam do opalania w twarz i skórę głowy pokrytej przeredzonymi włosami, a potem wyciąga z wozu dużą przenośną lodówkę. Stawia ją na piasku obok głazu. Wraca i mocując się, usiłuje wydostać dwa leżaki z tego, co udaje tylne siedzenie samochodu.

- Niemiecka bryka, psiakrew - mamrocze. Sam jeździ chevroletem impala.

Pellam wyjmuje z zielonych toreb na śmieci puste butelki po piwie i ustawia je starannie na niewysokim wale z ziemi i piasku jakieś dziesięć metrów od miejsca, w którym Tommy rozkłada leżaki. Ten ocenia swoje dzieło, po czym otwiera parasol plażowy we wzór z ananasów i wtyka go w ziemię pomiędzy leżakami.

Pellam kończy ustawiać butelki. Woła do Tommy'ego:

- Ile mamy stron?

Tommy kartkuje maszynopis w plastikowych okładkach.

- Sto siedemnaście.

- Potrzebujemy jeszcze jednej.

Tommy wyciąga butelkę z lodówki, podważa kapsel otwieraczem i wypija jej zawartość. Następnie rzuca już pustą Pellamowi, który umieszcza ją na końcu szeregu.

Sto siedemnaście butelek.

Siadają na leżakach, twarzą do butelek. Tommy wciąga kolejną działkę z solniczki.

Mówi:

- Czy możesz mi podać pythona?

Pellam wyjmuje dwa rewolwery z dużej, sfatygowanej teczki dyplomatki. Sam zatrzymuje rugera kaliber 0,44, a Tommy'emu podaje colta. Na ziemi między leżakami ustawia żółto-zielone opakowania z nabojami.

Biorą do rąk egzemplarze scenariusza. Na tytułowej stronie widnieje: „Czas środkowoamerykański autorstwa Johna Pellama i Tom-my'ego Bernsteina”.

Zaczynają czytać na głos i korygować tekst. Poprawiają się nawzajem, zmieniają dialogi, spierają się. Pellam jest cichszy i bardziej ponury, Tommy dla odmiany bardziej hałaśliwy. Pokrzykuje, wstaje i chodzi wkoło, znowu siada.

Kiedy dochodzą do jedenastej strony - końca pierwszej sceny - wtykają watę do uszu, ładują broń i oddając w sumie piętnaście strzałów, unicestwiają pierwszych jedenaście butelek. Jedna na każdą stronę. Taką mają zasadę.

Tommy obraca magazynek colta, mówiąc:

- Pamiętasz tę scenę - w czym to było? W jakimś starym filmie o dżungli? Kiedy Stewart Granger celuje w głowę Debory Kerr? Ona jest przerażona, nie wie, o co mu chodzi.

Wtedy - bum! On rozwała boa dusiciela, który się za nią zaczął. Zawsze chciałem odegrać tę scenę. Może siądziesz tam przy skałach, Pellam? W tych skałach na pewno są jakieś węże.

- Do diabła z węzami - odpowiada Pellam i wyciąga butelkę piwa z lodówki. - Zawsze chciałem ustrzelić sobie aktora!

Tego wieczoru pracują do jedenastej, a potem rozwalają ostatnie trzy butelki w świetle przednich reflektorów małego niemieckiego autka i przy wtórze jego strzelającej rury wydechowej. Trzęsą się z zimna i każdy z nich dziesięć razy pudłuje, zanim uda im się w końcu trafić ostatnią połyskującą butelkę.

- Ten cholerny film robi z nas gwiazdy, Pellam! - woła Tommy. - Będziemy na samym szczycie!  
- Po czym opróżnia magazynek, celując w nocne niebo...

W domu panowała niczym niezmacona cisza.

Meg miała trochę wolnego czasu do powrotu Pellama. Wzięła swój kubek z kawą i weszła po schodach na górę. Tam przystanęła, usiadła na podeście i przez dłuższy czas patrzyła na hol oraz te fragmenty gabinetu i salonu, które było stamtąd widać. Drewniana podłoga, meble. Dom wydawał jej się inny, obcy. Nie poznawała go. W jej odczuciu było coś nieprzyjemnego; tak jak wtedy, gdy naszą uwagę przyciąga znajomy przedmiot - klamka, krzesło albo nasz własny mały palec - który nagle wydaje nam się absurdalny i całkiem obcy.

Przecież to był jej dom, dom, który zawsze kochała. Jej, Keitha i Sama. Tyle tylko, że coś się zmieniło.

Poszła do sypialni i wyszukała inne ubranie. Włosy związała w kucyk. Znieruchomiła na chwilę z dłońmi uniesionymi w górę, trzymając wstążkę nad karkiem.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Meg zbiegła pędem po schodach, tak jak robił to zawsze Sam w bożonarodzeniowy poranek.

Jednym szarpnięciem otworzyła ciężkie drzwi wejściowe. Wcześniej przygotowała sobie w myślach kąśliwą uwagę na temat Janine i Pellama i właśnie zamierzała ją wygłosić.

Zamiast tego zamrugła powiekami, zaskoczona.

Na progu oparty o futrynę stał Wexell Ambler i uśmiechał się nieśmiało.

- Akurat tędy przejeżdżałem. Zobaczyłem twój samochód na podjeździe. Cougara nie było. Pomyślałem, że nie mogę z tym czekać do jutra.

Meg instynktownie obejrzała się za siebie, chcąc upewnić się, że są sami. Potem popatrzyła ponad ramieniem Amblera.

- Mamusiu, czy to pan Pellam? - zawołał Sam. Nie była pewna, czy Ambler to usłyszał. Wyglądało na to, że nie.

- Nie, skarbie. Wyjdę na chwilę na zewnątrz - odkrzyknęła. Z dłonią na kłamce poinformowała Amblera:

- Keith jest w pracy.

Chcę z tobą porozmawiać. Muszę z tobą porozmawiać.

Spodziewam się gościa.

Ambler nie zareagował. Rozważała, czy powinna mu powiedzieć, kim jest ten gość, gdyby ją o to zapytał. Ale nie zapytał.

Odparł tylko:

- To nie potrwa długo. - Powiedział to jednak wolno i znacząco, jakby chciał, żeby ich rozmowa trwała cały wieczór.

Znowu spojrzała za siebie, na schody i piętro, gdzie był pokój Sama, a następnie wyszła na ganek i przymknęła drzwi, tak aby zamek się nie zatrzasnął.

Pocałował ją w policzek, a ona oddała mu pocałunek, chociaż musiałby być pijany lub szalony, żeby nie wyczuć w jej geście wahania.

- Musiałem cię zobaczyć.

- Czy wszystko w porządku?

- Popatrzył na nią zdziwiony. - Okej, rozumiem. Powinienem był spytać, jak się miewa Sam. Nie zadzwoniłaś, żeby mi powiedzieć, jak się czuje.

- Dobrze. Nic mu nie będzie.

- Wspaniały z niego chłopak - zauważył Ambler.

Przeszli na drugą stronę ganku i stanęli przy poręczy, spoglądając na wilgotny trawnik błyszczący w delikatnej poświacie padającej z okien domu.

- O co chodzi, Wex?

- O moją propozycję. O to, czy za mnie wyjdiesz.

Odwróciła się do niego. Był twardym człowiekiem. I chyba również niebezpiecznym, pomyślała. Weźmy choćby tego jego ochroniarza Marka. Zwyczajny oprych. Albo to, że lubił, kiedy była bezradna, wręcz zastraszone, kiedy się kochali (Meg Torrens uważała, że seks to okno do duszy człowieka). Właściwie nigdy dotąd mu się nie sprzeciwiła i teraz zastanawiała się, czym mogłoby to grozić. Poczła chłód dotkliwszy od tego w powietrzu.

Co powinna mu odpowiedzieć?

Nagle przypomniał jej się tekst z jednego z filmów Pellama. Bohater musi zdecydować, czy oddać przyjaciela w ręce policji. Mówi więc do żony: „Najważniejsze decyzje podejmujemy zawsze sercem”.

Pozwoliła, aby i tym razem jej serce zadecydowało.

- Wex... - Odwróciła wzrok, skupiając spojrzenie na cienkim jak paznokiec rąbku księżyca, widocznym ponad ciemnym skupiskiem drzew. - Nie mogę się już z tobą spotykać.

Była ciekawa, czy jej słowa okażą się dla niego całkowitym zaskoczeniem. Czy wolno skinie głową i po prostu odejdzie? A może wpadnie we wściekłość? Naprawdę nie wiedziała.

Przez chwilę milczał, a ona słyszała tylko jego oddech, głęboki jak zawsze, gdy leżeli razem w łóżku.

Napięcie wypełniło jej ciało i zmieniło ją w kamień.

- Zamierzałaś spotkać się ze mną wczoraj, żeby mi to powiedzieć? - spytał. - A może chciałaś, żebym sam się domyślił.

Zawahała się i po raz pierwszy, od kiedy zaczęli się widywać, skłamała:

- Nie, wybierałam się do ciebie.

Spojrzała w tył przez ramię na dom i podjazd, po czym dotknęła jego ramienia. Cały drżał. Z gniewu? Z żalu? Z zimna?

Czy teraz mnie uderzy?

Mówiła dalej:

- Przykro mi, Wex. Każda minuta, jaką spędziliśmy razem, była cudowna, ale... -

Ostrożnie dobierała słowa, wiedziała jednak, że nie wie, jakich słów powinna użyć, aby



najlepiej wyrazić swoje myśli. - Ale nadeszła pora, aby to zakończyć.

- Jak możesz tak mówić? - wybuchnął.

- Tak uważam.

- Co się stało?

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Nic. Po prostu taka jest kolej rzeczy. Szukałam czegoś. I...

- Wracasz do Keitha?

- Nie wiem.

- Zakochałaś się w tamtym facecie, Pellamie. Mam rację?

Jej wahanie musiało dla niego trwać całe wieki, chociaż Meg była pewna, że zastanawiała się nie dłużej niż sekundę.

- Nie, to nie tak.

Ambler odsunął się od niej.

- To on, prawda?

- Nie.

- Wiedziałem - odparł z goryczą. - Od chwili, kiedy usłyszałaś, że będą kręcić w mieście film, wiedziałem, że za nim pójdziesz. Czego się spodziewałaś? Że porwie cię do Hollywood i zrobi z ciebie gwiazdę?

- Wex, daj spokój...

- Już nie pamiętasz? Leżeliśmy w łóżku...

- Ciii! - Uniosła w górę dłoń, żeby go uciszyć.

- ...tego samego dnia, kiedy oni zjawili się w mieście, w tej przeklętej przyczepie. Nie mówiłaś wtedy o niczym innym, jak tylko o tym filmie. I o tym, jak bardzo chciałybyś w nim zagrać.

- Może tak było. Chcę wreszcie odnieść jakiś sukces. Dlaczego tak trudno ci to zrozumieć?

- Meg, nie możesz tak po prostu zacząć kariery w Hollywood. To...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Czy on cię przeleciał? - Ambler podniósł głos.

- Zamilcz! - Odwróciła się na pięcie, stając z nim twarzą w twarz. - Nie możesz zjawiać się ni stąd, ni zowąd w moim domu i tak się do mnie zwracać!

Chwyił ją za ramię. Wzdrygnęła się. Po chwili zdołał się opanować. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Jej spojrzenie było utkwione poza nim, w miejscu, gdzie lada moment mógł pojawić się prostokąt jasnego światła padającego przez gwałtownie otwarte drzwi, świadczący o tym, że Sam postanowił poszukać jej na zewnątrz.

- Kocham cię, Meg. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Chcę być z tobą. Będę z tobą.

- Wex, to nigdy nie było w porządku. Nie tutaj, nie w Cleary. To miejsce nie nadaje się do romansów. Teraz widzę, że źle zrobiliśmy.

- W twoich ustach to brzmi tak tandetnie. A to wszystko nie było przecież tandetne. -

Jego szept ciął jak nóż.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Niczego nie żałuję, po prostu...

Patrzył na nią przez chwilę, po czym nagle puścił jej ramię. Odwrócił się i zszedł po schodach.

Wraz z jego odejściem Meg poczuła pustkę. Zbyt wiele spraw pozostało nierozwiązanych. Wex Ambler był jej jedynym kochankiem. Czy wszystkie romanse tak się właśnie kończyły? Czy zawsze było więcej znaków zapytania i niedomówień niż wykrzykników? Oparła się o poręcz i patrzyła, jak

idzie - ani razu nie oglądając się za siebie -

i wsiada do swojego cadillaca.

Włączył silnik i wolno ruszył. Po chwili zobaczyła zapalające się światła stopu, gdy zatrzymał się, żeby przepuścić skręcający na jej podjazd wóz kempingowy. Potem Wex Ambler gwałtownie wcisnął pedał gazu i jego samochód rozplynął się w ciemnościach nocy.

Czekają, żebym zmówił modlitwę przed posiłkiem, pomyślał.

Meg i Sam przyglądali mu się z wyrazem oczekiwania na twarzach. Pellam odchrząknął. Przed nim, na świątecznie nakrytym stole, stał półmisek z pieczenia cielecą, którą spokojnie pożywiłoby się tylu mężczyzn, ilu potrzeba by do zagrabienia w pół godziny sześciu akrów liści z posiadłości Torrensów. Do tego wielka misa fasoli i druga z sałatą. Na jeszcze jednym półmisku piętrzyła się sterta placków ziemniaczanych. On i Meg pili białe wino; Sam dostał szklanek mleka.

Na pewno na to czekali. Na modlitwę. Co powinien teraz zrobić?

Rozsiedli się wygodnie na krzesłach, świece płonęły, a ich oczy były zwrócone na niego. Sekundy płynęły wolno. Matka i syn spojrzeli na siebie.

Pellam zsunął w dół podwinięte rękawy i zapiął mankiety, żeby zyskać na czasie. Meg odezwała się: -

No więc?

- Ostatni raz robiłem to ze dwadzieścia lat temu. Nie wiem, czy sobie poradzę.

Zmarszczyła brwi.

- Dwadzieścia lat temu?

- Wiesz, nie odmawiam modlitw w przyczepie.

Meg wybuchnęła śmiechem i śmiała się tak bardzo, aż wino w jej kieliszku zakołysało się i jasny płyn spłynął jej po palcach.

- Pellam... Nie o to chodzi. Czekamy, aż pokroisz pieczeń.

- Och. - Zakrył twarz rękoma i roześmiał się. Sam zawołał: - Ja mogę zmówić modlitwę, panie Pellam. To idzie tak: „Zęby, język i żołądek, zaraz zrobią z tym porządek!

Amen”.

Pellam wziął do ręki nóż i widelec do krojenia mięsa i zabrał się do roboty.

Pierwszych kilka plastrów pokruszyło się.

- Czy mogę przynajmniej pomodlić się o pomoc przy krojeniu?

Siedzieli już dobrą godzinę przy stole, gdy naszło go dziwne uczucie. Uczucie, którego nie potrafił nazwać. Stało się to, gdy śmiał się z jednego z dowcipów Sama - tego samego, który Pellam opowiadał do znudzenia trzydzieści lat temu - i spojrzął na Meg. Ich oczy się spotkały i przez krótką, magiczną chwilę nie istniał żaden film, żadna wytwórnia filmowa, przyczepa ani Keith, jedynie wszechświat złożony z nich trojga siedzących przy tym stole.

Pomyślał, że to takie komfortowe i naturalne i w tym samym momencie czar prysł, a on poczuł niepokój.

Zerknął na swoją potężną porcję ciasta z jagodami. Meg zbyła jego protesty, mówiąc:

- Jedz, Pellam, jesteś za chudy.

Zjadł więc dwa kawałki.

Po skończonym deserze Pellam pomógł Meg sprzątnąć ze stołu.

Sam zagadnął go:

- Panie Pellam, czy jutro nauczy mnie pan strzelać ze swojego rewolweru?

- A co to za rewolwer? - chciała wiedzieć Meg. Pellam opowiedział jej o swoim colcie.

Meg zawahała się.

- Nie przepadam za krótką bronią. Ale... - Spojrzała na syna. - Masz we wszystkim słuchać pana Pellama. Jakby trzeba mu było o tym przypominać.

- Ale fajnie! - pisnął chłopiec.

- W następnej kolejności nauczysz go grać w pokera - zażartowała Meg.

Pellam roześmiał się.

Spędzili potem pewien czas we dwoje, popijając kawę w salonie. Dziwne uczucie nie opuszczało Pellama. Nie potrafił powiedzieć, czy chciałby zostać, czy wyjść. Jedno wiedział na pewno - że chce stąd zniknąć przed powrotem Keitha.

Zadzwoił telefon. Meg poszła odebrać i po chwili wróciła. Nie powiedziała, kto dzwonił. Ale teraz i ona sprawiała wrażenie zakłopotanej.

Co ja tu u diabła robię? - zapytał siebie w duchu. Ona jest mężatką, ma kochankę... Nie potrzebujesz takich komplikacji. Podniósł się. - Lepiej już pójdę.

- Jesteś pewien?

Wcale nie był pewien. Mimo to odparł:

- Tak będzie lepiej. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- W niedzielę wieczorem?

Przytaknął. Potem zapytał:

- Mogę cię o coś prosić?

- Jasne.

- Masz może butelkę whisky, którą mógłbym pożyczyć?

- Pożyczyć?

- No dobrze. Którą mogłabyś mi podarować.

- Kieliszeczek na dobranoc?

- To nieco bardziej skomplikowana sprawa.

- Nie ma problemu - uśmiechnęła się zaciekawiona. Sięgnęła w głąb szafki i wydobyła z niej pół butelki Wild Turkey.

- To najtańsze, co masz? - Pellam wziął od niej butelkę.

- Niestety. Posłuchaj, czyżbyś zamierzał nauczyć moje dziecko strzelać, grać w karty oraz pić?

Pellam zważył butelkę w dłoni i uściskał Meg na pożegnanie.

- Jeszcze raz dziękuję. Wyżerka, że palce lizać. Do jutra.

- No proszę, wnuk słynnego rewolwerowca - wykrzyknął Fred i krzywiąc swoją czerwoną, starczą twarz przyjrzał się uważnie sińcom i zadrapaniom Pellama. - Do diabła, co ci się stało? - Zamówił dwa Budweisery.

- Miałem wypadek.

- Znowu?

Pellam wzruszył ramionami.

- Cóż, czasami miewam pecha. Co zrobić...

- Bez żartów. Nic ci nie jest? - Staruszek wyglądał na szczerze zatroskanego.

- Nie, wszystko gra.

- Ostatnio różne rzeczy dzieją się tutaj w weekendy. Wszystko przez tych turystów.

Czyżbyś wszedł w kadr komuś, kto robił akurat zdjęcie liścia? No, a może partyjkę?

- Nie dzisiaj, Fred.

- Co ja słyszę? I podobno nie będziecie tu kręcić filmu?

- Pogadaj o tym z waszą radą miejską.

- Banda starych skurczybyków. Cholera, a tak liczyłem na to, że zrobię karierę w Hollywood...

- Wiesz, gdzie znajduje Nicka? - spytał Pellam.

- Tego dzieciaka, z którym graliśmy wtedy w karty? - Fred kręcił głową. - Był tu przed paroma minutami. Może jest na zapleczu. Mają tam coś, co nazywają restauracją.

Pellam dopił piwo i uniósł butelkę w geście podziękowania.

- Pamiętaj, Pellam - gdyby Burt Reynolds był akurat zajęty, od razu dzwoń do mnie.

Pellam znalazł Nicka na zapleczu, siedzącego przy stole z innym chłopakiem - chuderlawym, długowłosym i kilka lat od niego młodszym; mógł mieć około osiemnastu lat.

Przed Nickiem stał talerz zupy, a on nachylał się nad nim, wciągając do ust wymykający mu się makaron.

- Siemasz, Nick. - Pellam przysunął sobie krzesło.

Nick powitał go machnięciem dłoni i wrócił do swojej zupy. Wyglądała na taką z puszek Campbella. Czego innego można by się spodziewać w Cedar Tap? Po chwili odezwał się:

- To jest Rebo. A to Pellam, ten gość, o którym ci mówiłem. Robi filmy.

Oczy Rebo rozszerzyły się z wrażenia. Uśmiechnął się szeroko.

- Rany, prawdziwy filmowiec. - Podali sobie ręce.

- Jak leci? - spytał Pellam.

- Jakoś.

Pellam odwrócił się do Nicka:

- Posłuchaj, Nick. Wpadłem, bo moja wytwórnia szuka kogoś takiego jak ty.

- Tak? - Wielkolud pociągnął kilka łyków zupy. - To ten film jednak będzie?

Słyszałem, że nie.

- Chodzi o inny film. Jeśli dobrze pamiętam, kręcą cię szybkie wózki.

- W pewnym sensie.

- Potrzebują kierowcy do scen kaskaderskich. Ale musi być naprawdę dobry.

- Rebo, który przeżuwał dotąd solidny kęs hamburgera, ożywił się.

- O, Nick jest dobry. To rewelacyjny kierowca. - Rebo miał na sobie koszulkę upamiętniającą trasę koncertową zespołu Motley Crie z 1987 roku.

- Jesteś zainteresowany?

Tłuste policzki chłopaka rozciągnęły się w uśmiechu.

- Chyba tak.

- Jest tylko jedna sprawa. Mógłbyś pokazać mi, co potrafisz? Taki mały casting.

- No chyba.

- Może teraz?

- Ale jest niedziela wieczór...

- Potrzebują kogoś na szybko. Na najbliższy weekend. Jeżeli nikogo nie znajdę, trzeba będzie ściągnąć jakiegoś kaskadera z Wybrzeża. - Pellam zdecydował się zarzucić ostateczną przynętę:

- Twoje nazwisko znajdzie się w końcowych napisach filmu.

- W napisach?

- Poza tym nieźle płacą. Tysiąc dolców za jeden numer.

Oczy Rebo zrobiły się jeszcze większe.

- Stary, to może opowiedz mu o swojej bryce.

- No...

Fan Motley Cruie uprzedził go rozgorączkowany:

- To pontiac GT. Nick sam zamontował w nim silnik z chevroleta 442.

Uśmiech ponownie rozpromienił twarz Nicka.

- I dołożyłem podrasowaną skrzynię biegów - dodał. - Własnymi rękoma.

Pellam zagwizdał.

- Widać, że znasz się na rzeczy. To jak będzie?

Nick wzruszył ramionami.

- Chodźmy.

Rebo poderwał się z miejsca, ale Pellam pokręcił głową.

- Tylko ja i on. Mogą być problemy z ubezpieczeniem, sam rozumiesz.

Rebo przytaknął i opadł z powrotem na krzesło, jakby sam Duane Allman [16 kazał](#) mu usiąść.

Wyszli na zewnątrz. Pellam rozejrzył się.

Ulice Cleary były opustoszałe. Powiedział:

- Zapomniałem czegoś. - Na minutę zniknął w przyczepie, po czym wyłonił się, trzymając w ręku butelkę whisky. Podał ją Nickowi.

Chłopak spojrział i pokręcił głową.

- Może później, stary. To kiepski pomysł, skoro mamy jeszcze przygazować.

Podeszli do czarnego pontiaca Nicka.

Przygazować. Zupełnie jakby robił to etatowo.

Pellam odkręcił butelkę. Nick przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie pijesz, kiedy siadasz za kółkiem? - spytał Pellam. - Dziwne, bo tamtej nocy piłeś.

Wyczułem od ciebie alkohol. Przebijał nawet przez twoją wodę po goleniu. „Brut”, prawda?

Oczy chłopaka zmętniały, a na wargi powrócił uśmiech.

- O czym ty gadasz, do cholery?

Pellam ruchem głowy wskazał jego samochód.

16 Duane Allman (1946-1971) - amerykański gitarzysta zespołu Allman Brothers Band, drugi

gitarzysta w historii rocka.

- Dziś po południu zwróciłem uwagę na dźwięk twojego silnika. Wydawało mi się, że brzmi znajomo. Potem zająrzałem do środka i wyczułem tę samą tandetną wodę kolońską.

Matka nie nauczyła cię, czego używać, co?

- He?

No, a co u twojego koleśka ze złamanym nosem? Mam nadzieję, że boli go jak diabli.

- Oszalałeś? - Nick odwrócił się do niego; minę miał poważną niczym przedsiębiorca pogrzebowy.

- Wiem, zaraz mi powiesz, że tak prywatnie to do mnie nic nie masz.

- Coś pleciesz... - Ale oczy go zdradziły. Nick umilkł, po czym przyznał: - Nieźle mi przyładowałeś. - Dotknął ostrożnie żuchwy. - Przez tydzień nie będę mógł niczego gryźć. A język mam tak obolały jak sutek dziwki... I nie doniosłeś na mnie Moorhouse'owi?

- A co by to dało? Nic by wam nie zrobił.

- Fakt.

- Czyli to on za tym stał?

- Za czym?

- To on dał wam kasę, żebyście mnie pobili i podrzucili narkotyki?

- Nie wiem, o czym...

- Colt pojawił się z nienacka, wycelowany prosto w brzuch chłopaka.

- Kurde - szepnął Nick. - O słodki Jezu. Stary...

- Kto ci zapłacił... - Pellam urwał w pół zdania. Nagle poczuł ciekawość. - Ile za mnie dostaliście?

- Sto dolców.

- Tylko tyle? Pieprzysz.

- Nie, stary, mówię prawdę. Przysięgam.

- Pellam poczuł się urażony. - Powinniście zażądać więcej. A teraz gadaj, kto to był.

- Nie mieliśmy nic do ciebie. Słyszeliśmy, że...

- Kto? - syknął z wściekłością Pellam i odbezpieczył broń, modląc się w duchu, żeby kciuk nie drgnął mu na spuście. Chłopak był gruby, ale nawet cały jego tłuszcz nie wyhamowałby przecież takiego pocisku.

Nick wyciągnął dłonie przed siebie obronnym gestem.

- Okej. W porządku. Słuchaj, ja zaraz...

- Zadałem ci pytanie - warknął Pellam.

- ...wszystko powiem. Zabierz tylko ten...

- Kto to był?

- Pan Ambler. Wexell Ambler. Chociaż tak naprawdę zapłacił ten jego ochroniarz -

Mark, nie pamiętam nazwiska, przysięgam. No więc ten Mark dogadał się z burmistrzem Moorhousem. Chcieli, żebyśmy cię trochę z kolegą sponiewierali.

- Gdzie on mieszka? Ten Ambler?

Pellam szturchnął Nicka rewolwerem w klatkę piersiową. Dobry sposób, żeby szybko otrzymać precyzyjne informacje. Nick w ułamku sekundy przeistoczył się w chodzący atlas drogowy.

- Przy Barlow Mountain Road. Kawałek na północ od trasy numer dziewięć. Trzeba minąć stację Shella, przejechać ze dwieście metrów i skręcić w lewo. Mówię ci całą prawdę.

Ja nie miałem nic przeciwko tobie.

- W takim razie co on ma przeciwko mnie?

- Nie wiem, przysięgam na Boga. Błagam cię, nie celuj już tak we mnie...

Pellam skierował lufę colta do ziemi i zwolnił kurek do połowy, a następnie wolno obrócił magazynek w taki sposób, aby pusta komora znalazła się naprzeciwko zamka; dopiero wtedy zwolnił go do końca. Trzymając w prawej dłoni rewolwer, lewą podał Nickowi butelkę whisky.

- Napij się.

Nickowi trząśnięcie głosem, kiedy odpowiedział:

- Nie chcę.

- Ale my obaj chcemy, żebyś to zrobił. - Pellam znowu w niego wycelował.

- No nie, proszę, zlituj się...

- Pij.

- Nick pociągnął łyk alkoholu.

- No, dalej, jeszcze trochę. Pij jak mężczyzna. Bijesz się jak baba, to chociaż pij jak na faceta przystało.

- Pieprzę cię, Pellam - wydyszał tamten.

- Już próbowałeś. Nie wyszło. Pij.

- Kiedy chłopak wypił pięć czy sześć solidnych łyków, Pellam odebrał mu butelkę i wrzucił ją, odkręconą, do samochodu.

- Kurde, dlaczego to zrobiłeś?

- Już ci mówię. Postanowiłem wyrównać rachunki. Jesteś ode mnie trochę większy, ale też w tej chwili nieco mniej trzeźwy. Teraz pojedziemy za miasto, a ja skopię ci tyłek. Jeden na jednego.

- Ale ty masz rewolwer.

- Zostawię go w samochodzie. Wyjedź na autostradę i kieruj się w stronę rezerwatu.

Będę ci siedział na ogonie. Nie próbuj żadnych sztuczek. Będę celował w opony, ale przez przypadek mogę trafić w bak.

- Ty draniu - wymamrotał chłopak, wsiadając do samochodu. Potężny silnik pontiaca ryknął, gdy Nick wcisnął pedał gazu.

Wyjechali z centrum, Winnebago tuż za GT.

Wyszło nawet lepiej, niż Pellam to sobie zaplanował. Gdy tylko ujechali trzy kilometry za miastem i zatrzymali się na światłach, Nick zrobił dokładnie to, czego Pellam się po nim spodziewał: rozejrzał się na boki, czy nic nie nadjeżdża, gwałtownie puścił sprzęgło i przeciął skrzyżowanie na czerwonym świetle, błyskawicznie zmieniając biegi swojej podrasowanej skrzyni, która wydawała przy tym dźwięki piły mechanicznej.

Pewnie właśnie wrzucał czwórkę, kiedy policjant ze stanowej drogówki, którego Pellam już wcześniej wypatrzył schowanego w krzakach z radarem, wolno wyjechał na drogę.

Niewiele brakowało, a Nick zahaczyłby o maskę radiowozu i pociągnąłby go za sobą.

Pellam minął ich potem powoli, obserwując scenę aresztowania. Nick miał ręce skute kajdankami, a policjant właśnie spisywał wyniki badania alkomatem.

Zaraz potem przejechał obok tablicy z napisem „Witamy w Cleary”. Zewsząd otoczyły go ciemności.

- Dobranoc, panie władzo.

- Dobranoc panu...

Pellam zjechał z Barlow Mountain Road i skręcił wolno w zarośniętą boczną drogę wiodącą na wzgórze, które, jak przypuszczał, nosiło dumną nazwę Barlow Mountain. Ukrył

samochód w zaroślach cykuty i wyłączył silnik. Wyciągnął spod siedzenia colta, wsunął go za pasek spodni i wysiadł z wozu. Podeszwy jego butów trzeszczały, gdy szedł asfaltową drogą w stronę ciepłych, żółtych świateł domostwa pobłyskujących we mgle jakieś pół kilometra przed nim.

Kiedy znalazł się w odległości około stu metrów od domu, zszedł z drogi i zanurzył się w porastające jej brzegi zarośla. Znalazł się w rzadkim lesie. Wokół unosił się zapach wilgotnego igliwia i zwiędłych liści. Od czasu do czasu jego nozdrza wyłapywały ostrą woń skunksa. Po prawej stronie zauważył światła odbijające się w tafli jeziora. Jakaś spóźniona, samotna cykada wygrywała swoją fałszywie radosną melodyjkę; gdzieś w oddali zaszczekał

pies. Pellam zbliżył się szybko do domu, starając się omijać suche gałęzie.

Monstrualnych rozmiarów budynek liczył sobie co najmniej ze dwieście lat. Był

ponury, pomalowany na brzydki brąz i równie szykowny co Plymouth Rock [17. Pellam](#)

usłyszał plusk wody i tym razem wyraźnie ujrzał jezioro przylegające z prawej strony do terenu posiadłości. Znowu rozległo się szczekanie psa i poniosło się po wodzie. Oprócz tego nie słyhać było żadnego innego dźwięku ani ruchu, nawet wiatr ustał. Dom był cichy, a światła wewnątrz przyćmione. Pellam zastanawiał się, czy mieszkańcy zostawili je zapalone na czas swojej nieobecności, żeby odstraszyć potencjalnych intruzów, których najścia Ambler miał wszelkie powody się obawiać. Na przykład policji stanowej.

Pomyślał o narkotykach, które podrzucono Marty'emu i jemu samemu oraz o heroinie, którą zażył Sam. Przypomniawszy sobie, że Meg albo ktoś inny wspominał mu o innych przypadkach przedawkowania i morderstwach, jakie miały miejsce w okolicy Ten Ambler mógł być odpowiedzialny za nie wszystkie.

Ukląkł w trawie i poczuł, jak dzinsy nasiąkają mu chłodną rosą. Po upływie pięciu minut, podczas których nie dostrzegł nigdzie żadnego ruchu, podbiegł schylony do stojącego osobno garażu - piętrowego, drewnianego budyneczku ze spadzistym dachem i zajrzał przez okno. W środku stał tylko jeden samochód, cadillac. Jakieś trzy metry na lewo od cadillaca dostrzegł na betonie plamę oleju, co świadczyło o tym, że Ambler miał dwa samochody.

Rodzinny wypad do miasta na niedzielną kolację? Najprawdopodobniej. Lecz mimo to, podchodząc pod dom, Pellam nadal trzymał się w cieniu, a potem wolno, bardzo wolno zbliżył się do rzędu okien na parterze. Uniósł głowę i szybko zajrzał przez jedno z nich.

Zobaczył nieduże pomieszczenie zastawione ciężkawymi, malowanymi meblami, ozdobione wieńcami suchych kwiatów i prymitywnymi, kolonialnymi obrazkami przedstawiającymi koszmarne dzieci i czarno odziane niewiasty; wszystkie przedmioty robiły wrażenie sztywnych, kanciastych i niewygodnych.

Nigdzie nie dostrzegł żadnego ruchu.

Zwrócił uwagę na to, że większość okien nie była zamknięta.

Trzeci z kolei pokój okazał się tym, którego szukał.

Pod ścianami pokrytymi ciemną boazerią znajdowały się dwie ogromne, przeszklone gabloty na broń. Pod niskim sufitem wisiało parę trofeów myśliwskich - kilka poroży antylop i jeden wieniec jelenia. Zajmowały one jednak tylko jedną ścianę, jak gdyby myśliwemu znudziło się eksponowanie jego zdobyczy. Mrużąc oczy, Pellam wypatrzył w gablotach kilkanaście karabinów. Kilka z nich wyglądało na kaliber 0,30 cala, a co najmniej dwa miały celowniki optyczne.



17 Kamień upamiętniający przybycie pierwszych osadników do Ameryki w 1620 r Pellam wyciągnął ręce do okna i spróbował lekko je unieść. Nie było zamknięte. Przez chwilę stał całkiem nieruchomo, z twarzą tuż przy elewacji pokrytej gładką, kosztowną farbą.

Potem podważył ostrożnie framugę okna, a ta wolno uniosła się do góry. Powstała szpara szerokości około pół metra. Przyszło mu do głowy, że nie będzie tak łatwo wdrapać się na parapet - zwłaszcza z posiniaczonym udem i obolałymi stawami.

W tym samym momencie spojrzał do środka i zauważył, że coś jest nie w porządku.

Co się zmieniło na tym obrazku?

Druga gablotka na broń. Trzecia półka od lewej.

Pusta.

Natychmiast pomyślał: gdyby ktoś tak zorganizowany jak Ambler - a za takiego go uważał - nie posiadał wystarczającej liczby karabinów i strzelb, żeby wypełnić nimi gablotę, wówczas z pewnością przechowywałyby posiadaną broń na stojaku. A to oznaczało, że...

- Nie ruszaj się - odezwał się męski głos.

Pellam mimowolnie drgnął, chociaż dotyk zimnej lufy na skroni błyskawicznie zmusił go do opanowania.

Głos należał do mężczyzny w średnim wieku. Zapytał:

- Masz broń?

- Tak.

- To oddaj mi ją.

Jeśli nawet colt zrobił na nim wrażenie, mężczyzna nic nie powiedział. Wsunął rewolwer do kieszeni i wciskając lufę remingtona - niczym kociak głowę - w zagłębienie pod brodą Pellama, powiedział:

- Wejźmy do środka.

Pellam kołysał się wolno w bujanym fotelu z giętego drewna, o którego zajęcie poproszono go uprzejmie przy pomocy wielkiego obrzyna (Pellam nienawidził obrzynów.

Robiły strasznie dużo hałasu).

Mężczyzna, który - sądząc po niewyraźnej prezentacji - był Wexem Amblerem, przyglądał mu się uważnie. Pellam również go obserwował. Zwrócił uwagę na niezwykle kontrast: przepełnione nienawiścią ciemne oczy w połączeniu z niedzielnym strojem w sam raz do pracy w ogrodzie, dobrej marki; do tego jaskrawozielona, również markowa koszula.

- Co tutaj robisz? - spytał Ambler.

- Myślałem o nakręceniu tutaj filmu. Chciałem...

- Wiesz, że mógłbym cię w tej chwili zastrzelić. Mógłbym rozwalić ci łeb, a jedyną rzeczą, jaką usłyszałbym od szeryfa, byłyby wyrazy współczucia z powodu rozbitego okna i zakrwawionej podłogi.

Pellam dojrzał w oczach Amblera martwą pustkę i już wiedział, że ten człowiek bez wahania pociągnie za spust.

Powiedział więc:

- Chciałem się przekonać, jak wygląda człowiek, który usiłował posłać mnie na dziesięć lat za kratki.

Ambler odparł:

- Nie chciałem, żebyś poszedł do więzienia, tylko wyjechał z miasta. Wyniósł się stąd do wszystkich diabłów i nigdy nie wracał.

- Mogłeś mnie zwyczajnie poprosić.

- Proszono was. Kilka razy... No tak. Żegnamy...

Oczy Amblera rozbłysły.

- Wy tam... Mieszkamy w przyzwoitym mieście, a wam się wydaje, że możecie przyjeżdżać tu z Hollywood, kręcić te swoje filmy i naśmiewać się z nas. Kpicie z nas za naszymi plecami. Nienawidzę was.

Pellam autentycznie się śmiał.

- No nie, co za bzdury. Przyjechałem tutaj wynająć na parę tygodni kilka domów i sklepów. To wszystko. Tymczasem mój przyjaciel ginie, ja zostaję pobity i ktoś podrzuca mi narkotyki...

Ambler kręcił głową, oganiając się od jego słów jak od natrętnych komarów.

Pellam ocenił dzielącą ich odległość i zauważył, że broń nie jest odbezpieczona, palec Amblera nie dotyka kurka, a lufa jest skierowana jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stopni w bok. Na sąsiednim blacie dostrzegł komplet sztućców do krojenia mięsa: wypolerowane rękojeści z rogu jelenia, dobrze naostrzony nóż. Nawet widelec wyglądał groźnie.

- To wasze miasto grzechu - rzucił Ambler.

Pellam zakołysał się do przodu. Mięśnie jego nóg napięły się; pomyślał, że prawdopodobnie mu się uda. Zastanawiał się, jakie to uczucie ugodzić kogoś nożem.

- To tylko praca - zauważył.

Ambler jakby w ogóle go nie słyszał.

- Tutejsi mieszkańcy chodzą do kościoła, mają dzieci, wpajają im chrześcijańskie zasady, ciężko

pracują... I zbijają miliony na handlu narkotykami, pomyślał Pellam. - ...nie potrzebne im tu zewnętrzne wpływy tego rodzaju.

Zewnętrzne wpływy. A więc mieli wspólny scenariusz. Moorhouse, Ambler i szeryf, wszyscy korzystali z tego samego scenariusza, w którym dialogi były po prostu fatalne.

Oczywiście wszyscy w tym siedzą. Ten tutaj, właściciel domu wartego dziesięć milionów dolarów, był najprawdopodobniej przywódcą. To on zorganizował transport narkotyków z jakiegoś innego kraju. A potem rozprowadzał je w takich miasteczkach jak to. Bezpieczny rynek. Moorhouse, szeryf Tom oraz zastępcy szeryfa w pastelowych okularach przeciwsłonecznych byli jego pomagierami od czarnej roboty.

Ambler kontynuował swoje kazanie. Mówił o grzechu, przeznaczeniu i złamanym obietnicach. Jego słowa stały w sprzeczności z tym, co zrobił. Zabił Marty'ego. Poza tym zalewał bogobojne hrabstwo Dutchess County egzotycznymi narkotykami (z drugiej strony, Pellam pamiętał dawnego znajomego - blok E, zachodnie skrzydło w San Quentin w Kalifornii - który codziennie chodził do kościoła).

Ambler mówił nieprzerwanie, jak nawiedzony uliczny prorok. Był wściekły. W kącikach jego ust zbierała się ślina. Lufa broni unosiła się i opadała niczym statek kołysany falami.

Pellam nie przywiązywał jednak większej wagi do manii prześladowczej Amblera ani do czystości moralnej Dutchess County.

Myślał o nożu do krojenia mięsa.

Jego stopy znieruchomiały pod zmysłowo wygiętym fotelem. Wcisnął piętę w płytki podłogowe. Nóż, nóż, nóż. Czuł, jak w jego łydkach narasta napięcie, a mięśnie zmieniają się w sprężyny z hartowanej stali. Nóż...

Nie odrywał spokojnego wzroku od Amblera i patrzył mu prosto w oczy. W bójkę był to sygnał do ataku. Patrząc w oczy przeciwnika, można było stwierdzić, kiedy ten zamierza sięgnąć po broń. Nauczył się tego od innego znajomego (blok D, północne skrzydło).

Spojrzenie Pellama było nieruchomo utkwione w twarzy Amblera.

Zakołysał się. Do przodu, do tyłu i znowu do przodu. Wraz z fotelem przemieszczał się jego środek ciężkości.

Nóż.

Do biegu.

Do diabła, takie strzelby robią okropny hałas. Gotowi.

I krew na podłodze? Nie, proszę pana, krew byłaby też na suficie, na ścianach, na tym bajeranckim granitowym blacie... Start.

Wtedy Ambler zapytał ostrym głosem:

- Co takiego jej obiecałeś?

Pellam zamarł; przestał się kołysać.

- Komu?

Rozgorączkowane spojrzenie Amblera pomknęło na chwilę do okna, za którym przejeżdżał jakiś samochód. Minął dom i pojechał dalej.

Pellam odchylił się do tyłu. Drżenie jego nóg ustało. Takie obrzyny nie tyle strzelają, co roznoszą wszystko w drobny mak.

Ambler podjął przerwana myśl.

- Powiedziałeś, że zrobisz z niej gwiazdę?

- O kim ty mówisz?

- Powiedziała ci, że była modelką, prawda? - mówił Ambler. - A ty obiecałeś, że pomożesz jej wkroczyć z powrotem do branży. Obiecałeś, że zabierzesz ją ze sobą do Kalifornii. „Zostaw to zadupie, zostaw swojego syna” - tak jej mówiłeś? A potem ją uwiodłeś, mam rację? Obiecałeś jej pracę, a potem ją przeleciałeś.

- Ja nic...

- Jest dla ciebie tylko kolejną zabawką, prawda?

Pierwszą jego myślą było: Janine. Ale po chwili zapytał z wahaniem:

- Meg?

- Ambler skinął głową.

- On? To on jest tym facetem?

- Meg, daj spokój... Ten gość?

Ambler mruknął sarkastycznie:

- O, na pewno była w dobrych rękach... Jezu. Dałeś Samowi heroinę, czy co to właściwie było, przez co o mało nie umarł...

Zaskoczenie Pellama musiało wydać mu się autentyczne, bo urwał w pół zdania.

- To nie ja dałem Samowi to gówno.

Ambler zmarszczył brwi. Wreszcie powiedział:

- Ale uwiodłeś ją, tak?

- Do niczego między nami nie doszło. Dużo rozmawialiśmy. Zjedliśmy razem obiad.

Ambler przyglądał mu się przez chwilę wzrokiem kochanka oceniającego potencjalnego rywala. Widział każde drgnienie powieki, chwycił się każdej sylaby.

Pellam dodał:

- To zniewalająca kobieta.

- Za dobra dla ciebie - odparł Ambler.

- Z tym się akurat zgodzę.

- Kocham ją - rzucił tamten.

- To dlatego to zrobiłeś? - zapytał go Pellam. - Dlatego kazałeś mnie zrobić? Bo myślałeś, że ci ją odbiorę?

- Tak! A teraz ty przychodzisz tutaj, żeby mi grozić. Chcesz zabronić mi się z nią spotykać...

Pellam przerwał mu:

- Nawet nie wiedziałem, że się ze sobą spotykacie.

- W takim razie co tutaj robisz?

Pellam przyjrzał się twarzy Amblera - uważnie, badawczo. Tommy Bernstein powiedział kiedyś, że czasami człowiek musi odważyć się na skok. Mówił to w znaczeniu filozoficznym, mamrocząc coś o skoku na głęboką wodę, chociaż był wówczas pijany i gotów skoczyć z drugiego piętra swojego domu w Beverly Hills do basenu, w którym niejedną raz działo się podobno coś absolutnie skandalicznego.

Odpowiedział:

- Coś ci pokażę.

- Co?

- Sięgnę teraz do kieszeni, dobrze? Chcę ci tylko coś pokazać. Wsunął dłoń do kieszeni i zaraz

wyciągnął, trzymając w niej dwie łuski po nabojach.

- Co to jest?

Łuski po nabojach, od których zginął mój przyjaciel. Ktokolwiek to zrobił, jest tą samą osobą, która handluje narkotykami - również tymi, które wziął Sam. Do tej pory zakładałem, że jest to także ta sama osoba, która zleciła tym gnojkom pobicie mnie.

Myślałeś, że to ja? - Na twarzy Amblera odmalowało się przerażenie. Pellam zakołysał się wolno do przodu, odpychając się stopami. Całkiem już zapomniał o nożu. Ambler dodał: - Przecież jestem chrześcijaninem.

Pellam roześmiał się.

- No wiesz, zniszczyłeś nasz samochód, nie? Podrzuciłeś narkotyki do wozu Marty'ego, a potem zadzwoniłeś do szeryfa i powiedziałeś, że nimi handlował. Tak było, prawda?

Ambler milczał przez chwilę.

- Tego dnia, kiedy ty i twój przyjaciel zjawiliście się w mieście, byłem z Meg.

Strasznie się ekscytowała waszym przyjazdem. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem.

Wbiła sobie do głowy, że zagra w filmie. Tylko o tym wtedy mówiła. Bałem się, że ją stracę, jeśli zaczniecie tutaj kręcić. Najpierw będzie próbowała dostać rolę w waszym filmie, potem wyjedzie do Hollywood. Rzeczywiście kazałem komuś podrzucić narkotyki do wozu. I zadzwoniłem też później na policję. Ale nie zleciłem zabójstwa Marty'ego. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

- To ty kazałeś zaorać miejsce wypadku?

- Kiedy to się stało - kiedy samochód wyleciał w powietrze - byłem przerażony, że mnie o to oskarżą. Dlatego kazałem Moorhouse'owi zaorać teren, żeby pozbyć się wszelkich śladów.

- A Sillman? Ten z wypożyczalni samochodów.

- Mój człowiek z nim pogadał. Ustaliliśmy, że zaproponujemy rodzinie Marty'ego pieniądze. Dużo pieniędzy. To miało wyglądać na wypłatę odszkodowania.

- I to ty kazałeś tym dwóm osiłkom złożyć mi wizytę? Porachować mi kości?

Ambler przytaknął.

- Bo bardzo chciałem się ciebie pozbyć. Ona bez przerwy o tobie mówiła. Ciągle mówiła o filmach. Traciłem ją. Byłem zdesperowany. - Popatrzył w dół na swoje dłonie, przyjrzał się długim palcom. A potem przełamał strzelbę i odłożył ją na blat. Wtedy podniósł

łuski po nabojach. - Winchester kaliber 0,300. Ale jakieś dziwne.

- To magnum.

- Nie pasują do żadnego z moich karabinów. - Popatrzył na Pellama. - Chcesz sprawdzić?

Pellam zerknął na strzelbę, którą Ambler mógł w każdej chwili chwycić, załadować i z hukiem zrobić z niego miazgę, zanim zdołałby sięgnąć po nóż. Odparł:

- Wierzę ci na słowo.

Ambler oddał mu obie łuski.

- Są dziwnie zaokrąglone.

- Używa się ich do strzelania z naprawdę dużych odległości.

- Jaka broń ma takie naboje? - zastanowił się Ambler.

- Na przykład beretta z ryglowanym zamkiem i specjalnie przerobionym magazynkiem. Albo SIG-Sauer kaliber 0,300 magnum...

- Mówisz - beretta?

- Znasz kogoś, kto taką ma? - spytał Pellam.

- Owszem, ale nie sądzę, aby...
- Kto to jest?
- Nie znasz ich. To dwaj bracia. Coś mu błysnęło.
- Nie są przypadkiem bliźniakami? - zapytał.
- Tak. Tak się składa, że są.

- To ci się nie spodoba - powiedział zastępca do szeryfa.

- Nie podoba mi się wiele z tego, co tu się ostatnio wyprawia - odparł Tom.

Siedzieli na posterunku. Był niedzielny wieczór i jedno dało się powiedzieć o Cleary: weekend nie był tutaj spokojniejszy niż jakikolwiek inny dzień tygodnia. Jedyna różnica była taka, że tym razem wszyscy trzej pracowali - dwóch policjantów w biurze, a trzeci w terenie -

i na dodatek spodziewali się wizyty detektywa wraz z zastępcą z biura szeryfa stanowego, którzy mieli im pomóc poprowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa Neda.

- Rozmawiałem ze wszystkimi, którzy widzieli go w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Mam na myśli Neda.

Szeryf doskonale o tym wiedział, bo osobiście zlecił mu to zadanie.

- No i?

- Parę osób widziało go w towarzystwie Sama Torrensa. Na Święcie Jabłek.

- I co z tego? - Tom był wykończony. Wysadzony w powietrze samochód, narkotyki, podpalenie, bójka. A teraz jeszcze ktoś zamordował licealistę. Życie na amerykańskiej prowincji. Niech to szlag trafi.

- To było na chwilę przed tym, jak mały źle się poczuł.

- Mały? Jaki mały? Możesz mi to wyjaśnić? Bardzo cię proszę.

Zastępca odparł:

- Mówię tylko, że wygląda na to, że to Ned dał Samowi Torrensowi narkotyki. Tamto heroinowe gównno.

- No nie. - Szeryf zamknął oczy i potarł je pięściami. - Dobrze, ale co mnie w tym ma się nie podobać? Powiedziałaś przecież, że coś mi się nie spodoba.

Zastępca podjął temat.

- W ubiegłym roku Keith Torrens kupił dzieciakowi na Gwiazdkę strzelbę kaliber 0,22. Sam widziałem, jak wybierał naboje.

- Kiedy?

- No, nie ostatnio. Chodzi o to, że ja wiem, że on ma w domu dwudziestkę dwójkę. I odpowiednie naboje.

- Daj spokój, Randy. Każdy w tym mieście ma w domu dwudziestkę dwójkę.

Praktycznie kupuje się je razem z domem.

- Mówię tylko, jak jest.

- Poza tym nie wiemy na pewno, czy Ned został zastrzelony z broni kaliber 0,22. To mogło być 0,25 albo 0,222.

- Owszem. Ale wtedy uszkodzenia ciała byłyby chyba większe.

- Tego... nie... wiemy.

Zastępca pokiwał głową. Na koniec powiedział:

- Mów, co chcesz, ale jestem prawie pewien, że to było uzasadnione użycie broni.

Szeryf zastanowił się, skąd mu się to bierze. W ciągu czterech lat służby jego zastępca zaliczył dokładnie jedno morderstwo i to wtedy, gdy żona Barniego Slatera stwierdziła, że ma już dosyć bicia sznurem od lampy i zastrzeliła męża z broni myśliwskiej. Kiedy zjawiała się policja, czekała na nich ze świeżo zaparzoną kawą. Powiedział więc:

- O tym zdecyduje prokurator, a nie my.

Po chwili zapytał jednak:

- Jaki mamy czas zgonu?

- Około dziesiątej rano.

- Pora niedzielnej mszy. Meg była tu wtedy i wpłacała kaucję za tego filmowca - to jest akurat coś, nad czym wolałbym się głębiej nie zastanawiać. A co robił Keith? Chodzi do kościoła?

- Nie mam pojęcia - odparł zastępca szeryfa. - Możemy zadzwonić i zapytać. Należą do Pierwszego Kościoła Prezbiterialnego.

- Kto tam jest pastorem?

- Jim Gitting. Porządny facet. Ma świetne kazania.

Dla Toma mógłby równie dobrze być bratem samego diabła.

- Zadzwon do niego. Dowiedz się, czy Torrens był dzisiaj w kościele.

Zastępca szeryfa podniósł słuchawkę.

- Z wielebnym Gittingiem proszę... Dobry wieczór, pastorze, co słyhać? Bardzo mi przykro, że dzwonię o tej...

Tom odebrał mu słuchawkę.

- Pastorze, mówi szeryf. Czy Keith Torrens był dzisiaj rano w kościele?

- Hm, nie, szeryfie. - Pastor miał jękliwy głos. Wcale nie robił wrażenia kogoś, kto mógłby wygłaszać dobre kazania. - Czy mogę spytać, o co chodzi?

- O nic takiego, musimy po prostu coś ustalić. A czy zazwyczaj przychodzi na msze?

- Bardzo rzadko. A dziś rano pracował - jak zwykle.

- Chwileczkę. Powiedział pastor przed chwilą, że go nie było. To skąd pastor wie, gdzie wtedy był?

- Nie było go w kościele. Przywiózł tylko Sama do szkoły niedzielnej. Czy to chodzi o ten poranny incydent z Samem? Nic wielkiego się nie stało. Chłopak napędził tylko trochę strachu nauczycielom, to wszystko.

- Jaki „incydent” z Samem?

- No cóż, w pewnym momencie po prostu nam zniknął. Czy to w tej sprawie pan dzwoni?

- A co się właściwie stało?

- Chłopcy mieli zajęcia na zewnątrz, bo była ładna pogoda. Mniej więcej po półgodzinie nauczyciele zorientowali się, że Sam gdzieś przepadł. Zadzwoniliśmy do Meg, ale nie było jej w domu...

Bo właśnie wpłacała kaucję za tego dupka z Hollywood.

- ...a potem zatelefonowaliśmy do Keitha.

- Do jego biura?

- Tak. Gotów był zaraz do nas przyjechać, ale wtedy Sam się odnalazł. I był czymś zdenerwowany, ale nie chciał powiedzieć, co się stało. Pani Ernelt wytłumaczyła mu, że nie powinien się oddalać, nikomu nic nie mówiąc i na tym sprawa się zakończyła. To naprawdę nie było nic wielkiego.

- Która wtedy była godzina, pastorze?

- Nie wiem na pewno. Blisko dziesiątej. Do licha...

- W porządku, pastorze, dziękuję.

- Czy może mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?



- O nic ważnego. Dobranoc.

Zastępca szeryfa powiedział wreszcie to, co najwyraźniej od jakiegoś czasu cisnęło się mu na usta:

- Tom, gdyby ktoś dał mojemu dziecku taki towar, też bym mu coś zrobił. Może bym go nie zabił, ale na pewno coś bym mu zrobił. Trudno winić Keitha.

- Pastor dzwonił do Keitha, kiedy Sam zniknął. Keith był u siebie w biurze. - Zanim zastępca zdążył skinąć głową z wyraźną ulgą, Tom dodał: - Ale jego syn był wtedy sam, nikt nie wie, gdzie.

- Sammy? Daj spokój, chyba nie myślisz... - Ale głos uwiązał mu w gardle.

Same śmieci.

Tajemnica tego, co znajdowało się za drewnianym ogrodzeniem firmy R&W, została nareszcie rozwiązana: żadne nadwyżki wojskowe, żadne towary z odzysku. Nie mówiąc już o antykach. Te rzeczy nie zasługiwały nawet na miano złomu.

Robert i William byli właścicielami wysypiska śmieci i niczego ponadto.

Pellam podjechał do R&W od tyłu i zatrzymał się w znacznej odległości od składowiska, a następnie wolno zaczął skradać się przez las. W przeciwieństwie do nieskalanych lasów otaczających posiadłość Amblera, tutejsze powietrze przesyciła ostra i przenikliwa woń zgnilizny.

Pellam wyczuł odór odpadów oraz metan, który wypełnił mu płuca i sprawił, że zaczął się dławić. Musiał przełknąć kilka razy, żeby opanować mdłości. W słabym świetle księżyca, dodatkowo rozproszonym przez mgłę, miał wrażenie, że brnie przez trzewia zdechłych zwierząt. Grunt pod jego stopami był śliski i gąbczasty.

Zbliżył się do przedmurza wysypiska: przewrócona na bok, pozbawiona drzwi lodówka, parę metrów dalej resztki laminowanych mebli, pluszowe zabawki, książki, płatanina drutu i jakieś żelazne części, które na skutek utleniania zatraciły swój pierwotny kształt.

Po dalszych kilkunastu metrach dotarł do granicy terenu zajmowanego przez firmę R&W. Miał przy sobie niewielkie nożyce do cięcia metalu, zauważył jednak, że tania siatka, którą ogrodzono wysypisko, wisi w tym miejscu tuż nad ziemią, ściągnięta w dół przez wandalów lub siłę grawitacji. Schował nożyce do tylnej kieszeni spodni i przeskoczył przez zrujnowane ogrodzenie.

Przystanął i nasłuchiwał, czy rozlegnie się szczekanie psów.

Nic. Nie było też słyhać żadnych głosów. Tylko kwaśna woń i blade księżycowe światło odbijające się od tysięcy różnych przedmiotów. Pellam ruszył wolno w stronę szopy, która musiała pełnić tutaj rolę biura. Idąc, ostrożnie szukał w płataninie sparszywiałych, połamanych przedmiotów miejsc, gdzie można byłoby bezpiecznie postawić stopy.

Przycisnął się plecami do zewnętrznej ściany budynku. Szybko zajrzał przez okno, po czym natychmiast przykucnął i schował się pod parapet. Pusto. Zajrzał jeszcze raz.

Co za burdel. Kartony po jedzeniu na wynos, puste puszki po piwie, sterty czasopism (spodziewał się zobaczyć „Penthouse’a”, ale jedynymi tytułami, jakie udało mu się wypatrzyć, były „National Geographic”, „Cosmopolitan” oraz „Reader’s Digest”), jakieś spleśniałe i brudne ubrania. Książki, naczynia, gazety, podarte kawałki papieru, kartonowe pudła.

W kącie zauważył także dwa skórzane futerały na broń.

Rozejrzał się i spróbował popchnąć szybę. Okno było zamknięte od wewnątrz. Pellam wyjął z kieszeni nożyce do metalu, wybił szybę, wsunął rękę do środka i odsunął zasuwkę.

Następnie uniósł okno i przez chwilę mocował się sam ze sobą, usiłując podciągnąć się do góry. Ból promieniował mu z uda aż do żeber i szczęki. Wreszcie udało mu się przeleźć przez parapet i na

wpół zeskokczyć, na wpół stoczyć się na podłogę.

Przez chwilę nasłuchiwał. Nie usłyszał niczego poza szmerem opon przejeżdżającego samochodu. Jednym skokiem znalazł się w kącie i chwycił skórzany futerał. W środku ukryty był colt AR15, cywilna wersja wojskowego M16.

W drugim futerał znalazł berettę kaliber 0,300 magnum.

Prosta broń, zamek ryglowany przez obrót. Kolba z orzechowego drewna, ciemnoniebieski metal, czarna gumowana stopka, celownik optyczny. Brak tradycyjnych przyrządów celowniczych; to był karabin snajpera. Znalezione przez Sama łuski idealnie do niego pasowały.

Pantofelek Kopciuszka.

Czy to wystarczy jako dowód? Pellam nie miał pojęcia. Podczas swojej jedynej jak dotąd przygody z prawem znajdował się po przeciwnej stronie barykady (z tej perspektywy aresztowanie i skazanie podejrzanego wydawało się czymś cholernie łatwym). Odłożył broń na miejsce i zaczął przeszukiwać szuflady biurka, szafki, aż dotarł do sfatygowanych wojskowych plecaków, które leżały spiętrzone pod ścianą.

Jak się okazało, właśnie tam ukryli narkotyki.

Tysiące małych fiolek, w jakich zazwyczaj sprzedawało się crack. Musiało ich być kilka tysięcy. W każdej znajdował się pojedynczy kryształ, taki sam jak ten, który pokazywał im lekarz; jak te, które zażył synek Meg. Wyglądem przypominały pokruszone landrynki.

To rozwiązywało problem uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa.

Gdyby broń okazała się niewystarczającym dowodem, to powinno przesądzić sprawę.

Na zewnątrz znowu przejechał jakiś samochód. Pellamowi wydało się, że zwalnia, więc szybko upchnął plecaki z powrotem pod ścianą i wyciągnął rewolwer zza paska. Po chwili, gdy samochód jednak minął złomowisko, Pellam ukląkł i ponownie zaczął

manipulować przy zapięciu jednego z plecaków.

Całkiem byłem goły - powiedział Bobby. Jego brat skinął głową.

Siedzieli w zajeździe w Cleary i zajadali doskonale żeberka. Jak na Dutchess County, było to całkiem szpanerskie miejsce. W przeciwieństwie do większości wiejskich lokali, tutaj królowały chrom, lustra i plastik, zgromadzone i spiętrzone w chaotyczną płataninę sporym nakładem gotówki. Bliźniacy siedzieli przy stoliku nakrytym czerwoną lnianą serwetą; na kolanach mieli rozłożone grube serwetki, które pozostawiały białe kłaczki na ich jednakowych ciemnych spodniach.

Może i byli właścicielami złomowiska, ale lubili dobrze zjeść i nigdy nie odmawiali sobie tej przyjemności. Lwia część tego, co zarobili - na handlu narkotykami, rzecz jasna, jako że złomowisko rok w rok przynosiło jedynie straty - otóż owa lwia część dochodów była przez nich regularnie przejadana. Ruchome środki. („Prowadzimy złomowisko - wszystkie środki, jakie posiadamy, są ruchome! Cha, cha, cha!”).

Tego wieczoru ich paznokcie były dokładnie wyszorowane, a spod zapachu szamponu dzieciowego przebijały słodkie nuty wody toaletowej z aptecznego działu perfumeryjnego.

Bobby ciągnął swoją opowieść:

- No więc stoję tam, goły jak święty turecki. - Urwał, zastanawiając się, o jakiego dokładnie świętego może chodzić. - Rolety były podciągnięte, a ona nie mogła stać dalej ode mnie jak o jakieś cztery, pięć metrów. Z tyłu, na podwórku.

- Cztery, pięć metrów.

- Miała biały stanik. I gigantyczne balony.

- No nie, to jakaś durna historia.

- Nie, nie - zaprotestował Bobby. - Później robi się lepsza.

Billy odparł:

- Jak może robić się lepsza, skoro nawet nie jest dobra.

Bobby umilkł i zajął się swoim mięsnym puddingiem, który był w karcie dań dopiero od niedawna. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie jadł. Cóż, na pewno nie był to żaden pudding. Smakował jak nieudany naleśnik. Bobby pomyślał, że mógłby pokazać tutejszemu szefowi kuchni, jak się robi prawdziwe naleśniki.

Billy wsuwał sałatę z grzankami i grillowanym kurczakiem.

Bobby mówił dalej:

- A wtedy ona do mnie macha. Tak jakby. Rozumiesz, nie chciała pokazać, że jej zależy.

Billy przeżuwał sałatę.

- No, więc odwracam się do niej przodem, a ona patrzy na mojego ptaszka i się uśmiecha.

- Ty częściej gadasz o tym swoim interesie, niż go używasz - mruknął Billy.

- Akurat tamtej nocy go użyłem - pochwalił się Billy. Po chwili, gdy w jego ustach zniknęła kolejna porcja puddingu, zapytał: - Jak długo on zamierza tam siedzieć?

Nie wyjaśnił, że chodzi mu o przeciągającą się wizytę Pellama u Torrensów (jadąc do zajazdu, minęli jego przyczepę zaparkowaną przed ich domem), lecz i bez tego Billy wiedział, co brat ma na myśli.

- Nie wiem. Skąd miałbym to wiedzieć?

Bobby zapytał:

- Więc tak po prostu to zrobimy? To chyba będzie wyglądało trochę podejrzanie, co?

Najpierw jego kumpel w samochodzie. Potem on.

- Uhm - mruknął Billy i nic już więcej nie powiedział. Nie dlatego, że nadal przeżuwał sałatę, ale dlatego, że intensywnie myślał.

Bobby popatrzył na rozłożyste poroże jelenia umieszczone nad kominkiem obudowanym przydymionym szkłem. Myśliwskie trofeum dziwnie wyglądało w restauracji; znacznie lepiej prezentowałoby się przy Fort Hamilton Parkway na Brooklynie albo w Paramus w stanie New Jersey. Przyjrzał się uważnie martwym oczom i gładkiej sierści zwierzęcia i zaczął się ślinić, wyobrażając sobie, że czuje zapach świeżego powietrza o poranku, szorstką, listopadową trawę pod stopami, a w dłoniach solidny ciężar dobrej strzelby.

Wreszcie odezwał się:

- Wiesz, jakoś nie mogę tego pojąć. Żeby tak ciągle włóczyć się po kraju... Czułbym się, no wiesz...

- Skołowany - podpowiedział Billy. Billy często podsuwał Bobby'emu słowa, których tamtemu brakowało.

- Właśnie. Chciałbym podróżować. No wiesz, po kraju... Tyle jest rzeczy do zobaczenia. Po prostu chodzi o to, że nie chciałbym być ciągle w drodze.

- Uhm.

- Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowny. - Bobby poskrobał widelcem chrupiącą skórkę puddingu. Najdziwniejsze było to, że teoretycznie trzeba to było jeść z sosem. Pomyślał, że powinni jednak podawać do tego ketchup i był gotów o niego poprosić.

Naleśnikowy pudding polany sosem; ci Angole są naprawdę szurnięci.

Nagle Billy odezwał się:

- Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi. Dzieciak Torrensów.

- Co z nim?

- Ned dał mu cukierki, zgadza się? Musieli więc spędzić ze sobą trochę czasu. Jakie logiczne pytanie zadałby wtedy każdy dzieciak?

Bobby nie miał pojęcia.

- No, jakie?

- Zapytałby, skąd Ned je ma. A Ned jest - to znaczy był - na tyle głupi, żeby mu odpowiedzieć.

- Ten gówniarz ma góra dziewięć, dziesięć lat. Co on może wiedzieć?

- Czasami - Billy popatrzył na brata - po prostu nie myślisz.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. Bobby sporo myślał. Problem w tym, że zazwyczaj niewiele z tego wynikało; myślenie do niczego nie prowadziło. Wolał więc mieszać ciasto i podrzucać naleśniki wysoko do góry, żeby szybowały w powietrzu jak kość w tym starym filmie science fiction, albo trafiać jelenia pod łopatkę z odległości trzystu metrów ze swojego karabinu wyposażonego w celownik optyczny firmy Zeiss-Daiwar, albo oczyszczać pobocza dróg w Dutchess County ze wszystkich śmieci, które można było w jakikolwiek sposób wykorzystać, a także tych całkiem bezużytecznych. Poza tym - zgoda -

najczęściej pozostawiał myślenie Billy'emu, który nie potrafił strzelać ani gotować. I który - niech go szlag trafi - nie lubił „National Geographic”.

Billy mówił dalej:

- On może dużo wiedzieć. To, że jest dzieciakiem, nie znaczy, że to on jest głupi.

Bobby zastanawiał się przez chwilę, czy go właśnie nie obrażono.

- To co właściwie chcesz powiedzieć?

Billy odpowiedział pytaniem na pytanie:

- A co myślisz o tej paniusi?

- Torrens. Meg Torrens. Chyba to o nią chodzi.

- Nie wiem - odparł Bobby. - Będziesz jadł swój pudding?

- Hę?

- Zamierzasz to jeść?

- Myślałem, że to coś z ziemniaków. Ale zamierzam to zjeść. - I zaraz dodał: - Co o niej myślisz?

- Nie wiem.

- To nie jest zwykła hausfrau.

- Hausfrau? A co to znowu?

- No, taka kura domowa. Myślisz, że ma duże cycki? - zastanawiał się głośno Billy.

- Nie wiem. Co ty...?

Billy przerwał mu: - A co myślisz o Torrensie? To znaczy, co tak naprawdę o nim myślisz?

- Co o nim myślę? - Bobby często powtarzał pytania brata takim tonem, jakby chciał

dać mu do zrozumienia, że to głupota pytać o coś podobnego; w ten sposób zyskiwał trochę czasu na wymyślenie odpowiedzi.

Billy dopytywał się:

- Myślisz, że to bystry facet?

- Wystarczająco bystry.

Billy spojrział na brata i roześmiał się.

- A co to niby znaczy - „wystarczająco bystry”? To tak, jakbyś powiedział, że twój fiut jest wystarczająco długi!

- Okej - odpowiedział Bobby. - Jest wystarczająco bystry, żeby nie wsadzać swojego fiuta tam, gdzie nie powinien. A zdaje mi się, że właśnie coś takiego chodzi ci po głowie.

- I co teraz powiesz, stary? Który z nas nie myśli?

- A jak sądzisz, ile Torrens jest wart? Ile wyciąga?

- Człowieku, pakujesz się...

- No, powiedzmy, tak w porównaniu do nas?

- ...w cholerne kłopoty.

Billy zjadł cały pudding, do ostatniego kęsa. Bobby przyglądał mu się rozczarowany.

Pomyślał, że za trzysta dziewięćdziesiąt pięć, za które można było kupić solidną porcję soczystych, krwistych żeberek, powinien był dostać więcej tego angielskiego puddingu.

- Mają całkiem przyjemny dom - zauważył Billy, kontynuując przerwana myśl.

Bobby nie mógł się w tym wszystkim połapać, ale czuł, że wcale mu się to nie podoba.

- Może być.

Billy popatrzył na brata w taki sposób, jakby ten zrezygnował właśnie z biletów na mecz play-off. Bobby zreflektował się.

- Dobra, kurde, jest fantastyczny. Zadowolony?

No wiesz, po prostu... - zaczął Billy.

A ja myślę, że ci odbiło. Tak właśnie myślę.

- ...rozważmy taką możliwość.

Zastanawiała się, gdzie jest Pellam. I co kombinuje. Wziął od niej butelkę whisky i przepadł jak kamień w wodę. Meg Torrens poczuła ukłucie zazdrości, podejrzewając, że może pojechał do Janine. Ale zaraz odpędziła od siebie tę myśl. Twoje życie jest w tej chwili wystarczająco skomplikowane, powiedziała sobie. Ale jednak...

Znowu usłyszała w głowie ten dźwięk. Ten sam, który słyszała, od kiedy zobaczyła Pellama tamtego dnia w klinice. Dźwięk Połaroida. Psstryk.

Tak dla pańskiej informacji, mieszkam tutaj od pięciu lat... Przypomniała sobie, jak ją pocałował i jak bardzo chciała ten pocałunek odwzajemnić. Dosyć tego...

Położyła Sama do łóżka i zeszła na dół do kuchni, gdzie nalała sobie kolejny kieliszek wina i przeszła do salonu, żeby przygasić światło. Podczas wizyty Pellama wszystkie lampy były zapalone, pomimo jej niechęci do jasności. Nie wiedziała, dlaczego wołała, żeby tak było... No dobrze, wiedziała. W ten sposób było mniej romantycznie. Mniej podtekstów. A ona...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Miała nadzieję, że to Pellam, a jednocześnie bała się, że Ambler postanowił jednak wrócić. Zdała sobie sprawę z tego, że musiał widzieć odjeżdżającego Pellama. Przyszło jej do głowy, że mógł zaparkować gdzieś dalej przy drodze i szpiegować ich, czekając, aż Meg zostanie sama. A teraz zdecydował się wrócić i jeszcze raz powtórzyć swoje oświadczenia.

Jak taki silny człowiek mógł być aż tak zdesperowany?

Nie mam teraz nastroju na takie rzeczy...

Gdy jednak otworzyła drzwi, na ganku stał szeryf.

- Tom.

- Dobry wieczór, Meg.

Poczuła nagły niepokój.

- Czy coś się stało Keithowi?

- Och, nie. Jestem tu w innej sprawie.

- Chodzi o Pellama?

- Też nie. Mogę wejść?

Szeryf miał poważną minę, ale z drugiej strony on zawsze był poważny. Skinęła głową i wpuściła go do środka, odstawiając kieliszek na pobliski kredens. Tom wszedł, zdejmując kapelusz w momencie, gdy jego stopy przekroczyły próg.

- Napijesz się czegoś? Kawy? Pokręcił głową. Meg usiadła na kanapie.

- Co się stało?

- Chciałem porozmawiać z tobą o Samie. Wiesz, że samowolnie oddalił się dzisiaj ze szkółki niedzielnej?

- O co mu mogło chodzić?

- Nie wiedziałam, że to przestępstwo - odparła sztywno.

- Meg, chyba oboje wiemy, że tak nie jest. I musisz też wiedzieć, że za moim pytaniem kryje się coś poważniejszego.

- To znaczy?

- Czy możesz odpowiedzieć na moje pytanie? Wiedziałaś o Samie?

Zdecydowała się powiedzieć prawdę, chociaż miała wielką ochotę skłamać. - Tak.

Keith mi o wszystkim powiedział. Usiłowali się do mnie dodzwonić, ale nie było mnie w domu. Wtedy skontaktowali się z nim w biurze. Ale Sam wrócił po kilku minutach.

- Raczej po czterdziestu minutach.

- O co ci właściwie chodzi, Tom?

- Rozmawiałaś na ten temat z Samem?

- Oczywiście. - Szeryf milczał, więc Meg poczuła się zmuszona wyjaśnić:

- Był zdenerwowany po tym, co się stało. Po tej historii z narkotykami. Powiedział, że źle się poczuł. Była ładna pogoda, więc poszedł na spacer. - Zdała sobie sprawę, że zaczyna się plątać, i urwała. - Chcę wiedzieć, dlaczego mnie o to wypytyjesz.

Tom skinął głową. - Meg, niedługo po tym, jak Sam uciekł z zajęć, ktoś zamordował

Neda Harpera. To stało się kilometr od kościoła - niczego sobie spacer, ale zdążyłby tam pójść i wrócić w czasie, kiedy go nie było.

- Ned? A co Sam ma wspólnego z Nedem?

- Uważamy, że to Ned dał Samowi narkotyki. Podejrzewamy też, że Sam mógł go... zabić.

- Niemożliwe - odparła stanowczo.

- Nie jesteśmy niczego pewni. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby Ned groził chłopcu.

Widziałaś, jaki był wystraszony. I nie zdziwiłbym się, gdyby Sam chciał się zemścić.

- Sam nikogo by nie skrzywdził.

- Ned został zastrzelony z broni małego kalibru. To mogła być dwudziestka dwójka.

Jak dotąd nie znaleźliśmy łusek. Randy Gottschalk, mój zastępca, powiedział mi, że rok temu Keith kupił Samowi na Gwiazdkę strzelbę kaliber 0,22.

Jej spojrzenie pomknęło do gabinetu, gdzie zwykle leżał mały winchester. Serce ścisnęła jej strach, gdy zobaczyła, że broń zniknęła. Zaraz jednak przypomniała sobie, że Sam i Pellam strzelali tego popołudnia. Czy wzięli ze sobą dwudziestkę dwójkę? Czy małą śrutówkę? Może zostawili broń na ganku za domem, gdzie czekała na czyszczenie? Albo w piwnicy. W tej chwili jedynym karabinem, jaki spoczywał w gablocie, był zabytkowy Springfield - jedyna ocalała część spadku po jej rodzicach, jeśli nie liczyć silnej niechęci do jaskrawego światła.

- Tom, znasz Sama od urodzenia. Myślisz, że mógłby kogoś zabić?

- Nie, wcale tak nie myślę. Ale nie jestem jedyną osobą, która będzie cię o to wypytywać. Ostatnimi czasy mieliśmy w Cleary aż nadto problemów - tamte zgony w ubiegłym roku, kilka innych przypadków przedawkowania narkotyków. Tym razem dochodzenie poprowadzi policja stanowa. I możesz być pewna, że będą chcieli przesłuchać Sama i obejrzeć jego broń. Żeby przeprowadzić testy balistyczne.

- Które dowiodą, że to nie on strzelał. - Lecz już w momencie gdy wypowiadała te słowa, w jej głowie zaczęło się formować potworne podejrzenie. Nie, to niemożliwe - jej syn nie byłby w stanie kogokolwiek zabić.

A jednak dobrze pamiętała wyraz jego twarzy, kiedy strzelał dzisiaj z Pellamem.

Wyglądał na zdeterminowanego. I dorosłego. Czasami wręcz się go bała.

- Czy mogę z nim porozmawiać?

- Ale Sam już śpi.

Tom uśmiechnął się i popatrzył w górę ponad jej ramieniem.

- Jakoś mi na to nie wygląda.

Sam stał w holu ubrany w piżamę i niespokojnie popatrywał na szeryfa.

- Usłyszałem u góry jakiś hałas. Przestraszyłem się.

- Cześć, Sam. Jak leci?

- Dobry wieczór, szeryfie.

- Lepiej się już czujesz?

- Tak, proszę pana.

- Ty musiałeś mnie usłyszeć. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie spałem. Słyszałem, jak pan wchodził. A to był całkiem inny dźwięk. Za oknem.

Meg popatrzyła na jego okrągłą, zaspaną buzię. Pomyślała: Nie, on nigdy nikogo by nie zabił.

Chociaż... Jego spojrzenie było takie zimne. Wydał jej się jakiś inny. Zmusiła się do uśmiechu.

- Kochanie, to pewnie tamta sowa. Pamiętasz?

- To nie była sowa.

Meg pomyślała z rozpaczą: Gdzie jest ta dwudziestka dwójka? Przecież on nie mógł tego zrobić...

Tom podniósł się.

- Może lepiej to sprawdzę?

- Dobrze - zgodził się Sam.

- Tom... - zaczęła Meg.

Szeryf odpowiedział szeptem:

- W porządku, Meg. Posłuchaj. Wpadnę do was jutro. Oboje z Keithem będziecie przy tej rozmowie. Możecie też ściągnąć prawnika, jeśli uznacie, że tak trzeba. Zgoda?

- Przytaknęła.

Tom położył dłoń na ramieniu chłopca i razem zaczęli wchodzić po schodach.

- Sprawdźmy wobec tego, co to był za hałas.

- Zaraz przyjdę na górę, żeby cię otulić - zawołała Meg. Gdzie była ta broń? Musiała ją natychmiast znaleźć.

Właśnie wychodziła na werandę, kiedy domem wstrząsnął strzał. Ktoś strzelał na piętrze!

Krzyk wyrwał się z jej ust. Pobiegnęła w stronę schodów i zdążyła jeszcze uskoczyć, gdy Tom runął w dół ze straszliwą raną w klatce piersiowej.

- Ja... - Popatrzył na nią nic nierozumiejącym wzrokiem i usiłował podczołgać się do drzwi. Udało mu się w ten sposób pokonać około półtora metra. Potem osunął się na podłogę i leżał tak nieruchomo. Jego krew wsiąkała w dywan.

- Jezu Chryste... Sam! - Meg rzuciła się ku schodom.

Na kilka koszmarnych sekund uwierzyła, że jej syn naprawdę jest mordercą - najpierw zabił Neda, a teraz podstępem zwabił szeryfa na piętro, gdzie go zastrzelił. Czuła też, że to jej wina - kara za jej niewierność, za to, że nie doceniła wspianego życia, jakie zapewnił jej Keith.

Zaraz jednak na schodach pojawił się jej synek. Biegł ogarnięty paniką, łzy lały mu się po policzkach.

- Tam był jakiś człowiek! Zranił szeryfa Toma! Strzelił do niego!

- Gdzie?

- Nie wiem. Stał pod oknem. Boję się... Wtedy i ona usłyszała hałas.

Tym razem dochodził z piwnicy. Dźwięk wydał jej się znajomy. Taki sam słyszała, kiedy rozbierała na części starą drewnianą skrzynkę na sałatę i wyciągała gwoździe z desek przy pomocy



młotka ze specjalnym nacięciem. Przenikliwe skrzywienie wyszarpywanych zardzewiałych elementów.

Potem lekki trzask i brzęk szkła na kamiennej posadzce.

- Okno w piwnicy.

- Mamo! To on! On tam jest. Jest w naszej...

- Ciii.

Meg podbiegła do drzwi prowadzących do piwnicy. Zamknęła je na mosiężną zasuwkę i chwyciła słuchawkę. Telefon był głuchy. Zrozpaczona naciskała widełki.

Cisza.

Zerknęła na Toma, ale z jego kabury zniknął rewolwer. Musiał go gdzieś upuścić albo zabrał go włamywacz.

- Sam, gdzie jest broń, z której strzelaliście dziś z panem Pellamem?

- Ja nie...

- Sam, kochanie, spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Gdzie jest broń?

Przerażony chłopiec gwałtownie wciągnął powietrze.

- Zostawiłem ją w piwnicy. Mieliśmy ją razem czyścić. Powiedział, żebym sam tego nie robił.

- Już dobrze, synku.

Zaprowadziła go do pokoju gościnnego na pierwszym piętrze, gdzie nie było żadnych okien. Kiedy wszedł już tam, powiedziała:

- Zamknij się zaraz od środka na klucz. I nie otwieraj nikomu poza mną i tatusiem.

- Boję się.

Objęła go i mocno przytuliła. Tak mocno, jakby nigdy nie zamierzała go wypuścić ze swoich ramion.

- Nic złego ci się nie stanie. Obiecuję.

Zamknęła drzwi i usłyszała szcęk klucza w zamku.

Następnie pomknęła do gabinetu i jednym szarpnięciem otworzyła gablotę z bronią. Po chwili trzymała w ręku karabin pachnący smarem i siarką. Stuletni Springfield (ładowany od tyłu, nie od przodu... Och, Pellam, gdzie jesteś?!). Pierścień służący do przypinania broni do siodła zabrzączał, gdy zdmuchiwała kurz z brązowej, metalowej lufy.

Odszukała tuzin podłużnych, ciężkich nabojów, załadowała jeden do komory, a resztę schowała do kieszeni swetra. Zatrzasnęła zamek i wybiegła do holu.

Najpierw sprawdziła frontowe i tylne drzwi na piętrze. Zamknięte. Okna na parterze?

Zazwyczaj je zamykała, ale czy przypadkiem nie wietrzyła ostatnio domu? Nie pamiętała, a teraz nie mogła już tego sprawdzić.

Zatrzymała się, słysząc delikatne skrobanie. Ktoś manipulował przy drewnie i metalu.

Przeszła do kuchni. Wolno, z determinacją. Poczekaj, ty dupku, pomyślała. Obiema dłońmi odciągnęła kurek, na wpół odbezpieczając broń.

Ktoś wchodził po schodach. Wyraźnie słyszała kroki.

Zapaliła światło w kuchni. Wzięła głęboki wdech, wyciągnęła rękę, odsunęła zasuwkę na drzwiach i otworzyła je szeroko. Zaraz też zrobiła krok do tyłu - tak szybko, że niewiele brakowało, by się potknęła.

Tamten pokonał już schody w trzech czwartych ich wysokości. Nie widziała jego twarzy. Zatrzymał się. Roześmiał się, jakby właśnie zrobił jej niespodziankę. W dłoni trzymał

latarkę. Wysoki, żartobliwy głos - który wydał jej się dziwnie znajomy - powiedział: - Inkasent!

Meg zawołała:

- Mam broń. Jeszcze jeden krok i nie żyjesz.

Snop światła z latarki zaczął przesuwać się w jej kierunku.

- Tylko nie próbuj mnie oślepić, bo zginiesz.

- Strasznie tu niebezpiecznie w tym domu.

- Czego chcesz? - Ze wszystkich sił próbowała opanować drżenie głosu.

Właśnie wygrałem los na loterii. Chciałem odebrać swoje dwie stowy. A teraz zupełnie serio...

Wiesz co? Jeśli pozwolisz mi odejść, nie zgłoszę tego na policję.

- Masz się położyć twarzą do podłogi.

Mężczyzna zaśmiał się.

- O, bez obrazy, ale nie jest zbyt czysta. Poza tym mogą tu być pająki. A ja nie cierpię pajaków.

- Rób, co mówię! - Kciukiem udało jej się całkowicie odbezpieczyć broń. W całej kuchni rozległ się szcęk zamka.

Mężczyzna zszedł o stopień niżej. Nad czymś się zastanawiał. Wreszcie powiedział: -

Raczej nie. Dzięki za propozycję, ale chyba jednak sobie pójdę. Zatrzymaj sobie swoją biżuterię i srebra. I tak nie miałem na nie ochoty. A tak w ogóle, to chciałem powiedzieć...

Podniosła broń do policzka i zaczęła przyciskać spust.

Intruz zrobił wolno kolejne dwa kroki do tyłu, pograżając się w ciemności. - ...że twoja kolacja wspaniale pachnie, paniusiu. Szkoda, że nie mogę zostać. Może następnym razem.

Teraz! Zrób to!

Jej palec znieruchomiał na spuście. Strzelaj, strzelaj, strzelaj... Mężczyzna zniknął jej z oczu.

- Cholera.

Zatrzasnęła drzwi, zasunęła zasuwkę i usłyszała, jak tamten zbiega na dół do piwnicy.

Pognała w stronę drzwi wejściowych i ostrożnie wyjrzała przez koronkowe firanki. Nikogo nie zauważyła.

Do diabła, do diabła. Gdzie on się podział? Dokąd poszedł? Pellam - błagała go w myślach - wróć do nas, proszę... Keith...

Ruszyła w kierunku pokoju Sama.

W tym samym momencie inny mężczyzna wyskoczył z salonu do holu i chwyciwszy ją wpół odezwał się tym samym dziwnie nienormalnym tonem głosu, jakim przemawiał jego współnik:

- A niech mnie! Nie za duża ta pukawka dla takiej małej dziewczynki?

Dobry Boże, poznała go! To był jeden z tych bliźniaków. Tych, którzy byli właścicielami tego ohydneho złomowiska za miastem. Billy, albo Bobby, jedną ręką zasłaniał

jej usta, a drugą po omacku próbował namacać kolbę karabinu i wyrwać ją z jej kurczowego uścisku.

Poczuła ucisk i ból, gdy drugą dłonią zaczął obmacywać jej piersi.

- Hmmm - mruknął z aprobatą. Czuła piżmowy zapach jego taniej wody po goleniu i woń mydła dzieciowego.

Był bardzo silny, ale Meg wcale mu pod tym względem nie ustępowała. Żadne z nich nie zdołało wyszarpnąć drugiemu broni.

Skierowała więc lufę karabinu w stronę kuchni i nacisnęła spust.

Po wystrzale cały hol wypełnił cuchnący siarką dym. Kuchenka mikrofalowa firmy Sanyo eksplodowała, rozpadając się na dziesiątki kawałków. Siła odrzutu sprawiła, że Meg z impetem wpadła na napastnika. Pomimo brzęczenia w uszach dosłyszała, że gwałtownie wciągnął powietrze, zaskoczony. Zaraz też rozległ się donośny trzask, gdy jego głowa uderzyła o klamkę drzwi wejściowych.

- Au, kurwa mać, ale boli. - Mężczyzna puścił ją i złapał się obiema rękami za głowę.

Meg upadła na kolana i otworzyła magazynek. Z komory wypadła gorąca, dymiąca łuska po naboju, a ona ponownie załadowała broń.

Bliźniak zamrugał oszołomiony, trzymając się za tył głowy, po czym odwrócił się na pięcie, rzucił do drzwi wejściowych i zaczął gwałtownie otwierać zamki i odsuwać rygle.

Krew plamiła białą emalię drzwi, kapłała na dywan.

Łańcuch, zasuwka, rygiel.

Meg zatrzasnęła broń.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Odciągnęła kurek...

- To pieprzona armata! - zawołał mężczyzna do brata, który musiał być na zewnątrz. -

Ona ma pieprzoną armatę!

Nagle za jej plecami rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Mamusiu! - Sam wydostał się z gościnnego pokoju i biegł korytarzem w jej stronę.

Meg odwróciła się ku niemu.

- Nie, Sam, nie!

Obróciła się ku drzwiom. Ale było już za późno. Mężczyzna rzucił się na nią. Meg nie zdążyła całkowicie odbezpieczyć broni, więc zamachnęła się nią jak pałką. Napastnik chwycił

ją z łatwością i jednocześnie uderzył ją pięścią w podbródek.

- Mamusiu! - zawołał ponownie Sam, gdy Meg osunęła się na kolana.

Mężczyzna zrobił krok naprzód i rozwścieczony znowu ją uderzył, tym razem mocniej. Poczula jakby rażenie prądu poniżej uszu, a przed oczami rozlała jej się czerń z domieszką szarości po bokach. Osunęła się w dół po błękitnej ścianie. Spróbowała wstać.

Billy wyrwał jej z rąk karabin. Głowa poleciała jej bezwładnie w tył i oparła się o ścianę.

Sam podbiegł i objął jej głowę ramionami. Krzyczał:

- Odejdźcie, odejdźcie stąd! Zostawcie ją w spokoju! Wy!

Intruz otworzył szerzej drzwi i zawołał:

- Hej, Bobby! Wszystko pod kontrolą. Chodź.

Bobby wszedł do środka. Pociągnął nosem. - Śmierdzi tu - powiedział. - Siarką... Ale popatrz no tylko na to... - Skinął głową, zerkając z podziwem na starego springfielda. Dopiero po chwili zauważył nieruchome ciało szeryfa. - Musiałeś to zrobić?

- Zobaczył mnie, kiedy wchodziłem przez okno - odparł Billy, pocierając tył głowy w miejscu, w którym zetknęła się z klamką. - Co twoim zdaniem powinienem był zrobić, do cholery? Powiedzieć mu dobry wieczór?

Bobby zamknął drzwi i spojrzał na Sama.

- Siemasz, kolego. Nie bój się. Nic ci się nie stanie.

Jego brat mruknął:

- Kurwa mać, krew mi leci. - Przyjrzał się z satysfakcją Meg, która klapnęła przy ścianie, z

bezwładnie opadającą głową. Jej twarz była biała jak papier. Zapytał ją:

- Gdzie jest Keith?

Nie odpowiedziała. Wymierzył jej silny policzek. Znowu milczenie. Była na wpół przytomna.

- Nie! - krzyknął Sam.

- Gdzie jest twój ojciec?

Chłopiec zawahał się, po czym odpowiedział:

- Jest w pracy, ale lada chwila wróci i wtedy was pozabija!

- Lada chwila - powtórzył Billy, spoglądając na brata.

Ale Bobby już przyglądał się chłopcu.

- A może ty i ja pooglądamy sobie telewizję albo coś w tym rodzaju? Tam, w salonie?

Kiedy będziemy czekać na twojego tatę.

- Nie.

- Chyba nie chcesz, żebym znowu uderzył twoją mamusię, co? Sam nic nie powiedział, tylko pokręcił głową, ocierając łzy. Bobby uśmiechnął się. - No to chodź.

Pójdziemy sobie do tamtego pokoju.

Billy zaprotestował:

- Nie mamy teraz na to czasu.

Bobby był zachwycony - wreszcie wpadł na coś, o czym nie pomyślał jego brat.

Odparł: - Skoro i tak czekamy, możemy się przynajmniej zabawić.

Znaki drogowe były dla niego źródłem natchnienia.

Naukowiec, jakim był Keith Torrens, widział żółty trójkąt ostrzegawczy z wymalowanym na nim zakrętem i odchodzącą w bok drogą i myślał o wiązaniu sigma. Jego myśli zaczynały wówczas krążyć wokół uwspólnienia elektronów i nierównego rozmieszczenia ładunków w cząsteczce chlorku bromu.

Albo natrafiał na znak „ustąp pierwszeństwa przejazdu”, myślał: „delta” - no i proszę!

- od razu pojawiało mu się to w głowie: wzór na energię swobodną Gibbsa.

Miał niespokojny umysł. Jego myśli zwykły biec najdziwniejszymi ścieżkami, tak jak wtedy, gdy był jeszcze puciołowatym dzieciakiem z suwakiem logarytmicznym. Wtedy też zdarzały mu się takie Magiczne Momenty...

A oto kolejny znak - tym razem namalowany na starym, od dawna nieczynnym stoisku z hamburgerami firmy White Castle. Biały Zamek... Przemknął obok, kątem oka rejestrując wyblakłą farbę na ladzie.

Zamek. Średniowieczne zamki. Alchemicy. Pomyślał zaraz o poszukiwaczu filmowych plenerów. Ten Pellam...

Keith był zmęczony. Zbliżała się jedenasta, a on spędził ostatnie czternaście godzin w fabryce. Kolejna niedziela za nim. Na opustoszałej, ciemnej ulicy przycisnął pedał gazu i znowu usłyszał ten przekłety pisk dobiegający z przodu wozu. Cóż, naukowiec. Jestem niby naukowcem, a nie potrafię naprawić hałaśliwej kupy złomu.

Ale w tej chwili nic nie miało dla niego znaczenia: ani zmęczenie, ani ten metaliczny pisk, ani dręczący go ból głowy. Nie obchodziło go to. Bo na co się tu skarżyć? Przecież w każdej chwili może sobie kupić nowego cougara, cadillaca, mercedesa.

Teraz przeżywał swój Magiczny Moment.

Odpowiedź przyszła nagle. Objawiła mu się o drugiej po południu, wyłoniła z plątaniny myśli, które usiłował przemienić w liczby, greckie litery i naukowe symbole.

Popędził z fabryki do biura, zamknął drzwi, wyłączył telefon i pisał jak szalony, owładnięty strachem, że coś mogłoby mu umknąć. Czuł, jak panika unosi mu włosy na głowie - jak wtedy, w college'u, gdy po raz pierwszy zażył speed, żeby zdążyć na czas z pracą magisterską. Ta ciepła przejrzystość, całkowita koncentracja, parcie do przodu.

Magiczny Moment.

To, że jego odkrycie - nowa substancja stabilizująca do jednego z syropów na kaszel wytwarzanych przez jego firmę - nie było niczym przełomowym ani proporcjonalnym do odczuwanej przez niego euforii, nawet nie przyszło mu do głowy. A nawet gdyby przyszło, to i tak nie wpłynęłoby to na zmianę jego nastroju.

Magia znowu działała. Zidentyfikował problem, popracował nad nim i otrzymał rozwiązanie. Był na fali, czuł, że żyje. Chwile takie jak ta wszystko usprawiedliwiały - całe to gównno, które musiał znosić, prowadząc swoje interesy, długie godziny pracy, ryzyko, wrzody żołądka, których z pewnością już się nabawił. Cały ten czas spędzany z dala od Sama i Meg.

Wszystko to w jednym momencie nabierało sensu. W Magicznym Momencie.

Pomyślał o Meg...

Tego dnia - jak codziennie - już po raz dziesiąty pożałował, że jego żona nie może być w pełni częścią tego, czego udało mu się dokonać; częścią jego firmy. Oczywiście i ona na tym skorzysta.

Ona też będzie milionerką. Ale nigdy nie będzie jego partnerem w interesach.

Tego Keith Torrens najbardziej żałował...

Zamki, średniowieczni alchemicy.

Alchemia; zamiana złota w jeszcze bardziej błyszczące złoto. Złote pierścienie.

Obrączki. Meg.

Przypomniał mu się wers z piosenki granej przez jakąś stację nadającą muzykę country and western - stacji, których ona bez przerwy słuchała.

Jeśli kłamiemy, leżąc obok siebie, to naszej miłości nie jest już jak w niebie...

Po raz kolejny zastanowił się, czy Meg kogoś ma. Nie przypuszczał, aby tak było.

Jednak Keith Torrens (który nigdy nie zdradził swojej żony) uważał, że chociaż kobiety i mężczyźni są w równym stopniu zdolni do zdrady, kobiety potrafią lepiej zacierać ślady.

Keith (empiryczny, racjonalny wyznawca Kartezjusza - prawdziwy naukowiec) był zdania, że jako matki, obarczone obowiązkiem dbania o potomstwo, oraz istoty obdarzone mniejszą siłą fizyczną od mężczyzn, kobiety musiały wykształcić w sobie umiejętność zwodzenia innych jako pewną formę samoobrony.

Trójwartościowy atom azotu o właściwościach zasadowych...

Mimo to nie znalazł żadnych obciążających ją dowodów. Nie dostrzegł niczego w jej oczach. Nie było żadnych kwitków American Express (mógł sobie wyobrazić, ile zamieszania potrafią narobić te niebieskie wydruki). Nie przypominał sobie, żeby choć raz nie było jej w domu w czasie, gdy powinna tam być (choć z drugiej strony, jak mógł być tego pewien? W

fabryce spędzał dwanaście godzin na dobie). Sam nigdy nie wspominał o żadnym wujku, który pomagałby мамie w ogródku, przy przetykaniu rynny albo w robieniu zakupów.

...Czterowartościowy atom węgla...

Kto zresztą mógł być bardziej oddany niż on? Kto mógł być lepszym ojcem? Nigdy nie wyjeżdżał w długie podróże służbowe, jak niektórzy mężczyźni pracujący dla dużych firm nad rzeką Hudson. Nie zmuszał Meg i Sama do ciągłych przeprowadzek i nie ciągał ich za sobą po kraju. W niczym nie przypominał tamtego kołesia, którego poznał na polu golfowym w pewną niedzielę, znajomego jakiegoś znajomego, który pracował dla IBM (i've Been Moved<sup>18</sup>) w Westchester. W ciągu sześciu lat cztery razy się przeprowadzał.

...szereg etylenu, keton... Wkładamy wszystko do pieca, zapiekamy i - proszę bardzo, Magiczny Moment nadchodzi! - otrzymujemy coś całkiem nowego.

Nie, na pewno była mu wierna. Był jednak świadom, że pytania o wierność należą do tych zadawanych w określony sposób - szybko, ukradkiem - by uniknąć prawdziwej odpowiedzi. Naukowiec nie zadaje pytań w ten sposób. Naukowiec dopóty będzie drążył, aż znajdzie prawdę, lecz Keith wcale nie był pewien, że chce ją znać.

Zbliżał się do domu. Kiedyś jej to wynagrodzi. Ale co właściwie?

Nie był pewien.

W jaki sposób?

Nie wiedział.

Pellam skręcił na podjazd i zwolnił.

Zobaczył beżowy samochód zaparkowany przy drodze tuż za podjazdem i pomyślał:

„Do diabła, nie...” Rozpoznał ten wóz i wiedział, kto nim przyjechał.

Pomyślał, ile to już razy wytwórnia Big Mountain Studios obiecywała zainstalować telefony we

wszystkich swoich przyczepach. Żaden ze sługusów Lefkowitza jakoś nigdy się 18 I've been moved (ang.) - przeniesiono mnie [znowu].

za to nie zabrał. A tymczasem najbliższy dom znajdował się w odległości kilku kilometrów.

Nie miał czasu, żeby jechać po pomoc.

Nie miał na nic czasu.

Wyłączył światła, zaparkował na trawie i wysiadł.

Wyglądało na to, że nikt w środku go nie zauważył.

Miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, jak w scenach walk karate kręconych na potrzeby uroczo słabych filmów akcji z Hongkongu albo w co bardziej brutalnych scenach reżyserowanych przez Sama Peckinpaha. Pellam wysiadł z samochodu i głęboko wciągnął powietrze. Następnie ruszył w stronę domu, unikając stąpania po żwirze.

Przynajmniej ich zaskoczy...

No tak. Bez dwóch zdań jesień na dobre już się tu zaczęła. Zapach zimnego, suchego powietrza, słodki aromat dymu z ogniska, w którym ktoś palił gałęzie wiśni.

Pellam pomyślał, że w wielkich miastach pory roku po prostu nie istnieją. W Nowym Jorku, w Los Angeles. Dziwnie było wrócić na wieś w tym tak specyficznym czasie - czasie pierwszych śniegów, czasie intensywnie kolorowych liści - to było jak powrót do młodości.

Bolesna nostalgia, zmiana priorytetów, oszacowywanie możliwości.

Te specyficzne pory roku.

Przyszło mu do głowy, że dokonał właśnie wyjątkowo celnej obserwacji. Ciekaw był, czy pożyje wystarczająco długo, aby móc zrobić z niej użytek w filmie.

Niemal całkowicie się przejaśniło; zbliżający się zimny front przewiał wszystkie chmury. Spojrzał w górę i zobaczył gwiazdy na tle czarnej nicości, rozpościerające się nad nim niczym gigantyczna kopuła od jednej linii drzew na horyzoncie do drugiej.

Idealny jesienny wieczór w Cleary, w stanie Nowy Jork. W miasteczku posiadającym... idealny cmentarz.

To był powód, dla którego w ogóle się tutaj znaleźli - szukali idealnego, klasycznego cmentarza.

Na idealny jesienny wieczór.

Ruszył przez trawnik. W oknach dojrzał jakieś cienie. Migotał ekran telewizyjny.

Samochodu Keitha nadal nie było. A więc bliźniacy byli tam sami z Meg i jej synkiem.

Podbiegł bliżej domu. Wsunął rewolwer za pasek spodni. Na prawo od drzwi zobaczył otwarte okno, za którym widać było ciemny pokój. Zajdzie ich od tyłu.

Dwóch przeciwników, obaj prawdopodobnie uzbrojeni.

Element zaskoczenia da mu przynajmniej pewną przewagę...

Jakiś samochód wjechał na podjazd; omiotło go światło jego reflektorów. Kierowca głośno zatrąbił.

W odległości piętnastu metrów od niego, przed domem błysnęły zewnętrzne światła i oślepiły go.

- Co się tutaj dzieje? - zawołał Keith z samochodu. Zaparkował i otworzył drzwiczki.

Pellam odkrzyknął:

- Zostań tam. Zostań na miejscu.

Odwrócił się twarzą do budynku. Drzwi wejściowe otworzyły się i na ganek wyszedł jeden z bliźniaków z rewolwerem wycelowanym prosto w klatkę piersiową Pellama.

Ty by było na tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia - pomyślał Pellam.

Pellam pomyślał, że chyba od początku przeczuwał, jak to się skończy.

Przeszedł w prawo, wycofując się z kręgu światła na podjazd; żwir chrzęścił pod podeszwami jego znoszonych kowbojek. Przystanął i ogarnęło go dziwne uczucie - jakby wrastał nogami w podjazd, zapuszczał korzenie, równie niewzruszone jak kawały granitu, z których powstał żwir.

- Cześć, Pellam. Witam, panie Torrens.

- Co u diabła...

- Cicho - nakazał Keithowi Pellam. Tamten zamarł bez ruchu. To była bez wątpienia finałowa scena filmu - chociaż całkiem nie w jego stylu. On wolał, żeby widzowie czuli narastające napięcie, lecz aby ostatecznie nic się nie wydarzyło, a główni bohaterowie znikli za końcowymi napisami (i pomyśleć tylko, jakie gromy sypały się na jego głowę z powodu tych zakończeń. Rozwiąż to jakoś, John, rozwiąż to jakoś. Ależ ten świat nienawidzi niedomówień).

Jednak to zakończenie było cholernie oczywiste. Na ganku czał się przygarbiony mężczyzna z pistoletem automatycznym w dłoni. Meg powiedziała mu wcześniej, że nie lubi krótkiej broni. Uważała, że służy wyłącznie do zabijania ludzi; trudno znaleźć dla niej jakiś inny użytek.

Przyczajony mężczyzna odezwał się.

- Przeszkodził mi - powiedział. - Właśnie miałem zamiar pooglądać telewizję z moim nowym małym przyjacielem.

Pellam zastanawiał się, gdzie jest ten drugi, jego brat. Za nim? Za mną? W środku, z Samem?

- Gdzie Meg? - zawołał Pellam.

- Co pan tutaj robi?

- Który z was dwóch to ty?

- Bobby. No, niech pan lepiej zostanie tam, gdzie jest, panie Torrens. Jeśli pan się ruszy, będę musiał zabić również pana.

- Ty to zrobiłeś? - spytał Pellam.

- Co zrobiłem?

- Zabiłeś mojego przyjaciela.

- Przecież jak się przyznam, to będę się musiał zaraz upewnić, że nie podzieli się pan z nikim tą wiedzą.

- Chyba i tak mnie to nie ominie, co?

- Che, che.

- Chcę się tylko dowiedzieć, czy to ty zabiłeś Marty'ego.

- To był fantastyczny strzał, sam to przyznaję... Nawet się nie chwalił. Po prostu stwierdzał fakt.

- Co pan tam ma? - zapytał po chwili. - Tam, za pasem?

- Colta peacemakera.

- Bez jaj. Na proch bezdymny? To jakaś kopia?

- Nie. Oryginał.

- Bez jaj. Czterdziestka czwórka?

- Czterdziestka piątka.

- Kurczę.

- Gdzie jest twój brat?

- Może właśnie stoi za panem.



- A więc ty umrzesz pierwszy - rzucił Pellam.

- Che, che.

- Proszę... - odezwał się błagalnie Keith. - Gdzie jest mój syn? Żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi.

Nikt się nie poruszył. Pellam stał na mokrym żwirze. Jego stopy, obute w czarne, porysowane buty, były lekko rozstawione. Nie słychać było żadnego dźwięku.

Świat przestał istnieć, z wyjątkiem człowieka, który stał przed nim z bronią w ręku. I z wyjątkiem tego wielkiego, wiktoriańskiego domu, w którym znajdowała się uwięziona kobieta i jej dziecko, podczas gdy jej mąż stał bezradnie w pobliżu. A nad nimi przejrzyste, chłodne, jesienne niebo.

W swoim życiu Pellam strzelał już do kaczek i gęsi, jaszczurek i grzechotników, oraz setek butelek po Heinekenie. Ale nigdy jeszcze nie strzelił do człowieka.

Raziły go te światła przed domem; sprawiały, że Bobby zdawał się czarną sylwetką wyciętą z papieru (Pellam przypomniał sobie, że podczas wizyt na różnych strzelnicach przedziurawił tyle samo kartonowych sylwetek, co jaszczurek i grzechotników razem wziętych).

Zero twarzy, zero jakiegokolwiek ruchu czy dźwięku.

Nagle, w tej pełnej napięcia i bezruchu ciszy przyszło mu coś do głowy. Coś, co zapamiętał podczas zbierania dokumentacji do filmu o Indianach z Wielkich Równin. Chyba chodziło o Siuksów. Budząc się pięknego dnia, nie myśleli oni o tym, jak dobrze jest żyć, lecz mówili: „To dobry dzień, żeby umrzeć”.

Brawo, Pellam. Niezła myśl.

Cóż, Dziki Bill też nie dożył czterdziestki.

W scenę wkradł się wreszcie jakiś ruch. Było to ograne rozwiązanie - takie, którego Pellam, reżyserując western, nigdy nie pozwoliłby przeforsować scenarzyście. A mianowicie ostrożnie odsunął połę swojej niebieskiej, dżinsowej kurtki, odsłaniając kolbę rewolweru.

Bobby (który strzelał już do człowieka - prawdę mówiąc, nawet kilka razy - ale zawsze celując w tył głowy i tylko po zainkasowaniu tysiąca dolarów za wykonanie zlecenia) widział

to w ten sposób: przewaga była po jego stronie. Pellama światło raziło w oczy, a poza tym miał rewolwer z mechanizmem spustowym pozbawionym samonapinania, który przed oddaniem strzału musiał wyciągnąć zza paska i odbezpieczyć. Broń była sześciopalcowa, a ponowne jej załadowanie musiało trochę potrwać. O ile w ogóle Pellam miał przy sobie zapasowe naboje. A prawdopodobnie ich nie miał.

Był również niemal pewien, że Pellam nigdy dotąd nie strzelił nikomu w tył głowy - ani w żadne inne miejsce - za pieniądze.

Bobby zaś trzymał w dłoni odbezpieczonego automatycznego browninga kaliber 0,380 cala z dwunastoma nabojami w komorze. Wystarczyło wycelować i nacisnąć spust. Światło miał za plecami, a przeładowanie broni zajmowało mu góra dwie sekundy.

Torrens był co prawda w pobliżu, ale Bobby nie podejrzewał, aby cokolwiek mu z jego strony groziło; będzie tam dalej stał jak przerażony królik.

Miał również nadzieję, że Billy na niego patrzy. Nigdy nie pomijał okazji, aby zabłysnąć przed swoim bystrzejszym bratem.

A zatem zrobi tak: pozwoli tamtemu sięgnąć po broń, a potem strzeli mu w nogę.

Będzie patrzył, jak tamten upada. Pozwoli mu się kawałek przeczołgać. A potem znowu strzeli.

Może powinien celować w buty Pellama. Były czarne i wyraźnie kontrastowały z białym żwirem.

Lecz równie dobrym celem były jego oczy, w których odbijało się żółte światło padające z ganku. Albo jego biała koszula pod ciemną kurtką.

Zobaczył, że tamten rozchyła poły kurtki. Było w tym geście coś, co sprawiło, że Bobby poczuł się nieswojo. Nie ma czasu na gierki. Najpierw załatw Pellama, potem Torrensa. A potem wróć do chłopaka. Albo jego matki. Albo do obojga naraz.

Celuj w klatkę piersiową.

Niewiele myśląc ani nie podejmując żadnej konkretnej decyzji, Bobby przykucnął.

Uniósł w górę wyprostowane ramię, jak to co tydzień ćwiczył. Żadnego oburęcznego strzelania; nikt, kto naprawdę zna się na broni, nigdy tak nie postępuje. Mrużąc lekko oczy, lecz ich nie zamykając, wycelował broń w taki sposób, żeby mieć na celowniku białą plamę koszuli Pellama. Powoli zaczął przyciskać spust.

Łup.

Łopata.

Kurwa mać... - pomyślał Bobby. - Czyja to robota?

Ktoś podkraść się od tyłu i uderzył go w pierś łopata. Albo... Cholera, ale boli.

Zakaszła. A może to był trzonek siekiery? Bobby upuścił broń, z której nie zdążył wystrzelić.

Spojrzał w dół. Gdzie ona jest? Obejrzał się za siebie. Z tyłu nie było nikogo. Popatrzył w dół na swoją klatkę piersiową i zobaczył krew. Boże, co za ból. Zakręciło mu się w głowie.

Dopiero teraz zauważył, że Pellam trzyma colta przy biodrze, a z lufy rewolweru unosi się dym.

Bobby sięgnął po broń. Przewrócił się na ganek i rozejrzał w poszukiwaniu łopaty.

Zapytał:

- Kto...?

I umarł.

Pellam obrócił się na pięcie, obejrzał za siebie, skontrolował pola rozciągające się obok domu.

Ani śladu Billy'ego.

Szepnął do Keitha:

- Schowaj się i nie ruszaj. - Po czym ruszył przed siebie. Nie zaszedł daleko. Drzwi otworzyły się z hukiem i Billy, zataczając się, wyskoczył na zewnątrz i z krzykiem upadł na kolana obok Bobby'ego. Zaraz jednak uniósł w górę swoją broń i na oślep zaczął strzelać do Pellama.

Z lufy posypały się postrzępione, niebieskie błyski, a noc rozbrzmiała potężnym hukiem wystrzałów. Jedna kula z zawrotną prędkością przemknęła Pellamowi parę centymetrów od lewego ucha; rozległ się przy tym dźwięk, jakby jakiś olbrzym strzelił z palców.

Pellamowi starczyło czasu na jeden strzał z biodra. Poczuł silne szarpnięcie i woń siarki z eksplodującego czarnego prochu. Zobaczył, jak kula odłupuje porządny kawał deski na ganku. Billy szybko odpowiedział kolejnym strzałem, więc Pellam rzucił się na ziemię.

Uderzenie było silne, wyładował na swoim prawym łokciu. Usłyszał głośny trzask przemieszczających się kości i poczuł ból, który zaparł mu dech w piersiach. Zrobiło mu się czarno przed oczami. Przewrócił się na plecy. Jego staw barkowy wskoczył na miejsce. Na chwilę stracił przytomność. Pot wystąpił mu na czoło, poczuł napływającą falę mdłości.

Spróbował unieść colta, ale broń wypadła mu z ręki. Prawe ramię miał do niczego.

- Bobby, och, Bobby... - zawodził Billy.

Rozległy się kolejne strzały z pistoletu automatycznego. Kule trafiały w przyczepę oraz ziemię obok niej. Sześć strzałów, siedem, osiem.

- Kurwa mać kurwa mać! Kur... wa... mać!

Pellam ponownie podniósł colta, ale sytuacja powtórzyła się i rewolwer wypadł mu z ręki.

Chryste, ile naboji jest w tym magazynku? Dziesięć, jedenaście, dwanaście... Klik, klik, klik.

Pusty. Naboje się skończyły. Dzięki ci, Boże... Pellam uniósł głowę i zobaczył, że Billy przeładowuje broń.

Czuł wilgotny dotyk żwiru, czuł kwaśny, ziemisto-oleisty zapach kamieni. Zobaczył, że Billy podchodzi bliżej. Spuścił głowę i usłyszał chrzęst żwiru pod mokasynami tamtego.

Znowu spróbował chwycić broń. Ale jego palce uderzyły o kolbę i colt znalazł się poza jego zasięgiem.

Słyszał już nad sobą oddech Billy'ego. Podniósł głowę i otworzył oczy. Zobaczył otwór lufy pistoletu w dłoni tamtego, niecałe dwa metry od siebie.

Billy zatrzymał się.

To dobry dzień, żeby umrzeć...

Billy zamarł bez ruchu.

Obejrzał się za siebie, jakby coś usłyszał.

I już po chwili szybował w powietrzu.

Leciał wysokim łukiem, jak kaskaderzy w filmach wojennych, którzy odbijali się od trampolin umieszczonych po obu stronach ładunków czarnego prochu.

Wylądował prosto na Pellamie, pozbawiając go tchu i wydając przy tym wysoki, miłosny jęk. Następnie przetoczył się na bok, wymamrotał: - Bobby - po czym zapatrzył się na żwir znajdujący się centymetr od jego twarzy. - Kurwa mać. - Przymknął oczy. - Kurwa mać. - Zadygotał i znieruchomiał.

Pellam odepchnął się od ziemi i znowu na kilka sekund stracił przytomność. Jak tylko ją odzyskał, usiadł.

Przed nim, na ganku, stała zapłakana Meg, przyciskając do siebie dymiącego springfielda. Rozpaczliwie przeszukiwała kieszenie - domyślił się, że chodzi jej o zapasowe naboje.

- Meg! - zawołał. - Już wszystko w porządku. Oni nie żyją. Obaj nie żyją.

Lecz ona nie zwracała na niego uwagi. Osunęła się na kolana i wepchnęła nowy nabój do magazynka, a następnie oburącz odbezpieczyła broń. Wstała, otarła łzy z twarzy i zlustrowała podwórko niczym żołnierz na warcie, po czym odwróciła się i pobiegła do domu, wykrzykując imię swojego syna.

- Nic ci nie jest? - zapytał Keith. Na co Pellam skinął głową, z trudem chwytając oddech z bólu. A wtedy Keith pobiegł za Meg do domu.

Pellam upewnił się, że Billy rzeczywiście nie żyje, po czym również wszedł do środka, chwiejąc się na nogach.

Zastał ich w salonie; Keith obejmował Meg ramieniem. Oboje stali nad leżącym na podłodze ciałem. Szeryf Tom nie żył.

Meg spojrzała na drzwi wejściowe, a potem na Pellama oczami rozszerzonymi z przerażenia. W holu Keith ukląkł i przytulił Sama. Chłopiec popatrzył na Pellama, ale nic nie powiedział. Płakał.

- Czy oni coś ci zrobili? - spytał go Keith.

Jego syn pokręcił głową.

Meg zachłysnęła się, zapłakana.

- On próbował... Zabrał go tam... - Ruchem głowy wskazała salon. - Ale wtedy usłyszeliśmy klakson, więc wyszedł przed dom zobaczyć, kto to.

- Och, skarbie...

Keith wstał; Meg oparła głowę na jego ramieniu.

- Co się właściwie stało? - wymamrotał Keith.

- Kochanie, idź do telefonu w samochodzie. Musimy wezwać policję.

- A telefon w domu?

- Oni przecięli kable. Nasz telefon nie działa.

- Zostawiłem go w fabryce - odparł Keith. Sprawiał wrażenie otepiałego, niezdolnego wyrzec więcej niż kilku słów naraz.

- Więc jedź do Burke'ów i zadzwoń od nich!

- Co się stało? Ja nie... - Rozejrzał się po domu. - Nic nie rozumiem.

- To był jakiś koszmar...

- Co Tom tutaj robił? - spytał Keith.

Meg zerknęła na Sama i szepnęła mężowi coś na ucho. Ten zmarszczył brwi. Meg przytaknęła. - Wtedy jeden z nich strzelił do Toma. W jakiś sposób zdołali dostać się do środka. Nie wiem, w jakim celu. Nie mam pojęcia, czego tutaj szukali.

Keith milczał przez chwilę, wpatrując się w ciało szeryfa. Potem spojrzał na Sama.

- Chodźmy, zaprowadzę cię do łóżka. Twoja mama i ja musimy porozmawiać.

- Keith - Meg ruszyła za nimi.

Jednak Pellam, krzywiąc się z bólu, zrobił krok w jej stronę i dotknął jej ramienia. -

Meg, zaczekaj. Ojciec i syn zniknęli na piętrze. Meg odwróciła się do niego. - Jesteś ranny...

- Usiądź.

Zawahała się. - Muszę z tobą porozmawiać. Muszę powiedzieć ci, dlaczego wróciłem tu dzisiaj wieczorem...

Meg spojrzała na Toma.

- Keith powinien zadzwonić. Musi jechać do Burke'ów.

- Meg... Posłuchaj mnie. Dziś wieczorem złożyłem wizytę twojemu przyjacielowi.

Zesztywniała i całkiem przestała zwracać uwagę na martwe ciało leżące w jej salonie.

- Mojemu przyjacielowi? - powtórzyła.

- Amblerowi.

Przez chwilę rozważała, co jej powiedział, a potem zapytała:

- Skąd wiedziałeś, że to on?

- Porozmawialiśmy sobie. - Pellam urwał i zerknął na schody. Ale Keith nadal był na górze, w pokoju Sama. Dodał więc:

- Zależy mu na tobie. I to bardzo.

Nie bardzo wiedziała, co ma zrobić z tą informacją. Znalazła koc i przykryła nim twarz oraz klatkę piersiową szeryfa. Pellam miał ochotę ją przytulić, ale prawdopodobnie zemdlałby, gdyby spróbował ją objąć; każdy ruch wywoływał upiorny ból w jego ramieniu.

- Dlaczego się z nim spotkałeś? - spytała wreszcie Meg.

- Podejrzewałem, że to on mógł zlecić zabójstwo Marty'ego.

- Co?!

Pellam pokręcił głową.

- Nie zrobił tego. Ale to on podrzucił narkotyki i kazał tym koleśiom mnie pobić.

- Wex nigdy by... - zaczęła i urwała; najwyraźniej jednak doszła do wniosku, że Ambler byłby do tego zdolny.

- Zrobił to, bo się bał, że zechcesz ze mną wyjechać.

- Naprawdę?

Wyglądała na zakłopotaną, ale Pellam nie był pewien, czy w jej twarzy nie dostrzega także wyrazu pewnej dumy. Na całym świecie nie ma chyba kobiety, której nie pochlebiałaby świadomość, że mężczyzna posunie się absolutnie do wszystkiego, aby ją przy sobie zatrzymać.

- Wspólnie doszliśmy do wniosku, że to bliźniacy stali za strzelaniną. Pojechałem na ich złomowisko i zajrzałem do szopy, w której urzędowali. Znalazłem tam broń, z której zabili Marty'ego. Znalazłem też parę innych rzeczy. Na przykład...

Kroki na schodach. Keith wolno schodził na dół. Widząc wyraz twarzy Pellama, przystanął. Po chwili wahania dołączył do nich.

- Sam już się uspokoił. Dałem mu coś i zasnął.

Meg nie zwróciła na niego uwagi. Zwracając się do Pellama, zapytała:

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

Lecz Keith ją ubiegł. Słyszał wcześniejsze słowa Pellama i teraz zapytał go:

- Co jeszcze znalazłeś w tamtej szopie?

Pellam odwrócił się do Meg.

- Znalazłem towar. Narkotyki, które zażył Sam.

- A więc to byli oni? - wybuchnęła. - To oni handlowali narkotykami... Ale dlaczego zjawili się u nas? Bo Sam był świadkiem?

Keith, który przechadzał się po pokoju, teraz usiadł. Pellam spojrzał na niego.

- Mieli tam dobre kilka tysięcy fiolek tego świństwa. Wszystko pięknie spakowane i gotowe do wywiezienia... Powiedz mi, Keith: czy bliźniacy zajmowali się dystrybucją? A może przy okazji cię okradali?

Keith rozejrzał się nieuważnie po pokoju.

- Wygląda na to, że robili i jedno i drugie.

Meg spojrzała na męża.

- O czym ty mówisz?

- Twoi wspólnicy zjawili się tutaj, żeby cię zabić - powiedział Pellam. - Ciebie i twoją rodzinę.

- Wspólnicy? - jęknęła Meg.

- Pellam zwrócił się do Keitha: - Czy dysponowali wystarczającą wiedzą, żeby samodzielnie je produkować? Czy poradziliby sobie bez twojej fabryki?

Keith nic nie odpowiedział.

- Wygląda na to, że robili i jedno i drugie.

Popatrzył na ścianę, za którą leżeli jego dwaj pracownicy.

- Płaciłem im wystarczająco dużo.

- Nie ma czegoś takiego jak „wystarczająco dużo”.

- Jak to odkryłeś?

Pellam odparł:

- W jednym z plecaków w szopie były twoje wytyczne dla nich. Niektóre na twoim papierze firmowym. I trochę gotówki.

Skinął głową.

- Wróciłem, żeby powiedzieć o tym Meg.

Kobieta odwróciła się twarzą do niego. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie może.

Keith odrzekł:

- To były zwykłe gnojki, ale mieli kontakty w Nowym Jorku, New Jersey, na Brooklynie. Byli mi potrzebni.

- Co to właściwie jest? - zapytał Pellam. - Ten narkotyk?

- Syntetyczny, doustny środek odurzający - wyjaśnił Keith. Meg szepnęła do męża: -

Nie. To niemożliwe. To się nie dzieje naprawdę.

Keith głęboko wciągnął powietrze; Pellam widział, że tamtemu kończy się repertuar kłamstw, którymi się dotąd posługiwał. Przypominał teraz chłopca stojącego obok wybitego okna. Popatrzył na Pellama, na Meg i powiedział:

- To nie jest tak, jak myślicie.

- Nie, nie, nie... - Meg kręciła głową.

- Meg, to tylko produkt. Ja...

- Produkt! - zawołała. - Nazywasz to trujące gówno produktem?.

- Nic nie rozumiesz, Meg - warknął Keith. - To wcale nie tak.

- A jak?

- To fantastyczne odkrycie! Udoskonalałem je przez dwa lata.

- Odkrycie?

Pellam rzucił cierpko:

- Supernowoczesny towar. Normalnie heroinę trzeba sobie wstrzykiwać, żeby mieć najlepszy odjazd. To tutaj wystarczy tylko ssać.

- Udało mi się opracować nowy środek rozszerzający naczynia krwionośne. To wspaniała sprawa. Narkotyk przedostaje się do krwi w ciągu milisekund, wnikając w naczynia pod językiem.

Pellam ciągnął:

- Nowy, szpanerski narkotyk dla japiszonów. Bez potrzeby dawania w żyłę. Żadnych igieł, żadnego ryzyka, jeśli chodzi o AIDS...

Keith przerwał mu:

- Zamierzałem to opatentować. To znaczy nadal zamierzam to opatentować dla celów medycznych. Potrzebowaliśmy tylko trochę więcej kapitału... Zamierzaliśmy rozesłać próbki do farmaceutycznych firm badawczych - do tego nie trzeba mieć zgody agencji rządowej.

Dale zaczął jednak sprzedawać towar nielegalnymi kanałami, żeby utrzymać płynność finansową firmy. Kiedy się o tym dowiedziałem, było już za późno, żeby się wycofać.

Siedzieliśmy w tym po uszy.

- Kłamiesz.

- Nie, Meg, naprawdę...

Zrobiła krok w jego stronę.

- Powiedz to mojemu biednemu synkowi! Ty i Dale od początku mieliście pieniądze.

Wykupiłeś przecież swoją część udziałów... Och, dobrze wiesz, że już wtedy ktoś was finansował. Już w dniu otwarcia fabryki wiedziałeś, komu będziesz sprzedawał to gówno.

- Przestań!

- Może mi powiesz, że ktoś przystawił ci broń do głowy i zmusił cię, żebyś... - Urwała i zmarszczyła brwi. - Czekał. - W jej oczach odbiło się jeszcze większe przerażenie. - Co tak naprawdę stało się z Dałem?

- On... - Keith odwrócił wzrok.

- To oni go zabili. Bliźniacy... Ale dlaczego? Zrobił się za bardzo chciwy?

- Wszystko wymknęło się spod kontroli - odparł z wściekłością Keith. - To nie była moja wina.

Meg zignorowała go.

- A tamci ludzie, ci biznesmeni z Nowego Jorku... I ten chłopak, który rok temu przedawkował... I Ned! Dzisiaj rano. Jego też zabili! A Tom podejrzewał o to Sama! O słodki Jezu.

- Jest jeszcze Marty - dorzucił Pellam.

Keith nie od razu skojarzył, o kim mowa. Dopiero po chwili odparł:

- To był wypadek. Przysięgam na Boga. Bobby i Billy mieli wypłoszyć was z miasta.

To wszystko. Nie chcieliśmy, żeby kręcili się tu jacyś obcy. Nie mogliśmy ryzykować, że ktoś się zorientuje.

- Wypadek? - warknął Pellam. - Zabiłeś własnego współnika i Bóg wie kogo jeszcze, a teraz spodziewasz się, że uwierzę w to, że chciałeś tylko wystraszyć Marty'ego?

Meg patrzyła na męża z niedowierzaniem. Powoli pokręciła głową; jej kucyk się zakołysał.

- I to ty prawie zabiłeś naszego syna?

- Mówiłem im... - Ruchem głowy wskazał teren przed domem.

- ...żeby nigdy nie sprzedawali towaru ludziom w okolicy. Ale mnie nie posłuchali. To nie moja wina. Ja tylko...

- Nie twoja wina? Wyprodukowałeś to świństwo, a teraz nim handlujesz. Jak możesz twierdzić, że to nie jest twoja wina? Wytłumacz mi to, Keith.

Keith nie wytrzymał jej spojrzenia i odwrócił wzrok. Meg tylko jeszcze raz pokręciła głową. Jej wściekłość była zbyt ogromna.

Pellam zorientował się, że Keith przybiera tę swoją specyficzną maskę, przy pomocy której tyle czasu udawało mu się zwodzić Meg: maskę Keitha - małego chłopca o gęstych włosach, okrągłej twarzy i błagalnym spojrzeniu, spragnionego miłości. Puciołowatego chłopca.

- Nie mamy o czym rozmawiać - dodała Meg.

- Proszę, pozwól mi wyjaśnić.

Odwróciła się i stanęła twarzą do niego - stojącego w drzwiach, przygarbionego, opartego ramieniem o futrynę, jak gdyby potrzebował pomocy domu, żeby utrzymać się na nogach.

Powiedziała:

- Przez cały czas mnie oszukiwałeś.

- Nie chciałem ci niczego mówić dla twojego własnego dobra.

- Tak? A jak to sobie wyobrażałeś? - pytała z goryczą Meg.

- Nie chciałem, żebyś była w to wplątana, gdyby coś się stało.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

- Jak mogłam nie być w to wplątana? Mój mąż producentem narkotyków! Jakim cudem ja i Sam nie mielibyśmy być w to zaangażowani? Zobacz zresztą, co się stało z Samem. Przecież mógł wtedy umrzeć.

- To się już więcej nie powtórzy

Meg zaczęła płakać.

- Boże, Keith... Mówisz tak, jakbyś nie miał zamiaru tego zakończyć. Tom nie żyje! A przed naszym domem leżą dwa martwe ciała! To koniec. Musimy wezwać policję.

- Nie, Meg. To, co udało mi się odkryć, to czysta magia. - Jego oczy błyszczały. - Nikt nigdy nie wymyślił czegoś podobnego. I nikomu to się nigdy nie uda.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś był z tego dumny! - wyrzuciła z siebie.

Keith krzyknął:

- Oczywiście, że jestem dumny! W ogóle mnie nie znasz. Nigdy nawet nie starałaś się mnie poznać. Nie jestem taki, jak wszyscy. Moje myśli nie płyną, one pędzą! Taki się urodziłem. Nie jestem taki jak ty. Albo on... - Popatrzył na Pellama. - Albo ktokolwiek inny.

- Ale przecież się kochaliśmy - załkała Meg.

- A co to ma z tym wspólnego? Nie zgrywaj świętej, dobrze? Zrobiłem to dla ciebie. I dla Sama. Jak ci się wydaje, dlaczego? Ciągłe nudziłaś mnie o ładny dom, o pieniądze, o tę twoją pieprzoną biżuterię! Miało mi na to wszystko starczyć z pensji chemika? - Wycelował

palec w jej pierścionek. - Myślisz, że mógłbym sobie na to pozwolić, gdybym nadal pracował dla Sanberga?

- Chyba się przesłyszałam. Ty obwiniasz mnie? Powinieneś raczej obwiniać to, co w tobie tkwi i każe ci wierzyć, że jesteś ponad wszelkimi zasadami. I co dalej? Mamy tak po prostu zapomnieć o tym, co się stało? Ja na pewno nie zapomnę. Sam i ja odchodzimy.

- Odchodzisz z nim?! - Keith zmierzył Pellama gniewnym spojrzeniem. W jego głosie słychać było niedowierzanie.

- Po prostu odchodzę. Tylko takie wyjaśnienie jestem ci winna. Odchodzimy stąd razem, Sam i ja.

- Nie możesz mnie tak zwyczajnie opuścić.

- Opuścić cię? - zaśmiała się Meg.

W pokoju aż iskrzyło od tłumionego napięcia.

- Nie pozwolę ci na to! - Krzyk Keitha wstrząsnął nimi obojgiem; jego natężenie dorównywało natężeniu światła w salonie. - Jesteś moją żoną. Zostaniesz przy mnie. Za pół

roku zdobędę patent i przestanę sprzedawać towar na ulicy. Pfizer albo Merck wykupią od nas licencję. A policji stanowej powiemy, że bliźniacy włamali się do domu i próbowali cię zgwałcić. Tom był tutaj w sprawie Sama, więc go zabili. Możemy powiedzieć, że...

- Ani słowa więcej. - Meg zamknęła oczy i wolno przechyliła głowę w tył, a potem skłoniła ją na



piersi. - Przestań. - Podniosła się. - Nie zostaniemy tutaj na noc.

- Meg, nie! - Keith przestał udawać chłopca. Teraz był mężczyzną - groźnym, zdolnym do wszystkiego.

Ich słowa huczały Pellamowi w głowie. W trakcie gdy małżonkowie rozmawiali, słyszał, co do siebie mówili i obserwował ich twarze, ale jakby z bardzo daleka.

Zjawiasz się tułaj, ze swoją przyczepą i aparatem, myszkujesz po mieście, zagadujesz ludzi, zapoznajesz się z nimi... Niektórych poznajesz nawet bardzo dobrze. Nie rozumiesz, jaką masz nad nimi władzę.

Nie, pomyślał, nie mam żadnej władzy. Nic, co powiem albo zrobię, nie nauczy ich, jak być szczęśliwymi i nie sprawi, że otrząsną się z rutyny, w jaką popadli... On, Pellam kręcił filmy. Dawał ludziom możliwość ucieczki od swojego życia, to fakt, ale tylko na dwie godziny i tylko w tym jednym, jedynym miejscu: zaciemnionej sali kinowej.

- Wychodzę - powiedział.

Keith popatrzył na niego i ostrzegł:

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co się z nimi stanie, jeżeli komukolwiek o tym powiesz. - Mówiąc to, ruchem głowy wskazał Meg.

- O czym ty mówisz, Keith? - zapytała.

Pellam odparł:

- Keith chce powiedzieć, że jeśli pójdę z tym na policję, to nawet jeżeli uda mu się wywinąć od zarzutu zabójstwa, federalni i tak oskarżą go o udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Prokuratura zamknie fabrykę, zajmie dom i wszystkie wasze oszczędności.

Keith przytaknął.

- Będiesz ich miał na sumieniu.

Pellam zaśmiał się, ale nic nie powiedział. Spojrzał na Meg.

- Chcesz, żebym gdzieś ciebie i Sama podwiózł? Macie w pobliżu rodzinę albo znajomych?

Keith przerwał mu:

- Ona nigdzie z tobą nie pojedzie.

- Nie ty o tym zdecydujesz.

Meg zwróciła się do Pellama:

- Pójdę po Sama.

- Meg, jesteś moją żoną! Ty...

- Przestań! - krzyknęła. Keith-chłopiec, Keith-mężczyzna zamilkł. - Nie jestem twoją własnością! Odchodzę!

Można to nazwać przecuciem albo intuicją. W nagłym przeblysku olśnienia Pellam zobaczył, co zaraz nastąpi.

Powiedziało mu o tym kilka rzeczy: zarejestrowany kątem oka gest Keitha sięgającego za pasek spodni, jego urywany oddech, metaliczny trzask.

Odgłos odbezpieczanej broni - oczywiście tej należącej do Bobby'ego, o której Pellam całkiem zapomniął i którą zostawił obok martwego ciała na ganku. Keith musiał ją podnieść, kiedy wchodził do domu.

Metaliczny trzask niemal utonął we wznoszącym się krzyku. W krzyku tym dało się słyszeć jedno słowo.

Jedno słowo - jego własne nazwisko - wypełniło noc, gdy Keith wycelował w niego broń i

opętany prymitywną wściekłością wrzasnął:

- Pellam!

- Nie, Keith! - krzyknęła Meg.

Lewa dłoń Pellama wystrzeliła naprzód w daremnym, automatycznym geście, jakby chciał powstrzymać rozgrzaną do czerwoności kulę.

Salonem wstrząsnął głośny wybuch. Pellam poczuł impet wystrzału na swojej twarzy i dłoni.

Meg przeraźliwie krzyknęła:

- John!

Wszyscy zamarli, jak dzieci bawiące się w jakąś grę. Cała trójka. Cisza zdawała się nie mieć końca. Salon wypełnił ostry, słodkawy dym.

Broń wypadła Keithowi z ręki, a on sam osunął się na kolana, wydając bolesny jęk.

Pellam stał kompletnie nieruchomo, czekając na ból, ciemność przed oczami, sączącą się krew.

Nic takiego się nie stało. Nie był ranny.

Keith spudłował. Z odległości czterech i pół metra spudłował.

Szepnął do Meg:

- Nic mi nie jest, wszystko w porządku.

Kobieta pokręciła głową.

- Co ja mam z tym teraz zrobić?

- Z czym? - nie zrozumiał Pellam.

Meg nie odpowiedziała. Spuściła głowę i w skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się diamentowi na swoim palcu. - Popatrz na ten pierścionek. No, tylko na niego popatrz. Co za bałagan.

Meg podniosła w górę dłoń umazaną krwią, którą przesiąkł już cały przód jej bluzki.

- Pomożesz mi? Sama nigdy tego nie odczyszczę. - Jej uśmiech zbladł, a powieki zatrzepotały. Zamknęła oczy. - Możesz mi pomóc? - wyszeptała, osuwając się wolno na podłogę. - Możesz?

Trudie, opalona, ciemnowłosa i chuda jak modelka (najlepsze łydki, jakie kiedykolwiek widział u kobiety, ale - niestety - ani jednego piega na całym ciele) prowadziła samochód na wschód od Santa Monica, wolno przesuając się w porannym korku w kierunku autostrady.

John Pellam siedział na miejscu dla pasażera w jej białym mercedesie 450 SL.

Siedział w milczeniu, trzymając na kolanach walizkę (zakupioną jeszcze na Main Street w Cleary). Trudie była bardzo ożywiona. Absorbowała ją myśl o nowym serialu przygotowywanym przez wytwórnię Lorimar. Trudie miała pięćdziesiąt dwa procent udziałów w tym przedsięwzięciu, a przynajmniej tak mu się wydawało. Radio głośno grało, a ona poruszała głową w takt muzyki, uśmiechając się szeroko, chociaż Pellam wiedział, że nuci biznesowe zaklęcia, a nie przebój z listy Top 40.

Pomyślał, że wspaniała z niej kobieta. Lubił z nią wychodzić. Lubił się u niej zatrzymać - leżeć w jej ogromnym łóżku, sączyć słodkie drinki na murowanym patio wznoszącym się wysoko ponad dziko zarośniętym kanionem (Trudie była właścicielką jednego z tych domów, które w czasie trzęsienia ziemi są zagrożeniem dla innych).

Minęli park w Beverly Hills, gdzie pewnego ranka - musiało to być około piątej nad ranem - znalazł Tommy'ego Bernsteina, nieprzytomnego, ubranego w smoking. Pellam sam był w kiepskim stanie. Tommy powiedział mu wtedy: „Cholera, toż to amerykańska kawaleria. Zabierzcie mnie do domu. Czy ja leżę w łóżku? Chyba nie. Nie, na pewno nie.

Proszę mnie zawieźć do domu!”.

Co też Pellam zrobił, inwestując w to sporo czasu i wysiłku.

Obecny na pogrzebie Tommy'ego pastor został w tym celu specjalnie wynajęty, co nie było zbyt zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przez trzydzieści lat Tommy ani razu nie przekroczył progu kościoła. Ponury ów człowiek powiedział wówczas wiele nieszkodliwych bzdur. Głównie sentymentalnych banałów. Nie, żeby Pellam miał m u t o za złe. Uważał, że nalany staruszek w sztywnej koloratce odwalił kawał dobrej roboty, zważywszy na okoliczności. „Żywotna energia Thomasa, energia, która sprawiała, że kochaliśmy jego filmowych bohaterów...” No cóż, Tommy powiedziałby po prostu: „Pieprzyć to” i wydał z siebie przeciągłe wycie. Ale trudno byłoby oczekiwać tego samego od pastora.

Pogrzeb odbył się w pobliżu skrzyżowania, które właśnie przejechali. Tego z Aleją Gwiazd.

- Rozmawiałam z tamtym kołem, producentem.

Trudie lubiła skracać słowa w ten sposób i posługiwała się nimi przy każdej okazji.

Kolo, foto, biz (jak w zdaniu: „Zrobić niezły biz”).

- Tak? - odparł lekko.

- Był total zachwycony.

- Tak? - Pellam nie kojarzył, o którym producencie wykonawczym mówi Trudie ani czym miałyby być zachwycony. Przez pewien czas jechali w milczeniu, w jasnym, kalifornijskim świetle, które zdaje się wydobywać naturalny blask z trawy i drzew i pali ci twarz niczym spojrzenie pięknej, bezwstydną nastolatki. Zza swoich okularów przeciwsłonecznych Pellam obserwował drogę. I samochody - tysiące niemieckich samochodów - przesuających się w przeciwnym kierunku, w stronę Hollywood.

- Znikasz na dłużej, co?

- Raczej tak.

Trudie nic nie powiedziała, ścisnęła tylko lekko jego kolano. Podkręciła głośniej radio.

Wciąż byli w Beverly Hills; tutaj nie obowiązywały sentymenty.

- I jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Całkowicie - odparł i niczego więcej nie dodał.

Po dziesięciu minutach milczącej jazdy wysadziła go na lotnisku. Nie chciał ani nie spodziewał się, że wysiądzie. Pocałowali się jak brat z siostrą, a jedynym śladem głębszych uczuć, jakie łączyły ich podczas tego roku niezobowiązujących spotkań, był zagadkowy uśmiech, który wypłynął jej na usta i to, w jaki sposób pokręciła głową, patrząc na niego.

- Zadzwoń do mnie czasem - powiedziała.

Pellam obiecał jej, że to zrobi. Podał walizkę czekającemu przy krawężniku tragarzowi, a kiedy znów się odwrócił, Trudie już nie było.

John Pellam siedział na płycie stuletniego nagrobka i spoglądał na malowniczą dolinę w północnej części stanu Nowy Jork, pełną drzew o jaskrawych, żółto-czerwonych liściach.

Słońce przed chwilą skryło się za chmurami i owa piękna sceneria nabrała złowieszczonego wyglądu.

Nastrój napięcia dodatkowo wzmacniał widok młodego człowieka, skradającego się w stronę Pellama. Miał na sobie ciemną koszulę i dżinsy. Kiedy znalazł się w odległości jakichś sześciu metrów od niego, przystanął i zamknął oczy, jakby zbierając siły, aby wykonać to, co sobie zamierzył. Następnie wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pistolet.

Zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

Pellam wstał z zimnego kamienia i mrużąc oczy, przyjrzał się intruzowi.

Nagle w pobliżu coś się poruszyło. Mężczyzna cofnął się zaskoczony i potknął o inny niski nagrobek.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął i upuścił broń.

- Co jest? - Z głośnika rozległ się tubalny głos.

- Przestraszyła mnie! - zawołał mężczyzna, podnosząc się i otrzepując trawę ze spodni.

Elektroniczny głos Opatrzności zakrzyknął:

- Cięcie! Cięcie! Co się do cholery dzieje?

Polana zapełniła się ludźmi. Operatorzy odeszli od kamer, a charakteryzatorka podbiegła do aktora, żeby przypudrować mu twarz. On zaś wołał:

- To ta wiewiórka! Przestraszyła mnie!

Jeden z kaskaderów chwycił marynarkę i skoczył między groby z okrzykiem bojowym.

- Bardzo zabawne - skomentował sytuację reżyser, korzystając z megafonu.

Pellam odszedł od nagrobka i przysiadł na starym, zielonym, wyplatany leżaku w pobliżu swojej przyczepy.

- Zimno ci? - zapytał.

- Chcesz wejść do środka?

Meg ścisnęła jego dłoń i odparła:

- Nie, nie chcę niczego przegapić.

To miało być bez cięć - westchnął reżyser i podszedł od tyłu do kamery. Jakiś garderobiany podwijał aktorowi mankiety spodni, żeby nie przemiękły od rosy. Sekretarka planu zanotowała, w którym miejscu się znajdował, kiedy został przestraszony przez wiewiórkę, a także pozycje

wszystkich kamer oraz ustawienia drugiego planu.

- Które to ujęcie?
- Już ósme - odkrzyknął ktoś.
- Jezu. A za dziesięć minut stracimy światło. Jaką pogodę zapowiadają na jutro?
- Deszcz.
- Jezu Chryste.

Pellam i Meg obserwowali poczynania ekipy. Pellam odezwał się:

- Tak właśnie wygląda kręcenie filmu. Powtarzasz jedną scenę raz za razem, a potem czekasz jakiś czas i znowu ją powtarzasz.

Przynajmniej Sam dobrze się tu bawił, chociaż, prawdę mówiąc, wolałby być na planie jakiegoś filmu o gwiazdnych wojnach albo takiego, w którym strzelałyby do siebie roboty, a nie jakiejś głupiej historii miłosnej zatytułowanej „Zasnąć w płytkim grobie”. Największe wrażenie zrobiła na nim ogromna, skomplikowana kamera; był nią po prostu oczarowany.

- O rany - powiedział od razu Pellamowi. - Wygląda zupełnie jak statek kosmiczny. -

Na co Pellam wyprosił u operatora zgodę na to, żeby chłopiec posiedział przez kilka minut na jego miejscu.

Alan Lefkowitz wychynął ze swojej przyczepy i dołączył do reżysera. Miał na sobie strój, który zawsze nosił na planie - spodnie bojówki i koszulkę w czerwono-białe pasy (Pellam szepnął Meg na ucho: - Właśnie tak ubieraliby się sędziowie, gdyby Hollywood miało własną drużynę hokeja).

Producent powitał go:

- Cześć, Johnny - a następnie wyciągnął w jego stronę lewą dłoń trzymającą skrywaną szklaneczkę bardzo drogiej słodowej whisky i znacząco uniósł brwi.

Pellam odparł:

- Nie mogę. Mam inne plany.

- W takim miejscu?! - zażartował Lefkowitz, obrzucając tęsknym spojrzeniem pupę Meg, odzianą w obcisłe džinsy. Po czym znowu zaczął wymachiwać jakimiś papierami przed nosem reżysera.

- No dobrze - Pellam odwrócił się do Meg - to co tam słychać w Cleary?

Meg roześmiała się i nie odpowiedziała.

- Przejdźmy się, dobrze?

- Ustawili teleobiektyw. Jeśli pójdziemy w tamtą stronę, w kierunku lasu, nie wejdziemy im w kadr. Dobrze się czujesz?

- Pewnie.

Wzięła do ręki laskę i wstała bez jego pomocy. Minęli tłum miejscowych, których liczba wzrastała wraz z każdym kolejnym dniem zdjęciowym; życie małego miasteczka na czas realizacji filmu stanęło w miejscu. Gapie z zachwytem przyjmowali każde wydarzenie -

nawet pojawienie się wiewiórki - i stali w milczeniu, jak wmurowani, jakby najmniejszy ich ruch mógł przewracać na ziemię te wszystkie czarodziejskie urządzenia.

Meg i Pellam odeszli kawałek drogą; co kilka minut Meg oglądała się za siebie, żeby mieć oko na Sama. Odezwała się:

- Lekarz twierdzi, że jeśli zapiszę się do fizjoterapeuty i zacznę ćwiczyć, w ciągu miesiąca powinnam przestać kuleć.

- No i?

- Patrzą na te wszystkie wysportowane panienki w telewizji, biegające, uprawiające aerobik,

podnoszące ciężary... Wyglądają tak strasznie głupio... Poczekam, to samo mi przejdzie.

- A co nowego na rynku nieruchomości?

- W ubiegłym tygodniu sprzedałam jeden dom. Trafiło mi się też kilku klientów w rodzaju „może i tak, ale najpierw muszę zapytać żony”. Nikt nie powiedział, że to będzie proste.

- A jak on to znosi? - Pellam odwrócił się i popatrzył na Sama.

- Dużo ze sobą rozmawiamy. Nie mam na to ochoty, ale uważam, że tak będzie lepiej.

Tak przynajmniej mówi terapeuta. Wyrzuć to z siebie, pozbądź się złej energii. Może i mnie to pomoże. Sam pyta na przykład: „Opowiedz mi jeszcze raz o tatusiu”. Więc mu tłumaczę, a on rozumie, albo twierdzi, że rozumie. Czego oczywiście nie mogę powiedzieć o sobie.

- Masz od niego jakieś wiadomości? Od Keitha?

- W przyszłym miesiącu odbędzie się rozprawa. Pellam skinął głową. - Odbiorą ci dom?

- To niewykluczone. Mój prawnik uważa, że możemy go stracić. Co jednocześnie oznacza, że jest szansa, iż się tak nie stanie.

Poczuł na sobie jej wzrok. Po chwili wahania dodała:

- Znowu spotykam się z moim przyjacielem.

- Z Amblerem?

- Po tym wypadku okazał mi dużo ciepła.

- Wydaje się więc miłym facetem.

- Jak na ultrakonserwatywnego, zbzikowanego, kapitalistycznego bigota.

- Początkowo nie chciałam, żebyśmy się znowu zeszli. To znaczy...

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć - odparł Pellam.

Popatrzyła przed siebie, na linię horyzontu.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Pellam, czy ty myślisz... - Urwała.

Myślał. Bardzo dużo myślał.

I doszedł do wniosku, że odpowiedź jest najzupełniej jasna i że oboje ją znają. Nie odpowiedział, ani nawet na nią nie spojrział, a ona nie powtórzyła pytania.

Doszli do stojącej na poboczu tablicy, odwróconej tyłem do planu zdjęciowego.

Witamy w Simmons.

W malowniczych górach Catskills.

6300 mieszkańców.

- Jak tu było, kiedy byłeś mały? - spytała Meg. - Mam na myśli liczbę mieszkańców.

- Och, nie pamiętam. Chyba podobnie jak w Cleary.

- A dlaczego zdecydowali się kręcić akurat tutaj?

- To zapuszczone miasteczko. Czegoś takiego potrzebowałam, żeby opowiedzieć tę historię.

- Więc jednak spodobał im się twój scenariusz?

- W dużej mierze. Chociaż reżyser oczywiście ignoruje moje uwagi dotyczące ustawienia kamery.

- To może mu coś na to powiesz?

- Scenarzyści nie mówią reżyserom, gdzie ustawić kamerę. Ewentualnie w bardzo zawoalowany sposób i dopiero, jak zainkasują swoją gażę.

- A dlaczego nie chciałeś zrobić tego filmu w Cleary?

- Tutaj mamy lepszy cmentarz. - Skinął głową w stronę aktora. - Do sceny strzelaniny.

I później, do pogrzebu. Kiedy ma miejsce konfrontacja Janice i Shepa.

- Lepszy cmentarz niż w Cleary? Czuję się urażona.

Pellam przyjrzał się jej włosom, teraz krótko obciętym (nowa fryzura ukazała jego oczom obsypany piegami kark), kowbojskim dżinsom, niebieskiej, roboczej koszuli, brązowym, zamszowym butom.

- Dziś wieczorem - powiedział - zjemy kolację w zajeździe, dobrze? Tylko ty i ja?

- I nie będzie miała nic przeciwko temu? - Meg skinęła głową w kierunku rodzinnego domu Pellama, oddalonego o pięć kilometrów w górę drogi. Miała na myśli jego matkę.

- W ciągu ostatniego tygodnia widywała mnie częściej niż w ciągu ostatnich pięciu lat.

Chętnie się mnie pozbędzie. Nie przepada za mężczyznami popijającymi whisky. Podrzucimy jej Sama na wieczór.

Asystentka planu, młoda kobieta w dżinsach i wytartej dżinsowej kurtce, z chmurą kręconych włosów opadających na czoło, patrolowała drogę niczym żołnierz izraelskiej armii.

Na biodrze podskakiwała jej wielka krótkofalówka.

Pellam spytał Meg:

- Kiedy wracacie do Cleary?

- Jutro. Możemy tu zostać tylko na jedną noc. Nie chcę, żeby Sam zbyt długo był z dala od domu. Myślę, że tak jest dla niego lepiej.

Omiotła spojrzeniem połacie wysokiej trawy. W nadchodzącym zmierzchu wszystko zdawało się przypominać starą fotografię w barwie sepia. Bezruch i spokój.

Dał znak, żeby za nim poszła i wolno zawrócił na cmentarz. Tam wskazał jej jeden z grobów sprzed dziesięciu lat.

Meg przyjrzała się płycie nagrobnej.

- Twój ojciec miał na imię Benjamin?

- Powiadał, że na cześć Benjamina Franklina.

- Dziwię się, że nie dał ci na imię William - uśmiechnęła się.

- William?

- Na cześć Dzikiego Billa, twojego sławnego przodka.

Pellam wydal z siebie przesadne westchnięcie.

- On miał na imię James, nie William. James Butler Hickok.

- Ach, prawda. Już mi to raz mówiłeś.

Usłyszeli, jak asystent reżysera nawołuje przez megafon:

- Cisza, cisza na planie!

Pellam i Meg przystanęli i śledzili kolejne ujęcie tej samej sceny. Aktor skradał się powoli między nagrobkami, gotów zabijać z zimną krwią.

Meg zagadnęła:

- Czyli zostałeś jednak scenarzystą?

- Nie. Nadal nie mam pracy. Lefkowitz musi umieścić moje nazwisko w czołówce, ale tylko ze względu na Gildię. Jestem tutaj na wypadek, gdyby trzeba było wprowadzić jakieś poprawki do scenariusza. Nadal jestem uziemiony. Popełniłem największą zbrodnię, jakiej można się dopuścić w Hollywood. Przeze mnie producentowi odezwały się wrzody.

- W takim razie powinieneś więcej pisać.

Pellam roześmiał się i popatrzył na zegarek.

- Może jak będę w nastroju. Na razie pracuję jako wolny strzelec. Mam do zrobienia dokumentację w Utah.

Głosy aktorów wznosiły się i opadały.

Nagle z głośnika rozległ się rezonujący krzyk reżysera:

- Cięcie! Cięcie! Niech ktoś... Tak, tak, właśnie ty! Zabierz stamtąd tę cholerną wiewiórkę. To niewiarygodne, po prostu niewiarygodne!

Wrócili do przyczepy i usiedli na leżakach - bardzo, bardzo wolno. Meg z powodu postrzału. Pellam z powodu wybitego barku.

- Myślisz, że wrócisz kiedyś na wschód?

- No, przede mną wiele filmów do zrobienia.

Meg popatrzyła na niego.

- Jeśli jednak wrócisz, może wpadłbyś do nas, z wizytą? Sam na pewno by się ucieszył.

Pellam wyciągnął przed siebie swoje długie nogi; ostro zakończone czubki jego znoszonych kowbojek były wycelowane prosto w szarzące niebo.

- Myślę, że jest taka możliwość - odparł. Razem patrzyli, jak ekipa filmowa wbiega na teren cmentarza, wygładza trawę, zbiera opadłe liście, poprawia charakterystykę, prostuje mankiety spodni, przegania wiewiórkę w kierunku drzew. Wszyscy śmiertelnie poważni, wszyscy zabiegani, usiłujący nakręcić jeszcze jedno ujęcie, zanim zapadnie listopadowy zmierzch.